

**KLASYKA  
KRYMINAŁU  
Z JOHNEM  
REBUSEM**

**NOWOŚĆ  
2023**

# IAN RANKIN

**RÓDZINA PRZEDE WSZYSTKIM.  
A PRAWDA? NO CÓŻ, MOŻE POCZEKAĆ.**

# PIEŚŃ NA MROCZNE CZASY

ALBATROS

# IAN RANKIN

## PIEŚŃ NA MROCZNE CZASY

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ  
ANDRZEJ SZULC



ALBATROS  
Wydanie elektroniczne



# Spis treści

Strona tytułowa

Autor

Karta redakcyjna

Cytaty

Prolog

I

II

III

IV

Dzień pierwszy.

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Dzień drugi

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Dzień trzeci

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Dzień czwarty

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Dzień piąty

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Dzień szósty

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Dzień siódmy

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Podziękowania

NAWET Z DALA OD EDYNBURGA, ŚWIATA, KTÓRY ZNA, REBUS NIE TRACI SWOJEGO INSTYNKTU I ROZSTAWIA WSZYSTKICH PO KĄTACH.

EDYNBURSKA POLICJA MA PEŁNE RĘCE ROBOTY, KIEDY ZABÓJSTWO BOGATEGO SAUDYJCZYKA WYWOŁUJE PORUSZENIE NAWET W BRYTYJSKIM RZĄDZIE.

A TYMCZASEM REBUSA, KTÓRY NA PEWNO WTYKAŁBY SWÓJ WŚCIBSKI NOS W ŚLEDZTWO, NIE MA W MIEŚCIE.

Mieszkająca na północnym wybrzeżu Szkocji córka Rebusa, Samantha, dzwoni do niego w środku nocy i informuje, że przed dwoma dniami zaginął jej partner, Keith Grant. Rebus natychmiast do niej jedzie i na miejscu przekonuje się, że policja nie podchodzi do sprawy poważnie.

Jak to on, postanawia przeprowadzić własne śledztwo. Kiedy jednak znajduje zwłoki Keitha, zdaje sobie sprawę, że córka stanie się główną podejrzaną, i musi podjąć decyzję, czy ma się zachować jak ojciec, czy jak stróż prawa.

Dotychczas nie ustawał w dążeniu do prawdy, nawet jeśli mogła być niewygodna. Ale tym razem chyba wolałby jej nie poznać.

## IAN RANKIN

(ur. 1960) – szkocki pisarz, absolwent uniwersytetu w Edynburgu. Zanim odniósł sukces wydawniczy, pracował przy zbiorach winogron, był poborcą podatkowym, świniopasem, dziennikarzem i muzykiem punkowym. Wydana w 1987 roku pierwsza powieść kryminalna z inspektorem Rebusem – Supelki i krzyżyki – przyniosła mu niesłabnącą do dziś sławę. Kolejne książki – m.in. Mętna woda, Miecz i tarcza, Święci Biblii Cienia, Sprawy wewnętrzne i Nawet zdziczałe psy – trafiły na najwyższe pozycje list bestsellerów w Wielkiej Brytanii i zostały przetłumaczone na kilkanaście języków.

Od wielu lat Ian Rankin znajduje się w ścisłej czołówce najpopularniejszych brytyjskich pisarzy. Jest dwukrotnym zdobywcą prestiżowej nagrody Dagger, a także laureatem Edgar Allan Poe Award i kilkunastu innych nagród. Rankin od wielu lat jest stałym gościem (bądź gospodarzem) licznych programów telewizyjnych o tematyce kryminalnej.

W 2023 roku w uznaniu za twórczość literacką i działalność charytatywną Ian Rankin otrzymał tytuł szlachecki.

**[ianrankin.net](http://ianrankin.net)**

*Tego autora*

OTWARTE DRZWI  
SPRAWY WEWNĘTRZNE  
NA KRAWĘDZI CIEMNOŚCI

**John Rebus**

SUPEŁKI I KRZYŻYKI  
MĘTNA WODA  
KIEŁ I PAZUR  
CZARNA KSIĘGA  
MIECZ I TARCZA  
PRÓBA KRWI  
ZAUŁEK SZKIELETÓW  
MEMENTO MORI  
POŻEGNALNY BLUES  
STOJĄC W CUDZYM GROBIE  
ŚWIĘCI BIBLIJ CIEŃ  
NAWET ZDZICZAŁE PSY  
WSZYSCY DIABLI  
W DOMU KŁAMSTW  
PIEŚŃ NA MROczne CZASY



Tytuł oryginału:  
A SONG FOR THE DARK TIMES

Copyright © John Rebus Ltd. 2020  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023  
Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2023

Redakcja: Joanna Kumaszczyńska  
Projekt graficzny okładki i serii: Agnieszka Drabek  
Zdjęcia na okładce: Scotland's Scenery/Shutterstock (*latarnia*);  
Avner Ofer Photography/Shutterstock (*błyskawica*)

ISBN 978-83-6751-347-0



**ALBATROS**

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

## DETEKTYW EDYNBURSKIEJ POLICJI

### **John Rebus**

Szkocki twardziel, który podczas konfliktu irlandzkiego służył w brytyjskiej armii i przeszedł szkolenie w elitarnej jednostce SAS.

Słucha muzyki klasycznej, jazzu, ale też rocka: Rolling Stonesów, The Who czy Jethro Tull. Ma imponującą kolekcję płyt – winylowy gość w zdigitalizowanym świecie.

Jeździ kultowym Saabem 900.

Powiedzieć, że nie stroni od alkoholu, to niedomówienie: pije piwo (głównie IPA) i whisky (jego ulubiona to Bell's), najchętniej w edynburskim Oxford Bar. I pali, o wiele za dużo.

Ma córkę i jest rozwiedziony. Jeśli chodzi o kobiety, raczej brakuje mu szczęścia.

Nieufny wobec autorytetów, postrzega świat w czarno-białych kolorach, a ludzi dzieli na dobrych i złych.

Szlachetny samotnik, trochę nieokrzesany, który dobre serce maskuje szorstkim usposobieniem i złośliwym poczuciem humoru.

I za to go kochamy!

*Czy w mrocznych czasach  
Też się będzie śpiewać?  
Tak, będzie się śpiewać.  
O mrocznych czasach.*

Bertolt Brecht, przełożył Robert Stiller

*Uwielbiamy się bawić kosztem  
niszczonych ludzi.*

Jon Ronson, #WstydzSię!

# Prolog

# I

**SIOBHAN CLARKE PRZESZŁA** przez opustoszałe mieszkanie. Nie było puste, tylko uszło z niego życie. Wzdłuż całego korytarza stały kartony, jeden za drugim. Drzwi do szafek kuchennych były pootwierane, podobnie jak te na klatkę schodową. Okno w dużej sypialni zostawili otwarte, żeby przewietrzyć pokoje. Bez mebli i krążącego po nim niespokojnie Johna Rebusa mieszkanie wydawało się oczywiście większe. Pod sufitem wisiały gołe żarówki. Część zasłon została, dywany również; wczoraj Clarke wszystkie odkurzyła. Przyjrzała się kartonom w przedpokoju. Wiedziała, co zawierają, bo każdy własnoręcznie opisała: książki, płyty, osobiste papiery, notatki ze śledztw.

Notatki ze śledztw – wypełniony był nimi cały jeden pokój. Śledztw, które John Rebus prowadził i rozwiązał lub których nie rozwiązał, a także innych, którymi interesował się, by zająć się czymś na emeryturze. Usłyszała kroki na schodach. Jeden z tragarzy skinął jej głową i uśmiechnął się, podnosząc kolejne pudło. Wychodząc za nim na klatkę schodową, minęła jego kolegę.

– Już kończymy – rzucił, wydymając policzki. Był cały spocony i miała nadzieję, że się nie przedźwigał. Miał grubo powyżej pięćdziesiątki, a pudło było bardzo ciężkie. Edynburskie kamienice dawały wszystkim w kość.

Clarke też cieszyła się, że nie będzie musiała wspinać się na drugie piętro.

Drzwi wejściowe do kamienicy były zablokowane kawałkiem grubej tektury – oderwanym, jak się domyślała, od jednego z kartonów. Pierwszy z tragarzy dotarł na chodnik, po czym skręcił dwa razy w lewo i wszedł przez furtkę na malutkie podwórko – które kiedyś, w zamierzchłej

przeszłości, było pewnie ogródkiem – a potem przez kolejne otwarte drzwi do mieszkania na parterze.

– Do salonu? – zapytał.

– Do salonu – potwierdziła Siobhan Clarke.

Kiedy tam weszli, John Rebus stał odwrócony plecami i patrzył na fabrycznie nowe regały, kupione w poprzedni weekend w Ikei. Tamta wyprawa – a także awantury w trakcie składania półek – wystawiła ich przyjaźń na o wiele cięższą próbę niż którekolwiek ze śledztw, które razem prowadzili. Teraz odwrócił się i zmierzył chmurnym spojrzeniem kartonowe pudło.

– Kolejne książki?

– Kolejne książki.

– Skąd one się, do diabła, biorą? Zrobiliśmy przecież kilkanaście kursów do Armii Zbawienia.

– Musisz wziąć pod uwagę, że to mieszkanie jest znacznie mniejsze od starego. – Clarke przykucnęła, by uśmiechnąć się do psa, Brilla.

– Pójdą do pokoju gościnnego – mruknął Rebus.

– Mówiłam ci, żebyś wyrzucił notatki z dawnych śledztw.

– To są wrażliwe dokumenty, Siobhan.

Tragarz wyszedł z salonu.

– Niektóre są tak stare, że spisano je na pergaminie – powiedziała Clarke, po czym dotknęła grzbietu jednej z książek, które Rebus zdążył ustawić na półce. – Nie wiedziałam, że jesteś fanem Reachera.

– Muszę się czasem oderwać od całej tej filozofii i języków starożytnych.

Przyjrzała się półkom.

– Nie ułożysz ich w porządku alfabetycznym? – spytała.

– Nie starczyłoby na to życia.

– A co z płytami?

– To samo.

– Więc jak uda ci się cokolwiek znaleźć?

– Nie bój się, znajdę.

Clarke cofnęła się o dwa kroki i obróciła na pięcie.

– Podoba mi się – przyznała.

Tapety zostały usunięte, ściany i sufit na nowo odmalowano, Rebus nie pozwolił jednak ruszać starych listew przypodłogowych i okiennych ram. Ciężkie zasłony z dawnego salonu pasowały do prawie identycznego wykuszowego okna w nowym. Fotel, sofę i wieżę stereo ustawiono tak, jak chciał. Stół jadalniany trzeba było oddać – zabrakło dla niego miejsca. Zastąpił go nowoczesny rozkładany, również kupiony w Ikei. Kuchnia w stylu kambuza była wąska. Łazienka także, ale była długa i całkowicie Rebusowi wystarczała. Nie chciał słyszeć o żadnej przebudowie. „Może później”, powiedział. W ciągu ostatnich kilku tygodni to były jego standardowe słowa. Zmusiło go to do pozbycia się wielu gratów. Większą część ostatnich dwóch tygodni zajęło odchudzanie biblioteki i płytoteki, a Clarke i tak widziała, jak podkrada to czy tamto z kartonów przeznaczonych dla Armii Zbawienia. Uderzyło ją, jak niewiele rodzinnych pamiątek ma Rebus, czegoś, co stanowiłoby jego „dziedzictwo”: żadnych przedmiotów, które należały do jego rodziców, bardzo niewiele fotografii byłej żony i córki. Wcześniej zasugerowała, by skontaktował się z córką i poprosił, żeby pomogła mu w przeprowadzce.

– Dam sobie radę – usłyszała.

Wzięła więc tydzień urlopu i wynajęła niewielką furgonetkę, która wystarczyła na wyprawy do Ikei, Armii Zbawienia i na wysypisko.

– Sztukateria jest taka sama jak w twoim starym mieszkaniu – zauważyła, przyglądając się sufitowi.

– Jeszcze zrobimy z ciebie porządną detektyw – odparł, kładąc kolejne książki na półce. – Ale zanim udzielę ci następnej lekcji, napijmy się herbaty, którą zrobisz...

W kuchni były drzwi, przez które wychodziło się do ogródka z ozdobnym ogrodzeniem. Clarke wypuściła tam psa i naląła wody do czajnika. Otwierając kuchenne szafki, zauważyła, że Rebus poprzestawiał wszystko, co rozpakowała poprzedniego dnia, najwyraźniej preferował jakiś inny system: garnki, patelnie i produkty sypkie niżej, naczynia stołowe wyżej. Przełożył nawet sztuce z jednej szuflady do drugiej.

Wrzuciła saszetki do dwóch kubków i wyjęła z lodówki mleko. Lodówka i pralka były stare, z mieszkania na drugim piętrze. Żadna tu nie pasowała i wystawały poza szafki. Gdyby stały w jej kuchni, stale obijałyby się o nie kolanem albo palcem u nogi. Mówiła mu, że nie pasują i powinien je wymienić. „Może później”, usłyszała.

Dwaj tragarze nie poprosili o herbatę – napędzały ich napoje gazowane i e-papierosy. Poza tym prawie już skończyli. Usłyszała, że przynieśli kolejne pudła.

– Do salonu? – zapytał jeden z nich.

– Jeśli musicie – odparł Rebus.

– Jeszcze tylko jeden kurs. Będzie pan pewnie chciał zamknąć za nami drzwi.

– Zatrzaśnijcie je po prostu, wychodząc.

– Nie chce pan po raz ostatni rozejrzeć się w starym mieszkaniu?

– Mam odczyty liczników, czego więcej mi trzeba?

Tragarz pewnie nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Niosąc kubki, Clarke zobaczyła, jak wychodzi z mieszkania.

– To czterdzieści lat twojego życia, John – powiedziała, podając mu herbatę.

– Świeży start. Klucze dostanie agent kupującego. Poczta jest przekierowana. – Rebus chyba zastanawiał się, czy o czymś nie zapomniał. – Miałem cholerne szczęście, że to mieszkanie akurat się zwolniło. Pani Mackay mieszkała tutaj prawie tak samo długo jak ja. U syna w Australii będzie miała zapewnioną opiekę na starość.

– Podczas gdy ty nie dajesz rady przejść nawet stu kroków.

Rebus zmierzył ją surowym spojrzeniem.

– Jeszcze cię zaskoczę – mruknął i wskazał palcem sufit. – Myślałaś, że wyniosą mnie stamtąd w dębowej jesionce.

– Wszyscy są tacy weseli, kiedy zmieniają mieszkanie?

– Może zapomniałaś, dlaczego to robię?

Nie, nie zapomniała. COPD. Przewlekła obturacyjna choroba płuc. Wspinanie się po stromych schodach było coraz trudniejsze. Więc kiedy



w ogródku na dole pojawił się napis NA SPRZEDAŻ...

– Poza tym – dodał Rebus – te dwa piętra to była istna katorga dla Brilla i jego małych nóżek. – Zaczął rozglądać się za psem.

– Jest w ogrodzie – wyjaśniła Clarke.

Wyszli na zewnątrz drzwiami od kuchni. Brillo obwąchiwał trawnik, merdając ogonem.

– Już się zadomowił – skomentowała.

– Być może nie będzie to takie łatwe dla jego pana. – Rebus zerknął na okna otaczających ich kamienic i unikając kontaktu wzrokowego z Clarke, głośno westchnął. – Powinnaś wrócić jutro do pracy. Powiedz Sutherlandowi, że nie potrzebujesz całego tygodnia urlopu.

– Trzeba rozpakować twoje rzeczy.

– A ty masz do rozwiązania sprawę zabójstwa. A skoro o tym mowa... Są jakieś nowe wieści?

Clarke pokręciła głową.

– Graham skompletował już zespół. Wątpię, żeby moja obecność zrobiła jakąś różnicę.

– Na pewno zrobi – odparł Rebus. – Jestem chyba w stanie wyjąć rzeczy z kartonów i stwierdzić, że nie mam ich gdzie włożyć.

Uśmiechnęli się do siebie i w tej samej chwili do mieszkania weszli tragarze. Zniknęli w salonie i kilka sekund później pojawili się z powrotem.

– To by było na tyle – powiedział starszy z nich.

Rebus podszedł do niego, wyciągając z kieszeni banknoty. Clarke popatrzyła na Brilla, który podbiegł bliżej i zerkając na nią wyczekująco, siadł na tyłku.

– Obiecujesz, że będziesz się nim opiekował? – zapytała.

Pies przechylił łeb, jakby zastanawiał się, co ma odpowiedzieć.

## II

SIOBHAN CLARKE MIESZKAŁA po drugiej stronie miasta, na pierwszym piętrze kamienicy przy Broughton Street. Od kilku miesięcy rozważała wprowadzkę. Nadinspektor Graham Sutherland, choć przewyższał ją rangą, przeobraził się z okazjonalnego kolegi w regularnego kochanka. Prowadził jeden z Niezależnych Zespołów Dochodzeniowych, mieszkał w Glasgow i prosił, żeby się do niego wprowadziła.

– Muszę się nad tym zastanowić – odparła. Odwiedziła go w Glasgow kilka razy, ale tylko raz tam przenocowała. Choć był po rozwodzie, w mieszkaniu wyczuwało się obecność byłej żony i Clarke wątpiła, by pomyślał o kupnie nowego łóżka.

– Może wolałabyś zamieszkać w centrum miasta? – zaproponował, lecz robił to bez większego entuzjazmu.

Wysyłając jej linki do znalezionych w sieci ofert nieruchomości, opatrywał je nagłówkiem *Do twojej wiadomości*. Jedna z nich nawet jej się spodobała. Nic mu nie mówiąc, pojechała do Glasgow, zaparkowała przed budynkiem i przespacerowała się po okolicy, żeby ją lepiej poznać. Jest okej, powiedziała sobie. Mogłaby tu zamieszkać.

A potem wróciła do domu.

Tego wieczoru Rebus właściwie wyprosił ją ze swojego mieszkania. Zaproponował, żeby zamówili curry w jego ulubionej knajpie, ale pokazał jej drzwi.

– Odpuść sobie – rzucił. – Powiedz swojemu chłopakowi, żeby przyjął cię z powrotem do zespołu.

Zerknęła na wyświetlacz telefonu. Zbliżała się ósma i Sutherland nie odpowiedział na żaden z jej esemesów, więc włożyła kurtkę, zabrała kluczyki i zeszła na dół. Do komisariatu w Leith nie jechało się długo – właściwie mogła tam dojść na piechotę. W połowie drogi zatrzymała się

przy sklepie, żeby zrobić małe zakupy. A potem zaparkowała przy Leith Links, wcisnęła dzwonek przy drzwiach komisariatu, wspięła się po imponujących marmurowych schodach na pierwsze piętro i weszła do pokoju NZD, Niezależnego Zespołu Dochodzeniowego. Znad komputerów uniosły się głowy i zobaczyła znajome twarze.

– Nie jesteś na wakacjach? – zapytała detektyw posterunkowa Christine Esson.

– Dlatego właśnie przywiozłam wam prezenty. – Clarke wyjęła z torby solone orzeszki, chipsy, brownie i butelkowaną wodę.

– To lepsze od pocztówki – rzucił detektyw posterunkowy Ronnie Ogilvie, wyprzedzając Esson w biegu do przysmaków.

– Szef pojechał do domu? – zapytała Clarke.

– Odprawa w Wielkim Domu. – Esson wróciła za swoje biurko z tym, co udało jej się zwinąć.

Clarke ruszyła za nią i zerknęła na ekran jej komputera.

– A reszta ekipy?

– Masz przed sobą nocną zmianę.

– Jak idzie śledztwo?

– Jesteś na wakacjach – przypomniała jej Esson. – Jak poszła przeprowadzka?

– A jak myślisz? – Clarke popatrzyła na ścianę za plecami Esson. Wisiała na niej pokryta filcem duża korkowa tablica z przypiętymi zdjęciami ofiary i miejsca zbrodni, mapami, szczegółami sekcji zwłok oraz grafiką dyżurów. Jej nazwisko było przekreślone. Oczywiście kiedy tylko udało jej się wziąć urlop w czasie zastoju, natychmiast wyskoczyła duża sprawa. Próbowała przekonać nadinspektora, że może przesunąć urlop na później, ale się uparł. „John cię potrzebuje... nigdy tego nie powie, może nawet tego nie wie, lecz taka jest prawda”.

– Jest na nas wywierana presja z zewnątrz – powiedział Ronnie Ogilvie z ustami pełnymi chipsów.

– Bo ofiara była bogata?

- Gość był bogaty i ustosunkowany - uściśliła Esson. - Jego ojciec, Ahmad, jest wart kwadryliony, ale przebywa podobno w areszcie domowym gdzieś w Arabii Saudyjskiej.

- Podobno?

- Saudyjczycy nie są zbyt rozmowni. Informacje mamy z organizacji pozarządowej.

Clarke przyjrzała się zdjęciom na ścianie. Salman bin Mahmoud był przystojnym mężczyzną w wieku dwudziestu trzech lat. Jeździł Astonem Martinem i mieszkał w trzypiętrowej georgiańskiej rezydencji przy jednej z najelegantszych ulic w edynburskim New Town. Krótkie czarne włosy, schludna bródka. Brązowe oczy. Na zdjęciach uśmiecha się, ale się nie śmieje.

- Nie każdy student dostaje na urodziny Astona Martina DB jedenaście - skomentowała.

- Ani nie mieszka w domu z pięcioma przestronnymi sypialniami. - Esson stanęła obok niej. - Najzabawniejsze jest to, że w ogóle tu nie studiował. - Clarke uniosła brew. - Zapisał się na kurs w szkole biznesu w Londynie i tak się składa, że wynajmował penthouse w Bayswater.

- Więc co go wiąże z Edynburgiem? - zapytała Clarke.

Esson i Ogilvie wymienili spojrzenia.

- Ty jej powiedz - mruknął Ogilvie, otwierając butelkę z wodą.

- James Bond - odparła posłusznie Esson. - Miał fioła na punkcie Jamesa Bonda, zwłaszcza filmów o nim, głównie tych wczesnych.

- Z Seanem Connerym?

- Naszym wielkim edynburczykiem. - Esson pokiwała głową. - W obu miejscach zamieszkania jest podobno mnóstwo pamiątek po Seanie.

- To tłumaczy, dlaczego miał Astona Martina, ale nie odpowiada na główne pytanie: co takiego bogaty saudyjski student z obsesją na punkcie Jamesa Bonda robił o jedenastej w letnią noc na parkingu przy składzie dywanów na Seafield Road?

- Z kimś się spotykał - zasugerował Ogilvie.

– Z kimś, kto dźgnął go nożem i zostawił, żeby wykrwawił się na śmierć – dodała Esson.

– Ale nie obrabował go i nie odjechał nawet jego superdrogim autem. – Clarke skrzyżowała ręce na piersiach. – Mamy coś ciekawego z monitoringu?

– Aston martin pojawia się wiele razy. Od Heriot Row do Seafield Road. I raczej nie zatrzymywał się po drodze.

– Po drodze jest Salamander Street... miejsce, w którym są oferowane usługi seksualne... – Clarke zadumała się.

– Sprawdzamy to.

– Czy zwłoki odbierze matka ofiary?

– Wszystkim ma się zająć ambasada... Na ile dobrze czytam między wierszami, to Saudyjczycy chyba nie chcą, żeby matka wyjechała z kraju.

Clarke spojrziała na Esson.

– To znaczy?

– Pewnie boją się, że nie wróci. – Esson wzruszyła ramionami.

– Co takiego zrobił ojciec, że go przyskrzynili?

– Kto to może wiedzieć? Rodzina mieszka w prowincji Hidżaz. Trochę poczytałam i wiem, że w areszcie domowym przebywa zdecydowanie tylko Ahmad. Tam na ogół chodzi o korupcję, co oznacza, że podpadł po prostu komuś z panującej rodziny. Niektórzy płacą wysokie grzywny i są uwalniani, ale Ahmad nie poszedł chyba na taki układ.

– Zawsze chodzi o pieniądze, prawda?

– Nie zawsze, ale bardzo często.

Ktoś za nimi odchrząknął. Kiedy się odwrócili, w drzwiach stał nadinspektor Graham Sutherland z rękami w kieszeniach spodni grafitowego garnituru.

– Mam chyba zwidy – powiedział. – Bo przysięgłbym, że jesteś dopiero w połowie bardzo ci potrzebnego urlopu.

– Przyniosłam prezenty. – Clarke wskazała głową biurko.

– W szkockiej policji nie ma miejsca na łapówki, detektyw inspektor Clarke. Czy mogę wezwać cię na dywanik do mojego gabinetu? –

Sutherland ruszył w stronę drzwi w drugim końcu sali, otworzył je i dał znak Clarke, żeby weszła za nim do ciasnego pomieszczenia bez okien.

– Posłuchaj – zaczęła, zamykając za sobą drzwi, lecz Sutherland podniósł dłoń i zasiadł za biurkiem.

– Chociaż może ci się to wydać szokujące, radzimy sobie świetnie bez ciebie, Siobhan. Mam wszystkie środki, jakich potrzebuję, i czek in blanco, gdybym potrzebował więcej.

– Ale przeprowadzka jest już prawie zakończona.

– To świetnie... możesz przez kilka dni poleżeć do góry brzuchem.

– A jeśli nie chcę leżeć do góry brzuchem?

Sutherland zmrużył oczy, ale nic nie powiedział. Clarke podniosła rękę w geście kapitulacji.

– Powiedz szczerze: jak wam idzie?

– Przydałby się wyraźny motyw. A ci ze znajomych ofiary, z którymi udało nam się pogadać, nie są zbyt rozmowni.

– Boją się czegoś?

Nadinspektor wzruszył ramionami i pogładził dłonią burgundowy krawat. Niedawno skończył pięćdziesiąt lat i już niedługo mógł przejść na emeryturę, ale nadal był dumny ze swojej smukłej sylwetki i gęstych włosów, które według niepotwierdzonych pogłosek były częściowo doczepiane.

– Pomaga nam londyńska policja... sprawdzają jego tamtejsze kontakty. Wygląda na to, że rzadko widywano go na wykładach. Zdecydowanie wolał nocne kluby i wyścigi konne. – Sutherland nagle przerwał. – Choć nic z tego nie powinno cię interesować. Jak się miewa John? – zapytał, zmieniając lekko pozycję za biurkiem.

– Twierdzi, że da sobie radę. Wolałby, żebym wróciła do pracy, gdzie będę użyteczna i produktywna.

– Tak mówisz? – Uśmiechnął się półgębkiem.

Clarke poczuła, że przegrywa tę batalię.

– Zobaczymy się później? – rzuciła.

– Chcesz, żebym wylądował na kanapie?

- Nie będę chyba taka okrutna.
- W takim razie może zaryzykuję.
- Kupiłam dodatkowe jedzenie, gdybyś się jednak zdecydował.  
Skinął głową.
- Dasz mi jeszcze godzinkę albo dwie? – spytał.
- Uważaj, żebyś się nie wypalił, Graham.
- Jeśli tak się stanie, będą potrzebowali na moje miejsce kogoś świeżego i wypoczętego. Wiesz może, kto mógłby mnie zastąpić?
- Zastanowię się nad tym, nadinspektorze Sutherland...

### III

**REBUS MUSIAŁ LEKKO POCIĄGNAĆ** za smycz Brilla, który po wieczornym spacerze po Meadows chciał skrócić w stronę głównego wejścia do kamienicy.

– Obaj musimy się do tego przyzwyczaić – mruknął, otwierając furtkę. – Ale wierz mi, po pewnym czasie można przywyknąć prawie do wszystkiego. – Udało mu się nie spojrzeć w stronę okna bez zasłon w swoim dawnym salonie.

Wchodząc do nowego mieszkania, poczuł przebijającą przez zapach świeżej farby niewyraźną woń: ledwo wyczuwalny ślad poprzedniej lokatorki. To nie były perfumy, ale mieszanka tego, kim była i jakie prowadziła życie. Na wypadek gdyby zawiodło przekierowanie poczty, miał zapisany na kartce nowy adres pani Mackay w Australii. Taką samą informację zostawił w starym mieszkaniu. Podejrzewał, że ktoś kupił je, żeby wynajmować studentom – nie byłoby to niespodzianką. Marchmont zawsze cieszył się wśród nich popularnością: uniwersytet był tuż obok, po drugiej stronie Meadows. Dawniej tylko kilka razy skarżył się na głośne młodzieżowe imprezy, a od dobrych kilku lat nigdy się nie odbywały. Czy studenci byli teraz ulepieni z innej gliny? Mniej niesforni, bardziej pracowici?

Wchodząc do salonu i omijając kartony, zdał sobie sprawę, że komputer jest jeszcze nierozpakowany. Nie paliło się, internet mieli mu założyć dopiero za kilka dni. Na sugestię Siobhan zaczął któregoś wieczoru sporządzać listę osób, które powinien zawiadomić o zmianie miejsca zamieszkania. Zajęła niecałą połowę kartki... A właśnie! Gdzie się zawieruszyła? Słyszał, jak Brillo zajada w kuchni suchą karmę i pije wodę z miski. Sam nie zawracał sobie głowy kolacją; ostatnio nigdy nie miał apetytu. W kuchni było parę piw, a w niszy przy oknie kilka mocniejszych



trunków. Wśród nich dwie butelki niezłych single malt, ale tak naprawdę nie miał na nie ochoty. Muzyka jednak to co innego – powinien wybrać coś specjalnego. Pamiętał, jak wieki temu sprowadził się z Rhoną do mieszkania na górze. Miał wtedy gramofon. Puścił na nim drugi album Rolling Stonesów, po czym złapał Rhonę i wirował z nią po całym rozległym, jak mu się wtedy wydawało, pokoju.

Dopiero później ściany zaczęły się do siebie zbliżać.

Spoglądając na grzbiety płyt, zobaczył, że ułożono je w innym porządku niż na górze. Nie żeby tamten był sensowniejszy, chodziło po prostu o to, że Rebus wiedział, gdzie znajdzie to, czego chce posłuchać. Zamiast Stonesów zdecydował się na Vana Morrisona.

– Nadajesz się – mruknął pod nosem.

Opuściwszy igłę na winyl, cofnął się. Płyta przeskoczyła. Spojrzał na podłogę: zawiniła luźna klepka. Przycisnął ją stopą, ale sytuacja się powtórzyła. Rebus pogroził palcem podłodze.

– Mam cię na swojej liście – ostrzegł i stąpając ostrożnie, wrócił do fotela.

Niedługo potem Brillo zwinął się w kłębek przy jego stopach. Rebus przyrzekł sobie wcześniej, że przed pójściem spać rozpakuje jeszcze kilka pudeł, lecz teraz zdał sobie sprawę, że nie ma pośpiechu. Gdy zadzwonił telefon, zerknął na wyświetlacz, zanim odebrał. Deborah Quant. Zapytał ją kiedyś, czy są parą. Odparła, że są przyjaciółmi bez zobowiązań – i to pasowało chyba obojemu.

– Cześć, Deb.

– Zadomawiasz się?

– Myślałem, że wpadniesz, żeby się rozejrzeć.

– Miałam dziś ostry zapieprz, głównie dzięki ludziom od ciebie.

– Jestem już od dawna na emeryturze, Deb. – Rebus na chwilę przerwał. – Domyślam się, że chodzi o tego saudyjskiego studenta?

– Policja i prokuratura nie wierzą chyba, że potrafię ustalić przyczynę śmierci.

– Sądzisz, że wywierana jest na nich presja?

– Z każdej strony... przez władze w Edynburgu i w Londynie, a na dodatek przez naszych przyjaciół w mediach. Poza tym islamskie pogrzeby odbywają się na ogół w ciągu dwóch albo trzech dni od śmierci, więc ambasada nalega, żeby było to możliwe i tym razem.

– To, że nie można zachować zwłok, żeby je później zbadać, jest bardzo korzystne dla zabójcy.

– Tłumaczyłam im to dobitnie, lecz nic nie wskórałam.

– Więc masz pełne ręce roboty, tak? Rozumiem, że nie znalazłaś niczego, co odbiegałoby od normy?

– Nóż z wąskim ostrzem o długości od dziesięciu do piętnastu centymetrów.

– Zabójca znał się na rzeczy.

– Dźgnął ofiarę w szyję, a nie w pierś czy brzuch. Nie wiem, co to może oznaczać, ale to nie należy do moich zadań. Kąt cięcia wskazuje, że dokonał go ktoś podobnego wzrostu jak ofiara, prawdopodobnie praworęczny. Rozumiem, że rozmawiałeś o tej sprawie z Siobhan.

– Bardzo chce się włączyć w to śledztwo.

– Ale jest również lojalną przyjaciółką.

– Powiedziałem jej, że dam sobie radę.

– Więc gdzie jesteś w tej chwili?

– W fotelu w salonie, z Brillem u stóp.

– I masz zainstalowaną wieżę stereo, więc wszystko jest w najlepszym porządku.

– Zobaczymy się jutro?

– Postaram się.

– Za ciężko pracujesz – stwierdził i usłyszał jej śmiech.

– Wiesz chyba, że ty nie powinienes?

– Być może ze względu na moje płuca.

– Spróbuj spędzić bez nich choć jeden dzień, John. Podrap ode mnie Brilla za uszami. Niedługo się spotkamy.

– Dobranoc – powiedział i Deb się rozłączyła.

Mieszkała niecałe półtora kilometra od niego, w nowoczesnym budynku, w którym królował minimalizm. Nie gromadziła rzeczy, bo nie miała ich gdzie trzymać. Nie było u niej tradycyjnej edynburskiej szafy ani składziku pod schodami, żadnych zakamarków i schowków. Wyłącznie proste, czyste linie, które wykluczały zbieractwo. Taki sam był jej gabinet w prosektorium – żadne akta nie zagrzały długo miejsca na biurku Deborah Quant.

Rebus pomyślał ponownie o książkach, których nigdy nie przeczytał, ale bez których – jak mu się zdawało – nie mógł żyć, o płytach, których nie chciał się pozbyć, choć wysłuchał ich raz albo dwa w ciągu dekady, o pudłach z aktami spraw, które wydawały się z nim zrosnięte niczym dodatkowa kończyna. Dlaczego miałby je wyrzucać, skoro miał pokój gościnny, w którym nigdy nie przenocował żaden gość? Jego rodzina składała się wyłącznie z córki i wnuczki, a one nigdy nie zostały na noc. Dlatego pozbył się starego łóżka i zastąpił je dwuosobową sofą, dzięki czemu miał więcej miejsca na półki, walizkę, z której pewnie nigdy nie skorzysta, oraz drugi gramofon, ten, który włączył, kiedy tamtej nocy tańczył z Rhoną. Nie działał już, ale Rebus miał nadzieję, że znajdzie kogoś, kto go naprawi. Wpisze to na listę spraw do załatwienia.

Wchodząc do kuchni, żeby zrobić sobie herbatę, przyjrzał się sterownikowi centralnego ogrzewania. Pani Mackay zostawiła mu instrukcję, lecz wydawał się dość prosty w obsłudze.

„Rachunki za ogrzewanie nie są zbyt wysokie”, zapewniła go. Zawsze jednak wolała cieplej się ubrać, niż przesunąć gałkę termostatu o jedną kreskę. Ciekawe, czy zabrała do Australii te dziesiątki swetrów i szali. Mógł się założyć, że tak.

Kiedy zagotowała się woda, przeszedł do sypialni. Po wstawieniu podwójnego łóżka oraz jego starej szafy i komody nie zostało tam dużo miejsca. Siobhan, która pomogła mu posłać łóżko, musiała kilkakrotnie przeganiać z niego Brilla.

– Chyba nie śpi razem z tobą? – zapytała.

– Oczywiście, że nie – skłamał.

Pies obserwował go teraz z przedpokoju. Rebus zerknął na zegarek.

- Już niedługo - powiedział. - Tylko jeden kubek herbaty i być może jeszcze jedna płyta.

Zastanawiał się, ile razy obudzi się w nocy i nie będzie wiedział, jak trafić do łazienki. Może powinien zostawić światło w przedpokoju?

- Albo przestać złopać tę cholerną herbatę - mruknął, wracając do kuchni.

## IV

ALE TO NIE UCISK PĘCZERZA wyrwał go ze snu o piątej rano, lecz dzwonek telefonu. Szukając po omacku komórki i włącznika lampki nocnej, Rebus zbudził Brilla. Nie widział dobrze ekranu, ale i tak przycisnął telefon do ucha.

– Tato? – usłyszał nagły głos córki, Samantha.

– Co się stało? – zapytał, siadając. Z każdą sekundą był coraz bardziej wybudzony.

– Twój stacjonarny telefon... odłączyli go.

– Miałem zamiar ci o tym powiedzieć...

– O czym?

– Nie dzwonisz z powodu wyłączenia mojego stacjonarnego telefonu.

Coś się stało Carrie?

– Wszystko u niej w porządku.

– Więc co? Nic ci nie jest?

– Chodzi o Keitha.

Jej partnera, ojca Carrie. Rebus przełknął ślinę.

– Co się wydarzyło? – zapytał i usłyszał, jak Samantha cicho płacze.

– Odszedł – odparła łamiącym się głosem.

– Sukinsyn...

– Nie w tym sensie. W każdym razie tak mi się wydaje. – Pociągnęła nosem. – To znaczy nie mam pojęcia. Zniknął. Nie ma go od dwóch dni.

– W domu wszystko było w porządku?

– Nie gorzej niż zwykle.

– Ale nie sądzisz, że po prostu... sam nie wiem... poszedł gdzieś w tango?

– On nie jest taki.

– Zgłosiłaś jego zaginięcie?

– Przysyłają kogoś, żeby ze mną pogadał.

– Powiedzieli ci, że dwa dni to za mało?

– Tak. Ale na jego telefonie od razu włącza się poczta głosowa.

– I nie zabrał ze sobą jakiejś torby?

– Nie. Mamy wspólne konto w banku. Sprawdziłam je online i okazało się, że nic nie kupił ani nie podjął żadnych pieniędzy. Jego samochód stoi w zatoczce przy kościele.

Rebus pamiętał to miejsce – pięć minut spacerem od jej domu. Zaparkował tam kiedyś, żeby obejrzeć widok. Samantha mieszkała na skraju wioski Naver, na dzikim północnym wybrzeżu, dwanaście kilometrów na wschód od Tongue. Wiatr kołysał saabem, kiedy Rebus w nim siedział.

– Miał jakieś problemy w pracy? – zapytał. – Kłopoty finansowe?

– Dowiedział się, że z kimś się spotykam – wyrzuciła z siebie.

– No tak – mruknął.

– Ale ta sprawa jest już zakończona. Na dobre. Nie dlatego odszedł. Jestem tego pewna. Zabrałby swoje rzeczy. Kluczyk był w stacyjce... Zaparkował tak blisko domu... to zupełnie bez sensu. Widzisz w tym jakiś sens? Nie mogę spać, ciągle się nad tym zastanawiam. Boję się, że policja uzna, że maczałam w tym palce.

Rebus przez chwilę milczał.

– Dlaczego mieliby dojść do takiego wniosku, Samantha?

– Bo wszyscy tutaj wiedzą, że mieliśmy trudny okres. I wiedzą o mnie i o Jessie.

– To ten facet, z którym się spotykałaś? Czy Keith nie próbował się z nim rozmówić?

– Nie wiem. Ale to na pewno nie ma nic wspólnego z Jessem. Naprawdę.

– Najprawdopodobniej Keith się odnajdzie... tak podpowiada mi doświadczenie.

– Mam złe przeczucia, tato.

- Mogę być u ciebie przed lunchem. O której godzinie przyjeżdża policja, żeby z tobą porozmawiać?

- Nie powiedzieli. - Samantha wzięła głęboki oddech. - Uprzedziłam ich, że muszę zawieźć Carrie do szkoły.

- Wszystko będzie dobrze, Sammy, obiecuję. - Sammy, tak właśnie się do niej zwracał, dopóki nie uznała, że jest na to zbyt dorosła. Tym razem przynajmniej go nie poprawiła.

- Dziękuję - szepnęła tak cicho, że prawie jej nie usłyszał.

# Dzień pierwszy



# Rozdział 1

**SIOBHAN CLARKE** OBUDZIŁ esemes od Rebusa. Uznała, że przeczyta go dopiero po wypiciu kawy. Było kilka minut po siódmej i Graham Sutherland już wyszedł. Zastanawiała się, czy nie powinno jej wyprowadzać z równowagi to, że potrafił niepostrzeżenie ubierać się i zniknąć.

Mógł mi przynajmniej zrobić kawę...

Nadal w piżamie, poczłapała z powrotem do sypialni, niosąc w obu rękach kubek. Postawiła go na szafce nocnej i wzięła telefon.

Wielka prośba. Zajmij się dzisiaj Brillem. Klucz pod cegielką obok frontowych drzwi. Pogadamy później.

– Co jest, do diabła, grane? – Siadła na skraju wciąż ciepłego łóżka i wybrała numer Rebusa.

– Prowadzę – ostrzegł ją. – I nie chcę dostać mandatu. – Jego stary saab nie miał zestawu głośnomówiącego. Słyszała warkot silnika.

– Gdzie się pali?

– U Samantha. Zniknął jej partner.

– Jedziesz do Tongue?

– Niezupełnie. Kilka lat temu przeprowadzili się do sąsiedniej wioski.

– I sądzisz, że twój przerdzewiały rżęch da sobie radę?

– Zastanawiałem się, czy nie poprosić cię o pożyczenie astry.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Była piąta rano. Nie miałem pewności, czy mi podziękujesz.

– Zadałabym przy okazji kilka pytań.

– To też. Brillo nie wymaga wiele zachodu. Wyprowadź go tylko na spacer i leć błagać, żeby przyjęli cię z powrotem do zespołu.

– Nie chcesz, żebym rozpakowała kartony?

- Wszystko już zrobione.
- Kłamca.
- Nie waż się grzebać bez pozwolenia w moich rzeczach.
- Myślisz, że nie będzie cię tylko jeden dzień?
- Zaginieni prawie zawsze w końcu się odnajdują.
- Gdzie teraz jesteś?
- Na południe od Pitlochry.
- Na budzącej postrach A dziewięć? – zapytała Clarke. – Jak się czuje Samantha?
- A ty jak byś się czuła?
- Od jak dawna go nie ma?
- Od dwóch dni.
- Ryzyko samobójcze?
- Niezbyt duże.
- To znaczy? – Clarke podniosła kubek do ust.
- Samantha mówi, że widywała się z kimś innym.
- O!
- Nie spakował swoich rzeczy, zostawił samochód blisko domu, nie użył karty debetowej.
- Może chce ją nastraszyć?
- Jeśli tak, to zasłużył na klapsa.
- Od ciebie czy od niej?
- Pogadamy później. Wiesz, gdzie jest karma Brilla?
- Wiedziałam, dopóki nie przearanżowałeś kuchni.
- Dobrze jest stawiać czoło wyzwaniom – odparł Rebus i zakończył rozmowę, nim zdążyła zaripostować.

**MINĘŁA DZIESIĄTA, ZANIM WESZŁA** do sali NZD. Trwała tam ożywiona praca: Graham Sutherland nachylał się nad biurkiem Christine Esson, która pokazywała mu coś na ekranie komputera. Na widok Clarke przerwał rozmowę i ruszył w jej stronę.

– Najwyraźniej nie potrafię sprawić, byś trzymała się od nas z daleka, inspektor Clarke – powiedział, stanął przed nią i skrzyżował ręce na piersi.

Wzruszając ramionami, posłała mu rozbrajający, jak jej się zdawało, uśmiech.

– John wyjechał z miasta. Nie mam po prostu nic do roboty.

– Jak już mówiłem, mamy tutaj komplet – odparł, wskazując dłonią biurka.

Clarke знаła ich wszystkich: Esson i Ogilviego; detektywów sierżantów Tess Leighton i George'a Gamble'a oraz kolejnego detektywa posterunkowego, Phila Yeatsa. Pracowała z nimi już wcześniej, w zespole prowadzonym przez Sutherlanda. Wszyscy wiedzieli o relacjach łączących ją z szefem. Tylko Gamble wbijał jej z tego powodu szpile.

– Nie widzę tu żadnego detektywa inspektora – mruknęła.

– Poza mną.

Clarke odwróciła się w stronę drzwi, przez które wszedł właśnie Malcolm Fox z plikiem papierów.

– Wszędzie cię pełno, Malcolm – rzuciła.

– Sprawą zainteresował się Wydział Poważnych Przestępstw – wyjaśnił Sutherland tonem wskazującym na to, że nie jest tym zbyt zachwycony. – Wypożyczyli nam na czas śledztwa inspektora Focha.

– Pewnie po to, żeby codziennie informował starszyznę – skomentowała zgryźliwie.

– Przede wszystkim jestem graczem zespołowym, Siobhan. Dobrze o tym wiesz.

Clarke nie mogła nie zerknąć na Tess Leighton. Spojrzenie, jakie posłała jej koleżanka, dawało jasno do zrozumienia, że jej związek z Foxem nie przetrwał próby czasu.

– Mimo to mogę się przydać, nadinspektorze – nie dawała za wygraną Clarke. – Wiesz, że mogę.

Sutherland przez chwilę się zastanawiał.

– Ale będziesz musiała siedzieć przy jednym biurku z Malcolmem – odparł w końcu.

Clarke domyślała się, o co chodzi. Skoro Fox ma ich pilnować i informować szefostwo, ona będzie pilnowała jego i informowała Sutherlanda.

Malcolm Fox miał chyba zamiar zaprotestować, w końcu jednak wzruszył z rezygnacją ramionami.

– Mnie to nie przeszkadza – oznajmił. – Priorytetem jest ujęcie zabójcy. On i Clarke patrzyli, jak Sutherland wycofuje się do swojego gabinetu.

– Witaj na pokładzie – powiedział Fox, unosząc dłoń.

Spiorunowała go wzrokiem.

– To moje miasto i mój statek. To ty jesteś tu pasażerem. – Usłyszała, jak Leighton tłumi parsknięcie śmiechu.

Fox oblał się rumieńcem.

– Ta sama dawna Siobhan – wycedził w końcu. – Mało urokliwa, zawsze gotowa się odgryźć. Prawie jakby brała przykład ze swojego mistrza. A skoro o nim mowa...

– Zdążył się już przeprowadzić.

– I dobrze się czuje? To znaczy nie gorzej niż zwykle?

– Zadzwoń do niego i sam spytaj.

– Przestałem już próbować.

Clarke rozejrzała się za wolnym krzesłem.

– Może mają jakieś w biurze. – Fox wskazał wzrokiem korytarz. – Jeśli chcesz, mogę przynieść.

Pokiwała głową.

– A ty tymczasem zrób nam herbaty – dodał i wyszedł, nim zdążyła go usadzić.

Podeszła do czajnika, sprawdziła poziom wody i włączyła go.

– Zrzucamy się na mleko i herbatę w saszetkach – mruknął George Gamble zza biurka. – Po pięć funtów.

– Ja też mówię ci dzień dobry, George.

Był chyba w tym samym garniturze co zawsze: trzyczęściowy, w krzykliwą kratę. I nadal miał rozczochrane włosy, plamistą cerę i wylewający się znad paska brzuch. Siedząca naprzeciwko niego Tess Leighton wyglądała w porównaniu z nim jak zjawa: smukła, blada, z zapadniętymi oczami. Każde było na swój sposób dobrym detektywem, nawet jeśli Gamble wydawał się liczyć dni, jakie pozostały mu do emerytury. Clarke pracowała z nimi dotąd tylko raz i była bardziej zaprzyjaźniona z Esson i Ogilviem, którzy wywodzili się z jej zespołu przy Gayfield Square. Detektyw posterunkowy Phil Yeats był dwudziestokilkuletnim blondynem specjalizującym się w robieniu dokładnie tego, co mu kazano: ani trochę więcej, ani trochę mniej.

Esson podeszła do niej z kubkiem po dolewkę.

– Co się stało? – zapytała półgłosem.

– John wyjechał na północ zobaczyć się z córką.

– Zostawiając cię z całym tym bajzłem.

– Przeprowadzka jest już właściwie skończona. Trzeba tylko rozpakować kilka kartonów.

– Znalazłaś coś ciekawego w starym mieszkaniu?

– Żadnych pornosów ani nieboszczyków. Ale okazało się, że lubi książki z Jackiem Reacherem.

– Ja jestem raczej fanką Karin Slaughter. Gdyby cię to interesowało, oboje przyjeżdżają wkrótce do Edynburga...

– Kiedy dokładnie miałaś mi zamiar powiedzieć o Foxie, Christine? – przerwała jej Clarke.

– Co tu jest do opowiadania? Z tego, co wiedziałam, wzięłaś urlop.

– A kiedy wpadłam tu wczoraj po południu?

– Pomyślałam, że może cię to trochę zirytować.

– Nie jestem zirytowana... lubię po prostu wiedzieć, co jest grane.

Esson wydeła na chwilę wargi.

– Nie widziałaś się przypadkiem dziś w nocy z nadinspektorem Sutherlandem?

Clarke zmierzyła ją ostrym spojrzeniem.

– A jeśli nawet, to co?

– On też, jak widać, nie puścił pary... domyślam się, że z tego samego powodu. Nie chcieliśmy po prostu, żebyś się spinała. Inspektor Fox działa na ludzi w ten sposób.

Woda się zagotowała. Nalewając ją, Clarke uniosła czajnik zbyt wysoko i wrzątek wylał się z pierwszego kubka. Zakłęła pod nosem.

– Krótka przerwa najwyraźniej świetnie ci zrobiła – droczyła się z nią dalej Esson, patrząc, jak Fox wnosi do środka coś, co wyglądało jak krzesło z pokoju przesłuchań.

Clarke, ignorując ją, skończyła robić herbatę i zaniósła dwa kubki na biurko Foxa. Właśnie przesuwając na jedną stronę swoje rzeczy – laptop, papiery i ładowarkę do telefonu – robiąc to z całą delikatnością, na jaką był w stanie się zdobyć mężczyzna jego rozmiarów. Clarke starała się wygodnie rozsiąść na krześle. Fox podniósł kubek, jakby wznosił toast.

– Więc w jakim jesteśmy punkcie? – zapytała.

– Po pierwsze, traktujemy to jako zabójstwo – odparł. – Nie znaleziono dotąd broni i żadnych użytecznych nagrań z monitoringu, ale nadal szukamy. Ofiarą był zagraniczny student, a ostatnio odnotowano na nich kilka ataków.

– Tak?

– W większości w St Andrews... bogate dzieciaki napadane przez miejscowych debili. Doszło do paru incydentów na obrzeżach Meadows. Studenci zorganizowali się i żaden nie włóczy się tam teraz samotnie po nocy. Jest i czynnik rasowy: brexit doprowadził do wzrostu liczby ataków, w większości werbalnych, lecz czasami również fizycznych.

– W Edynburgu?

– Mamy tylko kilka doniesień. Ale parę tygodni temu został napadnięty jeden z przyjaciół naszej ofiary.

– To ciekawe.

– Niedaleko domu Salmana. Nie widzimy oczywistego związku, lecz tamta sprawa jest na naszym radarze.

– Co możemy powiedzieć o stylu życia Salmana? Wiem, że lubił Jamesa Bonda, i niewiele poza tym.

– On ewidentnie wzorował się na Bondzie. – Fox pokazał jej kilka fotografii na ekranie laptopa. – To z jego mediów społecznościowych. Nocne kluby i szampan. Aston martin, którym jeździ po Edynburgu, to nowy model, ale w Londynie ma klasycznego DB pięć.

– Czy picie alkoholu jest w porządku? Zakładam, że jest praktykującym muzułmaninem...

– Tu obowiązują ich najwyraźniej inne zasady.

Clarke przyglądała się kolejnym zdjęciom Salmana bin Mahmouda, ubranego w szyte na miarę nieskazitelne garnitury i obejmującego coraz to nowe olśniewające dziewczyny w klubach i na imprezach sportowych.

– Zauważyłaś pewnie, że preferuje martini – odezwał się Fox.

– A co z narkotykami? – zapytała, kiedy przywołał na ekran kolejną serię zdjęć.

– Na razie nic o tym nie wiemy. – Fox wskazał jedną z fotografii. – Ta tutaj to córka posła konserwatystów. A ta jest przedstawicielką szkockiej arystokracji, lady Isabella Meiklejohn. Do jej tatusia należy duża część Flow Country.

– Czego?

– Hrabstw Caithness i Sutherland. To w większości torfowiska.

– Te panny wyglądają jak supermodelki.

– Ciekawe, co takiego widzą w egzotycznym milionerze? – zapytał i doczekał się od Clarke skrzywienia ust, które można było od biedy uznać za uśmiech.

– Jak bogaty był Salman?

– Tak naprawdę tego nie wiemy. Jego ojciec od pewnego czasu przebywa w areszcie domowym, ale pieniądze chyba dalej płyną. Życia w takim stylu nie da się prowadzić długo na kredyt. Przypięliśmy zdjęcia jego edynburskiej siedziby do tablicy. – Fox skinął dłonią w stronę tablicy. – A Policja Metropolitalna przysłała nam obrazki londyńskiego gniazdko Salmana. Oba miejsca robią wrażenie.

– Przed zabójstwem ani razu nie wszedł w zatarg z prawem? Sąsiedzi nie skarżyli się na głośne imprezy, nie przekraczał szybkości na ulicach New Town?

– Kilka niezapłaconych mandatów za parkowanie. Nie lubił zostawiać astona daleko od domu, dlatego często parkował na żółtej linii.

– Dzięki czemu straż miejska miała żniwa.

Fox pokiwał głową. Nie miał już więcej fotografii do pokazania.

Clarke odchyliła się na oparcie krzesła. Nie było zbyt wygodne... uznała, że będzie musiała zabrać z domu poduszkę.

– Więc co twoim zdaniem się wydarzyło? – zapytała.

– Wszystko sprowadza się do miejsca. Seafield Road o tak późnej porze oznacza, że albo wybierał się w podróż na południe, albo z kimś się umówił.

Pokiwała głową.

– Żaden z jego znajomych nie mieszka w tej okolicy?

– Żaden z tych, których zidentyfikowaliśmy.

– Może chciał się z kimś ścigać. Wiemy, że zdarza się to w nocy w Edynburgu, zwłaszcza na przedmieściach. Gdybym miała taką brykę, też by mnie kusilo.

– Bierzemy pod uwagę hipotezę nieudanej napaści oraz kradzieży samochodu. Aston został sprawdzony: są w nim tylko odciski palców właściciela. Prawie pełen bak i żadnych usterek mechanicznych.

– Zatem nie zjechał z drogi, bo coś wysiadło. – Clarke ponownie pokiwała głową. – Macie rejestr połączeń telefonicznych?

– Zażądaliśmy pełnych danych. Wygląda na to, że ostatnią osobą, do której zadzwonił, był jego przyjaciel... ten, którego niedawno pobito. Twierdzi, że nie rozmawiali o niczym istotnym... tylko o planach na weekend i takich tam.

– Kiedy to było?

– Parę godzin przed zabójstwem.

– Rozmawiałeś z tym przyjacielem?



- Ja osobiście? - Fox pokręcił głową. - Przyjechałem tu całkiem niedawno.

Clarke spojrzała mu prosto w oczy.

- Po co cię tu przysłali, Malcolm?

Wzruszył ramionami.

- To jest poważne przestępstwo, Siobhan.

- Ale dlaczego tu jesteś?

- Ponieważ należały na to pewne osoby.

- Masz na myśli naszych politycznych mocodawców?

- Mamy tu międzynarodowe uwarunkowania. W momencie, kiedy wychodzimy z Unii...

- Potrzebujemy jak najwięcej partnerów handlowych... w tym również autorytarnych reżimów? - domyśliła się Clarke. - Ale władcy Arabii Saudyjskiej nie pałają raczej sympatią do ojca ofiary, więc skąd te naciski?

- Naprawdę nie mogę tego zdradzić.

- Co jest dyplomatycznym sposobem powiedzenia mi, żebym tego nie drażyła? - Clarke przechyliła głowę. - Czy w trakcie tego śledztwa będziemy walili głową w mur, Malcolm? Trafiali na ludzi, z którymi nie będzie wolno nam porozmawiać, i na informacje, które nie mogą być ujawnione?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. - Fox uniósł kubek do ust. - Ale coś mi mówi, że ty pokonasz wszystkie przeszkody... prawie jakbyś nauczyła się tego od...

Pogroziła mu palcem.

- Wszystko, czego nauczyłem mnie John Rebus, od dawna nie ma już zastosowania. Podobnie jak on.

Miała nadzieję, że w jej głosie zabrzmiała pewność siebie. Bo tak naprawdę wcale nie była o tym przekonana.

## Rozdział 2

**REBUS ZAPOMNIAŁ JUŻ**, jak długo się tam jedzie. Odległość wynosiła czterysta kilometrów i przysiągłby, że kiedyś pokonywał ją w mniej niż cztery godziny. Tego dnia jednak zapowiadało się na pięć, z jednym krótkim przystankiem, żeby napić się kawy, zatankować saaba i poklepać go po masce na znak, że docenia jego starania. Ruch nie był zbyt duży: trochę ciężarówek, kamperów i w kilku miejscach roboty drogowe. Przebudowa A9 na dwupasmówkę była w toku i miała pewnie trwać długo po tym, jak on ruszy bezkolizyjną autostradą do nieba. Nie pomyślał, żeby cokolwiek zabrać. W samochodzie była tylko jedna płyta CD: kompilacja, którą zrobiła dla niego Siobhan. *Pieśni na mroczne czasy*, napisała na płycie czarnym flamastrem. Zapytał, co ma oznaczać ten tytuł.

– Część utworów ma dać ci do myślenia – odpowiedziała. – Część ma cię uspokoić, a część jest do tańca.

– Do tańca?

– No dobrze, do pokiwania głową.

Mieszanka była rzeczywiście różnorodna. Jeden z utworów brzmiał jak teleportowany z lat siedemdziesiątych funk. Zaraz po nim był minimalistyczny kawałek Briana Eno. Leonard Cohen śpiewał o miłości i stracie, inny zespół o postbrexitowej Anglii. Był tam również Black Sabbath z *Changes*.

Miło, że o tym pomyślałaś, Siobhan...

Na stacji benzynowej dodał do zakupów pastę i szczoteczkę do zębów i zapytał kasjerkę, czy nadal sprzedają płyty CD.

– Wszystko jest teraz na Bluetootha – odparła.

– Mam nadzieję, że szczoteczka nie – mruknął.

Deszcz zaczął padać jeszcze przed Tain i towarzyszył mu do Altnaharry i dalej, na pięćdziesięciokilometrowym odcinku jednopasmówki, gdzie

nie było na szczęście innych pojazdów. Szczypały go oczy i bolały ramiona, pośladki i kręgosłup. Przystanąwszy na chwilę, by opróżnić pęcherz, wziął kilka głębokich wdechów, starając się docenić piękno otaczającej go przyrody. Strone szczyty, szkliste jeziora, wrzosa i śpiew ptaków. Myśli o Samancie nie pozwalały mu jednak rozkoszować się widokami. Jej matka, Rhona, zmarła przed kilku laty. W pogrzebie, który odbył się w podlondyńskiej miejscowości, wzięło udział niewiele osób. Samantha dorastała w jego mieszkaniu przy Arden Street, a potem przeniosła się do matki do Londynu. Następnie wróciła do Edynburga, do pracy, i w końcu osiadła z Keithem w Tongue. Carrie przysłała na świat dzięki in vitro – rzutem na taśmę, jak to określiła Samantha. Później przenieśli się kilka kilometrów dalej, do nowoczesnego małego domu, dzięki czemu płacili mniej za ogrzewanie. Rebus spotkał się z Keithem tylko parę razy; wolał odwiedzać córkę, kiedy jej partner był w pracy. Keith rzadko też towarzyszył jej i Carrie podczas ich nielicznych wypadów do Edynburga.

Czy Rebus znał w ogóle jego nazwisko? Samantha musiała je wymienić. Pewnie wpadło jednym i wypadło drugim uchem. Wyglądało na to, że ciężko harował, starając się utrzymać rodzinę. Z tego, co wiedział Rebus, pracował ostatnio przy likwidacji starej elektrowni jądrowej w Dounreay. W poprzednim roku doszło tam do wycieku i Rebus dzwonił, by dowiedzieć się, czy Keithowi nic się nie stało. Córka zapewniła go, że wszystkie testy dały wynik negatywny.

„Więc nadal potrzebujesz lampki?“, zażartował Rebus.

Dounreay nie leżało właściwie blisko Naver. Trzeba było jechać jakieś czterdzieści pięć minut. Zapytał kiedyś Samanthę, dlaczego nie przeprowadzili się bliżej pracy Keitha. Z powodu Carrie, usłyszał. Chodziła do dobrej szkoły i miała tam koleżanki. Kiedy położyło się to na szali, długi dojazd nie miał znaczenia.

Pocziwy stary Keith. Więc dlaczego Samantha spotykała się z innym?

Przejeżdżając przez Tongue, wyłączył wycieraczkę. Zza wału chmur wyrzało słońce. Morze, kiedy je dojrzał, było błyszczące i spokojne. Wiatr ucichł. Za Tongue jednopasmówka odbiła w głąb łądu i na jakiś czas

stracił z oczu morze. W końcu dotarł do Naver i przejechał przez całą wioskę. Mijając dom Samantha, szukał wzrokiem radiowozu, ale go nie było. Kościół był kilkaset metrów dalej, zatoczka parkingowa tuż przy nim. Stało tam granatowe volvo XC90 Keitha.

Rebus zatrzymał się za nim, wysiadł i rozprostował kości. Ze stacyjki volva wyjęto kluczyk i zamknięto drzwi. Zajrzał do środka, ale nie zobaczył nic niezwykłego. Jeszcze raz ocenił odległość do domu córki. Kilka minut spacerem? Wątpił, żeby działał tu na szerszą skalę transport publiczny, ale po drugiej stronie drogi był przystanek autobusowy. Może Keith poprosił, żeby ktoś go podwiózł, albo wezwał taksówkę. Może kumple z Dounreay zabrali go na popijawę do Thurso, a on obudził się po wszystkim i zawstydzony tym, co zrobił, zaległ na kilka dni w hotelu albo czymś pokoju gościnnym i zbierał się na odwagę, żeby przyznać się do winy.

Samantha przecież się przyznała, prawda?

A może nie? Czy powiedziała o romansie Keithowi, czy też sam go odkrył? Rebus zerknął na podjeżdżający samochód. Nie był to radiowóz, ale zwykły ford mondeo, i tak wiedział jednak, że jest z policji. To, że auto nie było oznakowane, oznaczało dochodzeniówkę, więc nie zdziwiło go wcale, że stanęło tuż za saabem, blokując połowę drogi. Kierowca włączył światła awaryjne i wysiadł, zostawiając otwarte drzwi i silnik na chodzie.

– Mogę panu w czymś pomóc? – zapytał tonem, który sugerował, że obecność Rebusa wymaga wyjaśnienia. Zbliżał się do trzydziestki, krótkie czarne włosy siwiały mu już na skroniach. Gładko ogolony, z kwadratową szczęką, rumianymi policzkami i szerokimi barami. W innych okolicznościach Rebus mógłby go wziąć za farmera.

– Przyjechał pan przesłuchać moją córkę – powiedział. – Dlatego tu jestem.

Mężczyzna odchylił się lekko do tyłu, jakby chciał mu się lepiej przyjrzeć.

– Więc to pan jest John Rebus?

Rebus starał się ukryć zaskoczenie.

- Dzięki internetowi wszystko jest teraz łatwiejsze - wyjaśnił policjant. - Wrzuciłem nazwisko pańskiej córki i od razu pan wyskoczył.

- Powinien się pan interesować jej partnerem.

- Interesuje mnie wszystko, proszę pana. - Facet wyciągnął do Rebusa dłoń. - Jestem detektywem sierżantem, przyjechałem aż z Inverness.

- Czyli z daleka.

- Inni przyjechali z jeszcze odleglejszych miejsc.

Rebus uściśnął jego dłoń.

- Czy detektyw sierżant ma jakieś nazwisko?

- Robin Creasey.

- I wie pan, że byłem kiedyś śledczym?

- Ale teraz jest pan wyłącznie cywilem.

- Chce pan powiedzieć, żebym się w to nie mieszał?

- Oczywiście, że jest pan zamieszany, jako członek rodziny. Ale jeśli okaże się, że sprawą musi zająć się policja...

- To już nie będzie moja sprawa? - domyślił się Rebus.

- Właśnie. - Creasey zerknął na samochód Rebusa. - Dopiero pan przyjechał, prawda? Czuję ciepło przegrzanego silnika.

- Być może tym również będę musiał się zająć.

Creasey uśmiechnął się szeroko.

- W takim razie spotkajmy się z pańską córką - powiedział, ale w połowie drogi do mondeo zatrzymał się i rozejrzał dokoła. - Dziwne miejsce, żeby zostawić samochód, prawda? Ciekawe, czy w ogóle chodził do kościoła...

**SAMANTHA PRZEZ CAŁE PRZESŁUCHANIE** obgryzała paznokcie. W salonie panował totalny bałagan, będący w większości dziełem Carrie. Rebus wątpił, czy córka w ogóle to dostrzegą. To samo było w kuchni: w zlewie piętrzyły się wczorajsze naczynia, na stole zostały resztki śniadania. Zrobił im obojgu herbatę. Samantha siedziała na krześle, Creasey na sofie. Pytania, które zadawał, były krótkie, ale celne. Jakież problemy w pracy? W domu? Czy tego rodzaju zachowanie było nietypowe? Czy Samantha

może mu dać numer telefonu Keitha, a także jego znajomych i rodziny? Rebus dowiedział się, że Keith nazywał się Grant i że jego rodzice nie żyją. Miał siostrę w Kanadzie, ale nie utrzymywali bliskich stosunków. Czy kiedykolwiek wychodził, żeby kąpać się w morzu? W pobliżu była przecież plaża. Nie, bo nie umiał pływać.

– Nie utopił się – dodała zdecydowanym tonem Samantha.

Próbowała się do niego oczywiście dodzwonić i chciała wiedzieć, czy może skorzystał z karty debetowej? Nie skorzystał. Dlaczego, jej zdaniem, zostawił samochód w zatoczce? W odpowiedzi pokręciła głową i zaczęła obgryzać drugi paznokieć. Rebus zauważył, jak dużo jest w pokoju oprawionych w ramki fotografii, w większości zrobionych w szkole i przedstawiających Carrie, ale również zdjęć z wakacji, na których wszyscy uśmiechali się do obiektywu. W świetle flesza Samantha wydawała się zmęczona, jej długie potargane włosy przetykane były nitkami siwizny. Straciła chyba sporo na wadze: miała wychudłą twarz i luźną skórę na szyi.

– Powinnaś mu powiedzieć – zwrócił się do niej Rebus, kiedy rozmowa dobiegała końca. Zmierzyła go ostrym spojrzeniem. – I tak się tego dowie, jeśli jest tak staranny, jak się wydaje.

Creasey, nie spiesząc się, spoglądał to na ojca, to na córkę. Samantha utkwiała wzrok w drewnianej podłodze.

– Spotykałam się przez jakiś czas z innym mężczyzną. To się już skończyło, ale Keith się dowiedział. Trudno jest utrzymać coś w sekrecie w takiej dziurze.

– Jak dawno temu to było?

– Parę miesięcy.

– Ten mężczyzna... Był jego przyjacielem?

Samantha pokręciła głową.

– Prowadzi komunę. Tak to się chyba nazywa. Keith i ja byliśmy ciekawi i któregoś dnia ich odwiedziliśmy. Keith już tam nie wrócił, za to ja tak.

– Więc zna tego mężczyznę?

– Nazywa się Jess Hawkins. Z tego, co wiem, spotkali się tylko raz i ograniczyło się to do szybkiego uścisku dłoni.

– Czy kiedy pani partner dowiedział się, nie szukał pana Hawkinsa?

– Powiedziałam mu, żeby tego nie robił. Czymkolwiek to było, jest już skończone.

– Jak się dowiedział? – zapytał Rebus. – Ty mu powiedziałaś?

Ponownie pokręciła głową.

– List. Oczywiście anonim.

– Autorem był ktoś z wioski?

Samantha wzruszyła ramionami.

– Nadal go masz?

– Nie.

– Widywała się pani później z panem Hawkinsem? – zapytał Creasey.

Po dłuższej chwili pokiwała głową.

– Owszem, w szerszym gronie.

– Doceniam, że podzieliła się pani tą informacją. Muszę zapytać, czy pani zdaniem mogło to mieć coś wspólnego z zaginięciem pani partnera?

– Nie sądzę.

– Ale musiało mieć jakiś wpływ na wasz związek?

Samantha spiorunowała wzrokiem policjanta.

– Nie pamiętam, żebym zamawiała wizytę u doradcy małżeńskiego.

Creasey uniósł pojednawczo dłoń.

– To mogłoby po prostu wyjaśniać jego postępowanie. Powiedzmy, że chciał gdzieś wyjechać, żeby rozjaśniło mu się w głowie, żeby wszystko przemyśleć.

– Miał na to kilka miesięcy – zauważył Rebus.

– Mogło go to coraz bardziej gnębić – odparł Creasey. Rebus zauważył, że nawet nie tknął swojej herbaty. Kubek nadal stał na podłodze na ceramicznej podkładce. – Rozumiem, że sytuacja nie była łatwa. Czy zamknął się w sobie, czy jest raczej typem, który reaguje agresją?

Samantha parsknęła śmiechem.

– Keith nigdy nie podniósł na mnie ręki.

– Rozmawialiście? Próbowaliście to naprawić?  
– Kiedy był w domu.  
– Nie było go ostatnio w domu częściej niż zwykle?  
– Miał znajomych z kółka. Spotykał się z nimi pewnie częściej niż ze mną i z Carrie.

– Co to za kółko?

– Zajmują się lokalną historią. Przy drodze do Tongue mieścił się kiedyś obóz jeniecki. Badają jego historię, prowadzą wykopaliska. Chcą nawet... to niewydarzony pomysł... zrobić z niego atrakcję turystyczną.

– Może nie aż tak niewydarzony... jesteście w końcu na szlaku North Coast pięćset. Odwiedza was sporo ludzi.

– W większości pędząc sportowymi samochodami – odparła niechętnie.

Creasey spojrzał na Rebusa.

– North Coast pięćset to szlak, który stał się popularny wśród zmotoryzowanych turystów – wyjaśnił.

– Wiem – odparł Rebus. – Może i mieszkam na dalekim południu, ale wieści czasami się rozchodzą.

Detektyw sierżant postanowił zignorować jego drwiący ton i popatrzeć ponownie na Samanthę.

– Co pani zdaniem przytrafiło się Keithowi? – zapytał.

– Na pewno coś mu się przytrafiło.

– A konkretniej?

– Może wypadek? – Wzruszyła ramionami i zerknęła na telefon. – Niedługo muszę już iść po Carrie.

Rebus spojrzał na zegarek i uświadomił sobie, że córka trochę przesadza: zajęcia w szkole powinny się skończyć dopiero za godzinę albo dwie. Zauważył, że Creasey doszedł do tego samego wniosku, mimo to pokiwał głową.

– W takim razie jeszcze tylko jedno pytanie: kiedy po raz ostatni widziała pani partnera albo z nim rozmawiała?

– Trzy dni temu wieczorem. Po kolacji powiedział, że wychodzi.



– Nie mówił dokąd?

– Nie.

– Odniosła pani wrażenie, że wszystko jest w porządku?

Samantha pokiwała powoli głową.

– W takim razie na tym dziś skończymy. – Creasey wstał z sofy i podał jej wizytówkę. – Wypełnię zgłoszenie o zaginięciu, ale gdyby się odnalazł albo cokolwiek uległo zmianie... – Samantha ponownie kiwnęła głową. – Ma pani kluczyki do volva? Chętnie zajrzałbym do środka. Kiedy skończę, wrzucę je pani przez otwór na listy.

– Niech je pan położy na stoliku przy drzwiach.

Creasey wyciągnął do niej rękę.

– Ludzie prawie zawsze wracają – powiedział.

Uścisnęła jego dłoń, nie robiąc wrażenia w najmniejszym stopniu przekonanej.

Rebus wstał i zaproponował, że odprowadzi detektywa. Creasey zabrał kluczyki do samochodu, Rebus otworzył drzwi. Gdy wyszli na zewnątrz, zamykając drzwi, upewnił się, czy otworzy je bez klucza.

– Sądzi pan, że nie ma czym się martwić? – zapytał.

– Jeszcze na to za wcześnie. Gdyby pana córka nie wspomniała o romansie, a ja dowiedziałbym się o nim później, zacząłbym się zastanawiać, czego jeszcze mi nie mówi. – Creasey przerwał i przez chwilę wpatrywał się w Rebusa. – Wiem, że nie było jej lekko. Miała dwanaście lat, kiedy porwał ją ten świr, prawda? Bo żywił do pana potworną urazę.

– To było przed trzydziestu laty.

– A potem ten wypadek. Przez jakiś czas poruszała się na wózku inwalidzkim. Nadal widać, że lekko kuleje.

– Gramy w jakąś policyjną wersję Top Trumps?

– Czy Top Trumps nie pojawiło się, kiedy był pan za stary, żeby w to grać?

– Zapomina pan, że mam wnuczkę... a także córkę, która wbrew pańskim insynuacjom wyrosła na idealnie zrównoważoną osobę.

- Nie spotkałem wielu osób, które są „idealnie zrównoważone”, panie Rebus.

- Niech pan sprawdzi volvo, wraca do domu i wypełni zgłoszenie.

- A co pan zamierza tu tymczasem robić?

- Pomóc córce najlepiej, jak potrafię. - Rebus otworzył drzwi i wszedł do domu.

## Rozdział 3

DOPROWADZILI DO PORZĄDKU KUCHNIĘ i salon. Samantha co kilka minut sprawdzała, czy nie przyszedł esemes od Keitha.

– Więc tamtego dnia nic nie odbiegało od normy? – zapytał Rebus.

– Nie.

– Keith wrócił z pracy, zjadł kolację, a potem wyszedł?

– Nie słuchałeś, kiedy mówiłam o tym detektywowi?

– Po prostu układałam sobie to wszystko w głowie. Kiedy zaczęłaś się martwić?

– Przypuszczam, że przed pójściem spać.

– Przypuszczasz?

– Wysłałam mu wiadomość. – Pomachała komórką przed nosem ojca. – Sam zobacz, jeśli mi nie wierzysz.

– Oczywiście, że ci wierzę.

– Nie odnoszę takiego wrażenia. – Samantha ponownie sprawdziła, która jest godzina. – Ale teraz już naprawdę muszę jechać po Carrie.

– Creasey wie – mruknął Rebus.

Samantha spiorunowała go wzrokiem.

– Co takiego wie?

– Że skłamałaś, żeby się go pozbyć.

– Nie zniosłabym tego ani chwili dłużej. – Ściągnęła płaszcz z oparcia krzesła i zaczęła go wkładać. – Idziesz?

– Czy Keith trzymał tu jakieś materiały na temat tego obozu jenieckiego?

– W garażu.

– Mogę się tam pokręcić?

– Nie krępuj się. Garaż nie jest zamknięty. W domu też nie musisz zamykać drzwi na klucz.

– Kiedyś było tak wszędzie – rzucił Rebus.

– Fajne, bezpieczne miejsce, żeby wychować dzieci – powiedziała chyba sama do siebie, a potem owinęła szyję długim szalikiem i ruszyła do drzwi.

Po jej wyjściu przez jakiś czas szwendał się po domu. W sypialni nie było szafek nocnych, tylko dwa identyczne stoliczki. Na tym po jej stronie leżały nożyczki do paznokci, zużyty blister po ibuprofenie, ładowarka i radiobudzik. Na drugim – monografia o futbolu, iPad, słuchawki. Tablet wymagał hasła. Na ekranie było jedno ze zdjęć, które widział oprawione w ramki w salonie: wakacje na plaży, ojciec i córka, sfotografowani prawdopodobnie przez Samanthę. Miał ochotę sprawdzić zawartość komody i wbudowanej szafy, ale zdołał się powstrzymać.

Pokój Carrie był feerią kolorów i zabawek; wśród nich zauważył tę, którą kupił jej na ósme urodziny. W domu były poza tym wyłącznie łazienka i pomieszczenie gospodarcze, włożył więc płaszcz i ruszył do garażu. Na półkach leżały tam narzędzia i zwoje drutu i kabli. Pośrodku, w miejscu, gdzie powinien być samochód, ustawiono na koźlach duży stół, a przy nim stało składane drewniane krzesło. Rebus usiadł na nim i zaczął przeglądać sterty papierów, książek, zeszytów, planów oraz skserowanych fotografii.

Obóz 1033 nazywano również Borgie, od rzeki, która przez niego przepływała. Rebus odniósł wrażenie, że w zależności od okresu drugiej wojny światowej więziono tu jeńców różnych kategorii, poczynając od „obcych elementów”, od dawna przebywających w Wielkiej Brytanii, po wziętych do niewoli niemieckich żołnierzy. Keith był bardzo skrupulatny. Rebus zobaczył w garażu książki o historii obozów koncentracyjnych oraz konkretnych obozach w Szkocji i gdzie indziej. Zamawiał je u antykwariuszy – na podłodze wały się tekturowe opakowania. Według Rebusa musiało to świadczyć o nagłej potrzebie, gorliwości – może Keith chciał dzięki temu przestać myśleć o tym, co zrobiła Samantha? Zatracić się, zanurzyć w czymś innym. Ręcznie spisana lista zawierała książki

i oficjalne dokumenty, do których miał jeszcze zamiar dotrzeć. Podkreślił dwa razy słowa *Biblioteka Narodowa*?

Rebus wiedział, że może tu spędzić wiele godzin i niekoniecznie dowie się czegoś, co pomogłoby w sprawie. Ale temat go zaciekawił. Jeżeli obóz Borgie był obozem numer 1033, oznaczało to, że na Wyspach Brytyjskich funkcjonowały co najmniej 1032 podobne do niego miejsca. Dlaczego nic o tym nie wiedział? Wśród książek znalazł monografię kolejnego szkockiego obozu o nazwie Watten, nieopodal Wick. Całkiem niedaleko stąd. Była również ulotka poświęcona obozowi Cultybraggen, obok Comrie, który zachował się praktycznie w nienaruszonym stanie i stał się atrakcją turystyczną. Rebus zorientował się, że Keith – albo ktoś inny – zaczął już obliczać, ile kosztowałoby zrobienie czegoś podobnego z Obozem 1033. Wychodziło, że co najmniej kilkaset tysięcy funtów. Ten, kto to policzył, dodał do sumy obrazek zafrasowanej buźki.

Pod dom podjechał samochód. Rebus słyszał, że przez pół minuty stoi z pracującym silnikiem, a potem odjeżdża. Kiedy wrócił z garażu do domu, nie zdziwiło go, że w przedpokoju leżą kluczyki do volva. Podniósł je, wyszedł, zamknął za sobą drzwi i postanowił przejść się do zatoczki. Wiał porywisty wiatr, więc Rebus żałował, że nie ma na głowie kapelusza, choć zdawał sobie sprawę, że musiałby go przez cały czas przytrzymywać. Otworzył volvo, siadł za kierownicą i zatrzasnął drzwi, by ochronić się przed żywiołami. Kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce, silnik od razu zaskoczył. Radio było nastawione na Radio Scotland, ale sygnał był za słaby.

Nawigacja nie oferowała wielu wskazówek; nie został wyznaczony żaden cel podróży. W tej okolicy lepiej było samemu wyznaczyć trasę, niż liczyć, że zrobi to za Ciebie technologia. Na dowód tego Rebus zobaczył atlas drogowy wsunięty w boczną kieszeń od strony pasażera. Nie mogąc go dosięgnąć, zostawił silnik na chodzie, obszedł samochód, wsiadł od strony pasażera i szybko zdał sobie sprawę, że fotel jest mokry. Wysiadł i pomacał go ręką. Zdecydowanie mokry. Zabrał atlas i szybko go przeglądał, koncentrując się na stronach przedstawiających najbliższą okolicę. Nic nie zostało zakreślone ani zaznaczone. Nachylając się do

środka, podniósł środkowy podłokietnik. Przestrzeń pod nim była pusta, jeśli nie liczyć paru opakowań po batonach i listków gumy do żucia. Keith nie palił, ale w rozmowie z Creaseyem Samantha przyznała, że lubił czasem wybrać się do pubu z kumplami z pracy. Mogli spotykać się tutaj w Naver, ale także gdzieś dalej, na przykład w Thurso. Jazda pod wpływem alkoholu była jednak wykluczona – zawsze wracał taksówką albo podwoził go niepijący kolega.

W schowku w desce rozdzielczej nie było nic poza książką wozu i rachunkami z warsztatu. Rebus zamknął drzwi od strony pasażera, po czym sprawdził tylne siedzenia i bagażnik; znalazł w nim zabłoconą pelerynę z kapturem, grube wełniane skarpety oraz sfatygowane górskie buty. Domyślał się, że to zestaw, który Keith wkładał, wybierając się do Obozu 1033.

Usiadł ponownie w fotelu kierowcy i przez dłuższą chwilę przyglądał się przez przednią szybę wzgórzom. Krajobraz był tutaj bardziej zielony niż w pobliskim Tongue, mniej surowy i skalisty. Wiedział z poprzednich odwiedzin, że po drugiej stronie kościelnego cmentarza zaczynają się wydmy prowadzące do długiego odcinka łukowatej plaży. Samantha chyba kiedyś mówiła mu, że Keith dorastał w Dundee, ale ma rodzinne powiązania z tymi terenami: letnie wakacje z krewnymi, miłe wspomnienia. Rebus zastanawiał się, czy nie zostawić kluczyka w stacyjce, na wypadek gdyby Keith wrócił. Ale Samantha najwyraźniej chciała mieć go w domu, więc wyjął kluczyk ze stacyjki i schował do kieszeni po tym, jak zamknął samochód.

Kiedy wrócił do domu, córki nadal nie było, więc wsiadł do saaba i pojechał do centrum wioski. Był tam pub The Glen, sklep, który pełnił również funkcję poczty i kafejki, oraz zakład garncarski. Po zaparkowaniu przed The Glen pierwszą osobą, którą zobaczył, był Creasey. Rozmawiał przed sklepem z kilkoma miejscowymi. Rebus wiedział, że detektyw robi to, co on sam zamierzał. Zbiera informacje. Wszedł do pubu i podszedł do baru. Poza barmanką w lokalu nie było nikogo. Zerknęła w jego stronę.

– Pański kumpel właśnie stąd wyszedł – powiedziała.

– Co mnie zdradziło?

– Poznaję gliniarza na pierwszy rzut oka. Powiem panu, co ode mnie usłyszał. – Barmanka popatrzyła mu prosto w oczy, opierając dłonie o kontuar. – Keith nie szukał kłopotów. Jeśli chodzi o alkohol, wiedział, kiedy skończyć.

– Więc był stałym klientem?

– Siedział tam ze swoim kółkiem historycznym. – Wskazała narożny stolik. – Dwa piwa dla każdego i na tym koniec.

– To ta grupa, która zajmowała się obozem Borgie?

Barmanka przyjrzała mu się uważnie.

– Pański kumpel nie znał tej nazwy.

– Ale podała mu ją pani?

– A teraz zastanawiam się, jak to się stało, że pan ją zna, a on nie. Wychodzi na to, że wyciągnęłam pochopne wnioski.

– Jestem John Rebus. Samantha jest moją córką.

– Był pan policjantem – powiedziała, kiwając głową.

– Więc niewiele się pani pomyliła.

– Dobrze wiedzieć, że nie oszukał mnie instynkt. Tamten gliniarz pytał o Samanthę. Czy przychodziła tu z Keithem, czy dobrze się między nimi układało.

– Wolno spytać, co pani odpowiedziała?

– Opieka nad dzieckiem może narazić związek na szwank. Dalekie dojazdy Keitha oznaczają, że nie ma go na ogół w domu.

– A kiedy nie jest w pracy, ma swój obóz.

– Był pan tam? – zapytała. Rebus pokręcił głową. – Jeńcy nie mieli lekko: sroga zima i wiecznie zawodzący wiatr. Mimo to po wojnie kilku zostało i związało się z miejscowymi laskami.

– Mam wrażenie, jakby mówiła o tym pani z własnego doświadczenia.

– Jednym z nich jest mój ojciec.

– Nie jest pani aż taka stara.

Przewróciła oczami, ale chyba jej pochlebił.

– Jestem dzieckiem z drugiego małżeństwa. Jego pierwsza żona zmarła. Miał prawie pięćdziesiąt lat, kiedy przyszedł na świat. Zmienił

nazwisko z Kolln na Collins. Dał mi na imię May: po miesiącu, w którym się urodziłam. Gdyby mnie pan pytał, świadczy to o braku wyobraźni.

– Nadal żyje?

– Skończył dziewięćdziesiąt lat, ale dobrze się trzyma.

– Miło cię poznać, May. – Rebus uściskał jej rękę nad barem. Była więc o dziesięć lat starsza, niż myślał: surowy klimat nie odcisnął piętna na jej rysach. Sięgające ramion ciemne włosy, twarz, która prawie nie potrzebowała makijażu. Zachowywała się z typową u barmanów i barmanek bezpośredniością. – O co jeszcze pytał detektyw sierżant Creasey? – zagadnął.

Zamiast odpowiedzieć, zaproponowała mu drinka.

– Żeby nie musiała pić do lustra – wyjaśniła.

Kiedy pokręcił głową, naląła sobie lemoniady i ukroiła plasterek cytryny.

– Jesteśmy tutaj wyrafinowani – mruknęła, wrzucając go do szklanki.

Przez chwilę popijała w zadumie. Rebus domyślał się, że zastanawia się, co powiedzieć.

– Zapytał, czy znam historię Samantha – przyznała wreszcie. – Co mnie zaskoczyło. W końcu to nie ona dała nogę. Tymczasem historia Keitha w ogóle go nie interesowała.

– Prawie jakby ją o coś podejrzewał? – rzucił Rebus.

– Nie dałam się w to wciągnąć. Plotki i tak rozchodzą się bez niczyjej pomocy.

– Zapytał, co twoim zdaniem mogło się przytrafić Keithowi?

May pokiwała popowoli głową, wpatrując się w szklankę.

– Ludzie odchodzą z najróżniejszych powodów. Sama też nieraz miałam taki zamiar.

– Więc co cię tu trzyma? Ojciec?

– Być może... lub ten sam powód, dla którego ludzie tu w ogóle przyjeżdżają: żeby odwrócić się plecami do gówna, które dzieje się gdzie indziej. Dlatego właśnie włączam to ustrojstwo – wskazała zamontowany



wysoko nad drzwiami telewizor – tylko kiedy domaga się tego któryś z klientów.

Rebus zauważył wiszące obok w ramach fotografie. Przedstawiły Johna Lennona i Yoko Ono.

– Właśnie słuchałem ich w samochodzie – powiedział.

– Co jakiś czas trafiają tu ich fani.

– Dlaczego?

– Lennon kiedyś tu przyjeżdżał. To znaczy... tak naprawdę do Durness. Na wakacje, kiedy był chłopcem. No a potem był ten wypadek.

Rebus podszedł do telewizora. Jedno ze zdjęć przedstawiało samochód z rozbitą maską.

– Przywiózł tu Yoko, żeby pokazać jej miejsca, gdzie dorastał – wyjaśniła May Collins. – Wypadli z szosy i wylądowali w szpitalu w Golspie.

– Nie sądzę, żebym o tym wiedział.

– To moja lokalna historia.

Rebus popatrzył na barmankę.

– Czy ludzie z kółka Keitha wypytywali cię kiedykolwiek o ojca?

– Są bardzo skrupulatni – odparła i uważniej mu się przyjrzała. – Ty też, jak na emeryta.

– Wiesz dobrze, że w tym przypadku nim nie jestem.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Jesteś rodzicem. A to znaczy, że to dla ciebie sprawa osobista.

– Dlatego jeśli wpadnie ci do głowy coś, co może mi pomóc... – Zapisał numer swojej komórki na podkładce pod piwo i przesunął w stronę May. – Byłbym ci naprawdę wdzięczny. Kiedy następnym razem tu wpadnę, postawię nam obojgu drinka.

Pomachała do niego podstawką.

– Nie zapominaj, jaka to dziura. Nie muszę dzwonić... wystarczy, że wyjdę przed pub i cię zawołam.

NA ZEWNĄTRZ NIE BYŁO ŚLADU po Creaseyu. Uliczka była zupełnie pusta. Rebus przeszedł ją całą i wsiadł do saaba. Kiedy jednak przekręcił kluczyk w stacyjce, nic się nie stało. Spróbował ponownie, wciskając pedał gazu. W odpowiedzi usłyszał pojedyncze kliknięcie. Wysiadł, otworzył maskę i przez chwilę wpatrywał się w silnik.

– Kogo ty chcesz oszukać? – mruknął pod nosem, po czym zatrzasnął maskę i ruszył z powrotem do The Glen.

– Tak szybko? – zdziwiła się May Collins.

– Nie odpalił mi samochód. Jest tu gdzieś warsztat, do którego można zadzwonić?

– Jest warsztat w Tongue, ale w takich sprawach zwracamy się na ogół do Jessa Hawkinsa... – May zobaczyła grymas na twarzy Rebusa. – Więc wiesz o Jessie? Nie byłam pewna.

– To ten facet z komuny?

– Mają tam fachowców od wszystkiego. W tym także kogoś, kto zna się na autach. Mam do nich zadzwonić?

– Używają telefonów?

– To nie są jacyś amisze – odparła z uśmiechem.

– Więc kim są?

– Pamiętasz, co mówiłam o powodach, dla których ludzie tu trafiają?

– O gównie, które dzieje się gdzie indziej?

– Potrzebują nowego startu. I chcą ratować planetę. Mam do nich zadzwonić?

Rebus rozważył swoje możliwości i pokiwał głową. Ale kiedy wybrała numer, nikt nie odebrał.

– Spróbujemy ponownie za godzinę – zasugerowała. – Możesz tu posiedzieć z drinkiem i gazetą.

Pokręcił głową.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, wolałbym zostawić tu kluczyk do samochodu. Gdybyście mnie potrzebowali, będę u Samantha.

– Mogę cię podwieźć.

– I zamknąć pub? – Rebus pokręcił głową. – Wbrew pozorom wciąż mam sprawne nogi.

– Więc zobaczę cię na wieczornym joggingu?

– Zawsze wolałem biegać rano. – Rebus pomachał jej na pożegnanie, po czym zabrał z niezamkniętego saaba szczoteczkę i pastę do zębów i schował je do kieszeni.

**PÓLLEŻAŁ NA SOFIE** – i prawdopodobnie przysypiał – kiedy Carrie weszła do środka i zostawiając za sobą kurtkę, plecak i buty, wpadła do salonu. Na jego widok stanęła jak wryta. Rebus spojrzał na Samanthę.

– Nie byłam pewna, czy cię jeszcze zastanę – mruknęła, próbując wyjaśnić, dlaczego jego obecność tak bardzo zaskoczyła dziewczynkę.

– Cześć, Carrie – powiedział, otwierając szeroko ramiona.

Jego wnuczka ruszyła naprzód jak do ataku i oparła głowę o jego ramię, gdy ją objął i pocałował w czubek głowy. Miała krótko obcięte blond włosy, okrągłą buzię i dociekliwy wzrok.

– Jesteś coraz bardziej podobna do mamy – powiedział.

– Mama ma siwe włosy – zaprotestowała Carrie.

– Miałem na myśli, kiedy była w twoim wieku.

Carrie wbiła w niego wzrok.

– Pokażesz mi zdjęcie?

– Twojej mamy? – Udał, że klepie się po kieszeniach. – Nie mam go przy sobie.

– Masz telefon.

– Dziadek nie trzyma zdjęć w telefonie – wyjaśniła Samantha, podeszła do córki i zmierzwiła jej włosy.

– Dlaczego?

– Chodź, dam ci mleko i herbatnika. – Popychając Carrie w stronę kuchni, Samantha zerknęła na ojca. – Chcesz coś zjeść? Zostajesz na kolację?

– Padł mi samochód.

– Zastanawiałam się, gdzie się podział.

- W wiosce powiedzieli, że najlepiej poszukać pomocy u Jessa Hawkinsa.

Samantha nie skomentowała tego. Rebus wstał i ruszył za nią do kuchni.

- To chyba prawda - odezwała się, nalewając mleko. Carrie usiadła za stołem i zajęła się czymś, co było chyba jej iPadem. - To znaczy... będzie tam ktoś, kto może pomóc.

- Gdzie on mieszka?

- Przy drodze do Tongue.

- Więc gdzieś w pobliżu Obozu Tysiąc Trzydziestego Trzeciego?

- Właściwie tuż obok.

- Przyjrzałem się rzeczom zgromadzonym w garażu.

- Więc przyznasz chyba, że Keith miał na punkcie tego obozu prawdziwą obsesję. - Samantha zerknęła na swój telefon i schowała go do kieszeni: nadal żadnej wiadomości.

- Gdzie jest tato? - zapytała Carrie.

- Pracuje - odpowiedziała Samantha.

- Zawsze pracuje - poskarżyła się dziewczynka. - Kiedy dorosnę, nigdy nie będę pracować.

- To mi się podoba - mruknął Rebus. - Gdzie tu jest najbliższy pensjonat? - zwrócił się do córki.

- Możesz tu nocować - odparła, kładąc na stole talerzyk z herbatnikami.

- Nie masz dość miejsca.

- Mamy sofę. Chcesz, żeby dziadek z nami został, prawda, Carrie?

Dziewczynka podniosła wzrok, ale w tym momencie całą jej uwagę przykuwał iPad i Rebus nie usłyszał, co wymamrotała w odpowiedzi.

- Kiedy Carrie pójdzie spać, będziemy mogli nadrobić trochę zaległości - dodała Samantha. - I może mi powiesz, dlaczego nie masz już telefonu stacjonarnego. Zastanawiałam się nad tym i doszłam do wniosku, że być może się przeprowadziłeś. - Whiała w niego wzrok i zaczęła, aż

pokiwa głową. – Przeprowadziłeś się i mnie o tym nie poinformowałeś. –  
W jej głosie nie było emocji, ale zobaczył ją w jej oczach.

– To stało się wczoraj – wyjaśnił. – Miałem do ciebie dziś zadzwonić.

– To przez te schody, tak? Nie możesz już chodzić po schodach.

Carrie podniosła wzrok.

– Dlaczego?

– Zrobiłem się trochę zgrzybiały.

– To znaczy, że umrzesz? – W jej głosie słychać było bardziej ciekawość  
niż obawę.

– Nie tak prędko.

– Tato spędza dużo czasu z martwymi ludźmi.

Samantha próbowała się roześmiać.

– To nieprawda, Carrie.

– W garażu. – Dziewczynka wskazała ręką zewnętrzny świat. – Te  
zdjęcia i nazwiska... Oni prawie wszyscy są już martwi.

Samantha podskoczyła, słysząc dzwonek telefonu, i od razu oklapła,  
widząc na wyświetlaczu nazwisko.

– To mama Jenny – powiedziała.

Carrie pomachała ręką, jakby Jenny mogła ją widzieć. Samantha  
wyszła z kuchni. Przedmiotem dyskusji były chyba przygotowania do  
wspólnej zabawy dziewczynek.

– Ja też muszę zadzwonić – poinformował wnuczkę Rebus, po czym  
sprawdził zasięg: jedna kreska powinna wystarczyć. Samantha była  
w salonie, więc stanął w holu i wybrał numer, zastanawiając się, jak  
Siobhan Clarke zareaguje na wieści, które miał jej do przekazania.

## Rozdział 4

- **WIĘC KIEDY WRÓCISZ?** – Przyciskając telefon do ucha, Siobhan Clarke obserwowała Brilla, który dziesięć metrów dalej obwąchiwał trawę.

Pies nagle przykucnął i dała znak Foxowi, by wziął od niej czarną plastikową torebkę. Otworzył szerzej oczy, za co zgromiła go wzrokiem.

Na Meadows panował relatywnie duży ruch: kilka rozpalonych grilli, od których musieli odganiać Brilla; zaimprovizowany mecz piłki nożnej; biegacze i rowerzyści, małe dzieci trzymane przez rodziców za lejce.

- Nie możesz po prostu wypożyczyć samochodu? – zapytała, śledząc wzrokiem Foxa, który przykucnął, zrobił to, co trzeba było zrobić, poszukał wzrokiem najbliższego kosza na śmieci i ruszył w jego stronę.

Brillo wrócił tymczasem do śledzenia niewidzialnego tropu.

- Chryste, John... – Clarke westchnęła głośno.

Kiedy Fox wrócił do niej, rozmowa dobiegła końca.

- Zostaje tam? – zapytał.

- Padł mu samochód.

- Z jego córką wszystko w porządku?

- Jej partner dał nogę. Jest tam chyba zupełnie sama, jeśli nie liczyć córki.

- Więc co robimy z psem?

Clarke uśmiechnęła się niewyraźnie, wdzięczna za użycie liczby mnogiej.

- Powinnam go chyba odwiedzić do domu.

- Po tym, jak pogadamy z przyjacielem ofiary?

Pokiwała głową.

- Później pojedę i zabiorę Brilla do siebie. – Uderzyła się dłońmi po udach i pies podbiegł. Przypięła mu smycz do obroży i wszyscy troje

ruszyli do Marchmont Road. Kiedy skręcili w Arden Street, Brillo zawahał się przy drzwiach na klatkę, ale potem ruszył z rezygnacją do furtki prowadzącej do małego ogródka. Clarke otworzyła drzwi. Gdy sprawdzała w kuchni miski z wodą i jedzeniem, Fox wszedł do salonu i wyjął z pudła kilka siedmicalowych singli.

– W większości to archeologia – stwierdził.

– John chce, żeby wyryć mu to na grobie: *Śluchał stron B.*

Fox uśmiechnął się i rozejrzał po pokoju.

– Dziwnie to wygląda... te same rzeczy, inna aranżacja. Wspominał, że chce kupić mały dom...

– Podobny do twojego?

– Mówił, że to główny powód, dla którego nie może się na to zdecydować.

– Ciekawe, o co mu chodziło.

Fox schował płyty do pudła.

– Myślę, że chciał mi po prostu dokuczyć. Wiesz, jaki jest. – Otrzeptał dłonie, jakby chciał się z nich pozbyć kurzu. Zobaczył, że Clarke zerka na telefon. – Czas na nas? Pies może tu zostać sam?

– Powiedziałam, że po niego wrócę. Chyba że ty to zrobisz.

– Nie mam podejścia do zwierząt.

– Ja też nie.

Od strony drzwi dobiegło prychnięcie. Brillo siedział tam z przechylnym łbem.

– Najwyraźniej wyczuwa kłamcę z daleka – powiedział z uśmiechem Fox. – Chodźmy więc zobaczyć, jak w dzisiejszych czasach wygląda fundusz powierniczy.

CIRCUS LANE JEST JEDNĄ z najbardziej malowniczych i dlatego najczęściej fotografowanych uliczek Edynburga. Mieściły się tu niegdyś stajnie i kwatery dla służby, którą zatrudniano w pobliskich rezydencjach. Odrestaurowane starannie budynki, ze zdobięcymi fasady kwietnymi aranżacjami, należały teraz do najbardziej poszukiwanych w mieście.

Clarke określiłaby niegdyś nawierzchnię ulicy jako brukowaną, lecz teraz wiedziała lepiej: to była kostka, bardziej podobna do cegieł niż do kocich łbów.

Giovanni Morelli mieszkał w połowie ulicy. Clarke i Fox spodziewali się go zastać w środku, ale stał w progu domu. Nie miał marynarki, lecz modny szal, który zawiązał na szyi nad białym T-shirtem i żółtym swetrem w serek.

– Pan Morelli? – uznała za konieczne zapytać Clarke.

Młody człowiek skinął głową. Miał gęste ciemne włosy, które wcześniej przeczesał dłonią, i popołudniowy zarost na policzkach. Kobieta w krótkiej zamszowej kurtce, džinsach i botkach, która stała obok, była od niego kilkanaście centymetrów wyższa i miała szersze ramiona. Gęste słomkowe blond włosy założyła za uszy. Kiedy zaciągnęła się papierosem, Clarke mogła przyjrzeć się jej wypielęgowanym paznokciom.

– Issy złożyła mi wizytę – wyjaśnił Morelli. – Nie lubię zapachu dymu, więc...

– Dziękujemy, że zgodził się pan z nami spotkać – powiedział Fox, po czym przedstawił Clarke i siebie.

– Stoimy tu na ulicy jak jacyś menele – warknęła kobieta o imieniu Issy. – Ile czasu to zajmie? Wybieramy się na imprezę.

– Lady Isabella Meiklejohn? – domyśliła się Clarke.

To, że została rozpoznana, tylko na sekundę zbiło Meiklejohn z tropu. Miała około dwudziestu pięciu lat, nieskazitelną cerę i perłowe zęby.

– Na początek powinniśmy powiedzieć, że bardzo państwu współczujemy – odezwał się Fox. – Naszym priorytetem, jak państwo wiecie, jest dokładne ustalenie tego, co się wydarzyło.

– I wrobienie w to Giovanniego? – mruknęła Meiklejohn, rzucając niedopałek na ziemię i przydeptując go obcasem.

– Proszę cię, Issy... – Morelli położył delikatnie palce na jej ramieniu.

Na chwilę ujęła jego dłoń.

– Według jednej z teorii – kontynuował Fox – ataki na pana i pana Salmana mogły być ze sobą powiązane. Napastnikiem mógł być ktoś



żywiący do was urazę. – Meiklejohn przewróciła oczami, ale Fox zignorował to. – Do napaści doszło tutaj, prawda?

Morelli pokiwał głową, wskazując miejsce oddalone od nich zaledwie o kilka metrów.

– Wracalem do domu.

– Od kogo?

– Od Salmana.

– Jak daleko stąd mieszkał? Kilka minut spacerem?

Morelli ponownie kiwnął głową.

– To było o północy albo kilka minut po. Napastnik prawdopodobnie był sam. Oberwałem z tyłu. W głowę. – Dotknął palcami potylicy. – Upadłem. Uderzył mnie chyba jeszcze raz.

– Pięścią czy...?

– W szpitalu uznali, że mógł użyć jakiegoś narzędzia.

– Był pan ubrany tak jak dzisiaj?

– W kurtkę. O tak późnej porze było trochę chłodniej.

– W kurtkę z kapturem?

– Owszem. Powiedzieli, że kaptur osłabił siłę uderzeń.

Meiklejohn ostentacyjnie czytała i wysyłała esemesy.

– Pojechała pani, zdaje się, z panem Morellem do szpitala? – zwróciła się do niej Clarke.

– Pytano mnie o to wiele razy – odparła Meiklejohn. – To znaczy, że macie to w aktach i cholernie dobrze wiecie, że z nim pojechałam.

– Jest pani tylko znajomą?

Dziewczyna podniosła w końcu wzrok i spojrzała Clarke prosto w oczy.

– Tak.

– A z panem bin Mahmoudem?

– Również. – Dziewczyna ponownie zerknęła na komórkę. – Wiemy przecież, że to wszystko przez brexit. Coraz więcej jest ataków na cudzoziemców.

– W tej okolicy niewielu jest fanów brexitu – zauważył Fox.

– Tak pan sądzi? W mojej rodzinie jest ich bardzo wielu.

– Mieszkają gdzie tutaj?

– W Londynie i w hrabstwie Sutherland. – Meiklejohn spojrzała na Morellego. – Spóźnimy się.

– Jeśli jesteście tacy zdesperowani, za rogiem jest bar – rzuciła Clarke.

– Spotykamy się ze znajomymi przy Cowgate.

Clarke uniosła lekko brew.

– W Devil’s Dram?

Dziewczyna pokręciła głową.

– W klubie Jenever.

– To nie zajmie już dużo czasu – zapewnił ją Fox.

Morelli dotknął dłoni przyjaciółki.

– Weź taksówkę. Zaraz do ciebie dołączę.

– I mam cię zostawić samego z dwójką gliniarzy? – odparła, krzywiąc się. – Nie ma mowy. Naprawdę wydaje się panu, że stuknięcie Gia w głowę jest w jakiś sposób związane z zamordowaniem z zimną krwią Salmana?

– A pani jak się wydaje?

– Wydaje mi się, że słyszę brzęk brzytwy, której chwytają się gliniarze niepotrafiący zaparkować tyłka na bidecie.

– Ma pani zapewne większe od nas doświadczenie z bidetami – przyznała ostrzejszym tonem Clarke.

Fox zasygnalizował Morellemu, że ma kolejne pytanie.

– Osoba, która pana zaatakowała... Nie wie pan, jakiego była wzrostu, płci, w jakim wieku?

Włoch wzruszył ramionami.

– Sprawca w ogóle się nie odezwał ani nic panu nie zabrał?

Kolejne wzruszenie ramionami.

– Czyli przestępstwo z nienawiści – podsumowała Meiklejohn.

– W przypadku przestępstw na tle rasowym sprawcy najczęściej wyżywają się zarówno werbalnie, jak i fizycznie – zauważył Fox. – Chcą, żeby ofiara wiedziała, dlaczego jej się to przytrafiło.

Dziewczyna zbyła tę uwagę wzruszeniem ramion.

– Jak poznała się wasza trójka? – zapytała Clarke, żeby wypełnić czymś milczenie.

– Na przyjęciu – odparł Morelli.

– U pana bin Mahmouda?

Włoch pokręcił głową.

– U naszego wspólnego znajomego w St Andrews.

– Oboje tu studiujecie? – Clarke patrzyła, jak Meiklejohn i Morelli kiwają głowami. – Literaturę angielską?

Kolejne kiwnięcia.

– Podczas gdy pan bin Mahmoud studiował biznes w Londynie...

– Ale i tak należał do naszej paczki – zaznaczyła Meiklejohn.

– To rodzaj kręgu towarzyskiego?

– Rodzaj social network – dopowiedziała z uśmiechem dziewczyna, jakby podobało jej się to określenie.

– Pamiętam ten film – rzucił Morelli.

– Ja też. – Clarke pokiwała głową. – Banda bogatych uprzywilejowanych bubków wbijała sobie noże w plecy.

Młody człowiek zmarszczył czoło.

– Zupełnie nie tak to zapamiętałem...

**CLARKE ZAPARKOWAŁA VAUXHALLA** astrę przy St Stephen Street. Kiedy mijali pub Bailie, Fox zapytał, czy nie ma ochoty tam zajrzeć.

– Nie tutaj – odparła. – Poza tym nie zapominaj, że mam pod opieką psa. Podrzucę cię do twojego samochodu.

– Dowiedzieliśmy się czegoś od tych dwojga?

– A jak sądzisz?

– Pytam ciebie.

– Zauważyłam. – Clarke otworzyła astrę, wsiadła i zapięła pasy. Fox zrobił to samo. – Nie sprawiali wrażenia wstrząśniętych ani pograżonych w smutku.

– Dowód zblazowania klasy wyższej?

– Albo tego, że w ich świecie można znać ludzi, ale nie nawiązywać z nimi bliższych więzi. Salman bin Mahmoud był zamożny, przystojny i wysoko urodzony. Jestem pewna, że dla kogoś pokroju Salmana i Giovanniego lady Isabella jest kimś tak samo egzotycznym jak cała ta trójka dla ciebie i dla mnie.

– To na pewno jest inny świat. – Fox przez chwilę milczał. – Morelli ma podobną budowę ciała i karnację co nasza ofiara ...

– Ale bin Mahmoud miał brodę.

– Powiedzmy, że ktoś śledził Morellego w drodze od Salmana. Byli za nim, a on miał naciągnięty kaptur.

– Przypadek mylnej identyfikacji?

– Cicha ciemna alejka. Wymarzone miejsce na napaść.

Uruchamiając silnik i wyjeżdżając z ciasnego miejsca parkingowego, Clarke zastanawiała się nad tym.

– Nie wydaje mi się też, żebyś sprawiedliwie oceniła ten film – dodał Fox.

– Mnie też się tak wydaje – przyznała z uśmiechem. – Ale tylko to przyszło mi w tamtym momencie do głowy.

– To i bidet – odparł Fox, odwzajemniając jej uśmiech.

## Rozdział 5

PO PRZYWIEZIENIU BRILLA i jego rzeczy do swojego mieszkania Clarke usiadła na chwilę na sofie, podczas gdy pies badał nowe otoczenie. Wydawał się jednocześnie zaintrygowany i trochę zasmucony; tęsknił oczywiście za swoim panem i być może obawiał się, że będzie odtąd wędrował z miejsca na miejsce. Clarke zjadła resztki z lodówki i wypila pół szklanki miętowej herbaty, po czym włożyła ponownie płaszcz i ruszyła ku drzwiom. Brillo próbował jej towarzyszyć. Stojąc na klatce schodowej, słuchała przez chwilę jego szczekania, a potem otworzyła z powrotem drzwi.

– Skoro nalegasz – mruknęła, biorąc go na ręce.

W samochodzie zachowywał się grzecznie; merdał ogonem, przyciskając łapy do szyby od strony pasażera i obserwując mijane sklepy, bary, restauracje, a także przechodniów. Cel podróży Clarke mieścił się dość blisko. Wsiadając, zostawiła uchyloną na trzy centymetry szybę i powiedziała psu „Zostań, mały”. Taki układ najwyraźniej odpowiadał Brillowi.

Znajdowała się tuż przy wschodnim skraju Cowgate. W weekendowe noce często dochodziło tu do bijatyk i innych incydentów, ale weekend jeszcze się nie zaczął i było dość wcześnie. Tak czy inaczej, przed większością lokali widać było jednego albo dwóch bramkarzy gotowych stawić czoło niepożądanym gościom lub kłopotom. Clarke wygooglowała klub Jenever i okazało się, że jej domysły były słuszne. Jeszcze kilka miesięcy temu mieścił się tutaj nocny klub o nazwie Devil's Dram, specjalizujący się w drogich gatunkach whisky, zawyżonych rachunkach, nocnych didżejskich popisach i tańcach. Wyglądało na to, że choć whisky ustąpiła miejsca ginowi, zewnętrzna fasada pozostała z grubsza ta sama.

Przechodząc przez ulicę, nie mogła się powstrzymać, by nie zerknąć w lewo, w stronę anonimowego budynku prosektorium. Ci, którzy tam pracowali, nazywali je „martwym punktem” miasta, a mimo to życie wszędzie wokół tętniło intensywnością – przynajmniej jeśli sądzić po łomocie dochodzącym z wnętrza klubu, gdy bramkarz w garniturze otworzył przed nią drzwi. Zanim zdążyła wejść do środka, ktoś położył rękę na jej ramieniu.

– Zabawne, że tu się spotykamy. – Obróciła się i zobaczyła przed sobą uśmiechniętą twarz Malcolma Foxa. – Byłem już gotów postawić na tobie kreskę.

Zamiast wejść do środka, oboje odsunęli się na bok.

– No dobrze, jestem pod wrażeniem – przyznała Clarke, pilnując, by w jej głosie nie zabrzmiało nic poza tym.

– To było chyba wtedy, kiedy zaproponowałem ci drinka, a ty odpowiedziałaś „Nie tutaj”. Zdałem sobie sprawę, że masz na myśli jakieś inne miejsce... a ponieważ padła wcześniej nazwa Devil’s Dram...

– Grozi ci, że staniesz się w tym dobry.

– Ale chodzi o coś więcej, prawda?

Clarke zastanawiała się przez chwilę, nim odpowiedziała.

– Meiklejohn nie była, jak byś to powiedział, na haju, ale coś wzięła. Moim zdaniem kokainę.

– Prawdę mówiąc, nie zauważyłem tego. – Fox chyba miał o to do siebie pretensję.

– Pewnie widziałam w życiu więcej kokainistów niż ty.

– To prawda, że prowadzę ascetyczne życie. Ale potrafię dodać dwa do dwóch, więc wiem, że nie przyszedłeś tutaj, by mieć na oku Giovanniego i Issy... którzy swoją drogą jeszcze się nie pojawili.

Clarke wbiła w niego wzrok.

– Byłeś tu przez cały czas?

– Nie miałem innych planów. Ale nie myślę się, prawda? Devil’s Dram należał niegdyś do niejakiego Morrisa Geralda Cafferty’ego i tylko dlatego,

że zmieniły się trendy w konsumpcji alkoholu, nie ma powodu sądzić, że nie pociąga dalej za sznurki.

– Co jeszcze wiemy o Caffertym?

– Że prawdopodobnie nadal kontroluje dużą część miejscowego handlu niedozwolonymi substancjami.

– Czyli wiesz tyle samo co ja. Ale dziwne, że jeszcze ich tu nie ma. Można było odnieść wrażenie, że się spieszą.

– Prawie jakby chcieli się nas pozbyć. Więc jaki jest plan, inspektor Clarke?

– Szybki drink pod koniec długiego dnia – odparła, wzruszając ramionami.

– Jasne, Cafferty na pewno w to uwierzy. – Fox wyciągnął do niej dłoń. Clarke spojrzała na nią. – Dobrze jest móc znów z tobą pracować, Siobhan.

– Wzajemnie – odparła w końcu, wymieniając z nim uścisk dłoni. A kiedy Fox chciał cofnąć rękę, mocniej ją ścisnęła. – A skoro już się zakumplowaliśmy, powiedz mi, dlaczego w Gartcosh tak się tym interesują.

Wpatrywała się bacznie w Foxa, który toczył wewnętrzną walkę. W końcu pokiwał głową i przeszedł kilka kroków chodnikiem.

– Zwrócił się do nas z prośbą Wydział Specjalny w Londynie – wyjaśnił półgłosem. – Zastanawiają się, czy nie było w to zaangażowane państwo. To znaczy Saudyjczycy. Choć nie odbyło się to raczej w ich stylu.

– W tym sensie, że nie poćwiartowali go i nie wywieźli w walizce? – Clarke puściła jego dłoń. – A ty jak uważasz?

– Za wcześniej, żeby wyciągać jakieś wnioski.

– To miałyby być wiadomości dla jego ojca?

Fox wzruszył tylko ramionami.

– Jesteś na bieżąco.

– Wie o tym reszta zespołu?

– Wydział Specjalny uważa, że lepiej tego nie nagłasniać.

– Dlaczego?

- Gdybym był wielkoduszny, powiedziałbym, że chcą, żebyśmy mieli otwarty umysł.

- A gdybyś przypadkiem nie był?

- Nie chcą, żeby Saudyjczycy pomyśleli, że ich podejrzewamy. Mogłoby to narazić na szwank nasze drogocenne stosunki handlowe.

- Im mniej ludzi wie, tym mniejsze ryzyko przecieku. - Clarke pokiwała ze zrozumieniem głową. - Więcej niczego przede mną nie ukrywaj, Malcolm - ostrzegła.

- Rozumiem, że powiesz o tym nadinspektorowi?

- Jest jakiś powód, dla którego nie powinnam tego robić?

- To twoja decyzja, Siobhan.

- Moja decyzja - potwierdziła, ruszając w stronę pilnujących wejścia bramkarzy.

**ZDECYDOWALI, ŻE NAJPIERW** skontrolują toalety, sprawdzą, czy nikt nie wciąga kreski. W głównej sali było dość głośno. Nad parkietem wisiały podświetlane z dołu lustrzane kule. Didżej kołysał się niespiesznie przed kilkoma laptopami, ludzie tańczyli. Wieczór był młody, lokal dopiero do połowy pełny, ale generował sporo hałasu i potu. Barmani popisywali się, przyrządzając na wyścigi koktajle.

Była tam antresola, na którą wchodziło się po przezroczystych schodach, i podziemia, gdzie prawie na pewno było trochę ciszej.

Clarke знаła dobrze to miejsce, ale odkąd zmieniło nazwę, nigdy tu nie była. Tandetny okultystyczny wystrój Devil's Dram zastąpiły pseudowiktoriańskie kotary, kinkiety udające gazowe latarnie oraz boazeria z ciemnego drewna. Pchnęła drzwi do damskiej toalety i zaczęła udawać, że przegląda się w długim lustrze nad rzędem umywalek. Zamknięta była tylko jedna kabina. Kobieta, która w końcu z niej wyszła, stanęła obok Clarke; poprawiała jedną ręką włosy, a w drugiej trzymała komórkę.

- Coś słabo tu dzisiaj - mruknęła Clarke.

- Bywało ciekawiej.



Drzwi toalety otworzyły się i do środka weszła kolejna młoda kobieta, stukając ośmiocentymetrowymi obcasami. Zmierzyła nieufnym spojrzeniem Clarke, oceniając krytycznie niezbyt modny strój i podeszły wiek jego właścicielki. Clarke zdała sobie sprawę, że owszem, mogłaby być matką każdej z nich.

– Gary to skończony kutas – powiedziała nowo przybyła, która wbijając wzrok w telefon, zmierzała do kabiny.

– Gary? – Clarke popatrzyła na stojącą obok niej dziewczynę, ale ta wzruszyła tylko ramionami, obciągnęła krótką lśniąca sukienkę, przejrzała się po raz ostatni w lustrze i wyszła.

Głos dobiegający z kabiny odbijał się głośnym echem – lista przywar Gary’ego okazała się dość długa. Clarke rozejrzała się po raz ostatni, szukając wzrokiem śladów białego proszku, i wyszła na zewnątrz. Przy drzwiach czekał na nią wielki posępny facet. Zerkając w stronę męskiej toalety, zobaczyła, że Fox ma podobną asystę.

– Szef chce z panią pomówić – usłyszała.

– Wcale się nie dziwię – odparła. Popatrzyła na Foxa i widząc, że ten wzrusza ramionami, pozwoliła poprowadzić się w ślad za nim i jego opiekunem po parkiecie i schodach na antresolę, gdzie na narożnej małej kanapie siedział wygolony na łyso zwałisty Morris Gerald Cafferty.

– Miałem wrażenie, że to wy – odezwał się z uśmiechem, dając znak, by oboje usiedli.

Miejsca na kanapie było dosyć, ale Clarke czuła przy nodze udo Foxa.

– Podać wam coś do picia? – spytał Duży Ger.

– Nie trzeba – odparł Fox.

Cafferty odprawił machnięciem dłoni dwóch bramkarzy i skupił uwagę na dwójce gości.

– Wchodzicie do klubu, ale nie macie ochoty się napić. Rozumiem, że jesteście nadal na służbie?

– Zmienił pan to miejsce – rzuciła lekkim tonem Clarke.

Wskazał ręką stojący przed nim pękaty kieliszek.

- Dzisiaj strzałem w dziesiątkę jest gin. Tani i szybki w destylacji. Wystarczy dolać toniku... a dolewają go wszyscy... i trudno nie osiągnąć wysokiego zysku.

- Zmiana wystroju też chyba niewiele kosztowała - skomentowała Clarke, z satysfakcją obserwując, jak Cafferty stara się ukryć irytację.

- Zajmujecie się zabójstwem tego arabskiego studenta? - spytał.

- Zgadł pan - odparł Fox.

- Sprawa musi mieć wysoki priorytet, skoro przyniosło pana tu z samego Gartcosh. Wciąż w Wydziale Poważnych Przestępstw, inspektorze?

Fox pokiwał głową.

- Inspektor Clarke pewnie nie może przeboleć, że dostał pan awans, który należał się jej.

- Salman i jego znajomi byli tu stałymi klientami? - zapytała Clarke, nie dając się zbić z tropu.

- Pojawili się parę razy - przyznał Duży Ger. - Urządziłem w podziemiach strefę dla VIP-ów. Jeśli was polubię, dostaniecie małe czarne karty, z którymi będziecie mogli tam wejść.

- Nie miał pan przypadkiem z nim jakiejś scysji?

- Z księciem? - Cafferty uśmiechnął się, tak absurdalne wydało mu się to przypuszczenie.

- Nie wydaje mi się, żeby był księciem - wtrącił Fox.

- Ale lubił, kiedy go tak nazywałem. - Cafferty zmienił pozycję na kanapie. - Sprawdziłem go w internecie, przeczytałem informacje o jego ojcu. Polityka to bagno, prawda? Źródło całego zła - stwierdził z błyskiem w oku.

Clarke zastanawiała się, ku czemu zmierza.

- Słyszałem - ciągnął - że stała się pani ekspertem od przeprowadzek, pani inspektor. Niech pani pamięta: zawsze trzeba zginać kolana. Jak podoba się Rebusowi jego emeryckie mieszkanko?

- Czy Salman i jego świta coś od pana kupowali? - zapytała.

Cafferty otworzył szerzej oczy z udawanym przerażeniem.

– Czyżby zarzucała mi pani handel narkotykami? Zanim się obejrzę, wyjdzie na jaw, że zadźgałem młodego arabskiego studenta z powodu nieudanej transakcji. – Prychnął lekceważąco. – Widzę, że bystrzacy w dochodzeniówce mają jak zwykle do dyspozycji tępe narzędzia. A skoro mowa o narzędziach, to dalej grzejesz łóżko swojemu szefowi, Siobhan? Biurowe romanse rzadko się dobrze kończą. Wystarczy spojrzeć na obecnego tu Malcolma i... – Strzelił palcami i zmarszczył czoło. – Mam jej imię na końcu języka.

– Nie przyszedłszy tu na pogawędki – oświadczyła Clarke, wstając z kanapy. – Powiedziano nam, że spotkamy u pana dwójkę znajomych ofiary. Mamy do nich jeszcze kilka pytań. Będziemy mogli sprawdzić tę pańską strefę dla VIP-ów?

– Nie krępujcie się. Właściwie nawet nalegam, żebyście tam zeszli. Na pozłacanym stoliku przy barze znajdziecie żyletki i zwinięte pięćdziesiątki. Może nawet coś bardziej egzotycznego, jeśli zgadniecie tajne hasło... – Duży Ger, rechocząc, patrzył, jak się oddalają.

Idąc w dół po schodach, Fox nie mógł się nie obejrzeć.

– Starzeje się – szepnął do Clarke. – Ten połysk na twarzy nie wyglądał najzdrowiej.

– Może testuje towar.

– Nie zrobiłby tego, prawda?

– Nie – przyznała Clarke.

– Kto twoim zdaniem przekazuje mu te wszystkie informacje na nasz temat?

– To może być ktokolwiek. Pokaż mi komisariat, który nie przecieka jak durszlak.

– Święta racja.

Dotarli do kolejnych schodów prowadzących na dół. Strzegł ich bramkarz lepszego sortu, stojący ze splecionymi z przodu dłońmi przy czarnym aksamitnym sznurze. Na ich widok odpiął sznur od słupka.

– Powinniśmy chyba okazać kartę – mruknęła Clarke.

- Stróżów prawa to nie dotyczy - odparł mężczyzna głosem dobiegającym jakby z głębokich czeluści.

Clarke i Fox zeszli na dół. Światło było tu nieco jaśniejsze, muzyka - cichsza. Olśniewająca kobieta obsługująca mały bar nie robiła raczej wrażenia przepracowanej. Wszystkie stoliki dokoła były puste.

- Nie ma nawet zwiniętej piątki - szepnął Fox.

Za sklepionym wejściem znajdował się nieodnowiony ceglany korytarz. Clarke wyczuła niewyraźny zapach wilgoci. Wiedziała, że w tym rejonie starego miasta jest wiele takich podziemnych piwnic i korytarzy. Po obu stronach mieściły się dyskretne salki, w których mogli się bawić posiadacze czarnych kart. Każde z pomieszczeń było zasłonięte czerwoną kotarą. Zamiast elektrycznych lampek paliły się prawdziwe świece. Preferowanym alkoholem był szampan w wiaderku. I chociaż obowiązywał chyba zakaz palenia, kilka osób paliło e-papierosy. Mijając jedną z salek, Clarke spostrzegła Meiklejohn i Morellego. Najwyraźniej dopiero przyszedli i zdejmowali płaszcze, witając się z trzema popijającymi już tam osobami. Żadna z nich nie podniosła wzroku, kiedy detektywi je mijali. Clarke dała znak Foxowi, żeby zawrócili, ale i tym razem grupka nie zwróciła na nich uwagi.

Zatrzymali się na chwilę przy barze.

- Wiesz, kto to był? - zapytała Clarke.

- Nie mam jeszcze sklerozy.

- Nie chodzi mi o tę nabzdyczoną sukę i włoskiego ogiera. Mówię o facecie z dwiema modelkami.

- Nie miałem szansy się przyjrzeć...

- Nazywa się Stewart Scoular. Był członkiem szkockiego parlamentu, dopóki Szkocka Partia Narodowa nie wyrzuciła go ze swoich szeregów. Poszło o jakieś rasistowskie komentarze, które opublikował online. Później przedzierzgnął się dyskretnie w dewelopera.

- Rozumiem.

Hostessa zapytała, czy chcą się czegoś napić. Na koszt firmy.

– Jesteśmy na służbie – odparł Fox i patrzył, jak uśmiech spelza jej z twarzy.

Clarke wchodziła już z powrotem po schodach. Wyszedł razem z nią na Cowgate.

– Dlatego miał ten błysk w oku – powiedziała.

– Cafferty?

Pokiwała głową zamyślona.

– Kiedy mówił o polityce, wiedział cholernie dobrze, że znajdziemy na dole Stewarta Scoulara. Tak jakby dawał nam współrzędne na swoim GPS-ie.

– Dlatego tak nalegał, żebyśmy sprawdzili strefę VIP-ów?

Clarke ponownie pokiwała głową.

– Co ty knujesz, Cafferty? – mruknęła.

– To, że bogaty deweloper zna ludzi pokroju Meiklejohn i Morellego, nie jest chyba czymś niezwykłym?

Przez chwilę się zastanawiała.

– Jest pewnie z piętnaście lat od nich starszy, ale nie, nie ma w tym nic niezwykłego.

– A zatem... – Fox przerwał i wyprostował ramiona, widząc spojrzenie, jakie mu posłała. – Chcesz przez to powiedzieć, że twoja intuicja jest lepsza od mojej? Może dlatego awans należał się bardziej tobie niż mnie?

– Znasz Cafferty'ego. Jeśli uda mu się wbić pomiędzy nas klin, na pewno to zrobi. Temu miała służyć ta tania zagrywka.

– Ale uważasz, że chciał ci coś zasugerować tą uwagą na temat polityki?

– Jestem tego prawie pewna.

– Choć nie wiesz, co to mogło być.

Clarke pokręciła głową.

– I co to dla nas oznacza? – spytał Fox.

– Oznacza, że wracamy do domu. Mam tylko nadzieję, że nikt nie ukradł Brilla.

- Zostawiłaś go w samochodzie? Johnowi chyba by się to nie spodobało.

- W takim razie powinien chyba ruszyć dupę i tu wrócić, nie sądzisz?

- Jestem pewien, że nad tym pracuje.

Wbiła w niego wzrok.

- Jesteś pewien? - zdziwiła się.

- Niezupełnie - przyznał Fox, podnosząc dłonie w geście kapitulacji.

**POJAWIŁ SIĘ KELNER I** zamienił pusty kieliszek Cafferty'ego na pełny. W środku była lemoniada, ale nikt nie musiał o tym wiedzieć. Duży Ger chciał, by klienci uważali, że jest fanem produktu, który oferował. Dawniej, kiedy sprzedawał whisky, niezłą imitacją był sok jabłkowy. Teraz, trzymając w ręce iPada, odtwarzał po wielokroć zapis z kamer monitoringu. Nie wiedział na pewno, czy Clarke zauważyła Scoulara, ale uznał, że to całkiem prawdopodobne. Gdyby chodziło tylko o Foxa, tego misiowatego fajtlapę, sytuacja wyglądałaby inaczej.

- To ciekawe - mruknął pod nosem, przybliżając i oddalając obraz i sprawdzając zapisy z różnych kamer. Wyperfumowaną lady Isabellę i jej towarzysza o oliwkowej cerze dzieliły od Clarke i Foxa niecałe trzy metry, a mimo to detektywi nie podeszli do nich. To oznaczało, że Clarke kłamała, mówiąc, że chcą im zadać kilka dodatkowych pytań. Wizyta była zatem czymś w rodzaju rekonesansu. Oczywiście. Czyżby oboje musieli nagle równocześnie skorzystać z toalety? Szukali narkotyków.

Cafferty uśmiechnął się leciutko.

- Powinnaś była zostać na darmowego drinka, Shiv. - Oceniał, że w ciągu kilku następnych minut lady Isabella sięgnie do torebki i wyciągnie małą paczuszkę, której zawartością będzie chciała się podzielić ze znajomymi. Nie wszyscy skorzystają z zaproszenia: Scoular na przykład nie lubił niczego wciągać do nosa. Ale Cafferty miał sporo nagrań innych osób, w tym również nieszczęsnego Salmana bin Mahmouda. Może żadne z nich nie okaże się przydatne, ale przecież nigdy nie wiadomo, prawda? Tymczasem powinien do nich pójść i złożyć

kondolencje. Czyż dopiero co nie stracili przyjaciela i ten wieczór nie był czymś w rodzaju stypy? Być może nawet zdoła ich zapytać o to, co najbardziej nie dawało mu spokoju: co takiego młody książę robił w zakazanej części miasta, daleko od swojego georgiańskiego domu i jego udogodnień? Czy było coś, co Cafferty przegapił na tych długich godzinach nagrań?

Kiedy będzie następnym razem unowocześniał system, na pewno zadba o to, by rejestrował również dźwięk; na razie jednak z całą powagą, na jaką było go stać, wstał i wziął do ręki drinka.

# Dzień drugi



## Rozdział 6

**BUDZĄC SIĘ NA SOFIE, REBUS** zobaczył wpatrzone w siebie oczy.

– Gdzie jest tato? – zapytała cicho Carrie.

Usiadł na łóżku i zerknął na zegarek. Minęła dopiero siódma. Wnuczka była nadal w piżamie.

– Słyszałam, jak mama płakała – powiedziała. – Czy tato odszedł, bo mama krzyczała?

– Krzyczała?

– Oboje krzyczeli. Ale tato próbował tego nie robić. – Dziewczynce zadrżała dolna warga.

Rebus zamrugał, strząsając z powiek resztki snu.

– Kłócili się? Tamtego wieczoru, kiedy tato wyjechał?

– Bo powiedziałam mu, że pojechalysmy obejrzeć kurczaki. – Carrie była na skraju łez.

– To nie twoja wina, w żadnym wypadku – zapewnił ją Rebus. – Czyje kurczaki? – zapytał po chwili.

– Jessa – odparła, pociągając nosem.

– Powinnaś się ubrać – powiedział. – Zobaczymy się przy śniadaniu. O nic się nie martw, dobrze?

Nie mówiąc już ani słowa, poczłapała do swojego pokoju. Rebus szybko się ubrał, złożył najlepiej, jak potrafił, kołdrę, i otworzył okno, żeby wywietrzyć pokój. W nocy padał deszcz, ale niebo się przecierało. Słyszał jednak szum wiatru, który szarpał zasłonami. Wieczorem Samantha naląła im obojgu whisky i rozmawiali, w większości na bezpieczne tematy, desperacko starając się nie pokłócić. Teraz zapukała do drzwi salonu i przyniosła mu kubek kawy.

– Dobrze spałeś?

– Jak dziecko.

– Zjesz płatki? Nie mamy raczej nic innego.

– Normalnie starcza mi kawa.

Pokiwała głową, myślami będąc gdzie indziej.

– Żadnych nowych wiadomości? – Raczej stwierdzał fakt, niż pytał.

Pokręciła głową.

– Zrobię śniadanie – rzuciła, odwracając się do wyjścia.

– Zapomniałem cię o coś wczoraj zapytać, Samantha. Fotel pasażera w volvie był mokry.

– Szyba była opuszczona.

– Kiedy to odkryłaś?

– Deszcz napadał do środka – powiedziała tylko.

– Zastanawiałaś się, dlaczego szyba była opuszczona?

– Zrobię śniadanie – powtórzyła.

– Poczekaj... jest coś jeszcze. Tego wieczoru, kiedy Keith wyszedł z domu, pokłóciliście się, prawda? O to, że odwiedziliście Jessa Hawkinsa.

Twarz jej pociemniała.

– Ta mała...

– Nie możesz jej winić... i tak sama się obwinia. Nie pomyślałaś, żeby powiedzieć o tym Creaseyowi?

– Po co?

– Bo jeśli popyta i powie mu o tym ktoś inny...

– To nie było nic wielkiego, tato, naprawdę. Keith nie był zadowolony, że tam nadal jeżdżę, ale ja lubię tych ludzi. Nadaję na tej samej fali co oni.

– Bardziej na tej samej fali niż Keith?

– Nie wiem... Pod pewnymi względami... – Samantha wbiła wzrok w ojca. – Masz zamiar mu powiedzieć?

– Wolałbym, żeby to wyszło od ciebie.

– A ja wolałabym, żebyś trzymał się od tego wszystkiego z daleka. – Wyszła z salonu, zatrzaszkując za sobą drzwi.

Dopiero gdy Rebus usłyszał dobiegające z kuchni głosy matki i córki, dyskutujących o jakimś szkolnym projekcie, ruszył do łazienki, by wziąć

gorący prysznic. Kiedy wszedł do kuchni, kończyły już śniadanie. Uświadomił sobie, że Samantha nakryła dla niego tam, gdzie normalnie siadał Keith. Starając się nie wchodzić nikomu w drogę, stanął w miejscu. Wkładając naczynia do zmywarki, Samantha wyliczała rzeczy do zrobienia.

„Jasne” albo „Załatwione”, meldowała Carrie w odpowiedzi na każdy punkt.

– W takim razie załóż płaszcz i weź plecak – powiedziała w końcu Samantha, zamykając zmywarkę.

– Mogę was odprowadzić? – zapytał Rebus.

Odejście od codziennej rutyny chyba wprawilo Carrie w zakłopotanie.

– Nie wiem, czy to naprawdę konieczne – odparła chłodno Samantha.

– Ale bardzo mi na tym zależy. – Rebus utkwiał wzrok we wnucze. – Nie masz nic przeciwko temu? – zapytał i dziewczynka w końcu pokręciła głową.

– Dziękuję – powiedział.

Przez parę minut szli w milczeniu, Carrie oglądając się co chwila w stronę domu, Samantha trzymając w ręce komórkę niczym talizman. Choć Naver był małą miejscowością, mieli tu zarówno podstawówkę, jak i gimnazjum, z liczbą uczniów sięgającą raczej kilkudziesięciu niż kilkuset. Samantha zawsze wyrażała się z uznaniem o poziomie nauczania, a Carrie, kiedy ją o to zapytał, wyliczyła zalety swojej nauczycielki.

– Problemem jest zachęcenie nauczycieli, żeby tu zostali – dodała Samantha.

Zbliżając się do centrum wioski, Rebus zobaczył, że maska saaba jest otwarta, a nad silnikiem pochyla się mężczyzna w niebieskim kombinezonie i pikowanej kurtce.

– Zostawię was tutaj – zwrócił się do córki i wnuczki. – Miłego dnia w szkole, Carrie.

Dziewczynka mruknęła coś niezrozumiale, ruszyła dalej i po chwili wyprzedziła matkę. Rebus miał nadzieję, że Samantha obejrzy się i będzie

mógł jej pomachać. Nie zrobiła tego. Z The Glen wyszła z kubkiem herbaty May Collins. Mechanik przerwał pracę i wziął go od niej. Uśmiechnęła się do Rebusa na powitanie.

– To jest John. Ojciec Samantha – poinformowała mechanika.

– Mick Sanderson – przedstawił się mężczyzna, podnosząc zabrudzone olejem palce, żeby pokazać, dlaczego nie podaje mu ręki. Miał dwadzieścia kilka lat, kręcone rude włosy i piegowałą twarz.

– Dziękuję, że pan się tym zajął – powiedział Rebus. – Udało się go uruchomić?

– Dopiero zacząłem – wyjaśnił Sanderson. – To może być drobiazg albo coś większego. Im starszy samochód, tym więcej potrzebuje uczucia.

– Ostatnio być może trochę go zaniedbałem.

– Niech mi pan wierzy: to widać.

– Jeśli w ogóle da się coś zrobić – wtrąciła May Collins – to Mick na pewno jest odpowiednim facetem. W komunie mają traktor, który powinien trafić do muzeum techniki, a dzięki Mickowi jest wciąż na chodzie.

– Tym właśnie jest to miejsce, Mick? – zapytał Rebus. – Komuną?

Mechanik wzruszył ramionami.

– Nazwa równie dobra jak inne. Żyjemy razem, uczciwie dzielimy się robotą; może nas pan odwiedzić.

– Być może to zrobię – rzucił Rebus. – Wie pan pewnie, po co tu przyjechałem? – dodał po chwili.

– Słyszałem o Keicie, jeśli o to pan pyta.

– Więc zna go pan?

– Odwiedził nas raz z Samantha.

– Ale to miejsce nie spodobało mu się tak bardzo jak jej? – Rebus patrzył, jak chłopak wzrusza ramionami. – A może nie spodobali mu się ludzie?

– Z mojego doświadczenia wynika, że to jedno i to samo.

– Pracuje w elektrowni jądrowej. To chyba niezbyt zgodne z ideałami New Age.

– Ale przecież ją likwiduje, tak? Zabezpiecza ją. W tej kwestii nie ma między nami sporu. Za to ten benzynożerca... – Sanderson postukał kłykciami w karoserię saaba.

– Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że kupiłem go, zanim zaczęło się globalne ocieplenie.

May Collins roześmiała się i nawet Sanderson lekko się uśmiechnął.

– Zapomniałam o zasadach dobrego wychowania – odezwała się May. – Zrobić ci herbaty, John?

– Nie, dziękuję – odparł Rebus. – May dała panu mój numer telefonu? – zwrócił się do Sandersona.

– Kiedy będę coś wiedział, dam panu znać. Rozumiem, że zadowolili pana, jeśli uda się nim dojechać do warsztatu?

– Jeśli taka jest pańska oferta.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Rebus pokiwał głową.

– Jeszcze raz dziękuję. A właśnie... czy wasza komuna ma jakąś nazwę?

– Niekoniecznie.

– Macie jakieś godziny otwarcia?

– W dzień i w nocy zawsze pan kogoś znajdzie. – Sanderson postawił kubek na asfalcie i ponownie pochylił się nad silnikiem.

– W dniu zaginięcia Keitha Samantha i Carrie złożyły wam wizytę – powiedział Rebus.

– Naprawdę?

– Żeby obejrzeć kurczaki.

– Pewnie byłem zajęty gdzie indziej.

Rebus przyglądał się jeszcze przez kilka sekund pracującemu mechanikowi.

– W takim razie zostawiam pana – rzucił w końcu.

May Collins ścisnęła go za ramię.

– Otwieramy w południe – powiedziała. – Przyprowadź Samanthę na lunch. Mamy tylko zupę i kanapki, ale dobrze jej to zrobi.

– Zapytam ją – obiecał Rebus.

May ścisnęła go trochę mocniej.

– Nie zapomnij.

Wracając do domu, trzymał ręce w kieszeniach, a kurtkę miał zapiętą pod samą szyję. Było prawdopodobnie tylko trzy albo cztery stopnie zimniej niż w Edynburgu, lecz wiatr wiał z samego bieguna i nie napotykał żadnych przeszkód. Drzwi do domu nie były zamknięte. Rebus wszedł do środka, ale nie mógł tam usiedzieć. Znalazł kluczyki do volva. Auto nie stało już w zatoczce, tylko przed domem. Rebus napisał wiadomość i zostawił ją na kuchennym stole, bo nie chciał, by Samantha pomyślała, że to Keith wrócił i zabrał samochód. Ale kiedy wyszedł na dwór, szła właśnie do domu.

– Wybieram się na przejażdżkę – powiedział.

– Nie wystarcza ci moje towarzystwo?

– Nie o to chodzi. Najlepiej mi się pracuje, kiedy nikt nade mną nie stoi.

– Więc to nie będzie zwykła przejażdżka?

– Pewnie będzie. A ty tymczasem możesz podzwonić po kolegach i znajomych Keitha i sprawdzić, czy nie mają jakichś nowych wiadomości. Może pominęłaś kogoś, kiedy za pierwszym razem ich obdzwaniałaś.

Samantha przyjrzała się telefonowi, który trzymała w ręce.

– Telefonował ten detektyw – mruknęła.

– Creasey?

– Po tym, jak odprowadziłam Carrie. Kolejne pytania na temat mnie i Jessa. – Rzuciła ojcu oskarżycielskie spojrzenie.

– Nic mu nie mówiłem. Wspomniałaś mu o kłótni?

– To nie była kłótnia.

– Tak czy siak. – Rebus przez chwilę milczał. – Wrócę na lunch. May Collins powiedziała, że powinniśmy coś zjeść w pubie.

– Może rzeczywiście – zgodziła się Samantha.

Pochylił się, żeby cmoknąć ją w policzek, ale się odsunęła. Nie pozostało mu więc nic innego, jak wsiąść do samochodu.

Wyjechał z wioski na zachód, drogą A836. Po prawej stronie miał linię brzegu – na ogół niewidoczną – po lewej wzgórze, na których co jakiś czas widział pasące się owce. W końcu zauważył prowizoryczny drogowskaz kierujący do przydrożnego hostelu i kafejki. Mieściły się w solidnym, okazałym domostwie z parterową współczesną dobudówką. Rebus zaparkował na nieutwardzonym parkingu i podszedł do drewnianych drzwi, na których widniał odręczny napis głoszący: *Tak, naprawdę jesteśmy otwarci! Naciśnij klamkę!* Zrobił to i wszedł do sali, w której były cztery stoły i kontuar. Stojący za nim mężczyzna, mniej więcej w jego wieku, pozdrowił go uniesioną dłonią.

– Co panu podać?

– Tylko kawę – odparł Rebus, rozglądając się na boki. Na jednej ze ścian wisiały fotografie i pocztówki. Te ostatnie były od turystów dziękujących za napoje, bułeczki i ciastka oraz za ciepłe przyjęcie. Fotografie przedstawiały gości pozujących na tle kafejki albo opatulonych w wiele warstw odzieży i stojących na zboczu z plecakami. Mężczyzna nastawił ekspres i odwrócił się do Rebusa.

– Domyślam się, że nie jest pan piechurem... w każdym razie nie dzisiaj.

– Zdradził mnie ubiór?

– Przede wszystkim brak porządnych butów.

– Bardziej interesuje mnie historia niż geografia.

– Obóz Tysiąc Trzydziesty Trzeci?

Rebus podszedł do kontuaru.

– Zgadza się. Opowiedzieli mi o nim członkowie miejscowego kółka historycznego.

– Zachodzą tu – oznajmił mężczyzna, kiwając głową.

– Wie pan, że jeden z nich zaginął?

– Tak, Keith Grant. – Mężczyzna utkwiał nieruchomy wzrok w Rebusie. – A pan jest ojcem Samantha, który udaje przypadkowego turystę. Wieści się rozchodzą – dodał i wskazał ręką okno. – W dodatku jeździ pan autem Keitha.

– Moja córka jest cała w nerwach – powiedział Rebus. – Pytam ludzi w okolicy, żeby czegoś się dowiedzieć.

– Nie znam tak naprawdę pańskiej córki, ale Keith był... jest tutaj stałym gościem. O zmierzchu musieli go prawie siłą wyciągać z terenu obozu. A potem zestawiali razem dwa stoły i ślęczeli nad tymi swoimi mapami, notatkami i fotografiami. Wątpię, czy kiedykolwiek zarobiłbym w ten sposób na emeryturę. – Mężczyzna urwał nagle i podniósł kubek, do którego właśnie nalał kawy. – Nadał pan jej chce czy to był tylko pretekst?

– Zdecydowanie chcę. – Kubek wylądował na kontuarze i Rebus wziął go do ręki. – Kiedy powiedział pan o emeryturze – mruknął – nie mogłem nie pomyśleć...

– Że w moim wieku dawno powinienem na nią przejść? – Mężczyzna podrapał się po rumianym policzku. Jego oczy lśniły pod gęstymi siwymi brwiami. – Cóż, ma pan rację. Moja żona i ja przenieśliśmy się tutaj, kiedy sprzedaliśmy firmę. Jesteśmy z Lancasteru. Zmarła w zeszłym roku. – Rozejrzał się. – To był jej pomysł. Lubiła być pośród ludzi. Nie żeby żyć w wielkim mieście, ale żeby ich u siebie gościć, rozumie pan? Wyciągała z nich różne historie, a potem zapisywała o każdym kilka linijek w zeszycie. Można powiedzieć, że takie miała hobby.

– Wygląda na to, że miejscowe kółko historyczne mogło być jej bliskie.

– Oczywiście. To jeden z powodów, dla których zaczęli tu przychodzić. Moja Rosemary zasugerowała nawet, że Obóz Tysiąc Trzydziesty Trzeci powinien być ich priorytetowym projektem.

– Szkoda, że jej z nami nie ma.

– Ja też tego żałuję. – Mężczyzna podał Rebusowi dłoń. – A tak w ogóle to jestem Ron Travis.

– John Rebus. Więc znasz Keitha całkiem dobrze, Ron?

– Dlatego jestem tak samo zaniepokojony jak ty. Gdybyś mnie pytał, to takie zniknięcie kompletnie do niego nie pasuje.

– Może coś mu się przytrafiło?

Travis przez chwilę się nad tym zastanawiał, znowu drapiąc się po policzku.



– Tak uważa twoja córka?

Rebus uważnie mu się przyjrzał.

– Zdaję sobie sprawę, że trudno zachować tu coś w tajemnicy – powiedział.

– Keith miał swój Obóz Tysiąc Trzydziesty Trzeci, ona miała Jessa Hawkinsa i jego ludzi.

– Jak daleko stąd do tej komuny?

– Pięć minut dalej tą samą drogą.

– Blisko obozu?

Travis pokiwał głową.

– Łądują tutaj najróżniejsze typy. Ludzie tacy jak ja i Rosemary, szukający odmiany, i ludzie tacy jak Hawkins i jego kompania, pragnący w gruncie rzeczy tego samego. Nie zawsze układa im się dobrze z lokalsami, tymi, którzy od dziesięcioleci próbowali wiązać tu koniec z końcem.

– Samantha i Keith też są tu przybyszami.

– Ale mają dzieciaka... dzięki temu łatwiej ich zaakceptować. Połowa członków kółka historycznego też nie pochodzi stąd. Zabawne, że to właśnie oni najchętniej odkurzają stare historie.

– Keith z pewnością robił coś takiego z Obozem Tysiąc Trzydziestym Trzecim. Zmienił swój garaż w muzeum.

– No cóż, to ciekawa historia... i właściwie zapomniana. Widziałeś ten obóz?

– Właśnie tam jadę.

– Wiesz, że były tam różne kategorie internowanych? Kiedy wybuchła wojna, zaczęto opowiadać sobie straszne rzeczy. Włosi i Niemcy, którzy mieszkali w tym kraju od pokoleń, nagle znaleźli się pod kluczem. Potem trafili tu prawdziwi zbrodniarze wojenni... twardogłowi naziści i tak dalej. Polacy zamykali nawet własnych rodaków, jeśli ci im podpadli. Połowa wybrzeża była patrolowana przez polskich żołnierzy. – Travis zorientował się, że Rebus bacznie mu się przygląda. – Kiedy ci z kółka tu dyskutowali, czasami się im przysłuchiwałem. Marzyli, żeby gmina wykupiła teren

obozu i zmieniała go w atrakcję turystyczną. Z tego, co pamiętam, to był pomysł Keitha. Ale nic z tego nie wyszło.

– Widziałem, ile to by kosztowało.

– Nawet gdyby udało im się zebrać gotówkę, wątpię, żeby właściciel sprzedał im teren. – Travis roześmiał się. – Zamierzał przekształcić cały ten obszar w kosmodrom.

– W co?

– W miejsce, z którego startowałyby rakiety. Ale pomysł upadł. Potem miał tu być Park Ciemnego Nieba... dla ludzi, którzy obserwują gwiazdy. Wielki nowy hotel i bungalowy dla gości. Z tego, co wiem, wszystko jest nadal na deskach kreślarskich, ale już dodano do tego pole golfowe i country club.

– Ale ta posesja należy do ciebie?

Travis pokiwał głową.

– Tyle że ze wszystkich stron otaczają mnie tysiące hektarów należących do lorda Strathy'ego, który oczywiście mieszka w Londynie, a nie tutaj, na północy.

– Należy do niego również teren komuny?

– Tak, Hawkins ma jednak umowę dzierżawy napisaną w taki sposób, że wyrzucenie go stamtąd kosztowałoby lorda masę szmalu. Słyszałem, że Strathy zatrudnił całą bandę drogich prawników, żeby szukali jakiejś furtki. Na razie bez rezultatu.

– Nigdy nie słyszałem o lordzie Strathym.

– Tak naprawdę nazywa się Meiklejohn... jest jednym z kilkunastu właścicieli ziemskich, o których nikt nic nie wie. Co nie przeszkadza im posiadać pokaźnego fragmentu kraju, który ty i ja nazywamy ojczyzną. Znasz tę grupę teatralną 7:84? – Rebus pokręcił głową. – Nazwali się tak z powodu statystyki: do siedmiu procent ludności należało osiemdziesiąt cztery procent majątku. Ale to było jakiś czas temu.

– Po twoim tonie domyślam się, że ten wskaźnik raczej się nie obniżył.

– Czasami myślę, że wylądowałem tutaj, żeby nie musieć z tym żyć. Rosemary i ja byliśmy kiedyś aktywnymi działaczami: chodziliśmy na

marsze, podpisywaliśmy petycje i tak dalej. Kampania na rzecz rozbrojenia nuklearnego, walka z apartheidem, Przyjaciele Ziemi. Kiedy Tony Blair został premierem, piliśmy dwa dni. – Travis uśmiechnął się na to wspomnienie. – Ale tak naprawdę nic się nie zmieniło.

– Mimo to nie wyczuwam, żeby ta komuna budziła twoją sympatię.

– Według mnie odwrócili się plecami do świata. Dopóki dobrze się czują w swojej bańce, cała reszta może iść się walić. A Hawkins... z całą pewnością coś w sobie ma, w przeciwnym razie nie trzymaliby się go, ale niech mnie diabli, jeśli wiem, co to jest. – Travis popatrzył prosto w oczy Rebusa. – Samantha to wiedziała. Zakładam, że o tym słyszałeś?

– Słyszałem. Ale to nie trwało długo i załatała to, co łączyło ją z Keithem.

– Łata to już jednak nie to samo... przypomina ci, że coś się rozdarło.

Pod hostel podjechali dwaj motocykliści. Zsiedli z obładowanych sprzętem kempingowym maszyn i zaczęli ściągać skórzane stroje i kaski. Obaj byli siwowłosi.

– Pierwsi dzisiaj – skomentował Travis.

– North Coast pięćset? – Rebus patrzył, jak Travis kiwa głową. – Ile jestem winien za kawę?

– Dwa funty siedemdziesiąt pięć pensów. Toaleta jest na lewo od wyjścia. W Obozie Tysiąc Trzydziestym Trzecim jej nie znajdziesz.

– Dzięki.

– Powodzenia, John. Powiedz córce, że o niej myślimy.

– Powiem jej.

Dwaj motocykliści pozdrowili Rebusa, kiedy ich mijał. Odniosł wrażenie, że są Skandynawami. Rumiani i zdrowi, wydawali się zadowoleni z życia. Czuł, jak serce wali mu po zastrzyku kofeiny. Kolana i plecy nadal bolały go po wczorajszej długiej jeździe i trochę cisnęło go w skroniach po whisky, którą wypił z Samanthą. Wsiadł do volva i napisał esemesa do Siobhan; poinformował ją o sytuacji z saabem i wyraził nadzieję, że Brillo za bardzo za nim nie tęskni. Próbował sobie wyobrazić, że przez cały dzień tłucze się na motocyklu, a potem rozbija namiot

i wpełza do niego, żeby chronić się przed żywiołami. I że następnego dnia robi dokładnie to samo.

– Zależy, co kto lubi – mruknął pod nosem, żałując, że musiał rzucić palenie.

Komórka piknęła, sygnalizując, że ma zasięg – ktoś dzwonił. Numer był z Edynburga, ale Rebus go nie rozpoznawał. Mimo to odebrał.

– Halo?

– John? Mówi John Neilson. Słyszałem, że się przeprowadziłeś.

Eksgliniarz, dziesięć lat od niego starszy. W czasach, gdy się znali, pracował w komisariacie przy Gayfield Square, a także tym na Fettes Avenue. Wypijali czasem po drinku i dzielili się wiadomościami.

– Kto na mnie doniósł? – zapytał Rebus.

– Kirsty.

Właścicielka baru Oxford, jedna z nielicznych osób, którym Rebus zwierzył się ze zmiany adresu.

– Uznała, że nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli się dowiem.

– Tak się składa, że miała rację.

– To z powodu COPD?

– Tak jakby.

– Żaden z nas nie robi się młodszy. Zadzwoniłem, żeby sprawdzić, jak sobie radzisz.

Rebusowi przyszło nagle coś na myśl.

– Nadal siedzisz z nosem w książkach? – spytał. – Może mógłbyś mi pomóc. Zainteresowałem się nagle obozami jenieckimi z drugiej wojny światowej.

– Wesoły temat.

– Jest pewna lista dokumentów i książek, które próbuję namierzyć.

– W takim razie nie potrzebujesz biblioteki, ale internetu.

Rebus zapomniał, że po przejściu na emeryturę Neilson zainteresował się komputerami. Przechwalał się kiedyś, że udało mu się odzyskać dane ze skasowanego twardego dysku.

– Skąd będę wiedział, które strony są przydatne? – zapytał.

– Chodzi ci o obozy w Niemczech?

– Obozy w Zjednoczonym Królestwie – skorygował go Rebus. – Bardziej internowania niż jenieckie, w tym zwłaszcza o Obóz Tysiąc Trzydziesty Trzeci. – Wyczuwał, że Neilson bierze do ręki długopis i zaczyna notować.

– Wyślę ci kilka linków. Jaki masz adres mailowy?

Rebus przeliterował go.

– Skąd ty się urwałeś, John? – Neilson zarechotał. – Prawdziwy z ciebie dinozaur. Zostaw to mnie. Więc jak się udała przeprowadzka? Wiem, że to może być traumatyczne. Kiedy będę mógł cię odwiedzić?

– Daj mi się najpierw rozpakować. Prześlesz mi te informacje?

– To będzie wymagało trochę policyjnej roboty... brakuje mi jej tak samo jak tobie.

Rebus zakończył rozmowę, uruchomił silnik volva i ruszył dalej w drogę.

## Rozdział 7

MINĄŁ OBÓZ 1033, w ogóle go nie dostrzegając. Jego zabudowania wzięły za rozsypujące się budynki gospodarcze. Uświadomiwszy sobie pomyłkę, zawrócił, zaparkował na trawiastym poboczu i podszedł do połamanego, wysokiego na metr płotu. Ze zdjęć z garażu Keitha zapamiętał, że obóz otaczała zwieńczona drutem kolczastym siatka i że była tam wysoka brama. Nic z tego nie pozostało. Zastępująca bramę furtka sięgała nieco powyżej jego kolan i mogła ją przestąpić każda zwinniejsza i młodsza od niego osoba. Kłódki nie było; żeby wejść do środka, wystarczyło pchnąć mocniej furtkę i odgarnąć opierającą się o nią wysoką trawę.

Zarośnięte chwastami ścieżki biegly wzdłuż długich baraków z blachy falistej, w większości pozbawionych dachów i okien. Część ścian była ozdobiona graffiti. Obciążona kamieniami duża niebieska płachta wskazywała miejsce, w którym kółko historyczne prowadziło wykopaliska.

Wchodząc na teren obozu, Rebus zdał sobie sprawę, że jest większy, niż się spodziewał. Przypomnił sobie plany, które oglądał w garażu. Były na nich nie tylko baraki mieszkalne, ale też studnia, kuchnia, izba chorych, wartownie i tak dalej. Miejsce było idealne, bo znajdowało się na odludziu. Gdyby ktoś próbował uciec w góry, błąkałby się całymi dniami, tracąc siły i nie mając szansy dotrzeć do ludzkich siedzib. Jeśli kręciłby się przy szosie, rozpoznano by go po jenieckim ubiorze. Rebus zajrzał przez ziejący otwór drzwiowy do jednego z baraków. W środku powinny być prycze, piecyk i prawdopodobnie nic więcej. Ściany i sufit z blachy falistej prawie na pewno nie były wyściełane żadnym materiałem ocieplającym.

Wyjął z kieszeni telefon i zauważył, że pojedyncza kreska, oznaczająca minimalny zasięg, zupełnie zniknęła z ekranu. Ponownie zaczął zacinać deszcz. Drogą nie jechał żaden samochód i nigdzie nie było śladu żywego inwentarza. Na niebie ani jednego ptaka. Rzadko czuł się tak daleko od

domu. Nie posłuchał wcześniej rady Trávisa i teraz, zdając sobie sprawę, że ciśnie go pęcherz, znalazł fragment niewidocznej z szosy ściany i rozpiął rozporek. Ulżywszy sobie, ruszył dalej w głąb obozu. Próbował wyobrazić sobie zaludniających go ludzi: setki internowanych i dziesiątki strażników uzbrojonych w karabiny i pistolety.

Kolejny barak mieszkalny po lewej stronie był chyba w trochę lepszym stanie: zachowały się tu zarówno drzwi, jak i dach. W żadnym z okien nie było jednak szyb. Drzwi nadal miały klamkę, więc ją nacisnęła. Wchodząc do środka, zauważył szkielety dwóch prycz. Po ognisku rozpalonym dawno temu przez jakichś imprezowiczów, którzy zostawili również puszki po piwie, pozostały poczerńiałe szczapy i popiół. Coś leżało u jego stóp. Brązowa skórzana teczka. Podniósł ją, ale była pusta. A potem zobaczył wystające spod jednej z prycz buty. Wciągnął powietrze w płuca, zebrał się w sobie i zrobił kilka kroków do przodu.

Twarz była odwrócona do niego bokiem, ciało skręcone i sztywne. Rebus potrafił poznać, że ktoś nie żyje. I potrafił poznać, że ma do czynienia z ofiarą przestępstwa.

– Na litość boską, Keith – mruknął półgłosem, po czym przykucnął i poszukał tętna na szyi i na nadgarstku, choć wiedział, że wycucie go byłoby cudem. A to nie był czas na cuda. Kilka much siedziało na skraju rany z tyłu głowy Keitha. Próbował je odgonić, ale potem przypomniał sobie, że ich larwy mogą się przydać przy ustalaniu przybliżonej godziny śmierci; powtarzała mu to dość często Deborah Quant. Wyprostował się i sprawdził telefon: nadal brakowało zasięgu. Jak miał to przekazać Samancie? Co jej powie? Keith nie uciekł, nie popełnił samobójstwa i nie uległ wypadkowi.

Rebus przyjrzał się podłodze, szukając broni, a potem sfotografował telefonem pustą teczkę. W końcu, przepraszając w duchu Keitha, wyszedł z baraku, kilka razy głęboko odetchnął i ruszył w stronę auta.

Dopiero w pobliżu hostelu Trávisa zerknął ponownie na komórkę. Nadal nie miała zasięgu. Nie pozostało mu nic innego, jak zatrzymać się przy kafejce i wejść do środka. Travis zmywał coś w zlewie.

– Mogę skorzystać ze stacjonarnego telefonu? – zapytał go Rebus.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha – zażartował Travis, ale szybko zdał sobie sprawę, co oznaczają zachowanie i ton głosu Rebusa. Zaprowadził go do ciasnego kantorka i zostawił samego.

Rebus wybrał numer, który dostał od detektywa z Inverness.

– Sierżant detektyw Creasey – usłyszał w końcu.

– Mówi John Rebus. Znalazłem ciało Keitha Granta.

– Gdzie?

– W baraku mieszkalnym na terenie Obozu Tysiąc Trzydziestego Trzeciego.

– Tego obozu internowania?

– Zgadza się.

– Czy upadł i coś sobie zrobił?

– Został uderzony z tyłu. Ma rozbitą czaszkę.

– Kto jeszcze o tym wie?

– W tym momencie tylko pan i ja.

– Wysłanie tam ekipy zajmie mi parę godzin. Zadzwoń do Thurso. Na pewno znajdą paru mundurowych, którzy zabezpieczą do tego czasu teren. – Creasey na chwilę przerwał. – Co pana tam zawiodło, John?

– Pytania później – odparł stanowczym tonem Rebus. – Na razie zacznij działać.

Zakończył rozmowę i przez jakiś czas przyglądał się słuchawce, ściskając grzbiet nosa i próbując zebrać myśli. W końcu wrócił na salę. Travis sprzątał stół po gościach. Rebus popatrzył, jak ich motocykle ruszają z rykiem w kierunku Tongue.

– Nie musisz się obawiać – powiedział Travis, czytając w jego myślach. – Nie mają w planach zwiedzania obozu. Najlepsza na szok jest podobno słodzona herbata...

Rebus pokręcił głową.

– Ale potrzebowalbyśmy jakiejś wałówki na czas pełnienia warty. Może dwie kanapki.

– Do tego termos z czymś ciepłym?

– Tak, byłbym wdzięczny.



– Mogę zapytać, co się stało?

– Niestety, nie.

– Biedny chłopak. Ostrzegałem go, żeby tam nie nocował.

Rebus popatrzył na Travaisa.

– Ostrzegałeś go?

– Miał śpiwór, ale można tam dostać hipotermii nawet w lecie.

– Kiedy to było?

– Jakiś miesiąc temu. Po tych kłopotach w domu. Przejeżdżałem tamtędy którejś nocy i zobaczyłem jego samochód zaparkowany przy ogrodzeniu. Siedział w jednym z baraków. Powiedziałem, że może się przespać tutaj, ale odmówił.

Rebus włączył komórkę i odnalazł zdjęcie skórzanej teczki.

– Poznajesz to? – zapytał, obracając ekran w stronę Travaisa.

– To chyba jego. Trzymał w niej papiery związane z obozem. I laptop. – Travis zdał sobie chyba sprawę, jakie znaczenie ma ta fotografia. – Nie zmarł z powodu wyziębienia – domyślił się.

Rebus pokręcił głową, nic nie mówiąc.

– No tak. – Travis również pokręcił głową. – Przyniosę ci ten termos – mruknął półprzyciemnie i podreptał do kuchni. – Bułki z szynką czy z serem?

– Jedna z serem, druga z szynką.

– Tak, oczywiście.

Pięć minut później Rebus był z powrotem w drodze, ostrzegłszy Travaisa, żeby nikomu nic nie mówił. Zaparkował w tym samym miejscu co poprzednio, lecz tym razem pozostał w samochodzie; zostawił uchyloną szybę do czasu, aż zaczął padać deszcz. W termosie była zupa z soczewicy, która lała się niczym szlam do kubka i na jego gust była za słona. Nie żeby w ogóle poczuł jakiś smak; to samo dotyczyło bułek. Sałatę i plasterki pomidora, które dołożył Travis, Rebus odsuwał na bok.

Minęła prawie godzina, zanim usłyszał warkot samochodu. Radiowóz z migającymi niebieskimi światłami zatrzymał się z poślizgiem przy

volvie, blokując właściwie całą drogę. Rebus wysiadł i patrzył, jak czwórka mundurowych – trzech mężczyźni i kobieta – opuszcza pojazd.

– Na światłach przez całą drogę z Thurso? – zapytał.

– Kazano nam się pospieszyć.

– No cóż, udało wam się zaalarmować każdego w promieniu trzydziestu kilometrów. Plotki rozchodzą się z szybkością błyskawicy.

– Kim pan właściwie jest? – zapytał kierowca, uznając, że najlepszą obroną jest atak.

– To ja zawiadomiłem dochodzeniówkę. Kiedy dotrą tu technicy?

– Więc to pan znalazł ciało?

Cała czwórka mundurowych spojrzała w stronę obozu. Jeden z mężczyzn wyciągnął z tylnego siedzenia rolkę biało-niebieskiej taśmy z napisem POLICJA.

– Dopóki nie dowiemy się czegoś więcej, miejscem przestępstwa jest cały obóz – powiedział Rebus. – A wy pilnujecie jego granic, czyli ogrodzenia. – Wskazał głową taśmę. – Jeśli tylko tyle przywieźliście, zabraknie wam chyba kilkuset metrów.

– Kim pan jest? – zapytał ponownie kierowca z wyrazem powątpiewania na twarzy.

– Jestem człowiekiem, który w swoim czasie miał do czynienia z bardzo wieloma zabójstwami. Jeśli nie chcecie dostać po głowie od ekipy kryminalistycznej, kiedy już tu dotrze, słuchajcie moich instrukcji. Czy to jasne?

– Nie jest pan naszym szefem – oznajmił kierowca, podchodząc bliżej do Rebusa i mierząc go wzrokiem. – I z tego, co widzę, nie jest pan niczym szefem. Więc niech pan nam zrobi tę łaskę i pokaże, gdzie mamy szukać ciała. A potem... i mówię to z całym należnym szacunkiem... niech pan spieprza tam, skąd pan przyjechał.

Dwaj jego koledzy nie mieli zamiaru dłużej czekać i wspinali się już w stronę niskiej furtki. Kilka sekund później dotarli do rzędu baraków. Rebus z rezygnacją wzruszył ramionami i wrócił do volva. Cwórka mundurowych zniknęła mu z oczu. Wiedział, że tu zostanie; częściowo

dlatego, że zmierzała tu ekipa Creaseya, lecz głównie po to, żeby odwlec to, co czekało go po powrocie do Naver. Pamiętał Carrie, która obserwowała go, kiedy spał na sofie.

Gdzie jest tato?

Słyszałam, jak mama płakała.

Wiedział, że nim dzień dobiegnie końca, popłynie znacznie więcej łez.

## Rozdział 8

W NOCY DOSZŁO DO KOLEJNEJ NAPAŚCI: chińska studentka została pchnięta z tyłu, a potem kilka razy kopnięta, kiedy leżała na chodniku. Trafiła do szpitala, z którego już ją wypisano. Tess Leighton i George'a Gamble'a wysłano do jej mieszkania.

– Nie mówi zbyt płynnie po angielsku – powiedział Gamble, zerkając do notesu. – Rozmowę tłumaczyła jej przyjaciółka.

– Nie pomogło nam zbyt to, że zaatakowana dziewczyna była w stanie szoku – wtrąciła Leighton, krzyżując ręce na piersiach.

Pozostali członkowie NZD uważnie ich słuchali. Nadinspektor Sutherland zlokalizował miejsce napadu na ściennej mapie i zaznaczył je, robiąc krąg ołówkiem. Argyle Place w Marchmont.

– Na parterze są tam w większości sklepy – kontynuowała Leighton. – Na rogu pub. Nie mamy na razie żadnych świadków. Jej jęki usłyszał wracający do domu student. Pomógł jej się podnieść. Uznał, że potknęła się i upadła.

– Popytajcie sąsiadów – powiedział Sutherland. – I sprawdźcie, czy mamy jakiś zapis z monitoringu. Nie ma rysopisu sprawcy?

– Chinka wpatrywała się w ekran telefonu i na uszach miała słuchawki. Zanim się zorientowała, leżała na ziemi.

– Uniwersytety i inne uczelnie mają zamiar wzmocnić środki bezpieczeństwa – dodała Christine Esson. – Miejscowe media poświęcają temu sporo uwagi.

– Czy napastnik coś jej zabrał?

– Tylko telefon – odparła Leighton. – Co skłania mnie do przekonania, że to była zwykła napaść. Mimo to media trąbią o wzbierającej fali przestępstw na tle rasowym.

– Bogaci studenci zawsze padali ofiarą napadów – stwierdził Fox. – Nie mamy powodu sądzić, że to wiąże się z Salmanem bin Mahmoudem.

– Co nie powstrzyma mediów społecznościowych przed wiązaniem tych dwóch spraw – burknął Sutherland. – Więc czekam na jakieś dobre wiadomości. – Rozejrzał się po sali i utkwiał wzrok w Clarke i Foxie. – Siobhan?

– Wczoraj wieczorem rozmawialiśmy z Isabellą Meiklejohn i Giovannim Morellim... głównie o napaści na pana Morellego. Najwyraźniej dzielnie zniesli stratę przyjaciela.

– To znaczy?

– Powiedzmy, że raczej go nie oplakiwali. Zaplanowali wieczorne wyjście do klubu Jenever. I nie sprawiali wrażenia roztrzęsionych, choć może to wynikać z wychowania. Moim zdaniem są trochę oderwani od rzeczywistości.

– Siobhan chce chyba powiedzieć – wtrącił Fox – że nawet jeśli wiedzieli, dlaczego ich przyjaciel padł ofiarą zabójstwa, to nie dali tego po sobie poznać. I że wydawali się zadowoleni z tego, że nie podzielili jego losu.

– Świetny przykład mansplainingu – skwitowała Esson, udając, że klaszcze w dłonie.

– Próbowałem tylko...

– Dosyć. – Sutherland uniósł rękę. – W sprawie wczorajszego ataku zostanie wszczęte dochodzenie, ale my w dalszym ciągu skupiamy się na zabójstwie Mahmouda. Nadal nie mam zbyt wielu informacji na temat ofiary. Londyńska policja jak zwykle się nie spieszy i nie uzyskaliśmy również wielu danych z jego banku oraz od operatorów telefonu i internetu. Musimy się bardziej przyłożyć, ludzie.

– Nie możemy poprosić rządu, żeby przycisnął, kogo trzeba? – zapytała Esson.

– Sprawa nie budzi już takiego zainteresowania – przyznał Sutherland. – Odnoszę wrażenie, że Saudyjczycy mają to w nosie. Gdyby chcieli wyników, zasugerowaliby to naszym ministrom i dyplomatom, a ci daliby nam popalić.

- To przez to, że rodzina ofiary popadła w niełaskę? - zapytała Clarke.

- Więc niezależnie od wyników śledztwa nie zostaną zerwane żadne umowy handlowe - dodał nadinspektor, ignorując jej pytanie.

- Chyba że okaże się, że sprzątnęli go saudyjscy agenci - mruknęła Leighton. - Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy, George - dodała, kiedy Gamble parsknął z niedowierzaniem.

Fox, unikający wzroku Clarke, odetchnął z ulgą, gdy zaczął wibrować jego telefon. Numer nieznany, widniało na ekranie. Kiedy posłał pytające spojrzenie Sutherlandowi, ten dał mu znak, żeby odebrał na korytarzu.

- Detektyw inspektor Fox - powiedział, zamykając za sobą drzwi.

- Malcolm...

Ten sam leniwie cedzący samogłoski, nosowy głos.

- Skąd masz mój numer, Cafferty?

- Miło było cię widzieć wczoraj wieczorem. Mam nadzieję, że znaleźliście to, czego szukaliście.

- Przyszliśmy sprawdzić, czy nie rozprowadza pan kokainy. - Po chwili milczenia Fox usłyszał parsknięcie śmiechu.

- Tego się nie spodziewałem.

- Czego?

- Niezawołowanej prawdy.

- Czego chcesz, Cafferty?

- Słyszałem, że doszło do kolejnego napadu. Coś skradziono?

- Telefon ofiary... A co?

- Chciałem zaoferować swoje usługi. Teraz, kiedy gliniarze pokroju Rebusa przeszli do historii, straciliście wiele cennych zasobów.

- To znaczy?

- Kapusiów, donosicieli, ludzi, którzy mają oczy i uszy otwarte.

- Teraz nazywa się ich osobowymi źródłami informacji. Chce pan popytać na mieście... Mogę zapytać dlaczego?

- Powiedzmy, że jestem zatroskanym obywatelem. To, że ludzie boją się wychodzić na miasto po zmierzchu, nie leży w niczyim interesie.

- To pan załatwia po zmierzchu większość swoich interesów.

- Przyznaję się do winy... Ale skoro już rozmawiamy...
  - Przechodzi pan w końcu do rzeczy.
  - Wie pan co? Ton pańskiego głosu sprawia, że zmieniłem zdanie. Być może lepiej będzie, jeśli załatwię to bezpośrednio z szefostwem.
  - Mogę dać panu numer.
  - Nie miałem na myśli Sutherlanda.
- Fox zmarszczył czoło.
- Więc kogo?
  - Pańską szefową w Wydziale Poważnych Przestępstw, zastępczynię komendanta głównego, Jennifer Lyon.
  - A czego dokładnie, pańskim zdaniem, powinna się dowiedzieć?
  - Lepiej załatwić to twarzą w twarz, Malcolm. Znasz adres?
  - Byłem tam wczoraj wieczorem.
  - Mam na myśli mój adres domowy. Za pół godziny... i lepiej wytłumacz się jakoś przed Siobhan. Twoja szefowa życzyłaby sobie tego, możesz mi wierzyć...

**APARTAMENT CAFFERTY’EGO ZAJMOWAŁ** trzy najwyższe piętra nowoczesnego budynku ze szkła i stali na terenie, na którym przez dłuższy czas mieścił się główny miejski szpital i któremu nadano teraz nową nazwę, Quartermile. Fox, który nie wytłumaczywszy się przed nikim, wyszedł z komisariatu, zjawił się tam po dwudziestu minutach. Wcisnął dzwonek, został wpuszczony do środka i wjechał windą do penthouse’u. Drzwi były otwarte. Cafferty stał w nich ze szklanką soku pomidorowego w ręce.

- Zapraszam – powitał Foxa i wprowadził go do środka.

Z holu wchodziło się do rozległej otwartej przestrzeni z galeryjką na górze. Przez sięgające od podłogi do sufitu okna widać było Meadows, a za nim Marchmont i Pentland Hills, natomiast na wschodzie – Arthur’s Seat oraz Salisbury Crags z sylwetkami niestrudzonych turystów na szczycie.

- Nieźle, prawda? – odezwał się Duży Ger.
  - Zbrodnia popłaca, jak powiadają niektórzy.
- Cafferty roześmiał się i wskazał aneks kuchenny.

– Kawy albo czegoś innego?

Fox pokręcił głową.

– Miejmy to już za sobą.

– Konkretny biznesowy podejście... to mi się podoba. – Cafferty usiadł w skórzanym fotelu i wcale go nie zdziwiło, że Fox nie poszedł w jego ślady. – Więc chodzi o to... – Przerwał. – Na pewno nie chcesz się napić?

– Niech pan to z siebie w końcu wykrztusi.

Duży Ger uniósł szklanę.

– Wykrztuszę, ale najpierw muszę to wypić. Pięć szklanek dziennie! Lekarz mówi, że powinienem o siebie zadbać. Nie chcę skończyć jak biedny stary Rebus, który nie daje rady wejść na pierwsze piętro. – Westchnął, nie słysząc żadnej reakcji ze strony Foxa, który stał dalej nieruchomo jak posąg. – Chodzi o twoją szefową... Lyon. Z tego, co słyszę, jej kariera rozwija się nader pomyślnie. Za rok albo dwa komendant główny odejdzie na zielone pastwiska. Gdyby zdołał postawić na swoim, odszedłby już teraz, ale mu nie pozwalają. Biedny sukinsyn wypruwał z siebie żyły, żeby sprowadzić z powrotem policję na właściwe tory. Sprawy budżetowe nadal wymagają uporządkowania, ale wątpię, żeby to się kiedykolwiek zmieniło. – Cafferty uśmiechnął się szeroko do Foxa. – Jak widzisz, szkocka policja stała się dla mnie czymś w rodzaju hobby.

– Nadal nie wiem, dlaczego chciał się pan ze mną widzieć.

– Chciałem się z tobą widzieć, ponieważ wspinała kariera Jennifer Lyon może się nagle załamać. – Cafferty zakręcił palcem, pokazując wpadający w korkociąg samolot. – Co byłoby dla niej upokarzające. Paradoks polega na tym, że nie stałoby się to z jej winy, lecz z winy jej męża. – Upił trochę soku, wpatrując się w widok za oknem.

Fox wsunął ręce do kieszeni, co było jakąś reakcją.

– Więc powiem ci teraz, co powinieneś zrobić, Malcolm. – Duży Ger znów na chwilę przerwał. – Na pewno nie chcesz usiąść? Trochę poblądłeś.

– Po prostu mów.



Cafferty upił najpierw kolejny łyk soku, najwyraźniej się nim rozkoszując.

– Mogę to wszystko skasować: fotografie i wideo. Lyon być może nie będzie chciała o tym słyszeć, więc jeśli chcesz, możesz jej powiedzieć, że to dzięki tobie wszystko zostanie skasowane. Moje nazwisko nie musi w ogóle wypłynąć, jeżeli tak będziesz chciał to rozegrać. Ważne jest to, że kiedy zainstaluje się na samym szczycie, będziesz miał szybką ścieżkę awansu.

Fox zacisnął szczęki. Nie zamierzał dawać Cafferty’emu satysfakcji, zadając oczywiste pytanie. Ten uśmiechnął się nad krawędzią prawie pustej szklanki. Sok zostawił czerwone ślady wokół jego ust.

– Nadal nie usłyszałem, czego chcesz w zamian – powiedział cicho Fox.

– Odpowiedź brzmi: niewiele. Nic nielegalnego.

– Więc mów.

Duży Ger udał, że chce wstać z fotela.

– Może najpierw sobie doleję...

– Mów, do jasnej cholery!

Cafferty usiadł z zadowolonym wyrazem twarzy i zaczął mówić.

**CENTRALA WYDZIAŁU KRYMINALNEGO** Policji Szkockiej mieściła się w Gartcosh, w hrabstwie Lanark, w miejscu dawnej stalowni, na terenie, który nadal nie jest zbyt gęsto zabudowany. Oficjalnie komenda główna szkockiej policji znajduje się w Tulliallan, ale wszyscy wiedzą, gdzie rozdawane są karty.

Komisarz Jennifer Lyon zawsze przemierzała korytarze i otwarte przestrzenie Gartcosh w wielkim pośpiechu. Fox już dawno się domyślił, że chodziło bardziej o to, by ludzie nie zawracali jej głowy, niż o pilne sprawy. W trakcie godzinnej jazdy z Edynburga przez cały czas zastanawiał się, jak rozpocząć tę rozmowę. Mimo to, widząc, jak Lyon zbliża się do niego z kilkoma kołyszącymi się na szyi przepustkami,

poczuł pustkę w głowie. Miał być posłańcem złych wieści, a ich adresaci nigdy tego nie zapominają.

– Malcolm – przywitała go z kamienną twarzą. – Rozumiem, że są jakieś nowe informacje.

– Informacje?

– W sprawie zabójstwa tego Saudyjczyka.

– Niekoniecznie.

Lyon przechyliła lekko głowę. Miała słomkowe blond włosy, bez śladu szwizny, przycięte tak, że przypominały kask.

– A zatem? – rzuciła.

Fox odchrząknął.

– Lepiej, żebyśmy pomówili o tym w pani gabinecie, pani komisarz.

Lyon rozejrzała się po rozległym atrium. Pracownicy mijali ich cicho, niektórzy szepcząc coś do telefonów, inni zerkając w stronę budzącej postrach, wpływowej komisarz.

– Powiedz, proszę, że nie będę musiała z jakiegoś powodu kryć twojego tyłka.

Fox pokręcił głową.

– Cóż, dzięki i za to. – Lyon ruszyła z powrotem, a Fox za nią, zachowując niewielki dystans.

Nikt nie czekał na nią w sekretariacie. Asystentka podniosła wzrok znad komputera, rozpoznała Foxa i posłała mu prawie niedostrzegalny uśmiech. Kiedy zamknął za sobą drzwi, Lyon siedziała już za swoim uporządkowanym biurkiem. Przez chwilę stał pośrodku gabinetu, ale widząc wzrok komisarz, usiadł. Krzesło było ze stalowych rurek, niezbyt wygodne. Poczuł, że zasycha mu w gardle, i ponownie odchrząknął.

– To jest swego rodzaju wiadomość – zaczął. – Nie od kogoś, kto byłby nam przyjazny. Powiem pani, kto to jest, jeśli pani sobie tego życzy, ale niewiedza może być pani na rękę.

– Może najpierw przekaż tę wiadomość. – Lyon oparła łokcie o biurko i pochyliła się lekko do przodu, dając mu do zrozumienia, że ma jej niepodzielną uwagę.

– To dotyczy pani męża, pani komisarz. Fotografie i filmy... na których, jak się domyślam, występuje... i które mogą się okazać kłopotliwe i być może nawet zaszkodzą pani karierze.

Patrzył, jak Jennifer Lyon przetrawia tę informację. Na chwilę zamgliły jej się oczy, a potem podniosła łokcie z biurka i odchyliła się na oparcie fotela.

– No dobrze – mruknęła. – Z kim rozmawiałeś?

– Na pewno chce pani wiedzieć?

– Po prostu to powiedz, do jasnej cholery!

– Z Morrisem Geraldem Caffertym.

– Czyli z Dużym Gerem. – Lyon prawie niedostrzegalnie skinęła głową. – Fotografie i filmy?

Fox pokiwał głową.

– Oczywiście żadnych mi nie pokazał – zaznaczył.

– Ale raczej nie blefuje?

– Wydawał się dość pewny siebie. – Fox na chwilę umilkł. – Zawsze udawało się pani ukrywać fakty ze swojego prywatnego życia.

– Ale wiesz, kim jest mój mąż?

Owszem, Fox wiedział. Nazywał się Dennis Jones i był wicerektorem jednej z nowych uczelni na zachodnim wybrzeżu.

– Domyślam się, że nie chodzi o nieprawidłowości finansowe – powiedział. – Nie dałoby się o tym nakręcić filmu.

Lyon skrzywiła się.

– Romans – odparła, wpatrując się w blat biurka. – Żeby uprzedzić twoje pytanie, nie ze studentką, tylko z pracownicą uczelni, mężatką. To było głupie, krótkie i jest już zakończone.

– Skoro mówimy o głupocie... Czy nie wypuścili się na przykład we dwójkę do Edynburga? I nie spędzili nocy w klubie przy Cowgate?

– Jego właścicielem jest Cafferty, prawda? I ma tam z pewnością dużo kamer. – Lyon wzięła do ręki długopis, przyjrzała mu się i cisnęła z powrotem na biurko. – Dlaczego mężczyźni są takimi cholernymi idiotami?

- Powiedziała pani, że to zakończone... Dlatego, że nakryła pani męża?
- Tak. I przedstawiłam normalne w takich sytuacjach ultimatum.
- Kiedy to było?

Lyon zmierzyła go ostrym spojrzeniem.

- A jakie to ma znaczenie? - warknęła, ale po chwili dała za wygraną. - Przed dwoma miesiącami. - Nagle zerwała się z fotela, obeszała go i zacisnęła dłonie na jego oparciu. - I co teraz?

- Twierdzi, że może to wszystko wykasować, jeśli wyświadczymy mu przysługę.

Komisarz pokręciła z determinacją głową.

- Wiesz, że nie możemy tego zrobić.

- Jeśli to pomoże, nie ma w tym nic nielegalnego. Chce tylko, żebyśmy zmontowali operację, trochę powęszyli, być może założyli podsłuch.

- U jego konkurenta?

Fox wzruszył ramionami.

- Tak sądzę. Później możemy to dokładniej ustalić.

- Co jego zdaniem znajdziemy?

- Nie wiem, czy sam to wie.

- O kogo konkretnie chodzi?

- O dewelopera, Stewarta Scoulara.

- Obiło mi się o uszy to nazwisko.

- Był przez krótki okres członkiem szkockiego parlamentu. Tak się składa, że widziałem go wczoraj wieczorem.

- Tak?

- Popijał w klubie Cafferty'ego. Z przyjaciółmi Salmana bin Mahmouda.

- Jest objęty waszym śledztwem?

Fox pokręcił głową.

- Nie znalazł się w kręgu zainteresowania.

- Teraz chyba powinien się znaleźć, nie sądzisz?

- Tak jest, pani podkomisarz.

- Nie znaleźliście niczego, co wskazywałoby na udział Saudyjczyków?

– Nie.

– Będę w dalszym ciągu informowała Wydział Specjalny w Londynie. – Lyon usiadła z powrotem w fotelu. – Powinnam się spotkać z Caffertym – mruknęła.

– Z całym szacunkiem, to byłoby nierozważne. Chętnie będę odgrywał rolę pośrednika.

– Mamy w ogóle coś na tego Scoulara? Nie pojawił się nigdy na naszym radarze?

– Chyba nie zaszkodzi go sprawdzić?

– Ty mi to powiedz, Malcolm. W jakim stopniu możemy ufać twojemu kumpłowi Cafferty'emu?

– W żadnym. Ale facet czegoś chce i uważa, że możemy mu to dostarczyć. Poza tym intryguje mnie jego zainteresowanie Scoularem.

– Więc pójdziemy mu na rękę do momentu, gdy poznamy odpowiedź?

– Albo kiedy przekaże zdjęcia i wideo.

Lyon wymierzyła w Foxa palec.

– Musisz zobaczyć, co on ma, Malcolm. Ja nie chcę tego widzieć, ale ty powinienes. Żebyśmy wiedzieli, że nie mamy do czynienia z naciągaczem.

– Rozumiem.

– A całe rozpoznanie trzeba wykonać najdyskretniej, jak to możliwe. – Zabłyśły jej oczy. – W gruncie rzeczy śledztwo, do którego zostałeś oddelegowany, jest do tego idealne: po prostu obejmijcie nim Scoulara i go sprawdźcie. Możesz to zrobić bez zwracania na siebie niepotrzebnej uwagi.

– Wątpię, żebym mógł sam zarządzić jego inwigilację.

– To zależy od tego, co znajdziesz, prawda? – Ton głosu Lyon wskazywał, że jej na tym zależy.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, pani komisarz – zapewnił ją Malcolm Fox.

## Rozdział 9

KIEDY REBUS USŁYSZAŁ PUKANIE i otworzył drzwi, w progu stała z poważną miną May Collins, trzymając w rękach dwie duże plastikowe torby.

– Jeśli chcesz, są twoje – powiedziała. – Należały do mojego nieżyjącego męża. Masz z grubsza te same rozmiary. Rozumiem, że tu zostajesz, a nie znajdziesz w okolicy zbyt wielu sklepów odzieżowych...

Rebus wziął od niej torby i zajrzał do jednej z nich.

– Więc już wiecie? – mruknął.

– Och, John, czy to nie straszne? – Załamał jej się głos. – Jak się czuje Samantha?

– Zabrała Carrie do przyjaciółki.

– Ty jej o tym powiedziałaś?

Wziął głęboki oddech i pokiwał głową, wypuszczając z płuc powietrze.

– To musiało być straszne.

Straszne? Nie wiedział, czy to wystarczająco mocne słowo. Samantha cofnęła się od niego kilka kroków i płacząc i zawodząc, machała rękami, kiedy próbował jej dotknąć czy ją przytulić. Szok ustąpił wkrótce miejsca przerażeniu: co ma powiedzieć Carrie? Zerknęła na telefon, żeby sprawdzić, która jest godzina. Wkrótce musiała po nią iść do szkoły. Gdzie jest jej płaszcz?

Musisz na chwilę usiąść, powiedział. Pięć minut.

„Nie dosyć już namieszałeś?!” Oskarżycielski krzyk, atak na jedyną osobę, którą w tym momencie można było obwinić. Kiedy znów próbował jej dotknąć, walnęła go po dłoniach. „Tyle lat dawałam sobie świetnie radę bez ciebie”.

Choć Rebus w ogóle się nie odezwał, May Collins pokiwała głową ze współczuciem i zrozumieniem, jakby jej odpowiedział.

- Zrobiłabym ci filiżankę herbaty, ale nie wiem, czy to pomoże.  
Odrobina whisky?

Rebus pokręcił głową, a ona coś sobie przypomniała.

- Mickowi udało się naprawić twój samochód. Nie twierdzi, że wrócisz nim do domu, ale mam dla ciebie kluczyk.

- Ile jestem mu winien? - zapytał Rebus, biorąc go.

- Wątpię, żeby coś od ciebie wziął... zwłaszcza teraz. - May Collins ponownie westchnęła. - Wiesz, gdzie mnie znaleźć, gdybyś czegoś potrzebował.

Oboje odwrócili się, gdy minął ich szybko jadący konwój. Dwa samochody osobowe, jedna furgonetka, bez żadnych oznaczeń. Technicy, którzy mieli do załatwienia sprawę na terenie Obozu 1033.

- Nie wiem, czy powinnam o to pytać - powiedziała cicho May - ale czy to było samobójstwo?

Rebus nie zmienił wyrazu twarzy.

- W takim razie wypadek? - pytała dalej.

- To nie był wypadek - oświadczył.

Zdając sobie sprawę, co to znaczy, otworzyła szeroko usta.

- No cóż - szepnęła. - W takim razie chyba lepiej... - Odwróciła się, żeby odejść, mając jednocześnie nadzieję, że zaprosi ją do środka.

- Dziękuję za ubrania - powiedział Rebus, wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi.

W łazience wybrał kilka sztuk garderoby i przebrał się, a potem przeszedł do kuchni, wrzucił swoje rzeczy do pralki i włączył najszybszy program. Słyszając, że pod dom podjechał samochód, podszedł do drzwi i zaczął czekać na Creaseya.

- Mogę wejść? - zapytał młody detektyw tonem przedsiębiorcy pogrzebowego.

Rebus zaprowadził go do salonu.

- Samantha jest u przyjaciółki - mruknął.

- Jak sobie radzi?

Rebus tylko wzruszył ramionami.

– A mała?

Kolejne wzruszenie ramionami.

– Nie było mnie tu, kiedy Samantha powiedziała córce... jeśli jej powiedziała.

Creasey przycupnął na skraju sofy.

– To wszystko jest oczywiście straszne i musi minąć trochę czasu, nim...

– Mimo to musicie ją przesłuchać?

– Wiesz, że musimy. A technicy muszą sprawdzić volvo.

– Znajdą moje odciski.

– I moje – odparł Creasey. – Więc będziemy potrzebowali twoich i Samantha w celu eliminacji.

– Byłeś w obozie. Widziałeś go? – zapytał Rebus i Creasey pokiwał powoli głową. – Ta pusta teczka... Według faceta, który prowadzi przydrożną kafejkę, Keith trzymał w niej notatki i laptop.

– Pan Travis składa w tej chwili zeznanie.

Rebus zdał sobie sprawę, że przycupnął na poręczy fotela; nie chciał poczuć się zbyt wygodnie.

– Keith spędził tam kilka nocy po tym, jak dowiedział się o romansie Samantha z Jessem Hawkinsem – powiedział.

– Będziemy rozmawiać ze wszystkimi, John, zaufaj mi. – Creasey na chwilę przerwał. – Masz zamiar mi zaufać?

– Dlaczego o to pytasz?

– Z powodu tego, czego się o tobie dowiedziałem. Bo pracowałeś przez całe życie w Edynburgu i możesz uznać, że gliniarze, którzy tu służą, są nieco... prowincjonalni. Chcę ci powiedzieć, że znamy się na swojej robocie i sprawdzimy każdy dowód tak dokładnie, jak byś sobie życzył.

– To musi mieć coś wspólnego z tym obozem – odezwał się Rebus, wpatrując się w podłogę.

– Dlaczego?

– Brakuje laptopa.



– To jeden z przedmiotów, który zabiera każdy, kto szuka łatwego zysku: jest nieduży i nietrudno go opchnąć. Brakuje również telefonu.

Rebus pokręcił głową i Creasey spojrział na niego rozczarowany.

– Więc co takiego w tym obozie mogło być aż tak ważne dla Keitha Granta?

– Nie wiem, ale w garażu jest pełno materiałów na jego temat. Musisz pogadać z ludźmi z miejscowego kółka historycznego. Mogą znać odpowiedzi na kilka pytań.

– Wszystko w swoim czasie.

– Rozumiem, że najpierw przeprowadzicie sekcję zwłok? Punktem wyjścia będzie przyczyna śmierci? I przeszukacie obóz pod kątem odcisków palców?

Creasey pokiwał głową.

– Przez cały czas podejrzewając moją córkę, być może nawet traktując ją jako główną podejrzaną?

– Nieraz byłeś w mojej sytuacji. Wiesz, jak to wygląda. Co wcale nie znaczy, że będziemy niedyskretni. A twojej córce i wnuczce przez cały czas przysługuje pomoc psychologiczna dla rodziny ofiary. – Creasey wstał z sofy. – Kluczyki do volva są na stoliku w przedpokoju?

Rebus pokiwał głową.

– W takim razie je zabieram. Samantha ma pewnie zapasowe, ale lepiej będzie nie ruszać samochodu, dopóki nie skończymy czynności.

– Przekażę jej – obiecał Rebus.

Creasey uściśnął mu rękę.

– Powinieneś być teraz przede wszystkim ojcem i zostawić nam całą resztę.

Rebus pokiwał głową, patrząc mu prosto w oczy.

– Powiedz mi. Zabrali mu gotówkę i karty kredytowe?

– Portfel miał w kieszeni, wydawał się nietknięty.

– I nadal uważasz, że to był napad rabunkowy?

– W tym momencie nie wykluczamy żadnego motywu.

– Postaraj się o tym nie zapomnieć, synu. I nie leń się.

Rebus odprowadził detektywa do drzwi i patrzył przez okno w salonie, jak ten wsiada do samochodu i odjeżdża w kierunku miejsca zbrodni. Kiedy umilkł warkot silnika, włożył płaszcz i poszedł do garażu. Usiadł na składanym krześle przy stole na kozłach i zaczął bardziej metodycznie zapoznawać się z historią Obozu 1033.

## Rozdział 10

W POŁOWIE DROGI POWROTNEJ DO Edynburga Fox postanowił odebrać któryś z rzędu telefon od Siobhan.

– Odkąd to bawisz się w Houdiniego? – rzuciła.

– Wezwano mnie pilnie do Gartcosh. Chciała się ze mną widzieć szefowa.

– Miło jest poczuć się potrzebnym. Dostałam tymczasem esemesa od Johna.

– Wraca do domu?

– Wprost przeciwnie. Znaleźli ciało partnera jego córki.

– Niech to szlag! Samobójstwo?

– W esemesie tego nie wyjaśnia, a nie odbiera telefonu... prawie jakby nauczył się tego od ciebie.

– Byłem na spotkaniu.

– Ale teraz już wracasz?

– Będę z powrotem za jakieś pół godziny. Gdzie się spotkamy?

– Zabieram Brilla do Meadows. Muszę wziąć parę rzeczy z mieszkania Johna.

– Spotkamy się w parku. – Fox zakończył rozmowę, zerknął w lusterko wsteczne, włączył kierunkowskaz i zaczął wyprzedzać. Przez trzydzieści lat nie dostał ani jednego mandatu, nie miał ani jednego otarcia czy kolizji. Bo był ostrożny. Trzymał się zasad. Zawsze wiedział, co robi.

Zastanawiał się, czy naruszy zasady – i w jakim stopniu – dla zastępczyni komendanta głównego, Jennifer Lyon. Mając na uwadze własny awans.

- BĘDĘ MUSIAŁA GO ODDAĆ do schroniska – rzuciła Clarke, patrząc, jak Brillo podąża za jednym z niezliczonych przecinających Meadows tropów.

- Chyba masz rację – zgodził się Fox. – Nie masz żadnych nowych wiadomości od Johna?

Pokręciła głową.

- Nie mogę trzymać psa przez cały dzień u siebie... czy w mieszkaniu jego pana.

- Może John ma jakąś sąsiadkę? – mruknął Fox. Podniósł ręce w obronnym geście, gdy Clarke wbiła w niego wzrok. – Nie, nie, nie. Mówiłem ci, że nie mam podejścia do zwierząt. Poza tym podobnie jak ty pracuję w nielimitowanym wymiarze godzin.

- Bez widocznych rezultatów.

- Może mógłby się tym zająć ktoś z zespołu... Christine albo Ronnie? Mogłabyś im wydać polecenie służbowe.

- Myślałam o tym. – Clarke wyjęła z kieszeni telefon i spojrzała na ekran. – O wilku mowa – mruknęła, odbierając połączenie. – Co mogę dla ciebie zrobić, Christine?

- Mamy właśnie kolosalny przełom w sprawie.

- Bardzo śmieszne.

- Kiedyś dawałaś się na to nabrać.

Clarke słyszała w tle szmer klawiszy komputera.

- Bardzo ci się nudzi w biurze? – rzuciła.

- Bardzo, ale dzwonię, żeby zapytać, czy twoim zdaniem John Rebus będzie miał ochotę spędzić wieczór w teatrze.

- W teatrze?

- Pamiętasz, jak mówiłam, że Lee Child i Karin Slaughter przyjeżdżają do Edynburga? Mają dzisiaj wieczór autorski, a mój partner skrewił i mam wolny bilet.

- John jest nadal na północy.

- W takim razie to twój szczęśliwy dzień.

- Pytałaś Ronniego?

- Czyta wyłącznie komiksy.

- Powieści graficzne – sprostował Ronnie Ogilvie.

- Dam ci znać – powiedziała Clarke. – Czy moja nieobecność została w ogóle zauważona?

- Nadinspektor został ponownie wezwany przez naszych panów i władców. A Ronnie i ja będziemy przez kilka godzin oglądali nagrania z monitoringu.

- W takim razie nie przeszkadzam. Cześć, Christine. – Clarke zakończyła rozmowę i gwizdnęła na Brilla, szykując smycz. – Więc wezwali cię do Gartcosh, ale to nie było nic ważnego? – zwróciła się do Foa.

- Nie – odparł, kręcąc głową.

- Żadnych informacji z Londynu o ekipach z Bliskiego Wschodu, które przyleciały tu i zaraz potem odleciały?

- Listy pasażerów zostały sprawdzone. Wydział Specjalny jest bardzo dokładny.

- Zaznaczyłeś, że wypruwamy z siebie żyły?

- Oczywiście.

- No to świetnie.

Clarke ruszyła w kierunku Melville Drive, ale widząc, że Fox nie ma zamiaru jej towarzyszyć, po kilku krokach się zatrzymała.

- Zaparkowałem z tamtej strony – powiedział, wskazując budynki uniwersytetu.

- To kilometry stąd – zdziwiła się Clarke.

Fox skrzywił lekko usta.

- Do zobaczenia w bazie – mruknął i ruszył w przeciwną stronę.

Patrzyła, jak odchodzi. W pewnym momencie obrócił lekko głowę, jakby chciał sprawdzić, czy go nie śledzi, a potem przyspieszył kroku. Brillo spojrział na nią, zastanawiając się, czy nie przeobrazi się może w jego pana. Wydawał się dość zadowolony, kiedy wzięła go na rękę i ruszyła za Foxem. Nie widziała żadnego rozsądnego powodu, dla którego miałby parkować tak daleko. Idąc, wyciągnął telefon i zerknął na ekran. Clarke zeszła ze ścieżki na trawnik. Dokoła było wielu spacerowiczów,

osób wyprowadzających psy i studentów kopiących piłkę albo grających we frisbee. Ktoś spostrzegawczy i tak by ją pewnie zauważył, lecz Fox, który szedł teraz Middle Meadow Walk, już się nie oglądał. Za pierwszą kawiarnią skręcił w lewo, w stronę osiedla Quartermile. Był tam podziemny parking, ale bardzo drogi. Zbyt drogi dla liczącego każdy grosz Malcolma Foxa, uznała. Gdy dotarła do wąskiej alejki z boku kawiarni, nigdzie go nie zobaczyła. Ulica przed nią była pusta. Więc albo zszedł na parking, albo...

Przeszła przez furtkę i zerknęła w stronę wejścia do pierwszego z nowoczesnych apartamentowców. Oszklone drzwi właśnie się zamykały. Zaczekała chwilę, a potem ostrożnie do nich podeszła. Przez szybę widziała, jak na kwarcowym panelu nad windą zmieniały się numery pięter i ostatecznie zatrzymały się na literze, nie na cyfrze. *P* jak penthouse.

Clarke spojrzała w zaniepokojone oczy Brilla.

– Wiemy, kto tam mieszka, prawda, mały? – szepnęła. – Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Malcolm – dodała, zerkając w górę.

**ZARAZ PO WYJŚCIU OD CAFFERTY’EGO** Fox zadzwonił do Jennifer Lyon.

– Zdjęcia wydają się raczej nieszkodliwe – poinformował ją. – Są oboje w klubie Jenever. Najpierw na górze, a potem kelner daje im kartę do strefy VIP-ów i schodzą na dół.

– Mów dalej.

– Tam trochę tańczą... trochę całują się i obściskują. – Fox odchrząknął.

– Tak?

– I to mniej więcej wszystko. Są w intymnej sytuacji, ale nie dzieje się nic, co byłoby...

– Rozumiem, co masz na myśli.

– Cafferty twierdzi, że nie była to ich jedyna wizyta w klubie, domyślam się jednak, że jeśli miałby coś bardziej obciążającego, na pewno by mi pokazał.

- W porządku, dziękuję.

- To wszystko jest raczej nieszkodliwe, naprawdę.

- Tak czy inaczej, sypiał z nią. Jeżeli Cafferty ujawni te materiały, Dennis będzie musiał się tłumaczyć.

- Może zawsze przekonywać, że nie doszło do niczego więcej.

Fox usłyszał jej westchnienie.

- Sprawdziłam tego Scoulara. Wydaje się czysty. Czy Cafferty dał do zrozumienia, dlaczego się nim interesuje i co jego zdaniem możemy znaleźć?

- Nie.

- Więc kontynuujemy to, co zaczęliśmy, i grajmy na zwłokę.

- Biorąc pod lupę Scoulara?

- W ramach śledztwa dotyczącego zabójstwa bin Mahmouda.

- Jak pani sobie życzy, pani komisarz.

- Doceniam to, co robisz, Malcolm. Na pewno o tym nie zapomnę.

- Dziękuję.

Po zakończeniu rozmowy Fox zdał sobie sprawę, że zmierza do samochodu bardziej sprężystym krokiem. Była jedna rzecz, o której jego zdaniem Lyon niekoniecznie powinna wiedzieć: zaraz po wejściu jej męża i jego kochanki do wnęki zajmowanej przez Scoulara i jego znajomych zaproponowano im kreskę kokainy. Oferta została przyjęta, a potem były szampan, śmiechy i wyraz kompletnego odprężenia na rozradowanej twarzy Dennisa Jonesa...

- **UWAŻAJ, KIEDY DO CIEBIE DZWONIE**, Benny – warknął Cafferty do telefonu, stojąc przy oknie i podziwiając panoramę miasta. – Masz odbierać po pierwszym pierdolonym dzwonku. Zrozumiano? Nie obchodzi mnie, czy srasz, czy kogoś bzykasz, najważniejszy jest mój czas.

- Przepraszam, szefie. Mam podstawić samochód?

- Masz ruszyć swoją tłustą dupę i pogadać z ludźmi. Wczoraj wieczorem ktoś napadł chińską studentkę i zwinął jej telefon. Jeżeli to

jakiś dupek z nowych osiedli, na pewno już się tym przechwała. Masz tam pójść i dowiedzieć się, kto to taki.

– Po co?

– Bo ci każe!

– Jasne, szefie, oczywiście.

– Do napaści doszło w Marchmont, więc zacznij od południowych dzielnic: Moredun i Gracemount. Innymi słowy, od krainy psycholi. Masz tam jakieś kontakty?

– Tak, trochę.

– Więc na co, kurwa, czekasz? Nieważne, czego się dowiesz, za dwie godziny masz do mnie zadzwonić.

Duży Ger stuknął palcem w ekran, kończąc rozmowę, i przez chwilę czekał, aż uspokoi mu się oddech. Jego praca w sześćdziesięciu albo siedemdziesięciu procentach polegała na grze aktorskiej i odpowiednim podejściu. Nie przypominał młodszych zakapiorów, którzy musieli pokazać gnata, żeby coś osiągnąć. Wystarczało na ogół słowo i spojrzenie – tak w każdym razie było kiedyś. Ale świat się zmieniał i było coraz trudniej. Gangsterzy nowego chowu nie mieli żadnych ograniczeń. Pchali się na północ z Manchesteru i Liverpoolu, opanowując miasta takie jak Dundee, którego mieszkańcy z pewnością nie potrzebowali tańszych, lecz znacznie bardziej zabójczych narkotyków. Dzięki reputacji, jaką Cafferty się cieszył, był w stanie chronić swoje operacje w Edynburgu, ale nie wiedział, jak długo tak będzie. Tak czy inaczej, nadal miał nocny klub, butikowy hotel w New Town, myjnię samochodową i punkt bukmacherski.

A poza tym mieszkania na wynajem, z których kilka najbardziej wypasionych zajmowali zagraniczni studenci. W ostatnich latach głównie z Chin. Jeśli napaść na chińską studentkę nie spotka się z odpowiednią reakcją, mogą zacząć się zastanawiać, czy Edynburg jest dla nich odpowiednim miejscem. Nie musiałyby się tym przejmować, gdyby zastąpili ich studenci innych narodowości, ale w obliczu brexitu... Duża część jego dochodów pochodziła obecnie z legalnych źródeł i chciał, żeby tak zostało. Inwestowanie w nieruchomości okazało się bardzo korzystną



strategią, a teraz zamierzał się zająć komercyjnym zagospodarowaniem terenu – innymi słowy tym, co stanowiło domenę Stewarta Scoulara. To był świat, w którym miał nadzieję zbliżyć się do ludzi ze świecznika, takich jak lady Isabella i rodzina bin Mahmouda. Takich jak Giovanni Morelli.

I mieć coraz mniejszą styczność z ludźmi pokroju Benny'ego.

Cafferty omiół wzrokiem pokój.

– Nigdy dosyc – mruknął pod nosem.

Nieważne, ile i jak daleko, nigdy nie miał dosyc.

## Rozdział 11

**REBUS NIGDY NIE WIDZIAŁ** tylu osób na głównej ulicy Naver. Wszędzie stały grupki rozdyskutowanych lokalsów, ludzie w jeżdżących tam i z powrotem samochodach pilnie śledzili, co się dzieje. Wiedział, że media są już w drodze i wkrótce dołączą do gapiów. Otworzył drzwi saaba i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zaskoczył za pierwszym razem, ale nie brzmiał zbyt dobrze. Kiedy Rebus wcisnął mocniej gaz, zwróciło się ku niemu wiele par oczu. Zgasił silnik i wysiadł.

Idąc z pochyloną głową, ignorował pytania tych, którzy najwyraźniej wiedzieli, kim jest. Dom, do którego zmierzał, stał przy końcu ulicy. Zadzwoił do drzwi i czekał. Lekko zgarbiona siedemdziesięciolatka, która mu otworzyła, zaprosiła go do środka i ujęła obie jego dłonie, jakby witała uchodźcę.

– To straszny, straszny szok dla nas wszystkich.

– Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną tak szybko spotkać, pani McKechnie.

– Żaden problem, naprawdę. Tędy, proszę. I mów mi Joyce.

Salonik był mały i zagracony: na półkach porcelanowe figurki, na ścianach fotografie w ramkach. Pałący się w kominku ogień zdawał się wysysać tlen z dusznego pomieszczenia. Na stoliku stała metalowa taca, a na niej porcelanowe filiżanki i ciasteczka na talerzyku. Z fotela wstał męczyzna kilka lat młodszy od pani McKechnie.

– Edward Taylor – przedstawił się, podając Rebusowi rękę.

– Siadajcie obaj – zakomenderowała Joyce McKechnie. – Ja zajmę się herbatą. – Wzięła do ręki czajniczek. – Edward pije czarną.

– Ja, jeśli można, z kapką mleka. – Rebus zdjął kurtkę.

Taylor podsunął mu talerzyk z ciasteczkami, ale ten pokręcił głową.

- To okropne, co przytrafiło się Keithowi - powiedział Taylor. - Moje kondolencje.

- Dziękuję. - Obaj przez chwilę milczeli, czekając, aż usiądzie z nimi McKechnie. - Chcę jeszcze raz podziękować, że zgodziliście się ze mną porozmawiać - dodał Rebus.

- Tyle przynajmniej możemy zrobić. - McKechnie miała lokalny akcent, za to Taylor pochodził chyba z południa.

- Choć jestem tu od niedawna - zaczął Rebus - wydaje mi się oczywiste, że Keith uwielbiał wasze kółko historyczne.

- Był naszą nadzieją na przyszłość - powiedział Taylor. - Inni członkowie są, można rzec, w wieku schyłkowym.

- Inni członkowie? - zainteresował się Rebus.

- Dzwoniłam do Anny, ale nie odebrała - oznajmiła Joyce McKechnie. - Nie wrócili chyba jeszcze z wakacji.

Anna i Jim Breakspearowie: dwie inne osoby, których nazwisko Rebus znalazł w notatkach Keitha Granta.

- Więc mamy tu samą śmietankę - skomentował.

- Na papierze kółko liczy kilkanaście osób, ale nie każdy może nam poświęcić tyle czasu, ile by chciał.

- Choć z drugiej strony - Taylor obracał guziki szarobrązowego swetra - Keith pracował na pełnym etacie, a jednak bardzo się udzielał.

- Wszyscy jesteście całkiem dziarscy - zauważył Rebus. - Widziałem wykopaliska, które prowadzicie.

McKechnie parsknęła śmiechem.

- Zadzwoniliśmy w kilka miejsc i przysłali nam ochotników z klubu młodzieżowego - wyjaśniła.

Rebus pokiwał głową, po czym włączył telefon, znalazł zdjęcie, którego potrzebował, i pokazał je rozmówcom.

- Znalaziono teczkę Keitha, ale była pusta. Co waszym zdaniem mogło w niej być? - zapytał.

- Może jego najnowszy notes - mruknął Taylor, wpatrując się w ekran. - Zapisał ich już dziesiątki.

- I laptop - dodała McKechnie.

- Jakie dane mógł mieć w laptopie?

- Podobno nie wolno już nawet używać słowa „laptop” - wtrącił Taylor i upił łyk herbaty. - To ma coś wspólnego z pozwem z powodu poparzonych kolan.

- Oczywiście były tam notatki o obozie - odpowiedziała McKechnie. - A także mapy i fotografie. Tego rodzaju rzeczy.

Telefon Rebusa nagle zabrzączał. Zerknął na ekran i zobaczył, że nie odebrał kilku wcześniejszych połączeń. Dwa były od Laury Smith, dziennikarki kryminalnej z redakcji „Scotsmana”. Wyłączył telefon i schował go do kieszeni.

- Można powiedzieć, że obóz stał się jego obsesją? - zapytał.

- Chyba tak - przyznał Taylor.

McKechnie pokiwała głową.

- Chociaż zastanawiam się... - zaczęła i nagle urwała.

- Joyce, wszystko, co pani powie, może być pomocne - zapewnił ją Rebus.

- Obóz leży praktycznie obok stalagu Hawkinsa.

- Stalagu Hawkinsa?

Kobieta lekko się uśmiechnęła.

- To Keith wymyślił tę nazwę - wyjaśniła. - I z czasem wszyscy zaczęliśmy jej używać.

- Macie na myśli komunę?

Taylor strzepnął kilka okruszków z nogawek spodni.

- Wie pan, że Samantha się z nimi przyjaźniła?

- Opowiedziała mi o swoich relacjach z Hawkinsem, jeśli o to pan pyta. Ale ta sprawa była już zakończona.

- Oczywiście.

Rebus popatrzył na McKechnie.

- Obóz miał być dla Keitha pretekstem, żeby szpiegować komunę? - spytał. - Przecież nawet jej stamtąd nie widać.

- Ale widać przyjeżdżające i wyjeżdżające samochody.

– On tak powiedział?

Pokręciła głową.

– Po prostu się zastanawialiśmy.

– Ale ten powód raczej nie wyjaśniałby ogromu pracy, jaki włożył w badanie obozu. I wyliczeń, ile kosztowałoby przekształcenie go w atrakcję turystyczną.

– Ma pan oczywiście rację. – Taylor odstawił filiżankę na tacę i odmówił dolewki. – To miejsce wbiło w niego swoje szpony.

– Duchy nie mają szponów, Edwardzie – zauważyła McKechnie, uśmiechając się nieznacznie.

– Duchy? – Rebus popatrzył na nią i na niego.

– W Obozie Tysiąc Trzydziestym Trzecim w trakcie jego krótkiego funkcjonowania straciło życie dużo osób. Część zmarła na choroby i z przyczyn naturalnych, część została rozstrzelana albo zginęła w inny sposób.

– W inny sposób? – powtórzył Rebus.

– W wyniku zabójstwa, otrucia...

– I Keith wszystkim tym się interesował?

– Bardzo – potwierdził Taylor.

Rebus potarł brodę.

– Przejrzałem wszystkie jego papiery, które zdołałem znaleźć. W co najmniej jednej z kupionych przez niego książek trafiłem na wzmiankę o zgonach w innych obozach. Ale nic na temat Obozu Tysiąc Trzydziestego Trzeciego.

– Keith nagrał nawet kilka wywiadów, prawda? – McKechnie spojrzała na Taylora, a ten pokiwał głową. – Z ludźmi, którzy pamiętali obóz... i zanim pan o to zapyta, były to osoby nieco ode mnie starsze.

Rebus zgodnie z jej oczekiwaniem uśmiechnął się.

– Żeby mieć jasność: chodzi o ludzi stąd?

– Napisał również do kilku internowanych, którzy przeżyli obóz i wrócili po wojnie do Niemiec lub Polski.

– Albo do Anglii lub Stanów – dodał Taylor.

– Filmował te wywiady? – zapytał Rebus.

– Chyba tylko nagrywał. – Taylor spojrział na McKechnie i ta wzruszyła ramionami. – Nagrania trzymał na pendrivie.

Rebus próbował sobie przypomnieć, czy widział jakiś pendrive w garażu.

– Nie mówimy chyba o wielu osobach – powiedział.

– Z każdym rokiem jest ich coraz mniej – zauważył Taylor.

– Wiem, że rozmawiał z May Collins. Ale czy nagrał wywiad również z jej ojcem?

– Owszem, z Joem Collinsem. A także z Frankiem Hessem, Stefanem Novackiem, Helen Carter... – Taylor znowu zerknął na Joyce McKechnie.

– To chyba wszyscy, którzy jeszcze żyją.

– Bardzo by mi pomogło – Rebus pochylił się i oparł łokcie na kolanach – gdybyście razem się zastanowili i spisali wszystko, co pamiętacie o tych wywiadach i zgonach w Obozie Tysiąc Trzydziestym Trzecim. Dacie radę to zrobić?

– To nie duchy go zabiły, panie Rebus – powiedziała łagodnym tonem McKechnie.

– Staram się po prostu bliżej go poznać. Naprawdę żałuję, że nie zrobiłem tego, kiedy jeszcze żył.

– Rozumiemy pana – odparł Taylor. – I zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

– Będę wam bardzo wdzięczny. – Rebus wstał z fotela.

**SAMANTHA BYŁA W POKOJU** Carrie i pakowała torbę. Kiedy spojrzała na ojca, zobaczył, że ma zaczerwienione oczy.

– Twoje rzeczy wkrótce będą suche – powiedziała. – Skąd masz to ubranie?

– Od May Collins.

– Po jej mężu?

– Tak.

– Zatrzymała ubrania po nieboszczyku?

– Co robisz?

– Carrie zamieszka u Jenny.

– Powiedziałaś jej?

Samantha wydeła policzki i wypuściła z ust powietrze.

– A tak w ogóle to gdzie byłeś?

– Rozmawiałem z ludźmi z lokalnego kółka historycznego.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

– Keith został znaleziony na terenie obozu, Sammy.

– Proszę... mów mi Samantha. – Zasuwała zamek błyskawiczny torby i przez chwilę się zastanawiała. – Szczoteczka do zębów – mruknęła i przecisnęła się obok niego.

Rebus ruszył za nią do łazienki.

– Możemy porozmawiać?

– O czym?

– W obozie była teczka Keitha. Wygląda na to, że jej zawartość zniknęła.

– I co z tego?

– W ogóle o niej nie wspomniałaś. Ani o laptopie. Laptop też zniknął, chyba że masz inne informacje.

Samantha znieruchomiała i powoli się do niego odwróciła.

– Z kim, do kurwy nędzy, teraz rozmawiam? Naprawdę muszę wiedzieć, czy stoi przede mną ojciec, czy kolejny gliniarz, który próbuje mnie przesłuchać.

– Sammy...

– Mam na imię Samantha! – Wybiegając z łazienki, połykała łyż. Kiedy ją dogonił, obchodziła kuchenny stół, rozglądając się dziko dokoła, jakby próbowała zlokalizować coś, co bezpowrotnie straciła.

– Wszyscy myślą, że maczałam w tym palce! – wybuchła. – Wlepiają we mnie gały, kiedy przechodzę ulicą. Na Facebooku i w innych mediach społecznościowych są gotowi spalić mnie na stosie. Twoim kolegom potrzebne są moje odciski palców i próbka włosów do pobrania DNA. Chcą, żebyśmy złożyła zeznanie i dokonała identyfikacji. I dopiero się

rozkręcają. – Gniew powoli w niej wygasał. – Tamtego wieczoru pokłóciliśmy się. Niezbyt mocno, jeśli brać pod uwagę całokształt, ale twój kumpel Creasey będzie uważał inaczej. Jestem taka zmęczona. Odchodzę od zmysłów. Keith nie żyje i nie chcę, żeby Carrie widziała, jak się rozsypuję. – Zamrugnęła, żeby wrócić do rzeczywistości. – Masz jakąś mądrą radę, panie inspektorze?

– Przyjechałem, żeby cię wspierać, Samantha.

– Tak samo jak zawsze, tak? Telefonując dwa razy w roku, jeśli mama i ja miałyśmy szczęście. – Wzięła głęboki oddech i wskazała suszarkę. – Chcę, żebyś wyjechał, kiedy program się skończy.

– Na litość boską, Samantha...

– Mówię serio. Dam sobie radę. Muszę. – Nie chciała spojrzeć mu w oczy. – Słyszałam, że naprawili twój samochód, więc tak naprawdę nie masz powodu, żeby tu siedzieć.

– Mam wszelkie powody... Ty i Carrie jesteście jedyną rodziną, jaką mam. Chcę pomóc.

– Więc powiedz mi jedno. – Świdrując go wzrokiem, podeszła do niego tak blisko, że ich twarze dzieliło tylko kilka centymetrów. – Czy jestem podejrzana?

– Policja musi znaleźć coś, żeby wykluczyć cię z grona podejrzanych.

– Ale dopóki to się nie stanie, jestem podejrzana, tak? Przez ciebie i przez nich? – Samantha pokręciła powoli głową. Kiedy się znów odezwała, jej głos był całkiem cichy. – Po prostu wynieś się stąd, tato. Nie chcę cię widzieć, kiedy wrócę. – Zrzuciła torbę na ramię i przystanęła we frontowych drzwiach. – Ubrania nieboszczyka – mruknęła bardziej do siebie niż do niego i wyszła.

Zastanawiał się, czy nie pójść za nią i nie śledzić jej aż do wioski. Czy Carrie nie zasługuje na to, żeby się z nim spotykać? Czy Samancie nie można przemówić do rozumu? Usiadł na kuchennym krześle i czekał, aż skończy się program suszarki.



**PÓŁ GODZINY PÓŹNIEJ** wszedł do pubu The Glen. W środku było pełno gości. Rozmowy ucichły, kiedy się pojawił. Dziennikarz wypytywał właśnie jednego z miejscowych, trzymając w ręce telefon i go nagrywając. Rebus podszedł prosto do baru. May Collins nie patrzyła na niego, ale na dwie torby, które trzymał w rękach. W końcu spojrzała mu prosto w oczy.

– Przypuszczam, że nie macie tu jakichś pokoi? – zapytał.

## Rozdział 12

**MIEJSCEM, W KTÓRYM WIECZOREM** integrował się zespół, stał się bar odległy o pięć minut spacerem od komisariatu. Kiedy Graham Sutherland wyczuwał, że morale siada i wszyscy są zmęczeni, ogłaszał wszem wobec, że „nie ma motywacji bez porządnej libacji”. I zawsze fundował dwie pierwsze kolejki: przywilej szefa. Tak się składało, że za każdym razem czekał na nich narożny stolik i dostawiali do niego stołki z całego baru. Sutherland przyznał się Siobhan Clarke, że zawsze dzwonił wcześniej i rezerwował „to samo miejsce co zwykle”.

– Co oznacza, że zaciągasz u nich dług – skomentowała. – Uważaj, Graham, to śliska ścieżka.

– Wygląda to inaczej niż w czasach Rebusa. Nie ma wypadów na zaplecze po kopertę z gotówką albo butelkę Grouse.

Nie mogli nawet liczyć na rabat: Sutherland pilnował, żeby go nie było, niezależnie od tego, kto stawiał kolejkę.

Tego wieczoru siedziało ich przy stole sześcioro. Ronnie Ogilvie interesował się głównie teleturniejem, który leciał w telewizorze; wykrzykiwał odpowiedzi, zanim zrobił to którykolwiek z uczestników. Esson i Leighton wbijały wzrok w telefony, nie tykając prawie drinków. Fox koncentrował uwagę na leżących na stole dwóch torebkach karbowanych chipsów; oblizywał palce po każdej porcji, którą wsadzał do ust.

– Zdrowie – powiedział Sutherland, wznosząc dużą szklanę z piwem i pociągając łyk. Clarke zamówiła gin z tonikiem i dodatkową butelkę toniku. Pomyślała ponownie o pokoleniu Rebusa: bardzo wątpiła, by którykolwiek z nich bał się kontroli trzeźwości. Nie chodziło tylko o to, że nastały inne czasy, ale też o to, że ona i jej koledzy byli ulepieni z innej gliny. Nadal świętowali czasami jakiś sukces, wypuszczając z siebie parę,

ale generalnie traktowali robotę jako robotę, nic więcej. Gamble i Yeats poszli do domu, pierwszy, żeby zjeść romantyczną kolację, drugi, żeby rozegrać mecz piłkarski w pięcioosobowych składach. W żadnym wypadku nie chcieli, żeby policyjne śledztwa wypełniały im całe życie. Patrząc na siedzącego po drugiej stronie stołu Sutherlanda, Clarke zastanawiała się, czy nie to właśnie pozwoliło im się bardziej do siebie zbliżyć: obawa, że praca zawodowa wpłynie na ich osobiste relacje i odwrotnie. Potrzebowali odrobiny luzu.

Dlatego przekonała siebie, że powinna pójść z Esson na wieczór autorski. Zjedzą coś małego w pobliżu Usher Hall, gdzie miał się odbyć, i na kilka godzin się wyłączą. Spoglądając na Malcolma Foxa, który popijał chipsy appletiserem, zauważyła, że jest myślami gdzie indziej. Udawał, że interesuje się teleturniejem, który oglądał Ronnie Ogilvie, ale robił to tylko po to, by nie wdawać się z nikim w rozmowę. Przez cały czas głęboko coś analizował; niekoniecznie był zdenerwowany, ale wypełniony nerwową energią, której nikt poza nią chyba nie dostrzegał. Nie powiedział nic o swojej wizycie u Cafferty'ego; po prostu siadł przy komputerze i sprawdzał informacje na temat znajomych i przyjaciół Salmana bin Mahmouda. Zadzwoił nawet do Policji Metropolitalnej, żeby zmobilizować ich do działania. Przechodząc obok, Sutherland przystanął na chwilę, żeby posłuchać rozmowy, i poklepał go krzepiącym gestem po ramieniu.

Fox oderwał wzrok od telewizora, dopiero kiedy jego palce nie znalazły kolejnej garści chipsów. Obie torebki były puste, zostały tylko drobne okruchy. Zobaczył, że Clarke przygląda mu się, i wzruszył ramionami.

– Więc ile zapłaciłeś za ten parking w Quartermile? – zapytała. – Jest tam tak drogo, jak mówią?

– Zostawiłem samochód przy George Square – odparł. – Tam stać mnie jeszcze na parkowanie.

– Pamiętajcie, żeby brać paragony za wszystkie uzasadnione wydatki i przedstawić je do rozliczenia – wtrącił Sutherland. – Nie przekroczyliśmy jeszcze budżetu i wątpię, żeby do tego doszło.

– Jeśli to pomoże, mogę zawsze polecieć na Bliski Wschód i sprawdzić, jak to wygląda z ich perspektywy – oświadczyła z uśmiechem Esson, wpatrując się w ekran telefonu.

– Sądząc po tym, jak Malcolm popędzał naszych kolegów z Metropolitalnej, nie zdziwię się, jeśli pojedzie w delegację do Londynu – mruknął Sutherland.

– To chyba nie będzie potrzebne – odparł Fox. – Mahmoud spędzał czas głównie w Londynie. Nie rozstałby się z tym światem akurat tutaj, gdyby zagiął na niego parol ktoś stamtąd.

– Chyba że chcieli podrzucić nam fałszywy trop – powiedział Ogilvie, odwracając wzrok od napisów końcowych teleturnieju.

– Nie daje mi spokoju miejsce przestępstwa – dodał Fox. – Dlaczego to się stało na takim odludziu? I kto zaproponował tam spotkanie: ofiara czy zabójca?

– Jedyne, czego się dowiedzieliśmy, to tego, że miejsce było kiedyś popularne wśród handlarzy narkotyków i w społeczności doggersów.

– W społeczności doggersów? – Esson rozśmieszyło użyte przez Sutherlanda określenie.

– Sądząc po tym, w jakich kręgach obracał się Mahmoud, nie uważam, żeby po to tam pojechał. Gdyby potrzebował narkotyków, wystarczyłoby zajrzeć do klubu dla VIP-ów albo do któregoś ze znajomych. A co do seksu...

– Czy sypiał naszym zdaniem z Isabellą Meiklejohn? – zapytała Esson, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Chociaż ona wydaje się blisko związana z tym Włochem, a jak mówili nam w szkole policyjnej, *cherchez la femme*.

Sutherland uśmiechnął się i podniósł ręce.

– Na wypadek gdybyście zapomnieli, spotykamy się tu, żeby się odprężyć. Niech ktoś zmieni temat, *s'il vous plaît*.

Przy stoliku zapadło milczenie. Członkowie zespołu unieśli szklanki i zakolysali drinkami. Tess Leighton westchnęła głośno.

– Nic nie przychodzi mi na myśl – powiedziała.

– Mnie też – rzucił Ogilvie.

Kiedy wszyscy przestali się uśmiechać, Sutherland zaproponował następną kolejkę. Esson pokręciła głową.

– Ja i Siobhan musimy już iść. – Podniosła z podłogi torebkę. – Widzimy się wszyscy jutro w firmie?

– Ja mogę się jeszcze napić – poinformował szefa Ogilvie.

Fox zrobił sceptyczną minę, a Leighton pokiwała głową i wróciła do pisania esemesów.

Clarke wyszła za Esson z baru. Było nadal jasno; słońce miało zajść dopiero za kilka godzin. W połowie drogi do samochodu zaczął jej telefon. Esemes od Grahama Sutherlanda.

Dziś wieczór?

Zawahała się i postanowiła nie odpowiadać od razu. Będzie musiała się nad tym zastanowić.

**ZAPARKOWAŁY PRZY GRINDLAY STREET**, niedaleko Usher Hall, i zdążyły jeszcze coś zjeść w Dine.

– Kto by się spodziewał? – zdziwiła się Clarke, patrząc na tłum ludzi zmierzających tak jak one na wieczór autorski.

– Nie ma już wolnych miejsc – poinformowała ją Esson, szukając biletów w torebce.

Clarke dostała kolejną wiadomość od Sutherlanda.

*Wracam do Glasgow, jeśli ci się dziś nie przydam.*

Miał klucz do jej mieszkania, ale wiedziała, że nie będzie się jej narzucał.

*Jeśli nie przeszkadza ci, że będziesz sam, jedź do mnie. Nie wiem, o której wrócę. Miała zamiar wysłać tę wiadomość, kiedy coś przyszło jej do głowy. Ktoś został jeszcze w pubie? Malcolm wyszedł?* – dopisała.

Chwilę później przyszły aż dwa esemesy.

Dzięki. Będę czekał.

*Wymknął się zaraz po tobie.*

Wbiła wzrok w ekran telefonu. Wiedziała świetnie, dokąd wymknął się Fox.

– Co się dzieje? – zapytała Esson.

Clarke zdała sobie sprawę, że ta bacznie się jej przygląda.

– Nic takiego.

– Nie, to zdecydowanie coś ważnego. Musisz być gdzie indziej?

– Najwyraźniej nie mogę wrzucić na luz.

– Nie myśl, że tego nie zauważyłam. W Dine miałam wrażenie, że mówię do ściany.

Clarke z trudem się uśmiechnęła.

– Naprawdę byłam taka straszna?

Esson machnęła energicznie dłonią.

– Idź. Rób, co uważasz, że powinnaś zrobić.

– Na pewno? Zwrócę ci za bilet.

– Jeśli się pospieszę, zwrócą mi pieniądze w kasie – odparła Esson, zerknąwszy na zegarek. – Widzę chyba kolejkę do zwrotów.

– Dziękuję, Christine. Naprawdę bardzo mi przykro.

Esson ponownie machnęła ręką i ruszyła w stronę kasy. Clarke, z przepaszającym uśmiechem, skręciła w Grindlay Street i nagle uświadomiła sobie, że przyjechały tu autem Esson. Jej astra była nadal w Leith. Spojrzała w kierunku Lothian Road. Przy Sheratonie stały trzy taksówki. Przebiegła przez ulicę i wsiadła do pierwszej.

– Dokąd się wybieramy? – zapytał kierowca.

– Na Queen Charlotte Street. Do komisariatu.

– Chce się pani przyznać do winy? Gryzie panią sumienie?

Kierowca uruchomił silnik i włączył taksometr.

– Nic mi o tym nie wiadomo – mruknęła, zbyt cicho, by ją usłyszał.

– **DOBRY WIECZÓR, MALCOLM** – powiedziała, wchodząc do sali NZD.

Fox lekko się wzdrygnął.

– Wystraszyłaś mnie.

Clarke stanęła przy jego ramieniu i czytała to, co było na ekranie komputera.

- Przyjaciele i wspólnicy – wyjaśnił.

- Nic, co nie mogłoby poczekać do rana – mruknęła, kiwając głową, po czym rozejrzała się po pustym pomieszczeniu.

- W domu nie mam nic do roboty. Poza tym lubię tu być sam.

- Żeby nikt ci nie przeszkadzał. – Usiadła na krześle dokładnie naprzeciwko Foxa.

- Wszystko w porządku? – zapytał. – Co z wieczorem autorskim?

- Nie byłam w nastroju. Jadłeś coś?

- Nie powinienem obżerać się tymi chipsami. – Fox poklepał się po brzuchu i patrzył, jak Clarke pochyła się, zabiera mu sprzed nosa notes i przerzuca jego kartki.

- Pilny uczeń – skomentowała. – Należysz chyba do jednoosobowego fanklubu Stewarta Scoulara.

- Widzieliśmy go razem z Meiklejohn i Morellim. Wydaje się oczywiste, że też znał Mahmouda. A uliczni informatorzy twierdzą, że sprzedawał kokainę swoim kumplom.

Clarke lekko się uśmiechnęła.

- Kim dokładnie są ci twoi uliczni informatorzy, Malcolm? Zawsze robiłeś na mnie wrażenie policjanta zza biurka. Ostatnio nie mieszkasz nawet w Edynburgu.

- To wcale nie oznacza, że nie mam swoich źródeł – odparł, czerwieniąc się. – Pracuję w Wydziale Poważnych Przestępstw, mamy swoich informatorów.

- Więc podaj mi nazwisko. – Clarke uniosła rękę. – Nie, pozwól, że sama zgadnę. Morris Gerald Cafferty? Czy to możliwe, że stał się informatorem Wydziału Poważnych Przestępstw i detektywa inspektora Malcolma Foxa?

- Dobrze, już się pośmiałaś. – Skrzyżował ręce na piersi. – Rozumiem, że śledziłaś mnie dzisiaj?

- Czy ty zwróciłeś się do niego, czy on do ciebie?

- To stało się jakby równocześnie.
- I tak po prostu dał wam na talerzu Stewarta Scoulara?
- Mniej więcej.

Clarke pokręciła głową.

- Z Caffertym to nigdy nie jest takie proste. Co tu jest grane, Malcolm?
- Naprawdę nie mogę ci tego powiedzieć, Siobhan... jeszcze nie teraz.
- To ma coś wspólnego z twoim wyjazdem do Gartcosh?
- Po prostu mi odpuść. - Fox podniósł rękę.
- Czy Cafferty wie coś na temat Scoulara i Salmana bin Mahmouda?

- Nie mam pojęcia.

- Więc wszystko, co ci dał, to Scoular i kilka sprzedanych działek kokainy? Jak to się wiąże ze sprawą, przy której podobno pracujemy?

Na twarzy Foxa pojawił się uśmiech.

- Cieszę się, że zadałaś mi to pytanie.

Dał znak, żeby usiadła przed ekranem jego komputera, i przez chwilę stukał w klawisze i klikał myszką.

- Kto by pomyślał, że biznesowe strony gazet mogą być tak pouczające - odezwał się. - Miałem zamiar i tak wszystko wydrukować, ale możesz tymczasem rzucić na to okiem. - Postukał palcem w ekran. - Firma Scoulara angażuje się w projekty na całym świecie. Kilka lat temu budowali nawet drogie apartamentowce na Bliskim Wschodzie. Przy okazji czegoś się nauczyli.

Clarke przebiegała wzrokiem kolejne artykuły, tym razem dotyczące projektów w Londynie, Toronto i Vancouverze.

- Nie wszystkie zostały zrealizowane, ale część owszem - oznajmił Fox.

- I czego się nauczyli?

- Ludzie, którzy mają pieniądze, chcą je pomnażać, ale chcą również, żeby były bezpieczne, a inwestowanie na Bliskim Wschodzie jest ryzykowne. Ojciec Salmana pełnił funkcję „ułatwacza”, nie tylko inwestując własną kasę w część projektów, ale też ściągając innych inwestorów, którzy często woleli pozostać anonimowi, kryjąc się za



nazwami firm, w większości zarejestrowanych w obcych krajach. – Fox popatrzył na Clarke. – Ale kiedy znalazł się w areszcie domowym...

– Uważasz, że jego syn przejął interes? Nie przypominam sobie, żebyśmy trafili na jego nazwisko, przeczesując sieć.

– Zgoda, ale spójrz na to. – Kilka kolejnych kliknięć i na ekranie pojawiła się informacja ze stron biznesowych: jeden akapit, który łatwo było przegapić. Clarke przeczytała go, Fox opatrzył komentarzem.

– Firma Scoulara, zasilona saudyjskimi pieniędzmi, szuka współinwestorów, żeby zbudować na północy Szkocji ośrodek golfowy. Na ziemi należącej do lorda Strathy'ego.

– A lord Strathy to...?

Kolejne kliknięcie i na ekranie ukazała się biografia lorda wraz z jego zdjęciem w gronostajach, z twarzą zaróżowioną od przywilejów.

– Nazywa się Ramsay Meiklejohn – powiedział Fox. – I jest ojcem Isabelli Meiklejohn. – Na ekranie pojawiła się mapa Szkocji. – Niebieskim kolorem oznaczono należące do niego ziemie.

– Całkiem tego dużo. – Clarke wskazała dwa obszary na wybrzeżu. – Nie obejmują co prawda gmin Tongue i Thurso...

– Ale położone są całkiem blisko jednej i drugiej. Siedziba rodu mieści się między nimi, przy drodze z Dounreay.

Następne zdjęcie przedstawiało zamek.

– Właściwie nie jest taki stary – skomentował Fox. – Z połowy dziewiętnastego wieku. W stylu szkockiego neogotyku. Stąd te wieżyczki à la Disneyland.

– Chryste, Malcolm, kiedy już coś wyszukujesz, dajesz z siebie wszystko. – Clarke zerknęła na niego. – Ale nie musisz być z siebie taki zadowolony.

– Musisz jednak przyznać, że to wszystko się ze sobą łączy. Scoular w zмовie z lordem Strathym, kasa z Bliskiego Wschodu, ofiara i Isabella Meiklejohn...

– Co absolutnie nie wyjaśnia, dlaczego ktoś chciałby uśmiercić Salmana bin Mahmouda.

– Tyle że... – Fox zawiesił głos i otworzył kolejną stronę na ekranie. – To samo konsorcjum chciało zbudować w pobliżu Tongue kosmodrom. Nic z tego nie wyszło, częściowo z powodu obaw miejscowej społeczności, lecz głównie dlatego, że nie udało się zebrać pieniędzy. To samo dotyczy ośrodka golfowego. Ale poniesiono już pewne koszty. W sytuacji, kiedy Ahmad bin Mahmoud jest w areszcie domowym i nie może rozporządzać finansami, presja, żeby je spłacić, mogła być wywierana na syna. Najprawdopodobniej ze strony kogoś takiego jak Stewart Scoular i Ramsay Meiklejohn.

– Masz jakiegokolwiek dowody, że tak rzeczywiście było?

Fox zwiesił nos na kwintę.

– Skontaktowałem się z kilkoma dziennikarzami biznesowymi, ale na razie się nie odezwali.

– Kontaktujesz się z prasą? – Clarke spiorunowała go wzrokiem.

– Tylko mailowo, ostrożnie dobierając słowa.

– Tak czy inaczej, nie jest to zbyt mądre. – Podrapała się po czole.

– Nie widzę, żeby ktoś tutaj posuwał tę sprawę naprzód, Siobhan.

– Działasz na zamówienie Cafferty’ego, Malcolm. On to wyciągnął. Nie sądzisz, że powinno nas to zaniepokoić?

Fox pokręcił głową.

– Gdybyś mnie pytała, zdaniem Cafferty’ego mogliśmy co najwyżej odkryć, że Scoular oferował albo sprzedawał znajomym odrobinę białego proszku. Być może mu się to nie podoba, bo traci potencjalnych klientów. – Wskazał głową ekran. – A tymczasem chodzi o coś więcej i ja to odkryłem. Nie uważasz, że powinniśmy przynajmniej pójść z tym do szefa?

– Jasne. Ale odnoszę wrażenie, że „przynajmniej” to dla ciebie za mało. – Clarke uważnie mu się przyjrzała. – Być może chciałbyś odbyć krótką pogawędkę ze Stewartem Scoulairem?

– Być może.

– Zanim pójdziemy z tym do szefa?

Wzruszył ramionami.

- Trzeba kuć żelazo, póki gorące – stwierdził, uśmiechając się.

- Już to załatwiłeś? – domyśliła się Clarke.

Fox zerknął na zegarek.

- Chcesz ze mną pojechać?

- Teraz?

- Oczywiście.

- Do jego biura? – spytała.

Pokręcił głową.

- Do domu. Powiedziałem mu, że w śledztwie w sprawie zabójstwa liczy się każda minuta.

- Co jeszcze mu powiedziałeś?

- Że przesłuchujemy każdego, kto mógł znać ofiarę, i że wypłynęło jego nazwisko.

- Przyznał się do znajomości z Salmanem?

Fox pokiwał głową, wsuwając ręce w rękawy kurtki.

- Może i jestem policjantem zza biurka, Siobhan – poklepał blat – ale czasami wiem, jak wygrywać.

Clarke nie była o tym do końca przekonana, mimo to wyszła z nim z komisariatu.

Co innego jej pozostało?

## Rozdział 13

STEWART SCoulAR MIESZKAŁ W Stockbridge, w szeregowcu z widokiem na rzekę Water of Leith. Przy frontowych drzwiach były dwa dzwonki, jeden z napisem BIURO, drugi bez napisu. Fox wcisnął ten drugi. Po dłuższej chwili w głośniku zatrzeszczał głos.

– Wchodźcie.

Pchnęli frontowe drzwi i znaleźli się w niewielkim przedpokoju z dwojgiem prowadzących dalej drzwi. Jedne się otworzyły. Scoular miał na sobie niezapiętą pod szyją jasnoróżową koszulę z podwiniętymi rękawami. Clarke zauważyła, że jest boso. Żadnych pierścionków, zegarka ani innej biżuterii. Piaskowego koloru włosy były niedawno przystrzyżone, zęby lśniące, twarz lekko piegowata.

– Widzę, że zabrał pan wsparcie – rzucił, parszkając śmiechem.

– To moja koleżanka, inspektor Clarke – przedstawił ją Fox. – Dziękujemy, że zgodził się pan z nami spotkać o tak późnej porze.

Scoular zbył te uprzejmości machnięciem dłoni i wprowadził ich do dużego salonu z wysokim sufitem, ozdobnymi gzymsami i podłogą z piaskowanych desek.

– Urocze miejsce – powiedział Fox, jakby naprawdę tak uważał. Meble wyglądały na drogie, ale pokój robił wrażenie rzadko odwiedzanego. Clarke podejrzewała, że męski azyl, z wielkim telewizorem i innymi akcesoriami, jest zupełnie gdzie indziej. W salonie nie było półek. Żadnych książek, czasopism ani bibelotów.

– Mieszka pan tu sam? – zapytała.

– Nie każdej nocy sam – odparł i znów się roześmiał. – Macie ochotę się czegoś napić?

– Miło, że pan zapytał, ale nie, dzięki. – Fox usiadł na skórzanej sofie. Miała chromowane poręcze, na których łatwo zostawić odciski palców, ale

Clarke żadnych nie zauważyła. Mebel był albo fabrycznie nowy, albo właściciel zatrudniał bardzo skrupulatną sprzątaczkę. – Nie zajmujemy panu dużo czasu – podjął Fox, przesuwając się nieco, by zrobić miejsce dla Clarke. – Tylko kilka pytań, żeby ustalić, jak dobrze znał pan Salmana bin Mahmouda.

Scoular usiadł w pasującym do sofy fotelu i założył prawą stopę na lewe kolano. Zdaniem Clarke za bardzo starał się sprawiać wrażenie wyluzowanego i beztrudnego. Nagle uniósł głowę, jakby mogło mu to pomóc się zastanowić.

– Szczerze mówiąc, wątpię, żebym spotkał go więcej niż kilkanaście razy. Przeważnie na przyjęciach.

– Także u niego?

– Raz z całą pewnością.

– Mieszkał pięć, może dziesięć minut stąd spacerem?

– Coś koło tego.

– A Giovanni Morelli jeszcze bliżej?

– Góra pięć minut. Powiedziałbym, że znam Gio nieco lepiej, niż znałem Sala.

– Ludzie nazywali go Sal?

– Niektórzy z nas. – Scoular wziął w dłoń palce prawej stopy i chyba je rozmasowywał.

– Uraził się pan w stopę? – zapytała Clarke.

– Nie. Przepraszam – mruknął, chyba dopiero teraz zdając sobie sprawę, co robi, i postawił stopę na podłodze. – Złapał mnie lekki skurcz po biegu.

To, że biegał, raczej nie zdziwiło Clarke. Miał pewnie również domową siłownię. Szczupły i lekko opalony, z pewnością musiał pociągać pewien typ kobiet. Wyobraziła sobie, jak prezentuje jeden ze swoich projektów w miejscu pełnym ludzi, którzy zazdrościli mu wyglądu i pewności siebie. Mogli w nim widzieć nonkonformistę, wyrzuconego z macierzystej partii za to, że mówił to, co myślał.

– Powiniennem chyba zapytać, na jakim etapie jest wasze śledztwo – odezwał się.

– Robimy postępy – zapewnił go Fox.

Te pozbawione znaczenia słowa chyba zadowolili Scoulara.

– Kiedy byłem deputowanym, bardzo interesowałem się przestępczością i wymiarem sprawiedliwości. Uderzyło mnie, że szkocka policja wykonywała świetną robotę, mimo że była stale niedofinansowana.

– Staramy się nie narzekać – mruknęła Clarke.

– Wracając do pana bin Mahmouda – powiedział Fox. – Spotkał się pan z nim kilka razy na gruncie towarzyskim, ale czy do tego ograniczały się wasze relacje?

– W zasadzie tak.

– Odwiedził go pan kiedykolwiek w Londynie?

– Nie.

– Ale wyjeżdża pan tam w sprawach biznesowych?

– Czasami.

– A pański biznes to właściwie...?

– Nieruchomości i deweloperka. W większości komercyjna, na przykład hotele. W Edynburgu jest sporo terenów, które moglibyśmy lepiej wykorzystać.

– Żeby zwiększyć zyski?

– Żeby zwiększyć potencjał. Nie zawsze chodzi o pieniądze.

– O dodatkowe udogodnienia, o jakość życia? – wtrąciła Clarke.

Scoular przyjrzał się jej uważnie, żeby sprawdzić, czy go nie podpuszcza.

– Zgadza się – odparł w końcu bezbarwnym tonem.

– Ustaliliśmy, że znał pan Salmana bin Mahmouda i zna pan Giovanniego Morellego – oznajmił Fox. – Więc zna pan pewnie również lady Isabellę Meiklejohn?

– Tak, znam Issy.

– Czy w kręgu znajomych pana bin Mahmouda jest ktoś jeszcze, z kim powinniśmy porozmawiać?

Scoular przez chwilę się zastanawiał.

– Trzeba o to zapytać Issy i Gio. Jak już mówiłem, nie byłem najbliższym powiernikiem Sala...

– A kto pańskim zdaniem nim był?

– Pewnie Issy.

– Byli ze sobą?

– To ją musicie zapytać. Nigdy nie odniosłem wrażenia, że seks był dla Sala „tym czymś”.

– Więc co było dla niego „tym czymś”, jak pan myśli?

– Lubił clubbing. Lubił fajne ubrania, dobre samochody, podróże...

– Wszystko to opłacane przez ojca?

– Chyba że dorabiał na boku jako barman.

Fox odwzajemnił z obowiązku uśmiech Scoulara.

– Prowadził pan kiedykolwiek interesy z ojcem Salmana? – zapytał.

– Nigdy w życiu.

– Ale robił pan interesy na Bliskim Wschodzie?

– Dość dawno temu i nigdy nie z Salem. – Scoular klepnął się dłońmi po udach, jakby chciał wstać z fotela. – To chyba już wszystko, nie sądzicie?

– Czy Salman bin Mahmoud miał jakichś wrogów, jakieś wyraźne problemy?

– Nie.

– Po raz ostatni widział go pan...?

– Pewnie w tym czy innym klubie.

– Może w Jenever? – zapytała Clarke. Scoular wbił w nią wzrok i nie odpowiedział na pytanie. – Słyszeliśmy, że to jeden z pana ulubionych lokali.

– Nie powiedziałbym. Wpadam tam może dwa razy w miesiącu.

– Ale wie pan, kto jest jego właścicielem? Człowiek o nazwisku Cafferty?

– Pamiętacie chyba, że interesowałem się przestępczością i wymiarem sprawiedliwości?

– Więc zna pan Cafferty’ego?

– Tylko ze słyszenia.

– Ale mimo tego, co pan o nim wie, przysparza mu pan dochodów?

Scoular spojrział na Clarke, potem na Foxa, i z powrotem na nią.

– Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzamy – przyznał.

– Staramy się po prostu odmalować w miarę wierny portret pana bin Mahmouda i jego stylu życia – odpowiedział Fox.

– Myślę, że był zabawowym facetem, klasycznym playboyem. Ktoś mógł mu może zazdrościć, ale generalnie wszyscy go lubili. – Scoular zajął się tym razem na serio swoimi nogami: ostentacyjnie rozciągał mięśnie łydek.

– Ostatnia sprawa – rzucił Fox, podnosząc się z sofy. – Ma pan jakieś teorie, co Salman mógł robić w okolicy Seafield Road?

– Zastanawiałem się nad tym.

– I co?

– Przyszło mi do głowy tylko to, że graliśmy tam kiedyś w golfa.

– Był golfistą?

– Niezbyt dobrym, ale w golfa grał przecież Sean Connery. A Sal zawsze się na nim wzorował.

– Graliście tylko we dwóch?

– Był tam także Gio. On też grał raczej marnie, ale był ubrany, jak trzeba.

– Ale nie nabijał się pan z nich pewnie w trakcie gry? – zapytała Clarke. – Nie, skoro mieli otworzyć książeczki czekowe i sfinansować jeden z pańskich projektów.

Scoular posłał jej drwiące spojrzenie.

– W dzisiejszych czasach nie otwiera się książeczek czekowych, pani inspektor. Wszystko odbywa się elektronicznie. A ja szczerę się tym, że nie straciłem ani jednego centa z pieniędzy moich inwestorów.



– Mówi pan o tym ośrodku golfowym na północy? – wtrącił Fox. – Na terenach należących do ojca Isabelli Meiklejohn?

– Nie rozumiem, o co pan pyta?

– Czy po śmierci pana bin Mahmouda nie będzie kłopotów z jego sfinansowaniem? A może już wcześniej zdecydował, że nie będzie tam inwestował?

– Powiedziałem chyba wszystko, co miałem zamiar powiedzieć. – Scouler podszedł do drzwi i je otworzył.

Clarke powoli wstała i patrząc mu w oczy, podeszła do progu.

– Jeszcze raz dziękujemy, że poświęcił nam pan czas – powiedziała. – I niech pan się nie nabawi odmrożeń – dodała, wskazując jego białe stopy.

– **CIEKAWY, CO?** – powiedział Fox, kiedy wyszli na ulicę.

– Na pewno wyprowadziliśmy go z równowagi.

– Sądzisz, że coś ukrywa?

Clarke pokiwała głową.

– Podobnie jak ty. Pytanie, co z tym zrobimy?

– W Gartcosh mamy śledczych od finansów. Mogę im to podrzucić.

Clarke przez chwilę się zastanawiała.

– Jak na kogoś oskarżanego o rasizm za bardzo gustuje w cudzoziemskich znajomych.

– Pod warunkiem że nie są biedni i nie są Żydami.

– A co z tym polem golfowym? Tym, przy którym bin Mahmoud został zamordowany?

– Uważasz, że to ważny trop?

– Nie mam pojęcia, Malcolm. – Clarke sprawdziła godzinę na telefonie.

– Musisz wyprowadzić Brilla na spacer?

– Biedaczek za długo już na mnie czeka. Idziesz ze mną czy musisz zdać raport Cafferty'emu? – Widziała, jak Fox robi ponurą minę. – Tylko się z tobą droczę.

– Nie sądzę – odparł, wsuwając ręce do kieszeni kurtki i odwracając się do niej plecami.

– Nie masz za co przepraszać – mruknęła pod nosem. – Nie ty jeden zaplątałeś się w grę między gangsterem i policją...

**KIEDY ZADZWONIŁ DO NIEGO BENNY**, Cafferty siedział na tej samej co zwykle małej kanapie na antresoli klubu Jenever i popijał tę samą co zwykle lemoniadę.

– Chyba coś mam, szefie. Dostałem cynk z Moredun. Facet mieszka tuż przy Moredunvale Road, kieruje lokalnym gangiem. Notowany przez policję.

Duży Ger upił łyk drinka.

– Byłoby miło, gdybyś podał jego nazwisko, Benjamin.

– Cole Burnett.

– *Coal* jak to, co wydobywaliśmy kiedyś w kopalniach?

Benny przeliterował mu imię i nazwisko.

– Pierwsze słyszę – przyznał Cafferty, mówiąc bardziej do siebie niż do podwładnego.

– Mam go przywieźć?

– Widziałeś go?

– Jeszcze nie. Ale mam jego adres.

– Dlaczego uważasz, że to on?

– Specjalizuje się w kradzieży telefonów. Jeden kopniak albo fanga i znika.

– I komu je później sprzedaje?

W słuchawce zapadła cisza: Benny nie wiedział, jak przyznać, że nie ma na ten temat najmniejszego pojęcia.

– Nieważne – rzucił Duży Ger. – Ale owszem, chcę, żebyście go przywieźli. Może do klubu, ale zaczekajcie, aż będzie zamknięty. Z piwnicy niewiele słyhać. Moglibyście podłączyć do prądu Hulka, a na ulicy i tak nikt by nic nie usłyszał.

– Wystarczy nam samochodowy akumulator – powiedział Benny.

– Widzę, że znasz się na tym lepiej ode mnie – odparł Cafferty, choć obaj wiedzieli, że to nie do końca prawda.

## Rozdział 14

MAY COLLINS DOPIERO PO północy wyprosiła z pubu ostatnich gości. Na wieczornej zmianie dołączył do niej barman o imieniu Cameron. Dwudziestokilkuletni, z mnóstwem tatuaży i piercingiem na twarzy, mieszkał w przyczepie za pubem.

– Pokój, w którym nocujesz, bardziej należy się jemu, ale on woli mieszkać tam, gdzie mieszka – wyjaśniła Collins Rebusowi.

Rebus pomógł uprzątnąć ze stołów szklanki i śmieci, ona ustawiła stołki i krzesła, a Cameron załadował zmywarę.

– Podłogę zostaw sobie na rano – zasugerowała mu Collins.

– Dawno nie było takiego tłumy.

Cameron chyba się z tego cieszył. Nie doszło do żadnych awantur, nie było wrzasków. Pub stał się punktem zbornym miejscowej społeczności, a dziennikarzom nie poświęcano wiele uwagi. Dwaj z nich – jeden z Inverness, drugi z Aberdeen – byli ostatnimi klientami, którzy wyszli. Ten z Inverness podszedł w pewnym momencie do Rebusa i szepnął, że Laura Smith przesyła mu pozdrowienia i powinien do niej zadzwonić. Na co Rebus odpowiedział kilkoma mocnymi słowami, po których reporter zostawił go w spokoju i spędził resztę wieczoru z kolegą po fachu.

Wzniesiono kilka toastów za Keitha, a ci, co znali go bliżej, przez chwilę go wspominali, lecz wszystko to było podszyte niepokojem: czyżby mieli pośród siebie mordercę? Rebus usłyszał kilka teorii. Mógł to zrobić turysta, ktoś obcy, imigrant. Czy parę lat temu nie doszło w Thurso do morderstwa i sprawcy nie złapano? I czy tamta ofiara nie zginęła również od uderzenia w czaszkę? Wiedział, że to normalne: takie opowieści mają raczej na celu odsunięcie od siebie rzeczywistości niż stawienie jej czoła. Autor jednej z bardziej oryginalnych teorii twierdził, że w grę wchodzi zjawiska paranormalne.

– Widziałem dziwne rzeczy zupełnie odbiegające od normy – oznajmił urzeczonym słuchaczom. – Błyski, dźwięki, cienie przesuwane się za ogrodzeniem...

May Collins zerknęła na Rebusa i pokręciła powoli głową.

Przez większą część wieczoru pił jedno duże piwo, a kiedy się skończyło, przerzucił się na whisky, którą rozcieńczył dużą ilością wody.

– Przepraszam, że nie daję wam zbyt dużo zarobić – powiedział, podając nad barem pięciofuntowy banknot.

– Zarabiamy nieźle i bez twojego udziału – odpaliła Collins, po czym otworzyła kasę i zgarnęła banknoty i monety do torby. – Idę z tym do sejfów – poinformowała Camerona i zniknęła za drzwiami.

Cameron stanął za kontuarem i nalał sobie cydru. Wszystko, co trzeba było zrobić, zostało zrobione. Rebus przyjrzał się półce z alkoholami. Między butelkami był jakiś herb, kilka wyblakłych pocztówek z ciepłych krajów, fałszywe dwadzieścia funtów, zagraniczne banknoty i kilka zdjęć zrobionych w pubie w ciągu ubiegłych lat.

– To ojciec May – powiedział Cameron, dotykając palcem jednego z nich. – Prowadził ten lokal, dopóki dawał radę. To było długo przed tym, nim się tu zjawiłem.

– Nadal tu zachodzi?

Barman pokręcił głową.

– Myślę, że to miejsce budzi w nim zbyt wiele wspomnień. To znaczy dobrych, ale ostatnio jest cieniem samego siebie.

– Znam to uczucie.

Cameron uśmiechnął się krzywo.

– Więc zostaje pan tu na noc, tak?

– Moja córka potrzebuje trochę więcej przestrzeni.

– To chyba zrozumiałe. – Cameron wypił kilkoma łykami cydru. – To by było na tyle – mruknął, zdejmując z wieszaka dzinsową kurtkę.

– Miał pan jakieś kontakty z Keithem?

– Podawałem mu czasami drinka.

Rebus ponownie spojrzał na półkę za barem.

– Co tu leżało? – zapytał, wskazując trzy wbite w deskę gwoździe.

– Nie wiem, czy mi pan uwierzy, ale rewolwer. – Cameron wskazał po kolei każdy z gwoździ. – Lufa tutaj, kabłąk spustu tutaj, rękojeść tutaj. Należał chyba do pana Collinsa, ale nie jestem pewien. Zżarła go rdza.

– I co się z nim stało?

Barman wzruszył ramionami.

– May chyba go wyrzuciła. Nie każdy klient chce patrzeć w lufę broni, kiedy próbuje się zrelaksować.

– Po prostu tak tu leżał?

– May brała go czasem do ręki... dla żartu, kiedy trzeba było wyprosić gości. Na ogół skutkowało.

– Nie mam co do tego wątpliwości – mruknął Rebus.

Cameron po raz ostatni omiół wzrokiem pub.

– W takim razie pewnie zobaczymy się rano. Przed otwarciem May robi nam bułki z bekonem. Ciekawe, czy jutro będziemy mieli taki sam ruch.

– Medialny cyrk będzie trwał – zapewnił go Rebus.

– Mam nadzieję, że nie tylko przez parę dni. – Cameron pozdrowił go gestem dłoni i w tym samym momencie w drzwiach pojawiła się May Collins, chowając za ucho kosmyk włosów.

– Chyba napiję się przed snem – powiedziała, stawiając szklanekę pod kranikiem z whisky. – Mam nadzieję, że razem z tobą.

– Nie powinienem.

– Wybierasz się gdzieś samochodem?

– Względędy zdrowotne. Mam przewlekłą obturacyjną chorobę płuc.

– Przykro mi to słyszeć.

– A niech tam. Nalewaj.

Usiedli obok siebie na wysokich stołkach i stuknęli się szklankami. Ciszę zakłócał tylko szum zmywarki i od czasu do czasu jakiś głos z zewnątrz.

– Na pewno tu przyjdzie – odezwała się w końcu Collins. – Mam na myśli Samanthę.

– Być może.

– Jesteś jej ojcem... wątpię, żeby długo się na ciebie boczyła. W tym momencie potrzebowała kogoś, na kogo mogłaby zwalić całą winę, i trafiło na ciebie.

– Nie powinienem położyć się na kozetce u psychoterapeuty? – zapytał Rebus, przypominając sobie, że Samantha zadała podobne pytanie Robinowi Creaseyowi.

– To nie wymaga psychologa. Wystarczy ktoś, kto miał od groma zatargów z własnym ojcem.

– Cameron powiedział, że pub prowadził wcześniej twój tato.

– Owszem, kiedy był już starszy. Jego pierwsza żona zmarła i ożenił się z moją mamą... miała na imię Betsy. Po jej śmierci coraz gorzej sobie radził.

– Więc go zastąpiłaś?

– Razem z moim mężem Billym. A potem Billy zachorował na raka i szybko odszedł. – Rozejrzała się po pubie. – Nie wiem, czy to jest coś, czego naprawdę chciałam, ale ojciec mnie potrzebował.

– Mnie Samantha chyba na pewno nie potrzebuje.

– Może nie w tej chwili, ale...

– Chodzi o to, May, że zawsze za bardzo lubiłem swoją robotę. Moja żona powtarzała, że to wygląda jak romans: wracałem późnym wieczorem, nie było mnie przez większość weekendów. A nawet jeśli siedziałem w domu, to sprawy, które prowadziłem, nadal mnie pochłaniały. – Rebus postukał się w czoło. – I absolutnie nie chciałem się nimi dzielić. Nie było mowy, żebym dopuścił Rhonę i Sammy do tego świata.

– Więc może na tym polegał twój błąd. Nie potrzebowały rycerza, który będzie ich bronić. Rhona potrzebowała męża, a Samantha ojca, koniec kropka. – Collins wychyliła do dna szklankę i obeszła bar, żeby ją znów napęlnić.

Rebus odmówił dolewki. Obserwował kobietę stojącą przy dozowniku.

– Cameron opowiedział mi o rewolwerze – odezwał się po chwili.

– Naprawdę?

– Pozbyłaś się go?

– Niezupełnie – odparła, z powrotem siadając na stolku. – Po prostu zniknął.

– Ktoś go zwinął?

– Z początku myślałam, że musi go mieć ojciec, ale myliłam się. Był przeżarty rdzą, więc nie ma się czym przejmować.

– Ale zgłosiłaś to?

– Znajdą go. Dowiem się, kiedy jakiś dzieciak zacznie nim wymachiwać.

– Jak dawno to było?

– Jakiś miesiąc temu.

– Co sądzi o tym twój ojciec?

Collins upiła łyk whisky.

– Był zdziwiony, że tak długo go trzymałam.

– Pochodzi z drugiej wojny światowej?

– Z tego, co wiem, tak.

– Ale twój ojciec był jeńcem wojennym?

– Owszem, był internowany.

– Więc nie mógł mieć broni.

– Podobno znalazł ją wyrzuconą na brzeg w latach pięćdziesiątych. – Collins odłożyła szklanekę. – O co w tym wszystkim chodzi, John?

– Keith miał obsesję na punkcie Obozu Tysiąc Trzydziestego Trzeciego. Przespał tam nawet kilka nocy. Człowiek, który go zabił, zabrał prawdopodobnie zawartość jego teczek... czyli materiały na temat obozu. Powiedziano mi, że rozmawiał z twoim ojcem, z tobą i kilkoma innymi osobami, które przeżyły obóz, ale w garażu Keitha nie znalazłem nagrań tych rozmów.

Collins przez chwilę się nad tym zastanawiała.

– Chcesz porozmawiać z moim ojcem? – spytała w końcu.

– I z innymi, jeśli to możliwe.

– Mogłabym ich tu zaprosić. – Zerknęła na zegar. – Zadzwonię do nich rano, zobaczę, czy uda się ich tu ściągnąć przed otwarciem pubu. Co ty na to?

– Będę ci wdzięczny.

– Naprawdę uważasz, że to coś pomoże?

– Nie mam pojęcia.

– Policja też będzie chciała z nimi porozmawiać?

– Jeśli dochowa należytej staranności.

– Nie wydajesz się przekonany.

– Creasey sprawia wrażenie dość kompetentnego, ale wiem, jak to funkcjonuje... nie wszyscy będą tacy jak on.

– Zobaczymy, co będzie jutro. Na razie cieszę się, że mam pod swoim dachem rycerza.

– Mimo że ma skrzypiącą zbroję?

– Nie wspominając już o chorym rumaku. – Wstając z barowego stołka, Collins nie potrafiła ukryć znużenia. – Zgaśmy światła i chodźmy na górę.

– Znałaś pewnie Keitha o niebo lepiej ode mnie. Prawdę mówiąc, prawie w ogóle go nie znałem. Jaki był?

– Milczący, ale stanowczy. Wszyscy go lubili i widziałeś chyba, że uwielbiał Carrie.

– Kiedy Samantha zaczęła się widywać z Jessem Hawkinsem, musiało go to zabolec. Naprawdę uważasz, że się pogodzili? Na dobre?

– Wydawali się pogodzeni. – Collins przez chwilę się nad tym zastanawiała. – My tutaj raczej się w to nie wtrącaliśmy.

– Nigdy nie doszło do konfrontacji między Keithem i Hawkinsem?

– Być może słownej, ale z tego, co wiem, nigdy nie fizycznej.

– Samantha powiedziała mi, że Keith i Hawkins spotkali się tylko raz. Na ile zrozumiałem, było to dawno temu.

– Może.

– Wiesz, że Keith dowiedział się o Hawkinsie z anonimu? Przychodzi ci do głowy, kto mógł go napisać?



- Nie podoba mi się, że ktoś mógł to zrobić. - Collins spojrzała Rebusowi prosto w oczy. - Jeśli pytasz, czy Keith mógł dusić w sobie emocje... to całkiem możliwe. Na pewno bolało go to, że o sprawie wiedziała cała wioska. Musiał się zastanawiać, dlaczego nikt nic mu nie powiedział. Był ostatnio zdecydowanie bardziej wycofany.

- I skupił się wyłącznie na Obozie Tysiąc Trzydziestym Trzecim. - Telefon Rebusa zabrzączał, sygnalizując nadejście esemesa.

- Od Samantha? - zapytała Collins.

- Z Edynburga - odparł. - Przed pójściem na górę będę musiał zadzwonić. - Nagle przyszło mu coś do głowy. - Mógłbym skorzystać z komputera w twoim kantorku? - zapytał. John Neilson dotrzymał słowa i przed kilkoma godzinami podesłał mu linki do różnych stron. Rebus wiedział o tym, bo zajrzał do skrzynki mailowej w telefonie, ale jeśli miał przeczytać dłuższe teksty, wolał to zrobić na większym ekranie.

Collins pokiwała głową.

- Ale włączam alarm, więc nigdzie się nie włócz. Do zobaczenia rano.

- Słyszałem o bułkach z bekonem.

- Dobranoc, John.

Rebus podszedł do jednego z okien. Szyba była zaszroniona i nic przez nią nie widział. Mimo późnej pory na dworze nie było jeszcze całkiem ciemno. Wiedział, że miejscowi zapłacą za to krótkimi zimowymi dniami. Nie słyhać już było żadnych głosów, jedynie przejeżdżający samochód. *Możemy pogadać?* - napisał do Clarke i kiedy odpowiedziała, że tak, wybrał jej numer.

- Oboje jesteśmy nocnymi markami - rzucił. - Z Brillem wszystko w porządku?

- Jest w tej chwili ze mną w mieszkaniu.

- Twoim?

- Moim. Co u ciebie?

- Keith został zamordowany.

- Czytałam o tym w sieci, ale historia jest niejasna.

– Oberwał tęym przedmiotem, jeszcze niezidentyfikowanym. Policja podejmuje czynności. Samantha, jak pewnie się domyślasz, jest w szoku. Carrie zamieszka u jej przyjaciółki.

– Keith miał jakąś rodzinę?

– Siostrę w Kanadzie. Nie wiem, czy Sammy będzie chciała ją zawiadomić.

– Nie ma żadnych oczywistych podejrzanych?

– Nie – przyznał Rebus.

– Więc zakasujesz rękawy?

– Można tak powiedzieć.

– Rozumiem, że nie masz czasu na nic innego?

Przez chwilę milczał, zaintrygowany tonem jej głosu.

– O co chodzi, Siobhan?

– O pewne dalekie powiązania pomiędzy ofiarą zabójstwa, którym się zajmujemy, i miejscem, gdzie aktualnie przebywasz.

Opowiedziała mu o Stewarcie Scoularze, rodzinie bin Mahmouda, zasadzce przy polu golfowym, Isabelli Meiklejohn oraz o lordzie Strathym.

– Obiło mi się o uszy to nazwisko – powiedział Rebus. – Chcesz, żebym trochę poszperał?

– Niekoniecznie...

Nie mógł się nie uśmiechnąć.

– A mimo to opowiadasz mi o tym wszystkim w środku nocy. Potrafię przejrzeć cię na wskroś, inspektor Clarke.

– To nie może iść oficjalnymi kanałami, John.

– Oczywiście.

– Jeśli znajdziesz coś, co może mieć jakieś znaczenie...

– Natychmiast cię o tym zawiadomię.

– Na pewno masz na to czas? Wiem, że Samantha potrzebuje cię o wiele bardziej ode mnie.

– Zostaw to mnie, Siobhan. Zobaczę, co da się zrobić. Tymczasem kładź się do łóżka i powiedz Brillowi, że za nim tęsknię.

– Jasne, John. I dziękuję.

– Do usłyszenia wkrótce.

Rebus zakończył rozmowę i wchodząc za bar, przycisnął telefon do policzka. Wyłącznik światła był tuż obok miejsca, gdzie leżał wcześniej skradziony rewolwer. Przez chwilę przyglądał się gwoździom, a potem zgasił światło i ruszył do kantorka.

**TRZY GODZINY PÓŹNIEJ LEŻAŁ** w łóżku, nie mogąc zasnąć i wpatrując się w sufit. Za dwie godziny miało zacząć świtać. Wydawało mu się, że wie, dlaczego Keith tak się interesował Obozem 1033. Miało to coś wspólnego ze sposobem, w jaki w czasie drugiej wojny światowej traktowano niektórych ludzi. Byli zamykani tylko dlatego, że urodzili się poza granicami Zjednoczonego Królestwa. Wyspa Man zmieniła się na pewien okres w jeden wielki obóz internowania, podobnie jak wyspa Bute. „Trzeba dorwać ich wszystkich”, powiedział Churchill i od tamtego momentu każdy cudzoziemiec uważany był za członka piątej kolumny. Sytuacja pogorszyła się, kiedy Sikorski, naczelny wódz polskich sił zbrojnych, zaczął zamykać tych rodaków, którzy nie zgadzali się z jego polityką. Keith napisał na ten temat kilka dłuższych artykułów; Rebus znalazł je w garażu razem z listami z redakcji paru gazet i czasopism, które je odrzuciły. To, co pisał, było przepojone – może zbyt wyraźnie – gniewem na rażącą niesprawiedliwość. W jednym z artykułów, zatytułowanym *Niekończące się polowanie na czarownice*, porównał ówczesną atmosferę z tym, co działo się tu i teraz.

– Wygląda na to, że należał do tych dobrych – szepnął w ciemności Rebus.

Więc dlaczego była mu pisana śmierć z czyjejś ręki?

# Dzień trzeci

## Rozdział 15

O WPÓŁ DO ÓSMEJ RANO Rebus stał już przed domem córki; porywisty wiatr szczypał go w twarz i oczy. Drzwi były zamknięte na klucz, w środku żadnego śladu życia. Samantha musiała już wyjść, żeby odebrać Carrie z domu przyjaciółki. Zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, gdzie to jest. Kiedy szedł w stronę saaba, zatrzymał się przy nim, blokując drogę, oznakowany radiowóz. Mundurowy, który z niego wysiadł, wiedział, że nie powinien zakładać czapki; wołał, żeby nie porwał jej wiatr.

– John Rebus?! – zawołał.

– To zależy.

– Pytam, bo wygląda pan bardziej na menela niż byłego policjanta. Detektyw sierżant Creasey przysłał mnie, żebym pobrał od pana odciski palców.

– W takim razie jestem John Rebus.

– Więc gdyby wstąpił pan do mojego biura...

Przez co rozumiał fotel pasażera w radiowozie. Zestaw do pobierania odcisków leżał na tylnym siedzeniu. Mundurowy sięgnął po niego i przystąpił do pracy.

– Pobierze pan odciski również od mojej córki? – zapytał Rebus.

– Mamy wszystko w ręce, proszę pana – mruknął z uśmiechem mężczyzna. Najwyraźniej uważał swój żart za przedni.

Po pobraniu odcisków i zapieczętowaniu ich w przezroczystej torebce z nazwiskiem i datą urodzenia Rebusa mundurowy dał mu znak, żeby wysiadł, i zaczął rozmawiać przez służbowe radio.

– Miło się nam współpracowało – mruknął Rebus, kucając, by wytrzeć opuszki palców o trawę. Potem patrzył, jak radiowóz zawraca i kieruje się z powrotem w stronę głównej szosy.

Sądząc po dźwięku silnika, saab nadal niedomagał, ale odpalił i ruszył z miejsca, gdy Rebus grzecznie go o to poprosił. Nie spiesząc się, podjechał pod szkołę podstawową. Przybywający z pociechami rodzice kulili głowy, idąc pod wiatr. Rebus wysiadł z saaba i stanął przy bramie. Wielu mieszkańców wiedziało chyba, kim jest, i pozdrowiało go ostrożnym skinieniem głowy albo po prostu gapiło się na niego. W końcu zobaczył Carrie. Szła, trzymając za rękę dziewczynkę w tym samym wieku co ona. Towarzysząca im kobieta ucałowała obie w czubek głowy, po czym odwróciła się w jego stronę i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Jestem ojcem Samantha – powiedział.

– Wiem.

– Jak się czuje Carrie?

– Nie jest głupia. Domyśla się, że coś się wydarzyło.

– Samantha jej nie powiedziała?

– Próbowala. – Kobieta popatrzyła na dwie dziewczynki, które szły przez szkolne boisko, kołysząc trzymanymi w rękach plecakami. – I zanim pan o to zapyta, zaproponowałam, że odbiorę dziś Carrie ze szkoły, ale Sam chce, żeby wszystko toczyło się tak jak zwykle. Wie, że to niemożliwe, ale jakie mam prawo jej to tłumaczyć?

– Mówi pani na nią „Sam”? – Rebus uśmiechnął się lekko. – Mnie pozwala wyłącznie na „Samanthę”. Chciałem z nią porozmawiać...

– Policja zabrała ją do Thurso. Chcą, żeby zidentyfikowała ciało, choć mogłoby się wydawać, że to nie jest konieczne. Powiedziałam, że jeśli trochę poczeka, pojedę z nią, ale była nieugięta.

– Jak dawno to było? – zapytał Rebus. Gliniarz od odcisków palców prawie na pewno o tym wiedział, ale go nie poinformował. Odciski pobiorą od Samantha przed zidentyfikowaniem ciała albo po. Chryste...

– Przyjechali z samego rana. – Kobieta urwała. – Po pańskiej minie widzę, że uważa pan, że powinien tam być. Może mi pan wierzyć: mówiłam jej to samo.

– Była nieugięta – domyślił się Rebus.

Kobieta podała mu rękę i uścisnęła ją.

– Jestem Julie Harris. Mama Jenny. – Mówiła z miejscowym akcentem.

– Dziękuję za pomoc, jakiej udziela pani Sam i Carrie. Gdyby mogła się pani za mną wstawić...

– Sam ma teraz do przemyślenia dużo rzeczy, musi pan to zrozumieć. W tym momencie obrywa pan rykoszetem. – Harris napotkała wzrok Rebusa. – Jestem pielęgniarką. Zanim urodziła się Jenny i zostałam pełnoetatową mamą, pracowałam na oddziale ratunkowym. – Julie Harris ponownie przerwała. – Popędzi pan teraz do Thurso i będzie pan próbował jej pomóc, prawda?

– Tak łatwo mnie rozszyfrować?

– Nie. Jest pan po prostu bardzo podobny do córki, panie Rebus. Warto o tym pamiętać.

**PO WYJEŹDZIE Z NAVER** w kierunku na wschód zaczynała się dwupasmówka. Po prawej Rebus widział co jakiś czas w oddali farmy wiatrowe, a po lewej okolone stromymi klifami, niedostępne, jak się zdawało, plaże i zatoczki. W końcu ujrzał pękatą sylwetkę reaktora w Dounreay, tego, przy którego likwidacji pracował Keith. Duży parking zastawiony był pojazdami pracowników. Rebus zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, jakie stanowisko pełnił tutaj Keith. Nie należał do zarządu, ale to wcale nie oznaczało, że nie był wykwalifikowanym pracownikiem. Z tego, czego się o nim ostatnio dowiedział, wynikało, że musiał nim być.

W radiu puścił cicho składankę Siobhan. Rozpoznał zespoły The Clash i Jethro Tull, ale trzech następnych piosenek już nie. Dojeżdżając do Thurso, zobaczył na północy dużą połąć lądu na morzu. Domyślił się, że to jedna z wysp Orkadów. Kawałek dalej był drogowskaz do przystani promowej w Scrabster. Samantha i Keith zabrali tam kilka razy Carrie. Rozmawiając później przez telefon z Rebusem, Samantha zachwycała się tym miejscem.

– Nie zawiadomiłeś jej nawet, że się przeprowadzasz – mruknął pod nosem. – Cholera, rodzonej córki...

Kolejny drogowskaz wskazywał drogę do szpitala, w którym, jak sądził, powinno się znajdować prosektorium. Zastanawiał się, czy nie poprosić Deborah Quant, żeby szepnęła słówko miejscowemu patologowi, dzięki czemu mógłby bez przeszkód wejść do środka. Wymagałoby to jednak zbyt wielu wyjaśnień – i usłyszałby pewnie przy okazji, żeby się nie nadweręzał. Postanowił więc coś zaimprovizować. Dlaczego miałby zrywać z wieloletnim zwyczajem?

Zatrzymawszy się przy krawężniku, żeby przepuścić jadące z naprzeciwka samochody, opuścił szybę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. I nagle zobaczył, że mija go radiowóz z siedzącą z tyłu bladą i roztrzęsioną Samantha. Zawołał do niej, ale bez rezultatu. Klnąc pod nosem i mając za sobą niecierpliwego kierowcę, który wjeżdżał mu niemal w tylny zderzak, zaczekał, aż auta przejadą, po czym włączył kierunkowskaz i zawrócił na trzy. Nie pozostało mu nic innego, jak ruszyć za Samantha z powrotem do Naver.

Potem jednak przypomniał sobie, że mniej więcej w połowie drogi między Naver i Thurso minął wioskę o nazwie Strathy. Wyciągnął z kieszeni telefon i poszukał informacji o lordzie Strathym vel Ramsayu Augustusie Ranaldzie Meiklejohnie. Na wielu fotografiach zobaczył mężczyznę tak samo rozrosłego jak jego nazwisko. Prawie całkiem łysy, z twarzą koloru kwitnącego maku. Na jednym ze zdjęć siedział w stroju myśliwskim na koniu otoczony zajadłymi, jak można sądzić, ogarami. Inne zostało zrobione na tle zamku Strathy. Budynek utrzymany był w stylu szkockiego neogotyku, z wieżyczkami i mnóstwem schodkowych szczytów. Po chwili Rebus zobaczył na ekranie telefonu mapkę okolic zamku, stojącego parę kilometrów od wioski, w głębi łądu.

– Nie mów, że się dla ciebie nie staram, Siobhan – mruknął pod nosem, puszczając głośniejszą jej składankę.

Radiowóz najwyraźniej bardzo się spieszył, bo na odcinku do Strathy nie udało mu się go dogonić. W wiosce nie było drogowskazu kierującego podróżnych do zamku, ale od głównej szosy odchodziła w głąb łądu tylko jedna wąska droga. Ledwie w nią skręcił, jeszcze bardziej się zwięzła. Po obu stronach ciągnęły się pola. Na domiar złego w jezdni było pełno dziur



wypełnionych deszczówką. Rebus zwolnił do kilkunastu kilometrów na godzinę i z wyjącem silnikiem starał się je omijać. Po jakimś czasie zobaczył przed sobą imponującą bramę z kutego żelaza. Kamienne słupy po obu stronach były zwieńczone posągami; napis na drewnianej tablicy tuż przy ziemi ostrzegał, że dalej rozciąga się TEREN PRYWATNY.

Rebus wysiadł z saaba i podszedł do bramy. Zadzierając głowę, zobaczył, że posągi przedstawiają lwa i jednoroźca, trzymające przed sobą tarcze. Oba były nadgryzione zębem czasu.

– Podobnie jak ja, chłopcy – mruknął, pchając skrzydła bramy i czując, że ustępują. Rozchyliwszy je na oścież, wszedł do saaba i wjechał na teren posesji.

Zamek stał przy końcu długiego zakrętu. Przed głównym wejściem był wysypany żwirem parking i trawnik z niedziałającą fontanną pośrodku. Żadnych innych zabudowań w promieniu wielu kilometrów, rozległe widoki i brak jakiegokolwiek osłony przed szalejącymi żywiołami. Ani jednego drzewa, ani jednego żywopłotu.

Kiedy parkował, otworzyły się ciężkie drewniane drzwi. Stojąca w nich kobieta miała dłonie złożone jak do modlitwy. Podchodząc bliżej, zmierzył ją wzrokiem. Pięćdziesiąt parę lat, włosy związane w kok, prosta szara spódnica i pasujące do niej sweter i bluzka. Skojarzyła mu się z zakonnica, choć nie spotkał ich w życiu zbyt wiele.

– Mogę panu w czymś pomóc? – zapytała.

– Mam taką nadzieję. Chciałem porozmawiać z lordem Strathym, jeśli jest na zamku.

Z jej twarzy zniknął jakikolwiek ślad uprzejmości, jeśli wcześniej dało się go dostrzec.

– Nie ma go.

– Wielka szkoda. Przyjechałem tu aż z Edynburga...

– Chociaż nie umówił się pan wcześniej? – Nie wierzyła, że ktoś może być aż tak nonszalancki.

– Nie potrzebujemy tego na ogół robić. – Rebus wsunął rękę do kieszeni. – Słyszała pani o zabójstwie tego saudyjskiego studenta?

Odniosł wrażenie, że gdyby miała na szyi perły, zacisnęłyby na nich palce. Ponieważ ich nie miała, zacisnęła po prostu obie dłonie, jakby wyzymała ściereczkę.

– Pan z policji? – Rebus nic na to nie odpowiedział, pozwalając, by sama wyciągnęła wnioski. – Coś przytrafiło się... – Urwała. – Może lepiej wejdzie pan do środka.

– Dziękuję.

W holu było wszystko, co spodziewał się zobaczyć: poroża na ścianach, kurtki Barbour na wieszakach i kolekcja zielonych kaloszy na podłodze. Poza tym ciemna boazeria i brązowe wykładziny dywanowe.

– Herbaty? – zapytała.

– Byłbym wdzięczny – odparł.

– Mógłby pan poczekać w pokoju porannym?

– Mogę posiedzieć w kuchni. Przepraszam, nie usłyszałem pani nazwiska...

– Nazywam się Belkin. Jean Belkin.

– Ja nazywam się Fox.

Spodziewał się, że kuchnia jest pod schodami, i nie pomylił się. Zostawili za sobą hol wejściowy, przeszli kilkanaście metrów wąskim korytarzem bez jakichkolwiek ozdób, a potem kręconymi kamiennymi schodkami w dół i kolejnym korytarzem. Kuchnia była ostatnio modernizowana chyba w latach sześćdziesiątych, a kuchenka Aga była jeszcze starsza. Rebus ogrzał przy niej ręce, kiedy pani Belkin nalewała wody do elektrycznego czajnika. Zgadła, co myśli.

– Na kuchence trwałoby to wieki – wyjaśniła, włączając czajnik.

– Jest pani tu sama?

– Gdybym była sama, musiałby się pan wylegitymować, zanim wpuściłabym pana do środka.

Rebus poklepał się po kieszeniach kurtki.

– Zostawiłem odznakę w samochodzie – powiedział przeproszającym tonem.

– Nie szkodzi, w pobliżu jest mój mąż Colin. Pracuje jako ogrodnik, złota rączka, zajmuje się wszystkim, czym trzeba w takim miejscu jak to. – Pani Belkin postawiła na stole kubki, czajniczek i cukiernicę. – Herbatnika?

– Nie, dziękuję.

– Naprawdę przyjechał pan aż z Edynburga?

– Tak.

– I nie słyszał pan o tutejszym morderstwie? Wychodzi na to, że nigdzie nie jest bezpiecznie.

– Mówi pani o tym młodym człowieku z Naver? – Rebus pokiwał głową. – Przykra sprawa.

– Nasz świat wali się w gruzy – stwierdziła, kręcąc głową.

– Trudno się nie zgodzić.

Patrzył na nią, kiedy zastanawiała się, jak sformułować następne pytanie.

– Czy to z powodu lady Isabelli pan tu jest, inspektorze?

– Dlaczego pani tak sądzi?

– Znała tego arabskiego młodzieńca... kilka razy z nim tu przyjechała.

– Naprawdę?

– Ale nie zagląda tu zbyt często, woli światła miasta.

– Powód mojej wizyty wiąże się raczej z ojcem lady Isabelli. Mamy informacje, że być może prowadził jakieś interesy z tym zabitym arabskim studentem.

– Jakiego rodzaju interesy? – Pani Belkin zalała wrzątkiem herbatę w czajniczku. Ręka jej nie zdrząła.

– Czy lord Strathy ma biuro... asystentkę albo sekretarkę?

– Tak, w Londynie. Prowadzi stamtąd większość spraw biznesowych.

– I tam właśnie teraz przebywa?

Pani Belkin nagle się zaczerwieniła.

– Prawdę mówiąc, nie do końca wiemy, gdzie się w tej chwili znajduje – przyznała.

Usłyszeli hałas i drzwi za nimi się otworzyły. Stojący w progu nieogolony zwalasty mężczyzna zmierzył Rebusa nieufnym spojrzeniem.

– Colinie, to jest inspektor Fox z Edynburga – oznajmiła pani Belkin.

– Naprawdę? – Facet nie wydawał się do końca przekonany. – Trochę wiekowy.

– Jestem młodszy, niż na to wyglądam.

– No, mam nadzieję. – Ogrodnik podszedł do zlewu, umył ręce i wytarł je ręcznikiem, który podała mu żona. – O co w ogóle biega?

– O tego młodego Saudyjczyka – poinformowała go żona, nalewając herbaty do kubka. – Tego, który tu kiedyś przyjechał...

– I co z nim?

Rebus dał krok do przodu.

– Sprawdzamy wszystkie osoby, z którymi mógł się kontaktować. Wyłynęło nazwisko pańskiego chlebobdawcy.

Colin Belkin siorbnął łyk herbaty.

– A skąd, u diabła, mielibyśmy o tym coś wiedzieć?

– Przyjechałem zobaczyć się z lordem Strathym. Pańska żona zakomunikowała mi właśnie, że zniknął.

– Na litość boską, tylko dlatego, że człowiek chce mieć trochę czasu dla siebie... – jęknął ogrodnik.

– Więc o to chodzi? – spytał Rebus.

– To chyba jasne. – Colin Belkin postawił kubek na wielkim drewnianym stole. – Pamiętasz tę historię sprzed dwóch lat? – zwrócił się do żony. – Reportera, który twierdził, że nie jest reporterem?

– Jaką historię? – zapytał Rebus, ale ogrodnik wyciągnął już w jego stronę rękę.

– Niech pan pokaże jakąś legitymację.

– Powiedział, że zostawił ją w samochodzie – wtrąciła Jean Belkin.

– Więc pójdziemy do samochodu i to sprawdzimy. Prawo zabrania podawania się za policjanta, jeśli się nim nie jest.

– Mogę wam podać numer telefonu – odparł Rebus. – Możecie zapytać o inspektora Malcolma Foxa.

Belkin wyciągnął z tylnej kieszeni telefon.

– Dobrze, zrobmy to.

Rebus spojrzął na jego żonę.

– Co to była za historia? – zapytał, ale kobieta nie miała zamiaru odpowiedzieć.

– Drzwi są tam – powiedział jej mąż, wskazując je. – Chyba że chce nam pan podać ten numer.

Rebus przez chwilę się zastanawiał.

– Jeszcze się skontaktujemy – rzucił w końcu.

Colin Belkin otworzył drzwi, nadal trzymając w ręce telefon. Mierząc po raz ostatni surowym spojrzeniem małżeństwo, Rebus wyszedł na zewnątrz, okrążył zamek i ruszył alejką do miejsca, gdzie zaparkował saaba.

Wyjechawszy z zamkowych włości, zostawił otwartą bramę – przynajmniej tak mógł się odegrać – i zatrzymał się na mijance. Włączył telefon, ale nie było zasięgu. A zatem ogrodnik blefował? Całkiem możliwe. Nagle usłyszał czyjeś szybkie kroki. Było za późno, żeby zareagować. Colin Belkin otworzył drzwi z jego strony i szczerząc zęby, złapał go za kłapy.

– Nie jesteś cholernym gliniarzem, więc kim, kurwa, jesteś?

Rebus próbował jedną ręką odpiąć pasy, a drugą uwolnić się z żelaznego uścisku. Facet potrzywał nim jak szmacianą lalką.

– Nie wtrącaj się w sprawy uczciwych ludzi! – warknął Belkin. – Albo nieźle oberwiesz – dodał, wymachując zaciśniętą pięścią tuż przed twarzą Rebusa.

– W którym mamrze siedziałeś? – syknął Rebus. Facet otworzył szerzej oczy i jego uścisk nieco zelżał. – Potrafię wyczuć na kilometr byłego garownika. Twój chlebobawca o tym wie?

Belkin cofnął pięść, jakby chciał zadać cios, i nagle zastygł w bezruchu na głos żony. Stała przy bramie i prosiła, żeby się opanował. Przysunął się do Rebusa tak blisko, że ten poczuł cebulę w jego oddechu.

– Przyjdź tu jeszcze raz, to spuszczę ci manto – mruknął, po czym puścił Rebusa, odwrócił się i ruszył w stronę czekającej żony.

Rebusowi serce waliło jak młotem i kręciło się w głowie. Zaciśnął palce na inhalatorze, który miał w kieszeni, ale nie sądził, by lek mógł mu pomóc. Siedział dłuższą chwilę w samochodzie, obserwując w lusterku wstecznym, jak Belkin zatrzaskuje z hukiem bramę, a żona prowadzi go z powrotem do zamku. Kiedy zniknęli z pola widzenia, Rebus wcisnął gaz, czując, jak drży mu prawa stopa. Z głośników, wykazując się idealnym wyczuciem czasu, płynęło *I'd Rather Be the Devil* Johna Martyna.

Skręciwszy na A386, zerknął ponownie na ekran telefonu, i widząc jedną kreskę zasięgu, zjechał na bok i zadzwonił do Siobhan Clarke.

– Co słychać? – zapytała.

– Służba lorda Strathy'ego od dłuższego czasu go nie widziała.

– W takim razie musi być w Londynie.

– Odniosłem inne wrażenie. Powiedziałbym, że próbują go bezskutecznie namierzyć.

– Co twoim zdaniem z tego wynika?

– Chyba ty powinnaś się nad tym zastanowić.

– Skontaktuję się z jego londyńskim biurem. I być może z córką.

– Jeszcze jedna sprawa... gospodyni wspomniała, że przed kilku laty lordem interesowały się media. Wiesz, o co mogło chodzić?

– Zaczekaj chwilę. – Rebus słyszał, jak Clarke przegląda papiery, po czym zadaje pytanie Malcolmowi Foxowi, a ten coś jej odpowiada. – Chodziło o czwartą żonę lorda – odezwała się w końcu. – Wygląda na to, że kolekcjonuje je niczym myśliwskie trofea. Odeszła od niego.

– Tak po prostu?

– Wyrzekła się uroków high life'u i została hipiską.

Rebus zmrużył oczy.

– To znaczy?

– Z tego, co tu czytam, wstąpiła do jakiejś sekty New Age.

– Czy ta sekta nie ma przypadkiem siedziby pomiędzy Naver i Tongue?

– Po co pytasz, skoro już wiesz?

- To był raczej oparty na silnych podstawach domysł. Wiesz może, jak się nazywa była czwarta żona?

- Angharad Oates. Tabloidy miały używanie z jej nazwiska<sup>1</sup>.

- Możesz mi przesłać, co znaleźliście na jej temat?

- Mógłbyś to sam wygoogłować, jak zrobił to przed chwilą Malcolm.

- Nadal zwraca ci głowę?

- Można tak powiedzieć.

- To zabawne, skoro jeszcze przed chwilą zadawał niewygodne pytania w zamku Strathy.

- Jak zwykle podszywasz się pod kogoś?

- Pamiętacie tylko, kto odwała za was całą brudną robotę.

- A co słyhać poza tym? To znaczy z Samanthą?

- Jakoś się trzyma.

- A ty?

- Zrób dla mnie coś jeszcze, dobrze? Sprawdź Colina Belkina. Jest dozorcą i złotą rączką na zamku Strathy.

- Coś o nim wiesz?

- Założę się, że garował.

- Zobaczę, co da się zrobić.

---

\* *To get one's oats* (ang.) - uprawiać często i namiętnie seks.

## Rozdział 16

- **POWIEDZ MI, CO WIDZISZ** – poprosił Malcolm Fox, podjechawszy z Siobhan Clarke do klubu golfowego Craigentiny. Wcześniej minęli miejsce, gdzie został zamordowany Salman bin Mahmoud.

Zaparkowane samochody były w większości marek i modeli preferowanych przez menedżerów klasy średniej. Dokładnie takim rodzajem auta jeździł ostatnio Malcolm Fox. Z klubu wychodziło właśnie po porannej partii golfa kilku siwowłosych mężczyzn; na ramionach mieli torby z kijami.

- Twoją przyszłość? – rzuciła Clarke. – Lepiej powiedz, o co chodzi.

- Patrz i ucz się.

Fox wyłączył silnik, rozpiął pas i otworzył drzwi samochodu. Clarke nie znosiła go takiego. Nie potrafił nigdy podzielić się po prostu odkryciem albo tym, co jego zdaniem mogło się okazać punktem zwrotnym w sprawie, zawsze musiał robić z tego przedstawienie. Podeszedł do podniesionego białego szlabanu. Parkingu nikt nie pilnował, ale tabliczki ostrzegały, że wstęp dla osób nieupoważnionych jest wzbroniony. Kiedy dołączyła do Focha, klepnął dłonią szlaban.

- W nocy go opuszczają – powiedział. – Zadzwoń i to ustalim.

- No dobrze...

- Opuszczają i zamykają na klucz. Rozumiesz, co to znaczy? – Przez chwilę czekał, ale nie odpowiedziała. – Salman bin Mahmoud był tu w ciągu dnia i grał w golfa. Uznał, że parking jest dobrym miejscem, żeby się z kimś spotkać. – Zatoczył ręką łuk. – Nie ma monitoring, nie ma ochrony.

- Nie wiedział, że w nocy tu nie wjedzie? – domyśliła się Clarke.

- A kiedy się o tym przekonał, pojechał na najbliższy dostępny parking.



– Przy tamtym magazynie. – Pokiwała głową. – Co może świadczyć o tym, że spotkanie było jego pomysłem. Mimo to nie znaleźliśmy w jego telefonie nic, co by wskazywało na to, że w ogóle miał się z kimś zobaczyć.

– Może jest inny telefon, o którym nie wiemy. Albo umówił spotkanie w inny sposób. Na przykład w trakcie rozmowy twarzą w twarz. Chcę tylko powiedzieć, że to tłumaczy, dlaczego zginął właśnie na tamtym parkingu. Poza tym spotkanie mogło dotyczyć właśnie tego pola golfowego – podsumował Fox.

Clarke nie mogła nie spostrzec, jaki jest podekscytowany.

– Powiedz to, co masz na końcu języka – rzuciła, krzyżując ręce na piersiach.

– Rozmawiałem ze znajomym dziennikarzem biznesowym. Craigentiny jest publicznym polem golfowym, co oznacza, że jego właścicielem jest miasto, ale nie jest tajemnicą, że magistrat Edynburga potrzebuje pilnie gotówki. Zwróciło się do niego pewne konsorcjum.

– Z ofertą kupna klubu?

– Najwyraźniej nie tego jednego... i nie tylko w Edynburgu.

– Czy to ma jakiś związek ze Stewartem Scoulairem i jego planem wybudowania ośrodka golfowego na północy?

– Pojawiają się te same nazwiska.

– Na przykład rodziny bin Mahmouda i lorda Strathy'ego?

Fox pokiwał głową, niczym prymus, którego starania zostały docenione przez nauczycielkę. Clarke analizowała to wszystko z beznamiętną miną.

– John twierdzi, że lord Strathy zapadł się pod ziemię – powiedziała. – Zadzwońłam do jego londyńskiego biura, ale udzielali bardzo wymijających odpowiedzi.

– A jego córka?

– Nie odbiera telefonu. Zostawiłam jej wiadomość. – Clarke przygryzła dolną wargę. – Jak często Salman bin Mahmoud grał tu w golfa?

– Wiesz tyle samo co ja, Siobhan.

– Musimy chyba znów pogadać ze Scoulairem, nie sądzisz?

Fox wzruszył ramionami i pokiwał powoli głową.

– Ciekawa jestem, ile z tego raportujesz Dużemu Gerowi.

– Lepiej, żeby to pozostało między nim a mną. Wciągnięcie w to ciebie jest ostatnią rzeczą, jakiej bym chciał.

– W razie gdyby w powietrzu zaczęły latać kule?

– Mam kamizelkę kuloodporną.

– W takim razie miej nadzieję, że ten, kto na ciebie poluje, nie strzeli ci prosto w głowę. – Clarke wzięła się pod boki. – No dobrze – mruknęła. – Zobaczmy, czy uda nam się zaleźć za skórę pewnemu reptiliańskiemu deweloperowi...

**KTÓRY RACZEJ NIE UCIESZYŁ** się na ich widok.

Namierzyli go w restauracji niedaleko George Street, gdzie wydawał akurat roboczy lunch. Wchodząc do holu, do którego go poprosili, kończył coś przeżuwać.

– Tylko parę pytań – zapewniła go Clarke i to było wszystko, co miała zamiar wygłosić tytułem przeprosin. – Ile razy grał pan w golfa z Salmanem bin Mahmoudem?

– Chyba trzy.

– Z tego ile razy w Craigentiny?

– Tylko raz.

– Czy dlatego, że pańskie konsorcjum było zainteresowane przekształceniem Craigentiny w prywatny klub golfowy? – zapytał Fox, przepuszczając przechodzącego kelnera.

Scoular przełknął to, co miał w ustach, i omiótł wzrokiem dwoje detektywów.

– Co to ma wspólnego z zamordowaniem Salmana? – zapytał.

– To właśnie staramy się ustalić.

Zanim Scoular zdążył dodać coś więcej, Clarke posłała mu kolejną piłkę.

– Jak dawno grał pan po raz ostatni z Salmanem?

– Może ze trzy tygodnie temu.

– Trzy tygodnie przed jego śmiercią?

– Musiałbym to sprawdzić w kalendarzu.

– To było w Craigentiny?

– Tak.

– Rozmawialiście wtedy o sfinansowaniu zakupu klubu?

– Między innymi.

– Domyślam się, że zakup istniejącego klubu byłby tańszy od zbudowania gdzie indziej nowego ośrodka? – zapytał Fox.

– To zależałoby od wyników negocjacji.

– Oczywiście zakładając, że chcielibyście zachować w tym miejscu pole golfowe. Gdyby opłaty członkowskie nie zapewniały odpowiedniego dochodu, można by wystąpić o zmianę klasyfikacji działki i zbudować na niej luksusowe apartamentowce.

Scoular zmierzył Foxa ostrym spojrzeniem.

– Z którym z moich konkurentów pan rozmawiał, inspektorze? Nie każdy z nich jest godny zaufania, a powtarzanie niepotwierdzonych plotek może stanowić podstawę do wniesienia powództwa o zniesławienie.

Do restauracji weszło kilku nowych gości i tym razem to Clarke podeszła bliżej do Scoulara, żeby ich przepuścić.

– Widział się pan ostatnio z lordem Strathym? – zapytała i patrzyła, jak zaciska mocniej szczęki.

– Z Ramsayem? – odezwał się w końcu. – Dlaczego pani o to pyta?

– Jest jednym z pańskich inwestorów, prawda? Może nawet powinnam powiedzieć „partnerem”?

– I co z tego?

– Wygląda na to, że zapadł się pod ziemię.

– Naprawdę?

– Nie kontaktował się z panem?

Scoular ostentacyjnie spojrzął na zegarek.

– Jeśli nie macie więcej pytań...

– Tak dla pewności: czy Salman bin Mahmoud był kimś, kogo moglibyśmy nazwać „wspólnikiem w interesach”? Inwestował pieniądze

rodziny i jakaś ich część miała zostać przeznaczona na projekty, którymi pan zarządzał?

– Jestem tylko pośrednikiem.

– To jest odpowiedź twierdząca?

– Powiedziałem wam tyle, ile mogłem. Jeżeli uważacie, że nie współpracuję w wystarczającym stopniu z policją, być może powinienem skontaktować się z moimi prawnikami. A wy tymczasem powinniście chyba zająć się czymś innym. Na początek ustaleniem, kto zabił Sala.

Scoular odchylił zasłonę i wszedł z powrotem do sali restauracyjnej. Dwoje detektywów zobaczyło stoliki: wszystkie zajęte. Po kilku sekundach Clarke dała znak Foxowi, uchyliła zasłonę i ruszyła razem z nim do środka. Sala miała kształt litery L; zmierzając do krótszej części, zobaczyli, że jest oddzielona przeszkleniem. Przy owalnym stole siedziało w niej sześć osób. Scoular przeproszał, że kazał im czekać. Jeden z kelnerów dolewał wino do kieliszków, drugi uprzątał talerze. Czterej mężczyźni w garniturach i jedna kobieta. Lady Isabella Meiklejohn.

Clarke pchnęła oszklone drzwi i weszła z Foxem do środka.

– To niedopuszczalne – zaprotestował Scoular.

Zignorowała go.

– Zostawiłam pani wiadomość – zwróciła się do Meiklejohn.

– Naprawdę? – Lady Isabella miała na sobie krótką czarną sukienkę i szkarłatny żakiet, idealnie pasujący do szminki. Uśmiech, jaki pojawił się na jej ustach, gdy podnosiła do nich kieliszek, miał pewnie wystarczyć za przeprosiny.

– Próbowaliśmy się skontaktować z pani ojcem – powiedziała Clarke.

– Z jakiego powodu?

– Wie pani, gdzie aktualnie przebywa?

– Nie wiem i nieszczęśliwie mnie to obchodzi. – Lady Isabella uśmiechnęła się, tym razem na użytek innych gości.

– Niech mu pani przekaze wiadomość. Ma do mnie zadzwonić. – Clarke przez chwilę patrzyła, jak Meiklejohn ostentacyjnie wznosi toast. –

Może pani już dalej urabiać klientów – mruknęła i przyjrzała się po kolei czterem mężczyznom, jakby chciała zapamiętać ich twarze.

Fox przesunął się lekko, puszczając koleżankę przodem, a potem skinął głową osobom siedzącym przy stole i podążył za nią. Udało mu się ją dogonić, dopiero kiedy wyszli na zewnątrz. Clarke wyciągnęła zza wycieraczki mandat za parkowanie i mu go podała.

– Rozpoznałeś któregoś z nich? – zapytała.

– Nie.

– Może powinniśmy przyjść tu z twoim dziennikarzem biznesowym.

– Wyglądali mi na bankierów albo prawników.

Clarke pokiwała głową.

– A Issy Meiklejohn dla ozdoby?

– Chyba nie tylko – mruknął Fox.

Wbiła w niego wzrok.

– Co ci chodzi po głowie, Malcolm?

– Nie byłaby pierwszą kobietą w dziejach, która nie afiszuje się z inteligencją.

– Uważasz, że to ona prowadzi rodzinną firmę?

– I że podobną rolę mógł odgrywać Salman bin Mahmoud. Może właśnie to ich z początku zbliżyło: oboje byli dziećmi, które wysoko mierzą.

Clarke nie mogła się z nim nie zgodzić; nie miała jednak zamiaru udzielić Foxowi pochwały, której najwyraźniej się spodziewał.

– Nie zapomnij go zapłacić – powiedziała, wskazując mandat. – Jeśli tego nie zrobisz, suma się podwoi, a nie jestem pewna, czy twoja kamizelka kuloodporna ochroni cię przed edynburską strażą miejską.

## Rozdział 17

OBÓZ 1033 NADAL BYŁ odgradzony taśmą. Rebus zatrzymał się przy ustawionej przy bramie żółtej kontenerowej stróżówce. Kiedy otworzył drzwi saaba, podmuch wiatru był tak mocny, że o mało nie wyłamał zawiasów. Rebus wysiadł i dopiero za drugim razem zdołał je zamknąć. Stróżówka była zamknięta i nikt nie odpowiedział na jego pukanie. Stojący po drugiej stronie bramy mundurowy zmierzył go krzywym spojrzeniem.

– Typowy przykład kogoś, kto wyciągnął krótką słomkę – zwrócił się do niego Rebus, podchodząc bliżej.

– Wkrótce nastąpi zmiana warty. W czym mogę panu pomóc?

– Łączą mnie więzy rodzinne z ofiarą. Myślałem, że zastanę tu detektywa Creaseya.

– Nie ma go tutaj.

– Takie też odniosłem wrażenie – odparł Rebus, rozglądając się dokoła.

– To pan odnalazł ciało?

– Owszem – przyznał się Rebus.

– Uprzedzono mnie, że może się pan pojawić. Ma się pan odwalić i pozwolić nam robić to, co do nas należy. Wiem, że służył pan w policji, więc na pewno doceni pan szczerość.

– Wykonujesz tylko swoją robotę, synu. Fakt, że cię tu przysłali, mówi mi wszystko, co powinienem wiedzieć, o szacunku, jakim darzą cię koledzy. – Rebus odwrócił się i ruszył z powrotem do samochodu. – Nie zapomnij zawiadomić Creaseya, że muszę z nim pogadać.

– Na pewno nie zapomnę. – Mundurowy odchrząknął i splunął na ziemię.

Rebus wsiadł do saaba i zastanawiał się, co robić dalej. Telefon zaszyfrował esemesa od May Collins.

*Spotkanie u mnie o 16.30.*

Miał zatem jeszcze sporo czasu. Dlatego pojechał trochę dalej w kierunku Tongue. Zauważył ręcznie wykonany drogowskaz stojący przy zrytym koleinami trakcie. Widniało na nim tylko jedno słowo: WITAMY.

– Dobrze poczuć się dla odmiany mile widzianym – mruknął Rebus, skręcając w trakt biegnący między porośniętymi ostem pagórkami. W końcu zobaczył coś, co wyglądało na farmę. Z komina drewnianego domu unosił się dym. Za nim stało kilka okazałych stodół oraz wiele sfatygowanych przyczep kempingowych. Mężczyzna z gołym torsem i zawiązaną w pasie koszulą rąbał drewno na opał. Rebus zorientował się, że to Mick Sanderson, i mu pomachał.

Zaparkował saaba obok znajomo wyglądającego volva i wysiadł. Na drzwiach od strony kierownicy i na tablicy rozdzielczej volva zauważył ślady proszku do pobierania odcisków palców. Technicy kryminalistyczni sprawdzili je i nie uznali za stosowne po sobie posprzątać. Podchodząc do pieńka, zauważył motocykl oparty o pobliskie drzewo. Kilka młodych kobiet sypało ziarno głodnym kurczakom, kilka innych pielilo grządki z warzywami. Na torsie Sandersona lśnił pot.

– Widzę, że saab nadal jeździ – powiedział młody człowiek, wskazując auto, które sam naprawił.

– Lepiej niż kiedykolwiek.

– Obaj wiemy, że to nieprawda. Jeśli chce pan nim wrócić do Edynburga, musi go pan oddać do przeglądu w warsztacie.

– Tak czy owak, chciałem panu podziękować. – Rebus wyciągnął rękę, a Sanderson oparł siekiere o stos polan i uściśnął mu dłoń. – A także zaproponować jakąś formę zapłaty.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Na pewno? – Rebus wzruszył ramionami i spojrzał na młode kobiety. – Ile was tu jest?

– Liczba stale się zmienia. Niektórzy zostają na kilka tygodni, inni na dłużej.

Rebus pokiwał głową, udając, że go to interesuje.

- Zauważyłem, że jest tu moja córka. Może wejdę i się z nią przywitam...

Sanderson chciał chyba coś powiedzieć, lecz Rebus ruszył już w stronę budynku farmy. Zanim tam dotarł, drzwi wejściowe otworzyły się i stanął w nich mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna z pokrytą zmarszczkami twarzą i związanymi w kucyk siwymi włosami. Miał na sobie brudne dżinsy i mocno spłowiałą niebieską koszulę.

- Jesteś chyba John - rzucił, wykrzywiając usta w uśmiechu, którego nie widać było jednak w jego oczach. Były niebieskie, przenikliwe, ze zwięzonymi źrenicami. Nie golił się od kilku dni i na nadgarstkach miał kilka bawełnianych bransoletek. Jedną rękę oparł na biodrze, drugą o futrynę drzwi. - Wejdz do środka. Jestem Jess.

Rebus wszedł do rozległego wnętrza. Był tam kominek z palącymi się szczapami, nieposprządana kuchnia oraz futony i olbrzymie pufy sako zamiast sof i foteli. Przy jednej ze ścian leżały różnokolorowe maty do jogi. Siedząca przy kuchennym stole kobieta wkładała do słoików gotowane warzywa. Tylko kilka lat młodsza od Jessa Hawkinsa, miała zniszczoną twarz i długie blond włosy, które zaczynały już wypadać. Na podłodze obok niej siedział niemowlak, z zadowoloną miną gryząc zabawkę.

Schody umiejscowione pośrodku prowadziły na piętro. Wydawały się prowizoryczne i niezbyt bezpieczne, zważywszy na leżące na każdym stopniu zabawki i ubrania.

- Pomyślałem, że porozmawiam z Samanthą - zaczął luźnym tonem Rebus.

Hawkins zmierzył go zbolalym spojrzeniem.

- Ona nie jest w nastroju do rozmowy, John. Potrzebuje miejsca, żeby odetchnąć.

- Jestem tutaj! - krzyknął Rebus w stronę schodów. - Chcę ci po prostu pomóc!

Hawkins położył delikatnie rękę na jego ramieniu, ale cofnął ją, gdy Rebus spiorunował go wzrokiem.



– Potrzebuje miejsca, żeby odetchnąć – powtórzył cicho Hawkins. – Kiedy przyjdzie właściwy czas, wróci.

Rebus nadal się w niego wpatrywał.

– Tak jak wróciła do Keitha po tej krótkiej przygodzie z tobą? – zapytał i wskazał siedzącą przy stole kobietę. – A jak odniosła się do tego twoja partnerka?

– Wolno nam kochać, podobnie jak wolno nam żyć – odparł Hawkins. – Napiłbyś się zielonej herbaty? A może wody?

– Keith Grant zginął niedaleko stąd.

– Wiem o tym. Policja była tu i zadawała nam pytania.

– Po tym, jak dowiedział się o romansie między tobą i moją córką, kilka razy nocował w obozie. Pewnie widziałeś tam jego samochód. Nietrudno go rozpoznać.

– Co próbujesz zasugerować?

– Może tu przyszedł. – Rebus podniósł głos, mając nadzieję, że usłyszy go Samantha. – To coś, co ja na pewno zrobiłbym w jego sytuacji.

– Widzisz podobieństwa między nim a sobą? A może to tylko twoja projekcja? – Hawkins mówił takim tonem, jakby naprawdę go to obchodziło.

– Śpisz ze wszystkimi kobietami, które tu są, czy tylko z kilkoma wybranymi? Może po to właśnie założyłeś tę osadę po tym, jak zarobiłeś i straciłeś fortunę. Internet to wspaniała rzecz, prawda? Twoją historię może tam znaleźć każdy, kto chce... całą historię od komunalnego osiedla po londyński ratusz. A potem zaryzykowałeś o jeden raz za dużo i przeszedłeś od Moët et Chandon do pogryzania musli.

– Widać, że cierpisz, John. Chciałbym ci w jakiś sposób pomóc.

Hawkins wyglądał prawie tak, jakby mu współczuł. Po chwili podszedł do stołu, stanął za siedzącą przy nim kobietą i dotknął jej karku. Na jej twarzy pojawił się ciepły uśmiech, którego nie mógł zobaczyć. Rebus dał kilka kroków w jej stronę.

– Angharad? – zapytał.

Kobieta spojrzała na niego.

– My się znamy? – Mówiła z akcentem angielskiej klasy wyższej.

Rebus przeniósł wzrok z niej na gaworzącego bobasa, a potem na Hawkinsa.

– Nic dziwnego, że cię nienawidzi – skomentował.

– Kto?

– Lord Strathy.

Hawkins się uśmiechnął.

– To nie jest nienawiść, John, ale zwykła chciwość.

– W swoim czasie dobrze ją znałeś, nie?

– Każdy szuka odpowiedzi na swój własny sposób. Ty byłeś policjantem. Rozglądałeś się dokoła, podczas gdy powinieś wejrzeć w siebie. Spędziłeś całe dorosłe życie, będąc częścią aparatu przemocy, odwalając brudną robotę, żeby inni nie ubrudzili sobie rąk.

– Bez ludzi wykonujących moją robotę wszystko by się zawaliło.

– Może tego nie zauważyłeś, ale wszystko już się wali. Ty, przez robotę, straciłeś rodzinę.

– Pierdol się.

Angharad Oates cmoknęła, nie przestając ani na chwilę napełniać słoików.

– Nie możecie się tutaj wiecznie ukrywać – powiedział Rebus. – Świat nie cofnie się przed tą powitalną tabliczką, którą postawiliście przy drodze.

– Naprawdę chciałbym ci pomóc. – Hawkins rozłożył szeroko ramiona.

– Więc sprowadź tu na dół moją córkę, żebym mógł z nią pogadać.

– Ona czuje, że jej nie ufasz.

– Myli się.

– Daj jej trochę czasu... daj jej tyle czasu, ile potrzebuje.

– Czy wszyscy tutaj nabierają się na tę twoją popapraną psychologię? Czy ty sam w nią wierzysz?

– Wszystko, co tutaj oferujemy, jest alternatywą wobec świata, w którym żyjesz.

- Gniew i zła wola - zaintonowała Oates, dając niemowlakowi plasterek jabłka.

- Gniew i zła wola - powtórzył za nią Hawkins. - Z nich rodzą się chciwość i głupota. - Wskazał ręką świat poza farmą. - Trzeba być głupcem, żeby tam szukać odpowiedzi.

- Więc jak to się stało, że moja córka wolała Keitha od tego wszystkiego? - zapytał Rebus.

- Myślałam o tym. - Głos dobiegł ze szczytu schodów. Samantha stała tam z opuszczonymi rękami i śladami łez na twarzy. - Myślałam o tym, ale nie mogłam się zdecydować.

- Z powodu miłości - powiedział Jess Hawkins, kiwając ze zrozumieniem głową. Angharad wzięła jego prawą dłoń i uścisnęła.

- Możemy porozmawiać, Samantha? - zapytał Rebus, lecz córka pokręciła głową i zniknęła w jednym z pokoi na górze.

Hawkins otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Rebus uciszył go, mierząc w niego palcem.

- Spróbuj jeszcze chwilę pieprzyć o życiu i miłości, a przysięgam, że dam ci w mordę.

Oates zacisnęła palce wolnej ręki na leżącym przed nią nożu do obierania.

- Tylko spróbuj - rzuciła, obnażając idealnie utrzymane zęby.

- Chyba powinienes już iść, John - mruknął Hawkins, klepiąc ją po ramieniu.

- Carrie potrzebuje mamy - powiedział Rebus.

- Wiem.

Hawkins wciąż kiwał głową, kiedy Rebus odwrócił się i wyszedł.

## Rozdział 18

- SA JUŻ WSZYSCY - oznajmiła May Collins, wychodząc zza baru. Zaprowadziła Rebusa do narożnego stolika. - Wymagało to trochę większego zachodu, niż myślałam. - Przy stoliku czekały na nich cztery osoby. Obok zaparkowane dwa balkoniki. - To mój tato, Joe - powiedziała.

Mały przygarbiony staruszek miał chyba kłopoty z oddychaniem. Ręka, którą wyciągnął na powitanie, wyraźnie drżała, skóra była cienka jak papier. Na nosie miał okulary z grubymi soczewkami, na głowie więcej plam wątrobowych niż włosów. Obok siedziała kobieta, która śmiało mogłaby być jego siostrą.

- Helen Carter - przedstawiła ją May. - Helen jest trochę głucha, mimo że ma aparat. Prawda, Helen? - zapytała, podnosząc głos.

Starsza kobieta zachichotała i pokiwała głową.

Naprzeciwko niej siedział mężczyzna ze zbliżonego rocznika, wyższy i chudszy od Joego Collinsa, najwyraźniej niepotrzebujący okularów i odznaczający się bardziej kanciastymi rysami.

- Stefan Novack - powiedziała May Collins. - Helen i Stefan mieszkają w Tongue i Stefan był tak miły, że ją podwiózł.

Rebus uściśnął dłoń Novackowi, wpatrując się w siedzącego obok młodego mężczyznę. Ten rozłożył ręce.

- Wiem - mruknął.

- To jest Jimmy Hess - wyjaśniła May Collins. - Jego dziadek nie czuje się dziś najlepiej.

- Pański dziadek, czyli...?

- Frank... a właściwie Franz Hess, podobnie jak Joe to Josef - odparł Jimmy, wskazując ojca May Collins. - I jak zwykle zaznaczę: nie, nie jesteśmy spokrewnieni z Rudolfem Hessem.

– Franz nawet kiedy dobrze się czuje, nie wpada tutaj – dodała May Collins.

– Nie uznaje alkoholu – wyjaśnił Jimmy. – W każdym razie ostatnio.

– Siadaj, przyniosę ci coś do picia – zwróciła się do Rebusa, klepiąc go po ramieniu.

– Tylko wodę gazowaną – odparł, siadając u szczytu stołu.

– Przykro nam z powodu pańskiej straty – powiedział Jimmy Hess. Był wysokim, a do tego niezgrabnym mężczyzną. Dawno skończył trzydziestkę, ale na serdecznym palcu nie było śladu po obrączce. Ciemne włosy przerzedzały mu się na skroniach.

– A ja dziękuję, że zdecydował się pan reprezentować dziadka – odparł Rebus. – Pewnie straci pan tu tylko czas.

Hess ponownie rozłożył ręce. Robił to chyba często, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

– Dziadek dużo opowiadał mi o obozie i byłem z nim, kiedy Keith zadawał mu pytania. Więc może okaże się bardziej użyteczny, niż pan sądzi.

Rebus pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Jak wszyscy wiecie – zaczął – Keith był partnerem mojej córki. Ktoś zabił go na terenie Obozu Tysiąc Trzydziestego Trzeciego i wszystko wskazuje, że skradziono jego notatki oraz komputer. Przejrzałem to, co zostawił, i wiem, że ten obóz stał się jego obsesją. Zastanawiam się, czego dowiedział się z rozmów z wami.

– Nie usłyszałam wszystkiego, co pan mówił – oznajmiła Helen Carter, nachylając się do Rebusa tak blisko, że niemal go dotknęła. – Wie pan, że nie byłam tu internowana?

Rebus uśmiechnął się.

– Pracowała pani w izbie chorych. Jest o tym mowa w papierach Keitha.

– Ale poślubiłaś jednego z internowanych! – zawołał Hess. – Nadal mam konika, którego wystrugał w niewoli mąż Helen. – Spojrzał na

Rebusa. – Wielu internowanych wypuszczano z obozu, żeby popracowali na roli i zażyli trochę ruchu.

May Collins postawiła przed Rebusem szklanekę z wodą.

– Nie będziesz mi teraz zasypiał – ostrzegła ojca, któremu zamykały się powieki.

– To dlatego, że przynudzają – burknął starszy z nadal mocnym obcym akcentem.

– Panu też pozwalano wychodzić z obozu? – zapytał go Rebus.

– Oczywiście.

– Był pan, zdaje się, świeżo awansowanym oficerem, a to oznaczało baraki o wyższym standardzie niż dla tych niższych rangą?

– Zgadza się.

– Jak pan trafił do Obozu Tysiąc Trzydziestego Trzeciego?

– Mój pluton został okrążony. Nie mieliśmy innego wyjścia, musieliśmy się poddać.

– A pan, panie Novack?

Prawa ręka Novacka przesunęła się powoli w stronę stojącej przed nim na stole szklanki. Objął ją palcami, ale nie podniósł do ust. – Zanim Obóz Tysiąc Trzydziesty Trzeci stał się obozem brytyjskim, należał do Polaków.

– Naraził się pan generałowi Sikorskiemu? Więc nie siedział pan tu w tym samym czasie co pan Collins i pan Hess?

– Nie, niezupełnie... ale Helen była tu przez cały czas. – Novack spojrzał na Helen Carter i skinął lekko głową.

– Niewiele z tego usłyszałam – poskarżyła się znów Carter, majstrując przy aparacie słuchowym.

– Dajcie jej tylko trochę rumu – mruknął cicho Novack – to słuch zaraz się jej poprawi.

Spojrzenie, jakie mu rzuciła, potwierdziło jego przypuszczenie.

– Przyjechałem tu zaraz po zakończeniu wojny – zwrócił się Novack do Rebusa. – Wspominałem miło to miejsce i ludzi... i przekonałem się, że w Polsce nie ma dla mnie życia. Obóz Tysiąc Trzydziesty Trzeci nadal wtedy działał. Zamknięto go dopiero w tysiąc dziewięćset czterdziestym

siódmym roku. Internowanych wykorzystywano jako darmową siłę roboczą. Nie musieli odsyłać ich do domu, bo nie było oficjalnego zawieszenia broni. A kraj potrzebował oczywiście ludzi do pracy.

– Wtedy właśnie pana zwolniono, panie Collins? – zapytał Rebus.

– Dokładnie wtedy.

– I podobnie jak pan Novack postanowił pan tu zostać?

Collins wzruszył ramionami.

– Zakochałem się.

– A pański dziadek? – zapytał Rebus Jimmy'ego Hessa.

– Tak samo. – Hess pokiwał głową.

– To dziwne, nie sądzicie? – wtrąciła Helen Carter. – Nie wydaje mi się, żeby w Niemczech zostało po tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku wielu brytyjskich więźniów wojennych.

– Możecie o to winić tylko waszą gościnność – powiedział Novack. – Nie mam na myśli konkretnie ciebie, Helen, ale w ogóle Szkotów.

– Więc z obozu wynieśliście wyłącznie miłe wspomnienia? – zdziwił się Rebus.

– Było ciężko – odparł Novack. – Zimą zdychaliśmy z zimna, a latem z gorąca. Nawet po tym, jak Brytyjczycy przejęli obóz od Polaków, zdarzały się incydenty. Krążyły plotki, że ktoś próbował zatruć dostawę pieczywa, prawda, Helen?

– Wielu mężczyzn cierpiało na zatrucia pokarmowe. Takie rzeczy po prostu się zdarzały.

Rebus obserwował uważnie Novacka.

– Pana zdaniem to nie był przypadek?

– Ludzie byli na ogół nastawieni przyjaźnie, ale niech pan pomyśli: w pana okolicy pojawiają się cudzoziemcy, wolno im chodzić na wolności, uwodzić wasze kobiety...

– To mogło prowadzić do niesnasek – domyślił się Rebus.

– Lepiej, żeby opowiedział o tym Joseph – oświadczył Novack.

– Co tu jest do opowiadania? – burknął Collins.

– Zginął jeden z jeńców, twój kolega.

– Jak zginął? – zapytał Rebus w niezręcznej ciszy, która zapadła.

– Został rozstrzelany. Wcześniej zabił jednego ze strażników. – Novack spojrzał na Helen Carter. – Ten strażnik był przyjacielem twojej siostry, prawda, Helen? Zapomniałem, jak się nazywał...

– Miał na imię Gareth – odpowiedziała niemal szeptem. Jej zaropiałe oczy wypełniły się łzami. – Gareth Davies.

– Dwaj faceci, jedna kobieta... – Novack wzruszył ramionami.

Rebus spojrzał na Joego Collinsa.

– Ten rewolwer za barem... Po co pan go tam umieścił?

– Znalazłem go na brzegu morza. Należał pewnie do strażnika i ten cisnął go do wody, kiedy skończyła się wojna.

– Zabezpieczył go pan?

– Nie było potrzeby. Części mechaniczne się zacinały; nie można było oddać z niego strzału.

– Co pan pomyślał, kiedy ten rewolwer zniknął?

– Że to bez znaczenia.

Drzwi za Rebusem otworzyły się i na ich stolik padł cień przybysza.

– Co pan tu, do diabła, knuje? – zapytał Creasey, zwracając się do Rebusa.

Ten obrócił się i spojrzał mu prosto w twarz.

– Wykonuję pańską robotę, sierżancie. Ktoś musi to robić.

– Słówko na zewnątrz, w tej chwili.

Rebus westchnął przepaszająco, po czym wstał powoli od stolika i wyszedł za detektywem na ulicę.

– Odwiedziłeś ponownie obóz – rzucił Creasey.

– Więc przekazano ci moją wiadomość?

– I cóż takiego chciałeś mi przekazać?

Rebus udał, że się zastanawia.

– Przemyslałem to i nie wiem, czy powinienem zaprzętać tym twoją uwagę – odparł po chwili. – Masz teraz pewnie dość spraw na głowie.

– Podczas gdy ty nie powinienes mieć żadnych.

– To znaczy?



- To znaczy, dlaczego, do diabła, nadal cię tu widzę?
- Zamordowano partnera mojej córki, na wypadek gdybyś zapomniał.
- Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to twoje wtrącanie się w śledztwo.

Po jaką cholere pojechałeś do zamku Strathy?

- Wieści się rozchodzą.

- Ogrodnik ma kumpla, który jest gliniarzem w Thurso. Poprosił go o sprawdzenie, czy w policji w Edynburgu służy ktoś o nazwisku Fox. Okazało się, że tak, ale nie zgadzał się rysopis. Prawdziwy Fox jest między innymi o kilkadziesiąt lat młodszy.

- Co wcale nie znaczy, że to ja odwiedziłem zamek.

- Tyle że przed chwilą sam się do tego przyznałeś.

- Głupiec ze mnie... - Rebus wsunął ręce do kieszeni.

Drzwi do pubu otworzyły się i obaj spojrzeli w tamtą stronę. Stefan Novack wiązał szalik na szyi.

- Mam inne spotkanie - wyjaśnił. - Josef zasnął, a Helen musi wrócić do domu, żeby wziąć leki. Mam nadzieję, że do czegoś się panu przydaliśmy.

- Żałuję, że nie spędziliśmy ze sobą więcej czasu - powiedział Rebus. - Moglibyśmy się znowu spotkać?

- Jeśli panu na tym zależy...

Novack przytrzymał drzwi, żeby mogła przez nie przejść Helen Carter z balkonikiem. Nie rozpoznała chyba Rebusa. Dwoje starszuchów podeszło do samochodu i Novack otworzył drzwi.

- Czego dotyczyło to spotkanie? - zapytał Creasey.

- Keith przeprowadził z nimi wywiady, ale w papierach, które znalazłem w jego garażu, nie ma o tym prawie mowy. Osoba, która zabrała jego laptop, musiała mieć powód, żeby to zrobić. Zaginął również pendrive z nagranyymi wywiadami.

Creasey skrzywił się.

- Daj spokój, John, już to przerabialiśmy. Każdy bandzior i włamywacz wie, że takie rzeczy jak laptop czy komórkę można odsprzedać.

- Zaginęły również jego notesy. Chcesz powiedzieć, że sprawca również je zamierzał sprzedać?

- Próbujesz mi wmówić, że zamordowano go z zimną krwią, bo interesował się obozem internowania z czasów drugiej wojny światowej? - zapytał Creasey. - To wydaje ci się bardziej prawdopodobne niż osobiste porachunki albo nieudany napad?

Rebus wycelował w niego palcem.

- Chcesz w to wrobić moją córkę?

- Nie wykluczamy żadnej opcji.

- Kogo jeszcze macie? Jessa Hawkinsa?

- Dlaczego akurat jego? - Creasey wydawał się autentycznie zadowolony.

- Bo jego parodia sekty Jima Jonesa jest tuż za Obozem Tysiąc Trzydziestym Trzecim.

- I?

- I on albo któryś z jego pomagierów mógł uznać, że to najlepszy sposób, żeby omotać Samanthę.

Dwaj mężczyźni przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. W końcu Rebus wypuścił głośno powietrze z płuc i przecesał palcami włosy.

- Nie wiem, Robin. Naprawdę nie wiem.

- A gdzie w tych wszystkich teoriach jest miejsce dla lorda Strathy'ego?

Rebus pokręcił głową.

- W tym przypadku oddawałem tylko przysługę komuś, z kim służyłem kiedyś w Edynburgu.

- Temu Foxowi?

- Nie, nie jemu. Wiesz, że lord Strathy ma tutaj sporo ziemi? I że leży na niej zarówno Obóz Tysiąc Trzydziesty Trzeci, jak i komuna Hawkinsa?

Creasey uniósł brew.

- Tego akurat nie wiedziałem.

- Keith chciał, żeby gmina wykupiła działkę, na której znajdował się obóz, i zrobiła z niego atrakcję turystyczną.

- I co?

– Lord Strathy zapadł się pod ziemię.

Detektyw z Inverness usilnie się nad czymś zastanawiał, poruszając szczęką.

– Tak się składa, że moja ekipa jest dość zajęta – powiedział w końcu.

– Wszyscy siedzą w tym kontenerze?

– Dostaliśmy do dyspozycji posterunek w Tongue, musimy tylko znaleźć osobę, która ma do niego klucz.

– Zawsze mogę pomóc, jeśli macie braki kadrowe.

– Miło z twojej strony, John... ale dobrze wiesz, jaka jest moja odpowiedź.

– Żebym się odwalił, wracał do domu i nie zawracał ci głowy. Coś w tym rodzaju?

– Powinieneś się skupić na córce i wnuczce... potrzebują cię o wiele bardziej niż zabity Keith. – Creasey zerknął na zegarek.

– Nie będę cię zatrzymywał – rzucił Rebus.

– Wieczorem mam coś do załatwienia w Inverness. Muszę jechać.

– Zdążyliście porównać moje odciski z tymi znalezionymi w volvie?

– Twoje, moje, Samantha i Keitha. Oraz częściowe odciski dziecka, które, jak się domyślam, należą do twojej wnuczki. – Creasey na chwilę przerwał. – Wiesz, że w dniu, kiedy zginął Keith, Samantha odwiedziła komunę Hawkinsa? Nie musisz odpowiadać, widzę odpowiedź na twojej twarzy. Nadal uważasz, że jej romans z tym facetem dobiegł końca?

– Nie dorwiesz jej, Creasey. Nigdy na to nie pozwolę.

– Nic, co przed chwilą powiedziałem, nie zrobiło na tobie najmniejszego wrażenia, tak?

– Zapewniam cię, że wziąłem wszystko pod uwagę.

Detektyw sierżant powoli pokręcił głową, dając do zrozumienia Rebusowi, że nie dał się nabrać, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy i wsiadł do samochodu. Drzwi do pubu otworzyły się i pojawił się Jimmy Hess.

– Będę już leciał – powiedział, wkładając polar.

– Dziękuję, że pan przyszedł. Mam nadzieję, że pański dziadek wkrótce odzyska wigor.

– Ma dziewięćdziesiąt trzy lata. Wątpię, żeby go kiedykolwiek odzyskał.

– Ale umysłowo jest nadal sprawny? W wystarczającym stopniu, żeby Keith mógł mu zadać kilka pytań?

– Rozmawiali ze sobą, ale nie sądzę, żeby dziadek dużo mu pomógł. Nie ma już zbyt dobrej pamięci, a to wszystko działo się bardzo dawno temu.

– Chętnie zamieniłbym z nim kilka słów.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Kto się nim zajmuje, jeśli wolno spytać?

– Tylko ja. Dajemy sobie jakoś radę.

– Musi być ciężko, kiedy jest pan w pracy.

Twarz Hessa lekko pociemniała.

– Rzuciłem robotę, żeby się nim opiekować. Rodzina ma swoje plusy i minusy, prawda? – Zerknął na zachodzące słońce. – Nigdy nie wiesz, co cię czeka za rogiem – mruknął, po czym nasunął na głowę kaptur polaru i ruszył przed siebie.

Po jakimś czasie Rebus wszedł z powrotem do pubu. Joe Collins drzemał przy stoliku, trzymając dłonie na kolanach. Z głośników płynęła cicho muzyka. Pub należał z powrotem do stałych gości. Reporterzy zmyli się, podobnie jak demony przeszłości. Rebus usiadł na jednym z barowych stołków.

– Co podać? – zapytała May Collins.

– Kawę, najmocniejszą, jak się da.

– Nie spało ci się najlepiej w nocy?

– Mózg nie chciał się wyłączyć.

– Jesteś pewien, że kawa jest dobrym wyjściem?

– Nie wiem, May. O co właściwie pytałaś?

Śmiejąc się, podeszła do ekspresu.

## Rozdział 19

**KLUB JENEVER JESZCZE NIE DZIAŁAŁ**, ale drzwi były otwarte. Dlatego Dennis Jones mógł wejść do środka i zażądać widzenia z Morrisem Caffertym.

– Ludzie mówią o mnie na ogół Duży Ger – usłyszał głos z antresoli.

Jones wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Był mocno zbudowany i wciąż uważał się za wysportowanego. Grał w badmintona i squasha. Partnerował koleżance, Gillian Bowness, w deblu w zawodach uniwersyteckich. Od tego zaczęły się jego kłopoty.

Cafferty siedział na ostatniej małej kanapie w rzędzie. Był sam i kiedy podszedł do niego Jones, zamykał właśnie laptop.

– Niech pan siada i powie, co pana gryzie – rzucił.

– Chyba pan wie. – Jones oddychał ciężko, napędzany adrenaliną.

– Pańska żona wie, że składa mi pan wizytę?

– Powiedziała tylko, że ktoś ma jakąś taśmę. Mogła zostać nagrana tylko tutaj, więc trochę poszperałem. Nie zajęło to dużo czasu.

– A teraz, skoro już pan się tu pofatygował, co konkretnie mogę dla pana zrobić?

– Nie pozwolę, żeby pan jej to zrobił.

– Komu?

– Jenni.

– Zakładam, że ma pan na myśli zastępczynię komendanta głównego, Jennifer Lyon? Co panu powiedziała?

– Że to załatwia i że bym się nie martwił. Ale załatwianie tego oznacza, że musi mieć do czynienia ze śmieciem takim jak pan.

– Wolałby pan, żeby odbyło się to w miły sposób na oczach wszystkich? – Cafferty parsknął cicho, ale przestał się śmiać, widząc, że Jones zaciska dłonie w pięści. – Niech pan nie robi niczego radykalnie

głępszego od tego, co już pan zrobił. Proszę po prostu usiąść, a ja powiem panu coś, czego nie powiedziałem pańskiej ślubnej.

Cafferty odczekał, aż Jones zastosuje się do jego polecenia i siądzie na kanapie.

– Film, który tu z panem nagraliśmy, to nic poważnego: trochę obściskiwania się i biały proszek pod nosem. Powinien pan zobaczyć, jakie numery tu czasem odchodzą. Pańska koleżanka z uczelni mnie nie interesuje, ale towarzyszka życia owszem. – Cafferty na chwilę przerwał. – Dlatego kazałem komuś, żeby przez parę tygodni miał was na oku. Ten park krajobrazowy niedaleko pańskiego miejsca pracy... przepiękne miejsce, niestety, rzadko odwiedzane. Tamtejszy parking jest czasem zupełnie pusty. – Patrzył na efekt, jaki wywierają jego słowa. Z Dennisa Jonesa wyraźnie uszło powietrze. – To było trochę nieostrożne, nie sądzi pan? Choć podziwiam gibkość pańskiej przyjaciółki. To chyba dzięki temu badmintonowi. – Cafferty znowu przerwał. – Nie wiem, co pan powiedział żonce, ale takie zdjęcia na okładce jakiegoś szmatławca... To zabije każde małżeństwo.

Pochylił się, opierając łokcie na stoliku.

– Tu wcale nie chodzi o ciebie, Dennis. Wątpię, by Jenni przejmowała się tobą i twoją karierą. Za to jej kariera... – Odchylił się na oparcie kanapy. – Jak twoim zdaniem zareaguje żona, kiedy dowie się, że tu przyszedłeś? Powiem ci: dostanie szału, bo nie chce, żebym się wkurwił. Jeden telefon do mediów, jeden załącznik do maila i będziesz we wszystkich tabloidach. Więc chociaż rozumiem trochę twoje chojrakowanie, powinieneś spadać stąd w podskokach i pozwolić żonie zająć się obesraną pieluszką, którą zostawiłeś na jej dziewiczo czystym progu.

Cafferty podniósł pokrywę laptopa, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

– Nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa – próbował się odgrażać Jones, wstając z kanapy.

– Lepiej módl się, kurwa, żeby to było ostatnie – warknął Cafferty, piorunując go wzrokiem, po czym skupił całą uwagę na ekranie.

Przez chwilę słuchał kroków Jonesa idącego po schodach, a potem wychylił się i spojrział na dół. Po jego gościu nie było już śladu. Duży Ger wyciągnął telefon i wybrał numer.

– Malcolm? – powiedział, kiedy połączenie zostało odebrane. – Nadal śłęczysz przy biurku? Bądź na dole za piętnaście minut.

**TO BYŁ DUŻY CZARNY MERCEDES** z mocno przyciemnianymi tylnymi szybami. Kiedy Fox wyszedł z komisariatu policji w Leith, kierowca wysiadł i zatrzasnął za sobą drzwi. Fox przeszedł przez ulicę. Kierowca nie był zbyt wysoki, ale wyglądał na człowieka, który poradzi sobie w każdej sytuacji: kłębek nerwów i mięśni w skórzanej lotniczej kurtce.

– Tylne siedzenie – burknął.

Fox usiadł obok Cafferty'ego. Kierowca został na zewnątrz, zapalił papierosa i zerknął na ekran telefonu.

– Jakiś problem? – zapytał Fox bez zbędnych wstępów.

– Uznałem po prostu, że powinieneś wiedzieć: złożył mi wizytę Casanova.

– Rozumiem, że masz na myśli Dennisa Jonesa?

– Moim zdaniem wyczuł po jej zachowaniu, że coś nie gra, i w końcu rzuciła mu to prosto w twarz.

– Powiedziała mu wszystko?

– Niezupełnie, ale był dość sprytny, żeby domyślić się, że to ja za tym stoję.

– I co?

– Nie chcę, żeby to się powtórzyło. W tym związku jest miejsce tylko dla trzech osób: dla ciebie, dla mnie i dla twojej szefowej.

– To nie jest żaden związek.

– Jestem gotów się z tym zgodzić, jeśli nie otrzymam od was informacji zwrotnej.

– Wierz mi: pracujemy nad tym.

– I co?

– Zaczynamy dopiero rozwiązywać tę układankę. Brzegi są prawie gotowe, ale zostało jeszcze dużo roboty w środku.

– Więc przedstaw mi ogólny zarys.

Fox pokręcił głową.

– Jeszcze nie.

– Ale już wkrótce?

– Czy to ma coś wspólnego z Salmanem bin Mahmoudem? – zapytał Fox, odwracając się twarzą do Cafferty'ego. – Z praniem brudnych pieniędzy? Ósrodkami golfowymi i posiadłościami ziemskimi?

– Okej, widzę, że nie próżnowałeś – mruknął Duży Ger, kiwając głową. – Ale potrzebuję tych środkowych fragmentów układanki raczej wcześniej niż później.

– Przesiadywanie tu z tobą raczej temu nie sprzyja.

– Opowiesz Lyon o jej podekscytowanym mężusiu?

– Wygląda na to, że będę musiał.

– Facet jego pokroju, taki porywczy i krewki...

– Tak?

– Może powinno się na niego uważać. Kto wie, czy ma już za sobą szalone lata? – Cafferty wbiął wzrok w Foxa. – Ale muszę przyznać, że okazałeś się o wiele cwańszy, niż sądziłem.

– A to dlaczego?

– Patrzyłem na jego twarz, mówiąc o nagraniu, na którym zażywa kokę. Nie wiedział, że je mam, co wskazuje, że jego żoneczka też nie wie. Zachowałeś więc ten detal dla siebie. Nie chcesz, żeby wiedziała więcej, niż musi, bo mogłaby się na tobie kiedyś odegrać? – Cafferty pokiwał palcem. – Powiniennem zgadnąć, że ktoś, kto nazywa się Fox, musi być przebiegły. A teraz spadaj i zajmij się Stewartem Scoularem. Zegar tyka, Malcolm...

Fox otworzył drzwi mercedesa i wysiadł. Kierowca przydeptał obcasem niedopałek papierosa. Fox przeciął ulicę, wszedł do komisariatu, minął dyżurkę i wspiał się po schodach. Fragment sufitu nad jego głową przeciekał i na najwyższym stopniu stało wiadro na wypadek kolejnego



deszczu. W budynku komisariatu, który zbudowano na początku dziewiętnastego wieku, najpierw mieścił się sąd, a potem przez jakiś czas rada miejska Leith. Było to solidne kamienne gmaszysko, ale jak wiele pochodzących z tamtej epoki i oddanych w użytkowanie policji, znajdowało się w opłakanym stanie. Fox zastanawiał się, ile jeszcze przetrwa lat.

– Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa więcej ode mnie – mruknął, lekko zdyszany po wejściu na pierwsze piętro.

Clarke siedziała przy ich wspólnym biurku. Reszta zespołu poszła już do domu albo szykowała się do wyjścia, ale Siobhan Clarke nigdzie się nie wybierała. Operator dostarczył wykaz połączeń telefonicznych Salmana bin Mahmouda za ostatnie sześć miesięcy. Mieli już wcześniej dostęp do jego iPhone'a i przesłuchali wszystkich, z którymi kontaktował się w dniu śmierci. Na liście był sklep z luksusowymi winami i innymi trunkami w centrum Londynu, dwa prywatne banki (jeden w Londynie, drugi w Edynburgu), miejscowy krawiec specjalizujący się w tweedach i odzieży sportowej oraz odznaczona gwiazdkami Michelina restauracja w Leith. Banki, co ciekawe, uparcie odmawiały odpowiedzi na pytania o sytuację finansową klienta. Z mocno niekompletnego zestawu wyciągów, które dostarczono z edynburskiego domu Salmana, wynikało, że na jego kontaktach znajduje się niska pięciocyfrowa suma.

„Nie chcę być bezczelna, ale to nie starczy na waciki”, skomentowała to Christine Esson.

Ale przecież, jak zaznaczył Graham Sutherland, prawdziwi krezusi mają inne sposoby chomikowania i pozyskiwania funduszy. Badali to śledczy od finansów w Gartcosh i w Metropolitalnej. Foxowi nietrudno było dołączyć Stewarta Scoulara do pozostających w kręgu zainteresowania policji Isabelli Meiklejohn oraz Giovanniego Morellego.

Okazało się również, że do Salmana bin Mahmouda nie należał żaden z jego sportowych samochodów – oba były w leasingu. Dom w Edynburgu został kupiony przez rodzinę, najprawdopodobniej w charakterze długoterminowej inwestycji, ale penthouse w Londynie był wynajęty; czynsz wynosił prawie dwa razy tyle, ile Fox zarabiał miesięcznie.

Siedząc obok Clarke, podniósł leżące na biurku dwa thrillery w twardych okładkach.

– W prezencie od Christine – wyjaśniła Clarke. – Jeden dla mnie, drugi dla Johna.

Fox otworzył jedną z książek na stronie tytułowej.

– Z autografem – mruknął. – Jeśli masz wolną chwilę...

– Czego chciał od ciebie Cafferty? – przerwała mu Clarke. Fox wbił w nią wzrok. – Mamy tu okna, Malcolm. Dostajesz telefon i kwadrans później mówisz, że idziesz do toalety.

– Włożyłem kurtkę... – zdał sobie sprawę Fox.

– Co, prawdę mówiąc, nie jest potrzebne, kiedy ktoś idzie się odlać. Podeszłam więc do okna i zobaczyłam wielki lśniący samochód i wielkiego lśniącego ochroniarza.

– Chciał się tylko dowiedzieć, co nowego.

– Naprawdę nie powinieneś tego robić. – Clarke zastygła w bezruchu. – Spytałeś, dlaczego tak go interesuje Stewart Scoular?

– Nie odkrywa swoich kart.

– Nie on jeden. Są rzeczy, o których mi nie mówisz, i jeśli mam być szczerą, nie bardzo mi się to podoba.

– Wspomniałem ci już o Wydziale Specjalnym – odparł półgłosem Fox.

– Ale tu nie chodzi o Wydział Specjalny. – Clarke pokręciła głową. – Wyczuwam jedną rzecz: jesteś pewny, że szefostwo cię kryje... stąd te przechwałki o kamizelce kuloodpornej.

– Daj spokój, Siobhan.

– Chyba mnie znasz. Co oferuje w zamian Cafferty? Coś tak pikantnego, że twoje szefostwo godzi się na wymianę?

– Powiedziałem, żebyś dała spokój – odparł sztywno Fox, po czym wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze. – Czy Brilla nie trzeba wyprowadzić na wieczorny spacer?

– Wysłałam z nim w porze lunchu, nie pamiętasz?

– To było sześć godzin temu.

– Ile razy trzeba twoim zdaniem go wyprowadzać?

– Może powinnaś o to zapytać Johna.

– Tak sądzisz? A ty może powinieneś zapytać Wydział Specjalny, jak im się podoba, że wciągnąłeś w śledztwo znanego gangstera.

W przedłużającym się milczeniu widziała, jak Fox porusza szczęką.

– Masz jakieś wiadomości od Rebusa? – zapytał w końcu.

Clarke westchnęła.

– Znowu mamy ciszę radiową.

– A co z nieuchwytnym lordem Strathym?

– Zadawaj tyle pytań, ile chcesz. Wiem, że coś przede mną ukrywasz, i nie przestanę mnie to wkurzać, dopóki tego nie ujawnisz.

– Rozumiem. A wracając do lorda Strathy'ego?

– Nadal nic. Poprosiłam Metropolitana, żeby sprawdzili różne miejsca, które tam odwiedza.

– Muszą nas za to kochać tam na dole. – Fox uśmiechnął się.

Clarke wzięła do ręki jedną z kartek z billingami. Połączenia telefoniczne były już w pełni opisane. Początkowo mieli informacje tylko o połączeniach wychodzących, teraz również o przychodzących.

– Gio, Issy, Gio, Issy, Gio – przeczytała. – Ponad dwadzieścia pogawędek w ostatnim dniu życia Salmana.

– Podobno młodzi ludzie wolą to od przebywania w jednym pokoju z tymi, do których dzwonią.

– No i mamy jeszcze Stewarta Scoulara, choć tutaj kontakty były o wiele rzadsze. – Clarke zajrzała do notesu. – Osiemnaście połączeń w ciągu sześciu miesięcy: dziewięć przychodzących i dziewięć wychodzących.

– I nic, co wskazywałoby, że ktoś miał się spotkać z Salmanem przy polu golfowym Craigentiny – stwierdził Fox. – Chyba że byłaby to Meiklejohn albo Morelli.

Clarke pokiwała głową.

– Ale mamy to. – Stuknęła palcem w kolejną stronę wydruku. – Osiemnaście połączeń na stacjonarny telefon w zamku Strathy w ciągu sześciu miesięcy. Dziewięć wychodzących i dziewięć przychodzących.

– Nie ma tam zasięgu?

– Tak sądzę.

– Rozmawiał z Issy?

Clarke wzruszyła ramionami.

– Albo z Issy, kiedy odwiedzała rodzinne gniazdo, albo z jej ojcem. Zapytamy ją o to. – Przetarła oczy. W sali NZD pozostali tylko ona i Fox. Słyszała, jak pracownicy administracyjni schodzą na parter. – A właśnie... dowiedziałeś się czegoś o Isabelli Meiklejohn?

– W internecie jest jak zwykle masa śmieci. Relacje z czasów, kiedy była zbuntowaną nastolatką. Wizerunek odbudowywany przez kilka kolorowych czasopism. Najwyraźniej sporo się udziela w organizacjach dobroczynnych.

– Znajduje na to czas między wykładami i wystawnymi balami? Na studiach miałyśmy kilka takich księżniczek. Można je było zobaczyć raz w roku na sali egzaminacyjnej.

– Podczas gdy ty nie dojadłaś i spałaś na gołych deskach?

– Twarda szkoła życia, Malcolm.

– Twoi rodzice byli, zdaje się, wykładowcami?

– Tak pękła moja bańka uprzedzeń klasowych. – Clarke wzdrygnęła się i próbowała skupić.

– Kończysz na dzisiaj? – zapytał Fox.

– Jeśli ty kończysz, ja też mogę.

– Planowałem zostać jeszcze przez chwilę. – Fox wskazał komputer. – Jest tu dużo na temat Issy jako lwicy salonowej, ale mnie interesuje bardziej jej smykałka do interesów.

– Chcesz pogadać ze swoimi dziennikarzami od biznesu?

– Zauważyłaś chyba, mam nadzieję, że żaden nie puścił dotąd farby?

– Co wcale nie znaczy, że kiedyś w końcu nie puści.

– Powinienem również zadzwonić do zastępczyni komendanta głównego i powiadomić ją, co się dzieje.

– Zakładam, że wie o Caffertym.

– Zakładaj sobie, co chcesz.

– Łatwiej będzie, jeśli wezmę pałkę i będę cię walić w łeb tak długo, aż przyznasz się do winy.

– To nie byłoby zbyt profesjonalne. Ale pozwól, że coś ci zaproponuję. Ja trochę jeszcze popracuję, a ty wyprowadzisz na spacer psa, coś zjesz...

– Tak?

– A potem znów się spotkamy i sprawdzimy, czy lady Isabella Meiklejohn jest w domu i przyjmuje gości. Nie mieliśmy dotąd okazji zobaczyć, gdzie mieszka.

– Jest jeszcze dom Salmana bin Mahmouda – dodała Clarke. – Wiem, że była tam ekipa kryminalistyczna, ale chciałabym sama trochę powęszyć.

– I gdzieś tutaj powinny być klucze. – Fox zatoczył ręką łuk.

– Spotykamy się o ósmej?

Szybko sobie wszystko policzył.

– Niech będzie o ósmej.

## Rozdział 20

ISABELLA MEIKLEJOHN MIESZKAŁA o przysłowiowy rzut beretem od Giovanniego Morellego, ale w przeciwieństwie do przyjaciół zadowolala się mieszkaniem na drugim piętrze przy St Stephen Street, prawie dokładnie naprzeciwko pubu Antiquary. Zaskoczenie w jej głosie szybko zmieniło się w irytację, gdy Clarke i Fox przedstawili się przez domofon.

– Nie życzę sobie żadnych więcej cholernych pytań – uprzedziła, otwierając drzwi.

Klatka schodowa była dość obskurna. Przy drzwiach Meiklejohn stał przymocowany do balustrady rower i Clarke zapytała, czy należy do niej.

– Nigdy nie przestanę was zaskakiwać, prawda? – zapytała dziewczyna z chłodnym uśmiechem, wpuszczając ich do mieszkania.

Przedpokój był wąski i zagracony. Manekin służył jako wieszak na płaszcze i kapelusze, a wypchana kuna w szklanej gablocie jako coś w rodzaju stolika. Leżały na niej klucze, słuchawki i nieotwarta poczta. Clarke udało się zerknąć do wąskiej kuchni – służba najwyraźniej miała wychodne. Drzwi do obu pokoi były zamknięte. Kwadratowy salon miał tylko jedno okno. Przez otwarte drzwi widać było przylegające do niego pomieszczenie, które pełniło funkcję gabinetu: biurko, komputer, drukarka. Z przenośnego sprzętu płynęła taneczna muzyka, którą Meiklejohn wyłączyła słowną komendą.

Przy kominku stał niewielki stos książek, ale nigdzie nie było regałów. Na ścianach dużo pstrokatych obrazów, namalowanych pewnie przez przyjaciół albo kolegów ze studiów. Meiklejohn siadła na sofie i podwinęła pod siebie stopy. Na podłodze obok opróżnionej do połowy butelki czerwonego wina stały kieliszek i pełna popielniczka. W powietrzu unosił się smród papierosów.

– Jeśli ktoś tyle kopci, niełatwo jest pedałować pod górę do śródmieścia – zauważyła Clarke.

– Z moimi płucami wszystko w porządku. – Meiklejohn zerknęła na swoje piersi, a potem posłała Foxowi spojrzenie, które w jej przekonaniu miało być kokieteryjne.

– Jakies wieści od pani ojca? – zapytał.

– Żadnych.

– To pani nie niepokoi?

– A powinno?

Fox głośno odchrząknął.

– Te rozmowy telefoniczne między panią i Salmanem bin Mahmoudem w dniu jego śmierci... Pamięta pani, czego dotyczyły?

– Pewnie tego co zwykle: plotek, być może planów na weekend.

– Nie spraw biznesowych?

– Biznesowych?

– Kiedy natknęliśmy się na panią w restauracji, jadła pani lunch z kilkoma inwestorami sprowadzonymi przez Stewarta Scoulara.

– Naprawdę?

– O to właśnie pytam.

Meiklejohn wzięła do ręki kieliszek i spojrzała na Clarke.

– A co pani o tym sądzi, pani inspektor?

– Z początku myślałam, że w zamian za darmowy lunch po prostu pokaże pani cycki kilku facetom w wieku pani ojca.

Dziewczyna uniosła kieliszek w udawanym toaście i upiła łyk wina.

– A teraz? – zapytała.

– Scoular należy do konsorcjum, które stara się wykupić pole golfowe w Edynburgu. Te same osoby planują, zdaje się, budowę nowego luksusowego ośrodka golfowego między Tongue a Naver... na terenie należącym w przeważającej części do pani ojca.

– Należącym do Fundacji Strathy – poprawiła ją Meiklejohn.

– Co wychodzi na jedno i to samo. Więc zastanawiamy się, czy nie odgrywała pani być może ważniejszej roli w tym spotkaniu? Czy nie

reprezentuje pani ojca podczas takich rozmów?

Meiklejohn odstawiała powoli kieliszek na podłogę.

– A jak dokładnie ma nas to przybliżyć do odkrycia, kto zamordował Sala? – wycodziła.

– Opieramy się na fragmentach układanki, które są nam przekazywane – odparł Fox. – I sprawdzamy, czy pasują do całości.

– Hm... kiedy na was patrzę, widzę dwoje tonących ludzi, którzy chwytają się brzytwy.

– Chce pani, żebyśmy ujeli zabójcę Salmana bin Mahmouda, lady Isabello? – zapytała Clarke.

– Oczywiście.

– I nadal twierdzi pani, że nie miał żadnych oczywistych wrogów?

– Poza zazdrośczącymi mu rasistami.

– Nie było nikogo, kto był mu winien pieniądze albo komu on był winien? Żadnych nieporozumień biznesowych? Żadnych odtrąconych przyjaciół albo kochanek? – To ostatnie słowo Clarke wymówiła ze szczególnym naciskiem.

– Nigdy się nie pieprzyliśmy, pani inspektor.

– Dlaczego?

Meiklejohn spojrzała Clarke prosto w oczy.

– Powiedziałabym, że to nie pani zasraną interes.

– Nie jest pani z Giovannim Morellim?

– Nie.

– To może ze Stewartem Scoularem? – Tym razem pytanie zadał Fox.

– Co ma, do cholery, wspólnego morderstwo Salmana z moim życiem miłosnym?

– Mam to potraktować jako odpowiedź twierdzącą?

– Macie to potraktować jako jedno wielkie „pierdol się”.

– Jak dobrze znał ofiarę pani ojciec? Na tyle, żeby Salman telefonował do niego do zamku Strathy?

– Nie mam pojęcia.

– A może to do pani dzwonił?



– Spędzam na północy możliwie jak najmniej czasu.  
– Ale zabrała pani tam Salmana, tak?  
– Na jedno, może dwa przyjęcia.  
– W których brał udział pani ojciec?  
– Nie twierdzą, że nie znali się na gruncie towarzyskim, mój ojciec spędza jednak więcej czasu w Londynie niż gdziekolwiek w Szkocji.

– A tak się składa, że Londyn – wtrącił Fox – jest miejscem, w którym studiował pan bin Mahmoud.

Meiklejohn pokiwała nagle głową, jakby coś sobie przypomniała.

– Ojciec zaprosił go do Izby Lordów. Sal był tym zachwycony, ale ojcu nagle coś wypadło i poprosił znajomego, żeby go oprowadził.

– Domyślam się, że zaproszenie do Izby Lordów musi robić piorunujące wrażenie na inwestorach Stewarta Scoulara.

– Nadal nie widzę, jaki to może mieć związek ze śmiercią Sala. A teraz, jeśli pozwolicie, mam jutro seminarium, do którego muszę się przygotować.

– Jutro rano? O której godzinie? – zapytała Clarke.

Dziewczyna musiała się nad tym zastanowić.

– O jedenastej.

– Co to za seminarium?

– Na temat poematu... – Meiklejohn rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu odpowiedzi.

– Nie widzę tu za dużo podręczników – rzuciła Clarke. – I nie sądzę, żeby widywano panią często na zajęciach. Studia są dla pani rodzajem zabawy. A raczej były, dopóki nie pojawiła się okazja jeszcze zabawniejszego spędzania czasu. Z Salmanem, Giovannim, a może nawet ze Stewartem Scoularem. – Ruszyła w stronę przedpokoju. – Nie musi nas pani odprowadzać.

– *Raj utracony!* – zawołała za nimi Meiklejohn.

– To ten z węzłem? – zapytał Fox, zwracając się do Clarke.

– I z drzewem wiadomości dobrego i złego.

– Przydałoby mi się takie – mruknął, zamykając drzwi. Po zejściu kilku stopni w dół zdał sobie sprawę, że Clarke przygląda się rowerowi.

– Czy sprawdziliśmy monitoring pod kątem rowerów? – zapytała. – W pobliżu miejsca zabójstwa? Czy przy tym magazynie nie przebiega ścieżka rowerowa?

– Nie myślisz chyba...?

– Po prostu jestem dokładna, Malcolm. I może dlatego powinniśmy się bliżej zainteresować lady Isabellą oraz Stewartem Scoulairem.

– Chodzi ci o to, czy są kochankami?

– Teraz, w przeszłości, a może nawet w przyszłości.

– A jak ci się wydaje?

– Jeszcze nie wiem – odparła, wzruszając ramionami. – Ale jedno mnie uderzyło: ta dziewczyna raczej nie pławi się w luksusie. – Clarke wyjęła z kieszeni pęk kluczy i nim potrząsnęła. – Miejmy nadzieję, że gdzie indziej pójdzie nam lepiej.

**DOM PRZY HERIOT ROW JUŻ** W tym momencie robił wrażenie opuszczonego. Clarke wpisała szyfr do alarmu, żeby potwierdzić, że nie mają złych zamiarów. Hol wejściowy był duży i niedawno odnowiony: biała marmurowa podłoga, złote wykończenia wszędzie, gdzie to możliwe, posągi pochodzące prawdopodobnie z Bliskiego Wschodu. Wzięła do ręki garść poczty. Żaden z listów nie wydawał się interesujący, więc rzuciła je z powrotem na stolik przy drzwiach.

– Kto jeszcze ma klucze? – zapytała.

– Adwokat Salmana – odparł Fox.

– Nikt z jego znajomych?

– Nic nam o tym nie wiadomo. To piętro oraz dwa wyższe należą do rodziny bin Mahmouda. Właścicielem mieszkania z ogródkiem na parterze jest facet, który ma firmę software'ową. Został przesłuchany; twierdzi, że sąsiad nie robił dużo hałasu. Czasami po przyjęciach słychać było tylko odgłosy uruchamianych silników i zatraskiwanych drzwi samochodów.

– Pana od software’u nie zaproszono na żadne przyjęcie?

– Nie. Jedyłą poważniejszą rozmowę odbyli, kiedy Salman zaproponował wykupienie jego mieszkania, a sąsiad odmówił. – Fox zobaczył, że Clarke posyła mu znaczące spojrzenie. – Nie jest to chyba powód, żeby kogoś zamordować.

– Salman nie przywykł raczej do tego, żeby ktoś mu odmawiał.

– Mamy zaprosić sąsiada na pogawędkę? – zapytał Fox.

Clarke pokręciła tylko głową i otworzyła drzwi do salonu. Przepych – to było pierwsze słowo, jakie przyszło jej na myśl. Dwie ogromne pluszowe sofy, wiszący na ścianie wielki telewizor z soundbarem, kolejne posągi i ozdoby. Na podłodze drogi duży dywan. Regały zastawione albumami poświęconymi w większości historii sztuki i starożytności. Na osobnej półce książki o Jamesie Bondzie i Seanie Connerym, a także dwie oprawione w ramki fotografie aktora z czasów, gdy grał Bonda, obie z autografem.

Obok znajdowała się nowoczesna kuchnia z podwójną lodówką, w której nie było nic poza wegetariańskimi gotowymi posiłkami i butelkami białego wina i szampana. W oddzielnym zamrażalniku znaleźli tylko kilka tacek z kostkami lodu. Fox zajrzał do kolejnego pomieszczenia, do którego wchodziło się z holu.

– Toaleta i prysznic – oznajmił, po czym ruszył za Clarke po kręconych kamiennych schodach.

W sypialni było wielkie łóże oraz garderoba z lustrzanymi drzwiami, a w niej równo zawieszono garnitury, marynarki i koszule Salmana bin Mahmouda, niektóre nadal w foliowych osłonach z pralni. W szufladach bielizna, paski, krawaty i biżuteria.

– Lubił spinki do mankietów – skomentował Fox.

W szufladzie szafki nocnej były kondomy i różne dostępne bez recepty leki. W pobliżu łóżka nic do czytania. Clarke wzięła do ręki pilota i wcisnęła przycisk. Z zagłębienia u stóp łóżka wyłonił się telewizor. Kiedy go włączyła, był nastawiony na jakąś arabską stację informacyjną.

Fox wszedł do łazienki, która przylegała do sypialni.

– Nie jestem w tej dziedzinie ekspertem – powiedział – ale nie widzę żadnych kobiecych kosmetyków.

– Więc raczej numerki na jedną noc, a nie regularna dziewczyna?

Clarke wyłączyła telewizor i wróciła do holu. Kolejne drzwi prowadziły do gabinetu. Szuflady biurka były pootwierane, komputer zabrany przez techników. Ściany były ozdobione plakatami z Seanem Connerym w roli Jamesa Bonda. Stało tam również kilkadziesiąt modeli astona martina DB5 w różnych rozmiarach.

– Chyba mam taki – powiedział Fox, biorąc jeden z nich do ręki. Kiedy wcisnął przycisk, dach, a razem z nim katapultowany fotel poleciały w górę. Figurka w fotelu wylądowała na podłodze.

Clarke przyglądała się mapie Bliskiego Wschodu, którą miała dokładnie przed oczami, kiedy usiadła za biurkiem.

– Uważał się za banitę? – zastanawiała się na głos. – Pod wszystkimi tymi pozorami bogactwa?

– Pytasz, czy był szczęśliwy, czy tylko się popisывał? – Fox wzruszył ramionami. – Żadne z przesłuchań, które przeprowadziliśmy, nie przyniosło w tej kwestii odpowiedzi.

– Nie jestem pewna, czy jego bliższych i dalszych znajomych w ogóle to interesowało.

– To znaczy?

– Czy ciekawił ich sam Salman, czy raczej egzotyczny rodzaj bogactwa, który symbolizował? Gdy tymczasem on zamartwiał się na przykład o rodzinę, którą zostawił w kraju?

Wchodząc za Clarke do następnego pomieszczenia, Fox wciąż się nad tym zastanawiał. To był kolejny wielki salon, dużo mniej oficjalny niż ten na dole. Sofa, dwa fotele, kino domowe i półki z oprawionymi w ramki zdjęciami. Na większości widać było rodzinę Salmana: nie tylko matkę i ojca, ale chyba wujów, ciotki i kuzynów. Czarno-biała wyblakła i pogięta fotografia przedstawiała dziadków, a może nawet pradiadków. Były tam również nowsze zdjęcia, z okresu, gdy przebywał w Wielkiej Brytanii. Kilka z nich Clarke widziała już wcześniej – opublikowano je w magazynach ilustrowanych i Fox ściągnął je na swój komputer. Na

innych widać było Salmana bawiącego się z przyjaciółmi i wielbicielami na imprezach, w tym również tej w klubie Jenever, w strefie dla VIP-ów. Salman obściskiwał na nich Isabellę, ale na jednym obejmował od tyłu Giovanniego, szczerząc wraz z nim w uśmiechu nieskazitelne zęby.

– Jak dużo wiemy o Morellim? – zapytała Clarke.

– Studiuje literaturę angielską, wywodzi się z zamożnej rzymskiej rodziny. Jego ojciec jest przemysłowcem, matka contessą czy kimś w tym rodzaju.

– Czy znali się już wcześniej, zanim wszyscy wylądowali w Edynburgu?

– Podczas naszego pierwszego spotkania Morelli i Meiklejohn wspomnieli chyba, że poznali się na przyjęciu – odparł Fox.

Pokiwała głową, usilnie się nad czymś zastanawiając.

– Tam spotkali się wszyscy troje, co niekoniecznie jest tym samym. Może znów dają o sobie znać moje uprzedzenia, ale bogacze są przecież prekursorami networkingu. Te same karaibskie plaże latem, te same alpejskie kurorty zimą. I kiedy zjeżdżają się tam całe rodziny, młodzi trzymają się razem. Na imprezę da się zaprosić tylko określoną liczbę osób. – Clarke spojrzała prosto w oczy Foxowi. – Czy ktoś zapytał ich o to podczas przesłuchania?

– Nie słuchałem nagrań, przejrzałem tylko podkreślone fragmenty stenogramów. Chcesz powiedzieć, że wracamy do lady Isabelli?

– Wątpię, czy nas tym razem wpuści.

– Możemy nalegać.

Clarke pokręciła głową.

– To może poczekać.

Kolejne pomieszczenie na drugim piętrze: wielka łazienka z jacuzzi i kabiną prysznicową dość dużą, by pomieścić dwie osoby. A na trzecim piętrze dwie gościnne sypialnie, każda z oddzielną łazienką, zasłanymi łóżkami, a także ręcznikami i szlafrokami, z których nikt już nie miał skorzystać.

– Salman miał sprzątaczkę? – spytała.

– Z miejscowej firmy. Powiedzieli nam, że był wspaniałym klientem, czarującym mężczyzną i tak dalej. – Zeszli z powrotem na pierwsze piętro. – Nie możemy wykluczyć, że to była przypadkowa zbrodnia z nienawiści... że Salman znalazł się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu. I że wiąże się to jakoś z innymi atakami na zagranicznych studentów.

– Daj spokój, Malcolm, to nie to. Nie został spoliczkowany i zwyzywany. Zadźgano go na śmierć w dzielnicy, w której normalnie nie bywał. – Clarke po raz ostatni omiotła wzrokiem salon.

– A ten atak na Morellego? – drażył Fox. – Ma związek z innymi pobiciami czy z zabójstwem Salmana?

Wzięła do ręki jedno ze zdjęć.

– Czy ten facet z tyłu, rozmawiający z kobietą w sukience bez pleców i właściwie bez przodu, to nie jest Stewart Scoular?

Fox przyjrzał się fotografii.

– Chyba tak – mruknął.

Clarke wypuściła powietrze z płuc i odstawiła zdjęcie.

– Powinniśmy z nim znów pogadać – mruknęła.

– Ze Scoularem?

– Z Morellim. I masz rację: musimy sprawdzić, czy nie został napadnięty z powodu czegoś w jego relacjach z Salmanem. Wezwiemy go jutro do komisariatu.

– Zamiast odwiedzić go w domu?

– Mam wrażenie, że za bardzo się z nimi cackamy, Malcolm. Musimy się postarać, żeby poczuli się o wiele mniej komfortowo. A pokój przesłuchań jest do tego świetnym miejscem, nie sądzisz?

Fox przez chwilę się nad tym zastanawiał, po czym pokiwał głową.

## Rozdział 21

- **JESTEŚ JUŻ, KURWA, MARTWY**, człowieku – wycedził Cole Burnett przez zakrwawione usta.

Siedział przywiązany do rozklekotanego metalowego krzesła, jakie wyrzuca się na wysypisko, kiedy trzeba zmodernizować biuro. Jedno z jego oczu zdążyło już spuchnąć. Benny rozebrał go do bokserek; na żebrach i nerkach widać było nabierające koloru krwiaki. Burnett miał upstrzoną trądzikiem twarz i nażelowane krótko ostrzyżone włosy. Namierzenie go trwało dłużej, niż można się było spodziewać, a potem zamiast wsiąść grzecznie do samochodu, jak mu kazano, chłopak odwrócił się i zaczął uciekać. Był szybszy od Benny'ego i znając lepiej Moredun i Ferniehill, wybierał wąskie alejki i skwery, nieprzejezdne dla samochodu. Później zapadł się pod ziemię. Benny musiał użyć wielu nacisków i wydać znacznie więcej gotówki, niż jego zdaniem było to warte, nim ludzie z dzielnicy stali się bardziej rozmowni. Esemesy przychodziły i wychodziły; wiele informacji okazało się fałszywych. W końcu jednak Benny dopiął swego.

Szef nie był tym wszystkim zachwycony. Nocny klub już był otwarty, a to oznaczało, że Benny musiał przewieźć Burnetta do Tollcross, do warsztatu samochodowego, którego opuszczana brama rzadko się podnosiła, chyba że działo się to w środku nocy, kiedy trzeba było zmienić blachy albo na przykład przemalować samochód. Hala nie była dźwiękoszczelna, lecz miejscowi nie byli tacy głupi, żeby wnosić skargi.

Ubranie Burnetta leżało na podłodze obok krzesła. Benny przeszukał je wcześniej i niewiele znalazł. Trochę trawki i kilka tabletek, które wylądowały bezpiecznie w jego własnych kieszeniach. Tak jak kilkaset funtów. Karty bankowe zostawił, podobnie jak prezerwatywę. Nie można zabierać człowiekowi ostatniego kondoma – być może Burnett jakoś się

wywinie, choć Benny raczej w to wątpił. Dopalił papierosa, rzucił go na poplamioną olejem betonową podłogę i przydeptał obcasem. Warsztat był pusty, kanał zakryty deskami. Większość narzędzi znajdowała się w zamykanych na kłódki metalowych szafkach, dlatego Benny przyniósł z bagażnika mercedesa swoje. Leżały teraz na roboczym stole, na linii wzroku Burnetta.

– No, daj zapalić – powiedział chłopak, nie pierwszy raz tego wieczoru. Do innych jego hitowych kwestii należały „Zamarznę tu, człowieku” i „Wiesz, kim ja jestem?”. Wygłaszał właśnie tę ostatnią, kiedy pojawił się Duży Ger i podchodząc do krzesła, posłał Benny’emu miażdżące spojrzenie. Szef był w zapiętej pod samą szyję czarnej pikowanej kurtce, czarnych skórzanych rękawiczkach i czarnej bejsbolówce. Na stopach miał buty ze stalowymi noskami, jakie nosi się na budowie. Nie zdejmując czapki, przykucnął lekko, żeby jego twarz znalazła się na wysokości twarzy siedzącego.

– A wiesz, kim ja jestem? – zapytał.

– Jesteś tą pindą, która była kiedyś kimś.

Cafferty obrócił się do Benny’ego.

– Chłopak ma jaja, nie? – powiedział, po czym trzepnął mocno Burnetta w twarz wierzchem dłoni. Siła uderzenia wystarczyła, by krzesło przewróciło się na bok, a głowa chłopaka walnęła o beton.

– Sukinsyn – warknął nastolatek.

– Sukinsyn to właściwe słowo, śmieciu. Sukinsyn, który wie o tobie wszystko. Wie, że uważasz się za chojraka z dwoma chujami. W tym momencie mogę ci oba obciąć i będziesz mógł tylko wyć do księżyca. „Eunuch Cole”, będą cię nazywali dawni kumple. I jak ci się to podoba?

– Wolę to, niż być brzuchatym spoconym sukinsynem.

– Pocę się, kiedy jestem podniecony. Zapomniałem prawie, jak podnieca mnie perspektywa ciężkiego uszkodzenia czyjegoś ciała.

Cafferty złapał jedną ręką Burnetta za szyję i zaczął ją ścisnąć. Burnett bezskutecznie próbował mu się wyrwać; oczy wyszły mu z orbit, kiedy chciał złapać oddech. Duży Ger puścił go dopiero po dwudziestu sekundach.



– Mogę liczyć na twoją uwagę, Eunuchu?

– Rozwiąż mnie i spróbuj to zrobić jeszcze raz. – W oczach Burnetta widać było czystą nienawiść.

– Przypomina mi, jaki sam byłem, póki nie zmądrzałem – mruknął Cafferty, patrząc na Benny'ego, po czym znów odwrócił się do Burnetta. – Wściekłość i gniew są w porządku, ale jest coś takiego jak instynkt samozachowawczy... może pora, żebyś zaczął się nim kierować.

– Czego, kurwa, chcesz?

– Telefonu.

– Telefonu? Tylko telefonu?

– Telefonu ukradzionego tej małej Chince, którą napadłeś.

Burnett przez chwilę się zastanawiał.

– Od dawna już go nie mam.

– W takim razie musisz go odzyskać.

– Po co wam potrzebny?

– Nie nam. Jej. I masz ją przeprosić.

– Pierdol się!

Cafferty powoli się wyprostował. Przydeptał prawym butem lewy policzek Burnetta i zaczął go naciskać.

– Zmiażdżona szczeka długo się goi – powiedział. – Czekają cię w najlepszym razie mleczne koktajle przez słomkę.

Burnett miał usta przyciśnięte butem i Cafferty nie słyszał, co mówi. Benny podszedł bliżej z torbą z narzędziami, na wypadek gdyby były potrzebne.

– Podobasz mi się, Cole – rzucił Duży Ger. – Podoba mi się to, co o tobie słyszałem. Uważam, że moglibyśmy się dogadać. – Na chwilę przerwał. – Wiesz, jak to wygląda w Dundee? Nazywają to kukułczym gniazdem. Znajdujesz łatwe do przejęcia miejsce, zakładasz tam laboratorium, produkujesz szybko i tanio towar i wychodzisz z nim na ulicę. Przyda się do tego twój kaptur... i założę się, że masz więcej niż kilka odpowiednich lokalizacji. Oddaj telefon, to włączę cię do gry. Będziesz graczem, a nie piłką w grze. Co ty na to?

Nie od razu uniósł but znad szczęki chłopaka. W końcu jednak to zrobił. Z nosa Burnetta płynął śluz zmieszany z krwią, jego rachityczna klatka piersiowa unosiła się i opadała w chrapliwym oddechu. Cafferty dał znak Benny'emu, ten złapał krzesło i niezbyt delikatnie ustawił je w pionie. Burnett spiorunował wzrokiem najpierw jego, potem Dużego Gera.

– Chcę poznać inne opcje – oznajmił.

– Mam je w torbie mojego współpracownika. – Cafferty skinął głową Benny'emu, dając sygnał, że może otworzyć torbę i zapoznać Cole'a Burnetta z jej zawartością.

**GODZINĘ PÓŹNIEJ BURNETT** siedział w domu ciotki swojego kumpla Lesa, popijając tanim alkoholem kolejne tabletki. Przyjemny szum w głowie pozwalał niemal zapomnieć o tym, co przytrafiło mu się w warsztacie samochodowym. Les mieszkał z ciotką i Burnett zastanawiał się, czy jej przypadkiem nie bzyka. Byli co prawda spokrewnieni i musiała mieć ze dwadzieścia lat więcej, ale nadal była niczego sobie. Les zawsze jednak temu zaprzeczał i za każdym razem, gdy Burnett próbował z nią o tym pogadać, mówiła, żeby się ogarnął. Tego wieczoru gdzieś wyszła i w jej salonie zebrała się ta sama co zawsze ekipa. Kurier dostarczył pizzę. Mieli wszystko, co trzeba, z wyjątkiem odpowiedzi na pytania, które zadawali Burnettowi.

– Ale ten Cafferty... jak on wygląda, człowieku?

– To on cię tak sponiewierał?

– Dałeś mu się?

Burnett nie starł z twarzy krwi. Zostawił ją, żeby wiedzieli, kim jest i co przeżył.

– To stary człowiek – oznajmił przez nabrzmiałe usta. – Jego czas już minął.

– Ale czego chciał?

– Idzie po nas?

– Lepiej, żeby zabrał ze sobą całą armię, nie?

W puszcze, którą Burnett trzymał w prawej ręce, było mocne jasne piwo. Wyjął je z lodówki dawno temu i robiło się cieplejsze, niż lubił, więc wychylił je do dna. Otaczające go głosy przypominały bzyczenie owadów. W głowie słyszał inny głos, mówiący mu, żeby na razie się podporządkował. Wcześniej wyciągnął smartfona ze skrytki pod łóżkiem mamy i oddał go właścicielce. Pokazał, że ma dobre chęci. Jest miły. Miał nawet kilka pomysłów na kukułcze gniazda. W jednym z nich właśnie siedział. Podporządkuj się. Okaż dobre chęci. Bądź miły.

Na razie.

Ale nie na zawsze.

## Rozdział 22

RON TRAVIS PRZEDŁUŻYŁ DLA nich godziny otwarcia kafejki. Rebus podziękował mu i poprosił, żeby się do nich przysiadł. Obaj przynieśli napoje i ciasto do stolika, przy którym czekali już Joyce McKechnie i Edward Taylor.

– Przejrzałem wszystko, co było w garażu Keitha – zaczął Rebus, kiedy już usiadł z nimi – i poczytałem o tym w necie. Wiem teraz, że zdaniem Keitha Obóz Tysiąc Trzydziesty Trzeci był typowym przykładem obozów dla internowanych. W tym, co dobrego i co złego wydobywały z ludzi. Dobrego, jeśli chodzi o pozytywne przyjęcie, z jakim spotkały się takie osoby jak Stefan, Joe i Frank, którzy mogli znaleźć tu nowy dom. Złego, kiedy spojrzy się...

– Ma pan na myśli otrucia? – wtrąciła McKechnie.

– Bardziej zabójstwa przy użyciu broni palnej.

– A tak – mruknął Taylor. – Biedny sierżant Davies. Spotykał się z jedną z miejscowych kobiet.

– Z siostrą Helen Carter.

– Tak. – Taylor spojrział na McKechnie. – Jak miała na imię?

– Chrissy. W latach pięćdziesiątych wyjechała na południe.

– Nadal żyje?

– Będzie pan musiał spytać Helen.

– Pewien internowany zapalał miłością do Chrissy – podjął Taylor. – Uznał sierżanta Daviesa za rywala i zabił go z jego własnej broni. Stał za to przed plutonem egzekucyjnym. – Popatrzył na Rebusa. – Nie było o tym nic w papierach Keitha? – Rebus pokręcił głową. – Ale ma pan rację... to musiało go zaintrygować.

- Nie wiąże się to w jakiś sposób z rewolwerem, który leżał na półce w pubie The Glen? - zapytał Rebus.

- Został znaleziony znacznie później przez Joego Collinsa. Fale wyrzuciły go na brzeg, prawda? - Taylor spojrział na McKechnie, a ta pokiwała głową.

- Pamiętacie nazwisko człowieka, którego rozstrzelano? - zapytał Rebus.

- Hoffman? Coś w tym rodzaju - odparł Taylor.

Rebus uświadomił sobie, że zna to nazwisko.

- Widziałem Hoffmana na jednej z list sporządzonych przez Keitha. Był w obozie kimś ważnym, tak? Odpowiedzialnym za to, żeby nie dochodziło do spięć?

Taylor pokiwał głową.

- Porządku w obozie pilnowali sami Niemcy. Oddzielne kwatery były dla oficerów, oddzielne dla jeńców niższych rangą.

Rebus zauważył, że Joyce McKechnie bawi się paskiem od zegarka, dając chyba do zrozumienia, że powinna być gdzie indziej.

- Jeszcze tylko dwie sprawy - obiecał. - Widziałem zrobione przez Keitha obliczenia. Wiem, że chcieliście zmienić obóz w coś w rodzaju atrakcji turystycznej.

- Keith zwracał się do szkockiego rządu, do urzędu ochrony zabytków...

- I odbijał się od drzwi.

- To było dość deprymujące - dodał Taylor.

- A bez dużego wkładu pracy i okazałych prywatnych funduszy nie mogliście zrobić tego na własną rękę. Ziemia, na której znajduje się obóz, należy do lorda Strathy'ego?

- Dokładniej rzecz biorąc, do Strathy Land Trust - powiedziała McKechnie. - Ale w ostatecznym rozrachunku, tak, należy do Meiklejohnów.

- Czy Keith starał się dogadać bezpośrednio z nimi?

– Próbował, przynajmniej raz. Nigdy nie odpowiadali na jego listy i nie odbierali telefonów, więc pojechał do nich. Pamiętasz, jak nam o tym opowiadał, Edwardzie? Trwało tam akurat jakieś przyjęcie. Na trawniku był rozstawiony duży namiot. Z tego, co mówił Keith, wynikało, że urządził im tam niezłą scenę. Jedno z czasopism zamieściło zdjęcia z tej imprezy. Kiedy pokazałam je Keithowi, powiedział, że wyrzucili go siłą z posiadłości.

– Siłą? Nie zrobił tego przypadkiem ich ogrodnik?

– Nie mam pojęcia.

– Joyce, ma pani może nadal to czasopismo?

– Pewnie leży gdzieś w stosie innych.

– Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby zdołała pani...

– Pobawić się w archeologa? – McKechnie uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– Wie pan o ośrodku golfowym? – zapytał Taylor Rebusa.

– Coś słyszałem.

– Meiklejohn nigdy nie miał zamiaru sprzedać tej ziemi. Gdyby to od niego zależało, wszystko byłoby wyrównane, uporządkowane albo zabudowane.

– To dotyczy również farmy zajmowanej obecnie przez Jessa Hawkinsa i jego przyjaciół?

– Co pan wie na ten temat?

– Wiem, że mieszka tam jedna z byłych żon jego lordowskiej mości, co daje mu kolejny powód, by nienawidzić tego miejsca.

– Hawkins wygląda na prawdziwego przyprawiacza rogów...

– Kiedy Keith nocował na terenie obozu, przyszło mi do głowy, że dokonuje jakby rozpoznania terenu – wtrącił Travis.

Rebus wbił w niego wzrok.

– W jakim celu? – zapytał.

– Żeby się zemścić – odparł Travis. – Jeszcze jedno: tamtej nocy, kiedy został zabity, przejechał obok nas motocykl.

- Nie ma w tym nic niezwykłego - stwierdził Taylor. - Wielu miejscowych jeździ motocyklami.

- I turystów - dodała McKechnie.

- Ale było bardzo późno. Leżałem już w łóżku. Jestem pewien, że obudził mnie warkot silnika.

- Więc to była duża maszyna? - zapytał Rebus. - Taka jak kawasaki, które mają w stalagu Hawkinsa? Powiedział pan o tym policji?

- Nie sądzę, żeby uważali to za coś ważnego. Zresztą pewnie nie jest.

- Jak już mówiłem, motocyklami jeździ sporo miejscowych - wtrącił Edward Taylor. - Widziałem nawet na nim pańską córkę.

Rebus zrobił zdziwioną minę.

- Samanthę?

- Jechała z Hawkinsem, on prowadził. W młodości sam jeździłem motocyklem.

- Biorąc pod uwagę rozmiary dziur w naszych drogach, można rozwalić maszynę, jeśli się nie uważa - skomentował Ron Travis.

Rozmowa trwała jeszcze parę minut, zanim zauważyli, że Rebus dawno przestał ich słuchać i jest myślami gdzie indziej.

**SAMANTHA ZE ZBOLAŁYM WYRAZEM** twarzy otworzyła mu w końcu drzwi.

- Czego chcesz, tato?

- Dobrze się czujesz?

- A jak myślisz?

- Co z Carrie?

- Nadal jest u Jenny.

- Powiedziałaś jej już?

- Tak. - Zamrugwała, próbując powstrzymać łzy. - Przyjechałam tu, żeby zabrać parę rzeczy. Zatrzymamy się u Jenny i jej mamy.

- U Julie Harris. Już ją poznałem. Mogę was tam odwiedzić?

- Nie dzisiaj. - Odchyliła głowę, nie chcąc uronić ani jednej łzy. - Zabrali mnie, żebym go zobaczyła... to znaczy zidentyfikowała. Pobrali ode mnie odciski palców. I przez cały czas, kiedy to się działo,

powtarzałam w myślach: to właśnie robił mój ojciec, tym zajmował się przez całe dorosłe życie. Żadnych emocji, żadnej serdeczności, po prostu robota, którą trzeba wykonać.

– Samantha...

– Co?

– Mam jedno pytanie, na które muszę poznać odpowiedź. – Nie odezwała się, tylko się w niego wpatrywała, więc brnął dalej: – Czy na pewno nie masz żadnych podejrzeń, kto mógł wysłać Keithowi list o tobie i Hawkinsie?

– Nie.

– Pamiętasz, jak to było sformułowane? – Pokręciła głową. – W ciągu tych dwóch dni wiele dowiedziałem się o Keicie. Miał dobre serce i dbał o ludzi. Dlatego ten obóz tak go fascynował. Widział w nim zapowiedź rzeczy, które mogą się znów wydarzyć. – Zauważył, że słuchając go, Samantha wyraźnie się uspokoila.

– Trafnie to ująłeś – powiedziała cicho.

– Ale skoro był takim pasjonatem, to przypuszczam, że po tej waszej kłótni mógł chcieć spotkać się z Hawkinsem.

Twarz Samantha pociemniała.

– Ile razy mam ci powtarzać? Jess nie ma z tym nic wspólnego!

– Ale to prawda, że jeździłaś z nim czasami motocyklem?

– To było wieki temu. I co to ma, do diabła, wspólnego z czymkolwiek?

– Musimy im coś dać... to znaczy glinom. Jeśli tego nie zrobimy, zostaniesz im tylko ty. Creasey wie, że tamtego dnia zabrałaś Carrie do tej komuny. Ktoś musiał mu powiedzieć.

Samantha zmarszczyła czoło, odwróciła się i zniknęła w głębi domu. Rebus nie bardzo wiedział, co robić, ale córka pojawiła się nagle z powrotem i wcisnęła mu do ręki kartkę. Widniało na niej tylko jedno napisane czarnym grubym flamastrem słowo: SPADAJ.

Spojrzał na nią, oczekując wyjaśnienia.

– Ktoś wrzucił to przez otwór na listy, ktoś, kto nie miał jaj, żeby powiedzieć mi to w twarz. Uważają, że ja to zrobiłam, i nie są w tym



odosobnieni, prawda?

– Ja nie uważam, że to zrobiłaś, Samantha.

– Więc dlaczego tak desperacko starasz się wrobić w to zabójstwo kogoś innego... kogokolwiek?

Szukając właściwych słów, żeby jej odpowiedzieć, Rebus ujął jej dłoń, lecz córka odtrąciła go i cofnęła się do przedpokoj.

– Zamykam drzwi – powiedziała niemal szeptem.

– Czy to jest napisane takim samym charakterem pisma jak tamten list? – zapytał Rebus.

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Opuszczając wzrok, zobaczył, że nadal trzyma w ręce kartkę.

**KIEDY Z THE GLEN WYSZLI** ostatni goście, Rebus nadal siedział na barowym stołku, pijąc mocno rozwodnioną whisky. Wcześniej spytał May Collins, czy siostra Helen, Chrissy, jeszcze żyje.

– Zmarła kilka lat temu – odpowiedziała. – Pamiętam, że Helen pojechała na pogrzeb na południe.

Była teraz w swoim kantorku i chowała dzienny utarg w sejfie. Cameron wyszedł na zewnątrz, żeby zapalić skręta. Rebus wyjął z kieszeni kartkę i ją rozłożył. Czuł się kompletnie bezradny i nie chciał, żeby to uczucie przerodziło się w gniew.

*Ja nie uważam, że to zrobiłaś...*

Mimo że wiele na to wskazywało.

Masował piekące oczy, kiedy do pubu wpadł nagle Cameron.

– Ktoś właśnie porysował panu samochód! – zawołał.

– Co takiego? – Rebus zsunął się ze stołka i ruszył do drzwi. Saab stał przy krawężniku jakieś piętnaście metrów dalej; zaparkował go najbliżej, jak się dało. Kiedy do niego podeszli, Cameron wyszedł na jezdnię, zapalił latarkę w telefonie i oświetlił karoserię. Przez całe przednie i tylne drzwi biegła długa paskudna rysa.

– Widziałeś sprawcę? – zapytał Rebus, wodząc wzdłuż niej palcem.

– Podjechał samochód i wysiadł z niego kierowca. Nie bardzo rozumiałem, co robi. Po chwili odjechał. Wydało mi się to dziwne, więc podszedłem i spojrzałem.

– Jak wyglądał ten kierowca?

– Sprawdziłem coś w telefonie – odparł Cameron, wzruszając ramionami.

– A samochód?

– Średniej wielkości. W ciemnym kolorze.

– Świetny z ciebie świadek, synu. – Rebus rozejrzał się. – Nie miał żadnych innych aut na swojej liście? Zakładam, że to był facet?

– Chyba tak.

Rebus zerknął na ekran telefonu, żeby sprawdzić zasięg.

– Wracaj do pubu i zrób sobie drinka – powiedział. – Zaraz tam wrócę.

– Przepraszam, że nie...

– Nie przejmuj się. – Rebus wybierał już numer Creaseya, idąc ulicą i sprawdzając inne zaparkowane samochody. Żaden nie był uszkodzony.

– Jestem po służbie – odezwał się w końcu detektyw sierżant.

– Jak widać, śledztwa w sprawie zabójstw prowadzi się teraz inaczej niż za moich czasów. – Rebus słyszał w tle muzykę: sądząc po dźwięku, łagodny jazz. – Jesteś w domu?

– Zażywam zasłużonego odpoczynku i wkrótce idę spać.

– Sprawdziłeś Colina Belkina?

– Okazuje się, że miałeś rację.

– Jest notowany?

– Musiałem cofnąć się o kilka lat, ale owszem. Dopuścił się kilku drobnych napaści i podobnych rzeczy.

– Rozmawiałeś z nim?

– Posłałem do niego dwóch mundurowych.

– Chyba go wkurzyli.

– To znaczy?

– Ktoś uszkodził właśnie mój samochód i odjechał, kiedy tylko został zauważony.

– A ty wiążesz to z Colinem Belkinem? Jak twoim zdaniem zdołał cię namierzyć?

– Pamiętasz jego kumpla, policjanta z Thurso? Tego, który sprawdził, kim jest Malcolm Fox? Nie zaszkodziłoby go spytać.

– Myślisz, że mam aż tyle wolnego czasu? Na pewno będę o tym pamiętał. Uważasz, że ten Belkin może ci jeszcze przysporzyć kłopotów?

– Miałem okazję przekonać się, jaki z niego narwaniec. Wydaje się bardzo opiekuńczy wobec swojego chlebodawcy.

– Postaraj się powstrzymać od pochopnych kroków, John.

– To nie wchodzi w grę, detektywie Creasey.

– U Samantha i Carrie wszystko w porządku?

– Możesz dalej słuchać swojego jazzu. Pogadamy jutro.

Rebus zakończył rozmowę i wrócił do pubu. May Collins zajęła stołek sąsiadujący z tym, na którym przed chwilą siedział, i trzymała w ręce szklanke z odrobiną whisky. Zauważył, że dołała jej również trochę do jego szklanki. Cameron stał po drugiej stronie baru i dopijał cydr.

– Pozwoliłam sobie ci nalać – powiedziała Collins. – Ale jeśli nie masz ochoty...

– Po tym, jak zadałaś sobie tyle trudu? – Rebus uniósł szklanke do ust i pociągnął spory łyk.

– Cameron mówi, że porysowali ci samochód.

– Owszem.

– Masz pojęcie dlaczego?

– Dobrze mi tak, skoro parkuję w zakazanej części miasta. – Rebus na chwilę przerwał. – Zakładam, że takie rzeczy nie zdarzają się tu codziennie? – Pokręciła głową. – Tak czy owak... – Uniósł szklanke i stuknął się najpierw z nią, a potem z Cameronem.

– Za nas! – powiedział chłopak.

– Bo któż jest taki jak my? – dodała Collins.

– Zatrzymajmy się może w tym miejscu – mruknął Rebus, nie chcąc kończyć tradycyjnego szkockiego toastu. I tak jednak miał w uszach zamykające go słowa: „Bardzo niewielu i wszyscy martwi”.

# Dzień czwarty

## Rozdział 23

KIEDY GIOVANNI MORELLI POJAWIŁ się w komisariacie policji w Leith, Clarke i Fox czekali już w pokoju przesłuchań. Na szyi miał ten sam szalik, zawiązany w identyczny sposób. Do tego ciemna marynarka, jasnozielone spodnie, pasujący do nich sweter z wycięciem w serek oraz skórzane mokasyny bez skarpetek. I okulary przeciwsłoneczne na czubku głowy.

– Wybiera się pan później na plażę? – zapytał Fox, kiedy wprowadzono Morellego. – A może chodzi pan tak na zajęcia?

– Nauczono mnie ubierać się elegancko – odparł Włoch, wzruszając ramionami.

Clarke wskazała, żeby usiadł naprzeciwko niej i Foxa. Przed sobą miała zamkniętą grubą brązową teczkę. Wypchała ją wcześniej czystymi kartkami z kserokopiarki, żeby sprawiała poważniejsze wrażenie, i napisała na okładce dużymi literami nazwisko Morelli. Obok leżały fotografie z różnych przyjęć, w których brali udział Salman i on.

Morelli sięgnął po jedną z nich i obrócił, by móc się jej lepiej przyjrzeć.

– Miło się z nim imprezowało? – spytała Clarke lekkim tonem.

– Zdecydowanie tak. – Morelli odchylił się na oparcie krzesła, założył prawą nogę na lewe kolano i rozpiął jedyny lśniący guzik marynarki.

– Zdaliśmy sobie sprawę, że chociaż dużo o panu wiemy... – Clarke poklepała teczkę – nie odbyliśmy jeszcze z panem właściwej rozmowy.

Włoch zmierzył wzrokiem oboje policjantów. Od kilku dni się nie golił, ale Clarke wątpiła, by wynikało to z lenistwa. Lekki zarost pasował do jego karnacji oraz linii szczęki i chłopak dobrze o tym wiedział.

– Słucham – wycedził w końcu.

– Pochodzi pan z bogatej rodziny i dorastał pan w Rzymie, tak?

– Zgadza się.

– Kiedy odwiedziliśmy pana na Circus Lane, powiedział pan, że poznał Issy i Sala na przyjęciu u waszego wspólnego znajomego w St Andrews...

– Niezupełnie. Issy i ja byliśmy na tym przyjęciu i tam po raz pierwszy spotkaliśmy Sala.

– To znaczy, że znał pan Issy już wcześniej?

Chłopak pokiwał głową.

– Poznaliśmy się w wieku szesnastu albo siedemnastu lat, chodziliśmy jeszcze wtedy do szkoły. Nasze rodziny przyjechały w tym samym czasie do Klosters. Spotkaliśmy się tam po raz pierwszy na przyjęciu.

– Mówi pan o narciarskim kurorcie Klosters w Szwajcarii, a nie o pubie Cloisters w Glasgow? – zapytała Clarke i zerknęła na Foxa. „I jak tu nie nabawić się uprzedzeń?”, mówiło jej spojrzenie.

– Odkryliśmy, że podobają nam się podobne książki, muzyka, filmy...

– Więc nie przypadkiem złożyliście oboje papiery na Uniwersytet Edynburski?

Morelli po raz kolejny wzruszył ramionami.

– Cieszy się dobrą opinią. No i oczywiście nie trzeba płacić chesnego – dodał z ironicznym uśmiechem.

– Dzięki zasadom wprowadzonym przez Unię Europejską – dodał Fox. – Które wkrótce przestaną obowiązywać.

– Cholerny brexit – skomentował Morelli.

– Czy w trakcie pobytu w Szkocji zauważył pan jakieś zmiany?

– Zmiany?

– W podejściu do cudzoziemców.

– Ma pan na myśli rasizm? Niekoniecznie. Wydaje mi się, że w Anglii mają z tym większy problem.

– Mimo to został pan napadnięty – przypomniała mu Clarke.

Znowu wzruszył ramionami.

– Więc czym to było, jeżeli nie przestępstwem o podłożu rasowym? – spytała. – Jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, nie różni się pan aż tak bardzo od Salmana bin Mahmouda... Chodzi mi o to, że w ciemnej alejce dla niewykształconego oka...

– Z założonym na głowę kapturem... – dorzucił Fox.

– Myślicie, że pomylili mnie z Salem?

– Jedyne problem z tą hipotezą polega na tym, że relatywnie rzecz biorąc, został pan potraktowany łagodniej... o wiele łagodniej – odparła Clarke. – Może był to rodzaj ostrzeżenia, a kiedy pan bin Mahmoud najwyraźniej się nim nie przejął, stawka poszła w górę.

Włoch pochylił się lekko do przodu.

– Ale kim są ci ludzie? Co on im takiego zrobił?

– To właśnie staramy się ustalić, panie Morelli.

– Nie miał żadnych wrogów.

– Ciągle to słyszymy. Jeśli jednak spojrzymy na jego konto w banku, okazuje się, że żył ponad stan. Może pożyczał od kogoś pieniądze? Miał problemy z narkotykami? Rozumiemy, że był pan jego przyjacielem... jednym z najbliższych... i nie chce pan szargać jego dobrej opinii, ale jeżeli jest coś, co mogłoby nam pomóc, chcielibyśmy się o tym dowiedzieć raczej wcześniej niż później.

Czekając na odpowiedź, Clarke przeglądała fotografie. Fox skrzyżował ręce na piersi i mierzył chłopaka łagodnym spojrzeniem. Morelli pogładził się po szczęce, jakby mogło mu to pomóc zebrać myśli.

– Stewart Scouler – odezwał się w końcu.

– Tak? – ponagliła go Clarke.

– Chodzi o ten plac zabaw dla milionerów na północy Szkocji. Projekt wymagał sfinansowania. Stewart mizdrzył się w związku z tym do Sala. – Morelli spojrział na Clarke. – Tak to teraz nazywacie? – Zaczekał, aż policjantka kiwnie głową, po czym ciągnął: – I oczywiście ma pani rację: na każdym przyjęciu były jakieś stymulanty.

– Dostarczane przez kogo?

– Chyba przez Stewarta.

– A nie człowieka o nazwisku Cafferty?

– Tego, do którego należy klub Jenever? Spotkałem go kilka razy. To gangster, prawda?

– Można to tak określić.

- Chciał, żebym mu opowiadał historie o mafii, Camorze, 'Ndranghecie. Moi rodzice mieszkają w porządnej dzielnicy w Rzymie, ale i tak mają ochronę. We Włoszech, jeśli ktoś ma pieniądze, nigdy nie czuje się całkiem bezpieczny.

- Przyjrzelismy się pańskiej rodzinie - powiedział Fox. - Zwłaszcza ojcu. Wydaje się, że jest nie tylko odnoszącym sukcesy, ale również bezwzględny biznesmenem. Czy nie zwolnił kiedyś bez uprzedzenia całego personelu swojej firmy? Krążą także plotki o jego powiązaniach z mafią...

- We Włoszech trzeba być bezwzględny, żeby odnosić sukcesy. A wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi duże pieniądze, kręcą się ludzie ze zorganizowanych grup przestępczych. Zapewniam pana, że mój ojciec postępuje bardzo ostrożnie.

- Czy Cafferty prowadził jakieś interesy z panem bin Mahmoudem? - zapytała Clarke.

Morelli przez chwilę się zastanawiał.

- Widywalismy Cafferty'ego tylko w tym klubie - odparł w końcu. - Pojawiał się nagle nie wiadomo skąd, ścisnął dłonie i oferował darmowe drinki. Nie sędzę, żeby zrobił dobre wrażenie na Stewardzie.

- To znaczy? - Clarke oparła łokcie na stole.

- Stewart zapraszał tam potencjalnych inwestorów. Chciał im zaimponować. Strefa dla VIP-ów, rozumiecie? Ale Cafferty zawsze wiedział, kiedy tam się pojawiali, i przychodził, wypytywał, próbował się czegoś dowiedzieć... dodam, że w niezbyt subtelny sposób.

- Co pana zdaniem tam się działo?

- Uważam, że Cafferty jest zwykłym ciułaczem... ciuła informacje i kontakty. Część z nich jest dla niego zupełnie nieprzydatna, ale i tak je zbiera. I sędzę, że załazł Stewartowi za skórę.

- Więc dlaczego pan Scoular nadal odwiedza ten klub?

Morelli uśmiechnęła się nieznacznie.

- Cafferty ma określoną reputację. Niektórym ludziom to imponuje. Chcą się otrzeć o niebezpiecznych facetów, żeby ich także uważano za



trochę niebezpiecznych i wpływowych. Rozumiecie, o co mi chodzi?

Detektywi pokiwali głowami.

– Jest jeszcze jedna możliwość, którą należałoby zbadać – dodał Morelli. – Twierdzicie, że mogłem paść ofiarą nienawiści rasowej albo że mogli mnie wziąć za Sala. Ale nie można wykluczyć, że zostałem napadnięty właśnie dlatego, że należałem do kręgu jego przyjaciół. Sprawcy mogli w ten sposób wysłać mu wiadomość.

– Ale skoro nie miał wrogów...

– Żadnych, o których byśmy wiedzieli – uściślił Morelli. – O których ktokolwiek z nas by wiedział. Mimo to zamordowano go, a ja zostałem napadnięty. – Kolejny raz wzruszył ramionami.

W pokoju przesłuchań zapadło milczenie. Po kilku sekundach przerwał je Fox.

– Co ma pan zamiar robić po studiach, Gio?

– Być może będę je kontynuował.

– Tutaj czy w Rzymie?

– Kto to może wiedzieć?

– Przyjaźni się pan od dłuższego czasu z lady Isabellą. Spotkał się pan kiedyś z jej ojcem? – zapytała Clarke.

– Tak.

– Tutaj czy w zamku Strathy?

– Tutaj, w Londynie i na północy...

– Na przyjęciach?

– Oczywiście.

– Należy do niego ziemia, na której pan Scoular chciałby zbudować ten plac zabaw dla milionerów.

– To kiepska lokalizacja... zbyt wietrznie i za chłodno. – Morelli udał, że trzęsie się z zimna. – Jedyna rzecz, jaka nie udała się w tym kraju, to pogoda.

– Salman też brał udział w tych przyjęciach? – zapytał Fox.

– W niektórych.

– Szukano na nich ewentualnych inwestorów?

– Pewnie tak.

– Pana rodzina ma pieniądze... ojciec jest przemysłowcem.

– Zastanawiacie się, czy mnie też próbowano skaptować. Odpowiedź brzmi „tak”. Ale zawsze odmawiałem. Dorastałem w otoczeniu ludzi zajmujących się biznesem i handlem. W ogóle mnie to nie pociąga. Literatura, sztuka... to jest coś, co się dla mnie liczy.

– Miło jest mieć wybór – skomentowała Clarke.

– Wiem, że jestem rozpieszczonym uprzywilejowanym ignorantem... słyszałem to z ust ojca. – Twarz Morellego zmieniła się lekko na to wspomnienie.

Clarke wymieniła spojrzenia z Foxem. Uniesiony kącik jego ust świadczył o tym, że on również uważa, że powinni kończyć. Odsunęła krzesło i wstała, Fox zrobił to samo. Morelli spojrzał na nich.

– To wszystko? – zapytał.

– Dziękujemy, że pan się pofatygował – powiedziała Clarke.

Wyprowadzili go na korytarz i patrzyli, jak idzie po schodach na parter.

– Nasz pokój przesłuchań nie zrobił na nim szczególnego wrażenia – odezwał się półgłosem Fox.

– Może przydałby się surowszy wystrój – zgodziła się Clarke. – A może na starość zrobiliśmy się miękcy.

– Skoro mowa o starości... Miałaś jakąś wiadomość?

– Ani słowa.

– To oznacza spacer z psem w porze lunchu, tak?

Clarke pokiwała z rezygnacją głową i zerknęła na telefon. Nie było nieodebranych połączeń ani esemesów.

– Może stara się w ten sposób odwlec to, co go tu czeka – zasugerował Fox. – Nowe mieszkanie i tak dalej.

– To nie to – rzuciła Clarke. – Pracuje nad sprawą i współczuję temu, kto przeszkodzi mu ją rozwiązać.

– Ciekawe, dlaczego miejscowi gliniarze jeszcze go nie przegnali.

– Daj im trochę czasu – powiedziała Clarke, ruszając do sali NZD.

## Rozdział 24

**REBUS SIEDZIAŁ W KUCHNI**, zając bułkę z bekonem i gawędząc z barmanem i właścicielką pubu. Cameron wspomniał, że można usunąć rysy na drzwiach saaba pastą koloryzującą.

– I powinieneś to zgłosić – dodała May Collins. – Jakkolwiek na to patrzeć, to przestępstwo.

– Zadzwoń do Creaseya i mu o tym powiedziałem – odparł Rebus. – Na pewno przydzielili do tej sprawy swoich najlepszych detektywów. – Wyjął z kieszeni kartkę z napisem SPADAJ i uniósł ją, żeby oboje mogli jej się dobrze przyjrzeć. – Tymczasem ktoś wsunął to Samancie przez otwór na listy.

– Chryste, niektórzy ludzie... – Collins pokręciła głową, wstała i podeszła do zlewu.

– Ale dlaczego? – zapytał Cameron, wciąż jedząc bułkę.

– Bo ktoś chce, żeby się stąd wyniosła – wyjaśnił Rebus.

– Czy o to samo chodziło z twoim samochodem? To miało być ostrzeżenie?

– Być może. – Rebus złożył kartkę i schował ją do kieszeni.

Usłyszeli dobiegające z oddali walenie. Ktoś dobijał się do frontowych drzwi. Collins ze ściereczką w ręce poszła zobaczyć, co się dzieje, i po chwili wróciła razem z Julie Harris.

– Co się stało? – zapytał Rebus, podnosząc się z krzesła.

– Aresztowali Sam. Zabrali ją do Inverness.

– To coś poważnego? – zapytała May Collins, wbijając wzrok w Rebusa.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać – odparł.

Pięć minut później siedział w saabie, zmierzając na południe. Chmury wisiały nisko, zapowiadając deszcz, a dwa kampery z holenderską

rejestracją nie pozwalały mu się rozpedzić. Zdążył już przemyśleć sprawę i wiedział, że z punktu widzenia śledczych to wszystko ma sens. Keith został zabity tej samej nocy, kiedy jego volvo zaparkowano w zatoczce. Wydawało się zatem logiczne, że odstawiła je tam osoba, która go zamordowała. A to oznaczało, że pojechał do obozu razem z nią. Jak inaczej miała się tam dostać? Była kimś, kogo Keith dobrze znał, kimś, komu ufał.

Choć ostatnio popsuły się między nimi stosunki.

A dlaczego porzuciła samochód w tak rzucającym się w oczy miejscu? Bo gdy minął pierwszy szok, wpadła w panikę, zatrzymała samochód i uciekła. Najbliżej zatoczki był dom Samantha. Gdzie była Carrie, kiedy to się działo? Creasey i jego ludzie uznają pewnie, że jest już dość duża, by można było ją zostawić samą na godzinę, bo mniej więcej tyle – a może nawet tylko czterdzieści minut – mogło to zająć. Czy zabójstwo zostało popełnione z premedytacją? Na to pytanie nie znali jeszcze odpowiedzi. W tym momencie liczyło się dla nich to, że mają podejrzaną, którą mogą przycisnąć i skłonić do przyznania się do winy. Rebus nie wiedział, co wyszło podczas sekcji zwłok i co udało się znaleźć na miejscu zbrodni. Czy będą chcieli zabrać do zbadania wszystkie ubrania i buty Samantha? Volvo zostało już sprawdzone i wątpił, by znaleźli tam coś obciążającego – gdyby tak było, Samancie postawiono by już zarzuty.

Po co zabrała laptop i notesy Keitha? Podejrzewał, że śledczy nie zwracają sobie tym głowy – szczegóły zostaną dopracowane później albo po prostu pominięte.

Wyminąwszy w końcu kampery, wcisnął mocniej gaz, lecz kwadrans później wyprzedziła go kolumna motocykli na niemieckich tablicach. Potem jechało się względnie gładko. W Lairg skręcił z drogi A836 w stronę wschodniego wybrzeża, bo chciał jak najprędzej znaleźć się na szybszej A9.

Przed Inverness na drodze zrobiło się tłoczniej i lunął deszcz, z którym wycieraczki saaba ledwo dawały sobie radę. Rebus zaczynał się zastanawiać, czy stare auto dowiezie go z powrotem do Naver. Wiedział, gdzie jest miejscowa komenda policji, i był przekonany, że tam właśnie

zabrali Samanthę. Objechał centrum miasta, trzymając się A9, i zjechał z niej dopiero przy znakach kierujących do szpitala miejskiego. Cel jego podróży mieścił się dokładnie naprzeciwko, co, jak przypuszczał, mogło od czasu do czasu ułatwiać pracę. Wspominał ze zgrozą, ile czasu zmarnował, jeżdżąc do Szpitala Królewskiego w Edynburgu, kiedy przeniesiono go ze śródmieścia na obrzeża miasta. Tylko po to, by odebrać zeznanie świadka albo dorwać rannego podejrzanego.

To oczywiste, że jest podejrzana, pomyślał, wjeżdżając na parking. Kiedy przekręcał kluczyk w stacyjce, silnik saaba zacharczał tak głośno, że zwróciła na to uwagę grupka stojących przy budynku palaczy. Ich przerwa na papierosa najwyraźniej się skończyła i zamierzali wejść z powrotem na komendę. Jeden z mężczyzn pozostał jednak na zewnątrz, a potem ruszył w stronę Rebusa.

– Nie wierzyłem, że zdołamy cię powstrzymać – powiedział Creasey, wpatrując się w niebo, żeby ocenić, kiedy czeka ich następne oberwanie chmury. – Ale wiesz, jak załatwia się takie sprawy. Musiało do tego dojść – dodał, wskazując komendę.

– Mogę się z nią zobaczyć?

– Nie sądzę.

– Ma obrońcę?

– Wszystko zgodnie z przepisami, John – starał się go uspokoić Creasey. – A ona całkiem nieźle się trzyma.

– W domu czeka na nią córka...

– Nie zatrzymamy jej... i w tym momencie nie postawimy zarzutów.

– Dobrze, bo wyszlibyście na durni, kiedy się okaże, kto jest prawdziwym zabójcą.

Creasey westchnął teatralnie. Rebus postanowił zmienić taktykę.

– Nie wygładałeś mi na palacza – mruknął.

– Bo nim nie jestem. Ale mam kilku w zespole i nie chcę być wykluczany. Najlepsze pomysły przychodzą do głowy, kiedy człowiek wyłącza się na kilka minut.

Rebus pokiwał głową na znak, że się zgadza, po czym sięgnął do kieszeni i podał mu kartkę z napisem SPADAJ.

– Ktoś wcisnął jej to wczoraj przez otwór na listy – oznajmił. – Nie wszyscy są po jej stronie. I może to nawet świadczyć o czymś gorszym.

– To znaczy?

– Na przykład ktoś mógł chcieć, żeby związała i dała wam kolejny powód do umieszczenia jej na samym początku listy.

– Zabójca? – Creasey przyjrzał się ponownie kartce, obracając ją do słabego dziennego światła.

– Wątpię, żeby udało wam się zdjąć z tego odciski palców, ale możecie spróbować.

– W takim razie to zabieram.

– I pamiętaj, że dzięki podobnemu anonimowi Keith dowiedział się o Samancie i Hawkinsie.

– Od tej samej osoby?

Rebus wzruszył ramionami.

– Nie przypuszczam, żebyś zrobił już coś w sprawie Colina Belkina? – zapytał.

– Nie, jeszcze nie. – Creasey spojrział na saaba. – Rozumiem, że jesteś w połowie drogi do domu.

– Edynburg może zaczekać – odparł Rebus, kręcąc głową. – Zostanę tu do chwili, kiedy moja córka nie będzie mnie potrzebowała.

– Myślałem, że dała ci to do zrozumienia już wcześniej, wyrzucając cię z domu.

– Sekcja zwłok nic wam nie dała – odciął się Rebus, podnosząc głos. – Nie znaleźliście broni ani rzeczy zabranych z teczki Keitha. Ani, jak się domyślam, żadnych odcisków palców na samej teczce. Wałąc głową w mur, postarajcie się powstrzymać od pochopnych kroków.

– Takich jak postawienie zarzutów twojej córce? Której odciski są w samochodzie i na teczce?

– Nie zrobiła tego! – warknął przez zaciśnięte zęby Rebus.

- W takim razie nie ma czym się przejmować - odparł Creasey, odwrócił się i wszedł do budynku komendy.

Rebus zastanawiał się, czy nie podejść do sierżanta dyżurnego i nie zrobić awantury, ale wiedział, że to nic nie da. Usłyszał za sobą otwierające się drzwi samochodu i zobaczył, jak wysiada z niego mężczyzna, którego rozpoznał. To był jeden z reporterów, którzy przesiadywali w The Glen.

- Usłyszał pan coś z tej rozmowy? - zapytał, kiedy dziennikarz podszedł bliżej.

- Fragmenty.

- Znam pańskie nazwisko?

- Lawrie Blake. Wspomniałem, że przyjaźnię się z Laurą Smith ze „Scotsmana”, pamięta pan? To znaczy, że coś niecoś o panu wiem, panie Rebus.

- Nie mógł mi pan tym sprawić większej frajdy, Lawrie.

- Pamiętam, że dał go pan do naprawy w Naver - powiedział młody człowiek, wskazując saaba. - Ale nadal chyba niedomaga. Mój brat ma warsztat niedaleko stąd. Jest cholernie dobrym mechanikiem i wiem, że w swoim czasie zajmował się saabami. Mógłbym do niego zadzwonić.

- To miło, ale muszę wracać na północ.

- Znam również wypożyczalnię samochodów nieopodal warsztatu i kafejkę w połowie drogi między nimi.

Rebus przez chwilę się nad tym zastanawiał.

- Spotkałem w życiu kilku złotoustych dziennikarzy, ale żaden nie przypadł mi tak do gustu jak pan - przyznał w końcu.

- Kiedy będziemy gawędzili o Samancie i tajemniczym liściku, mogę panu nawet postawić kawę.

Podjęcie ostatecznej decyzji zajęło Rebusowi tylko kilka sekund.

- Niech pan prowadzi - powiedział.

**BRAT BLAKE'A OBIECAŁ, ŻE sprawdzi saaba i poinformuje Rebusa, co mu dolega, ale może to zająć dzień albo dwa. Rysa będzie wymagała**

polakierowania, oczywiście pod warunkiem, że znajdzie się pasujący odcień. Rebus kazał mu się skupić na silniku, po czym poklepał saaba po masce i obiecał, że po niego wróci. W wypożyczalni mieli hatchbacka, którego mógł dostać od ręki ze specjalnym rabatem za wypożyczenie na pięć dni. Rebus, który zabrał wcześniej z saaba składankę Siobhan Clarke, zapytał, czy w samochodzie jest odtwarzacz CD. Pracownik wypożyczalni kiwnął głową i to przeważyło szalę.

Kafejka okazała się sieciówką Costa. Lawrie Blake oprócz kawy zamówił kanapki. Rebus zaproponował, że dołoży się do rachunku, ale reporter był nieugięty.

– Słowo to słowo.

Znaleźli wolny stolik przy oknie i usiedli.

– W Inverness mamy ciekawsze miejsca – powiedział Blake.

– To nie jest moja pierwsza wizyta – poinformował go Rebus.

– Morderstwa na A dziewięć? – Blake uśmiechnął się. – Znam się na swojej robocie.

– Zaczynam odnosić to samo wrażenie. Więc napisze pan coś o tajemniczym liściku?

– Co zawierał?

– Tylko jedno słowo: SPADAJ.

– Szkoda, że już go nie mamy.

Rebus wziął do ręki jedną z serwetek.

– Mogę go dla pana odtworzyć.

– Mogłoby to zostać uznane za fake newsa.

– Myśli pan, że pańscy czytelnicy mieliby coś przeciwko?

– W dzisiejszych czasach pewnie nie. – Blake odgryzł kawałek kanapki.

– Jeśli zna się pan na swojej robocie, natknął się pan pewnie w swoich wędrówkach na lorda Strathy'ego?

– Oczywiście.

– Wie pan o planach urządzenia tam wyrzutni rakietowych i ośrodka golfowego? – spytał Rebus i Blake pokiwał głową. – I o żonie, która go porzuciła i wstąpiła do komuny?



– Tej samej komuny, z którą sympatyzowała pańska córka.

– Jak dużo pan o nich wie?

– Wiem, że właściciel tych terenów chce się ich pozbyć. Sprawa od kilku lat wędruje po różnych sądach i kancelariach adwokackich. To, że żona lorda Strathy'ego zamieszkała tam z Hawkinsem, nie mogło nastroić lorda pozytywnie do tego miejsca.

– Należy do niego również teren Obozu Tysiąc Trzydziestego Trzeciego – dodał luźnym tonem Rebus.

– I dlatego nigdy nie sprzedałby tej działki pańskiemu zięciowi.

– Nie byli małżeństwem.

– Więc to jedyna rzecz, której się dzisiaj dowiedziałem. – Blake, nadal jedząc kanapkę, wstukał informację do telefonu. – Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli zadam kilka pytań na temat pańskiej córki?

– Będzie. I to bardzo – odparł Rebus i uniósł dłoń, gdy Blake chciał zaprotestować. – Później być może o tym pogadamy. Wie pan, że ktoś zabrał to, co miał w swojej teczce Keith, i prawdopodobnie zrobił to zabójca?

Blake pokiwał głową.

– Creasey powiedział o tym.

– Dlaczego pańskim zdaniem zabójca to zrobił?

Reporter zmrużył lekko oczy.

– Co pan ma na myśli?

– Czy to nie jest oczywiste?

– Niekoniecznie.

– Kiedy był pan w pubie, nie zauważył pan pustego miejsca pod dozownikami? Gwoździ, które tam sterczały?

– Nie.

– Być może na tym polega różnica między reporterem a detektywem. Leżał tam wcześniej stary rewolwer. Z którego nie dałoby się już oddać strzału...

– Ale którym można by dać komuś w łeb? – Blake pokiwał głową.

– Zaginął mniej więcej miesiąc temu... kolejny brakujący fragment układanki. – Rebus w znaczący sposób zawiesił głos. – Ale jest coś o wiele ciekawszego. Zaginął również lord Strathy.

Reporter otworzył szerzej oczy.

– Serio?

– Szczerze mówiąc, trudno uwierzyć, że czwarta władza jeszcze nie zwróciła na to uwagi. – Rebus udał, że zainteresowało go to, co działo się za oknem. – Jeśli opublikuje pan tego newsa przed końcem dnia, będzie pan pierwszy.

Blake przyjrzał mu się uważnie.

– Niech pan nie sądzi, że nie wiem, co pan robi. Walczy pan zębami i pazurami o córkę.

– Nie robię z pana idioty, Lawrie. Wszystko, co panu powiedziałem, można sprawdzić. Przez te lata, kiedy byłem gliniarzem, nauczyłem się, że zbiegi okoliczności są równie rzadkie jak jednorożce.

– Nie wierzy pan w jednorożce?

– Wierzę w Samanthę. Może pan wrzucić do sieci to, co panu powiedziałem, albo może pan tego nie robić. Decyzja należy do pana.

– Mogę ujawnić źródło?

– Jeśli pan to zrobi, potrączę pana wynajętym tanio hatchbackiem.

Rebus dopił kawę i uświadomił sobie, że dostał przed chwilą esemesa. Był od Creaseya.

*Potrzebna jej podwózka do domu. Jeśli nie możesz tego zrobić, będzie musiała trochę poczekać.*

– Muszę lecieć – powiedział, po czym wyjął długopis, nagryzmoilił na cienkiej serwetce swój numer i przesunął ją po stole. – Miło robić z panem interesy.

**WYCHODZĄCA Z KOMENDY SAMANTHA** nie ucieszyła się zbyt wiele na jego widok.

– Powiedzieli tylko, że ktoś mnie odwiezie – mruknęła.

– Przypadkiem tędy przejeżdżałem – odparł Rebus. – Ale jeśli wolisz, żeby to zrobił mundurowy...

Podeszła bliżej, zdawkowo go uściskała i bez słowa ruszyła za nim do samochodu.

– Oddałeś saaba na złomowisko? – spytała, zapinając pas bezpieczeństwa.

– Posłałem go na krótki urlop. – Rebus wpatrywał się w przednią szybę. – Jak ci poszło?

– A jak myślisz?

– To gra, którą muszą rozegrać, Samantha, nic więcej.

– Dla mnie to nie jest gra, tato – rzuciła chłodno.

– Powiedziałaś im o sprzeczce, jaką miałaś z Keithem wieczorem, kiedy zginął?

– Tak.

– To dobrze. – Wyczuł, że na niego patrzy. – To oznacza, że mogą zadać kilka trudnych pytań Hawkinsowi i ludziom z jego grupy. – Rebus spojrział na córkę. – Zastanów się. Gdzie indziej Keith mógł pojechać po tym, jak wybiegł z domu?

– To oczywiste, że do obozu. Czuł się tam bezpieczny. Mówił, że to jego drugi dom. – Samantha wzięła głęboki oddech. – Możemy już ruszać?

Jechali przez dłuższy czas w milczeniu. Rebus poznawał słabe strony wynajętego auta, Samantha szukała jakiejś rozgłośni w radiu. Kiedy w głośnikach usłyszała tylko szum, wsunęła płytę do odtwarzacza i przyjrzała się liście utworów.

– Kto ci to nagrał?

– Dobra koleżanka. Ma na imię Siobhan.

– Ma katolicki gust. Mogwai i Orange Juice? – Samantha przez chwilę się nad czymś zastanawiała. – Keith był fanem Mogwai.

– Lubił ich muzykę? Nie zauważyłem tego w waszym domu.

– W dzisiejszych czasach nikt nie potrzebuje albumów, tato.

– Ja potrzebuję.

– Tak się składa, że ja i Keith poznaliśmy się na koncercie w Glasgow. A właściwie po koncercie, w barze. Od razu między nami zaiskrzyło.

– Zawsze interesował się historią?

Samantha pokiwała głową.

– Przez jakiś czas rugowaniem szkockich chłopów. W okolicy Strathnaver spalono kilka domostw, żeby mieć więcej ziemi na wypasy. Zarządca został oskarżony o morderstwo, ale go wypuścili.

– Dziś posiadacze ziemscy są trochę bardziej cywilizowani. Spotkałaś kiedyś lorda Strathy'ego?

– Wyłącznie jego eksmałżonkę.

– Byłyście w dobrych stosunkach? – zapytał. Samantha wzruszyła ramionami. – Tamtej nocy, kiedy zginął Keith, Ron Travis słyszał warkot motocykla.

– To ten facet, który prowadzi kafejkę dla turystów? Dlatego pytałeś, czy jeździłam z Jessem na motorze?

– Powtarzam tylko, co powiedział Travis.

– Naprawdę? Tylko powtarzasz? – Samantha pokręciła głową, po czym pogłośniła muzykę i skrzyżowała ręce na piersiach, dając do zrozumienia, że nie jest w nastroju do rozmowy.

W końcu, na północ od Lairg, kiedy w zasięgu wzroku nie było innych pojazdów, powiedziała, że musi się wysikać. Rebus zjechał na pobocze, otworzył drzwi i wbił wzrok w ekran swojego smartfona bez zasięgu.

– Dzięki – mruknęła po powrocie.

Skinał głową i uruchomił silnik, lecz córka złapała go nagle za ramię, więc musiał się obrócić i spojrzeć jej prosto w oczy.

– Wiem, że twoim zdaniem to ja go zabiłam. Nie powstrzyma cię to przed kryciem mnie albo wrabianiem w to zabójstwo kogoś innego, ale wiem, że tak właśnie myślisz.

– Samantho...

Uderzyła się zaciśniętą pięścią w klatkę piersiową.

– To tak, jakbyś do mnie strzelił i trafił dokładnie tutaj.

– Skoro mówimy o broni palnej... z pubu The Glen zniknął stary rewolwer... – Miał zamiar powiedzieć coś więcej, lecz Samantha otworzyła nagle drzwi i wysiadła.

– Dosyć tego! – wrzasnęła i zaczęła maszerować poboczem.

Uruchomił silnik i ruszył w ślad za nią. Wiedział, jaka potrafi być zawzięta i zdeterminowana. Opuścił szybę od strony pasażera i zrównał się z nią. Przez chwilę bał się, że zejdzie z drogi i ruszy na przełaj przez wrzosowiska.

– Musisz wrócić do domu, do Carrie – powiedział. – Wiesz, ile to zajmie na piechotę?

– Pojadę autostopem.

– Po prostu wsiądź. Nie musimy rozmawiać. Nie musisz nawet na mnie patrzeć. Będę tylko prowadził samochód.

Wyprzedził ją o kilkadziesiąt metrów, zahamował i patrzył w lusterku wstecznym, jak się zbliża. Samantha minęła go, przeszła jeszcze ze dwadzieścia metrów i wreszcie przystanąła. Rebus czekał. W końcu opadły jej lekko ramiona i obróciła się na pięcie. Podeszła do samochodu, wsiadła i zaczęła majstrować przy pasach bezpieczeństwa.

– Kochałam go. – Mówiła zarówno do siebie, jak i do ojca.

– Wiem o tym – odparł cicho, wciskając pedał gazu.

– I nie zrobiłam tego.

Pokiwał głową, lecz milczał. Czy jej uwierzył? Chciał jej wierzyć. Musiał wierzyć. Wyłączył wcześniej odtwarzacz i słychać było tylko warkot silnika. Samantha opuściła szybę i wystawiła włosy na wiatr.

Rebus dopiero po dłuższym czasie odnalazł odpowiednie słowa.

– Wiem, że nie byłem dobrym ojcem. I mężem. Czasami powtarzam sobie, że starałem się, jak mogłem, ale wiem, że to nieprawda.

– Byłeś w porządku – mruknęła. – Pamiętasz to lustro w moim pokoju, kiedy byłam małą?

– To na toaletce? Jak mógłbym zapomnieć? Przychodziłem co wieczór i zakrywałem je ręcznikiem.

– Bo bałam się, że prowadzi do jakiegoś straszego ciemnego miejsca.

Rebus uśmiechnął się na to wspomnienie.

– Zastanawiam się, dlaczego go po prostu stamtąd nie zabrałem – powiedział, odwracając się do niej.

Samantha spojrzała mu prosto w oczy.

– Bo musiałam się w nim przejrzeć, kiedy na dworze było jasno.

Pokiwał głową i znów patrzył na drogę przed sobą.

– Byłeś w porządku – powtórzyła, po czym włączyła z powrotem odtwarzacz.

Usłyszeli *Pick Up the Pieces* Average White Band.

Miał nadzieję, że to właśnie teraz robili: zbierali potłuczone fragmenty.

## Rozdział 25

SIOBHAN CLARKE DODZWONIŁA się w końcu do Rebusa.

– Mam wystarczającą siłę sygnału, żeby wysłuchać, jak mnie opierdalasz – powiedział na powitanie.

– To dobrze, bo to właśnie mam zamiar zrobić.

– Materiał jest już w sieci?

– Owszem, a Laura Smith wydziera się na mnie przez telefon, bo chce wiedzieć, dlaczego to nie ona pierwsza dostała cynk.

– Dodałaś dwa do dwóch.

– We wszystkich dochodzeniach zdarzają się przecieki, ale wiem, na co cię stać.

– A na co mnie stać?

– Lubisz narobić gnoju dla samej przyjemności – odparła Clarke.

– To nie do końca prawda. Najczęściej robię to, kiedy nie mam wyjścia. Jak się miewa Brillo?

– Leży zwinięty w kłębek u moich stóp – odparła, spoglądając na podłogę w swoim salonie.

– Ale wychodzisz z nim na spacer?

– Właśnie wróciliśmy. Więc przybliź mi kontekst... żebym miała coś do powiedzenia Laurze, kiedy będę jej fundowała pierwszy duży gin z tonikiem.

– Jest reporterką... nie musisz jej się kłaniać w pas.

– Zapomniałeś już, ile razy nam pomogła?

Clarke usiadła na fotelu tak energicznie, że Brillo podniósł pysk. Poklepała go uspokajającym gestem po grzbiecie.

– Pewien młody miejscowy reporter wyświadczył mi kilka przysług, więc uznałem, że jestem jego dłużnikiem.

– Nie mogłeś go po prostu zaprosić do pubu?

– Jest tak młody, że nie wiem, czyby go obsłużono. Poza tym co to komu szkodzi?

– Ramsay Meiklejohn jest członkiem Izby Lordów. Dlatego wiadomość o jego zaginięciu... jeśli rzeczywiście to prawda... może trafić na pierwsze strony gazet, być może nie tylko brytyjskich. Londyńskie tabloidy zwietrzyły krew.

– Nadal nie widzę, dlaczego miałyby to nam zaszkodzić – powiedział Rebus.

– Zobaczysz, kiedy zwałą się do Naver. Dotąd miałeś do czynienia wyłącznie ze szkockimi mediami. W porównaniu z tamtymi to kociaki. „Czy ktoś widział lorda Strathy’ego?”; „Nie, ale skoro już tu jesteście, właśnie popełniono u nas zabójstwo; partnerka ofiary mieszka po drugiej stronie ulicy”.

– Tak sądzisz?

– Chryste, John, rzucasz córkę na pożarcie. – Clarke na chwilę przerwała, wstała z fotela i zaczęła chodzić po pokoju. – Myślisz, że to ona? – zapytała w końcu.

Odpowiedziała jej cisza.

– Podejrzanych jest dość sporo – odezwał się w końcu Rebus.

– Nie dodajesz chyba na serio lorda Strathy’ego do ich listy?

– Keith pojechał do jego zamku i zrobił tam awanturę.

– Dlaczego?

– Chciał, żeby Strathy sprzedał mu teren, na którym znajdował się obóz. Lord nie był skłonny się zgodzić.

– To nie jest jeszcze powód, żeby kogoś zabijać.

– Nie zaszkodziłoby jednak zadać jego lordowskiej mości kilku pytań. A skoro już przy tym jesteśmy, również jego ogrodnikowi.

– Nie miałam czasu go sprawdzić. Przepraszam.

– Nie szkodzi. Wiem już, że był notowany i dopuszczał się przemocy. Przegonił Keitha z posiadłości. – Po drugiej stronie linii zapadło milczenie. – Rozmawiałaś z córką lorda? – zapytał Rebus.



– Wydaje się w ogóle nie przejmować sytuacją.

– Dziwne.

– Może tylko udaje. – Clarke westchnęła i spojrzała na Brilla. – Jeśli zamierzasz tam zostać dłużej, John, będę musiała oddać psa do schroniska.

– Nonsens. Spędzasz po prostu za dużo czasu w pracy.

– Nie tak dużo jak Malcolm.

– Nie jesteś w stanie go upilnować?

– Zaprzyjaźnił się z twoim dawnym sparingpartnerem – powiedziała Clarke.

W słuchawce znów zapadła cisza.

– Naprawdę? – wycedził w końcu Rebus. – Po co?

– To ma coś wspólnego ze Stewartem Scoularem.

– Tym facetem ze Szkockiej Partii Narodowej? Wspomniałeś o nim wcześniej.

– Wylali go z partii i teraz objawił się jako deweloper. Maczał chyba palce w planach, jakie ma Strathy wobec tego twojego obozu jenieckiego.

– Uważasz, że jest tu jakiś związek?

– Jeżeli Keitha zabito dlatego, że przeciwko nim protestował, to tak. Ale szczerze mówiąc, to dość naciągana teoria. – Clarke urwała. – Nie wydaje ci się, że widzisz rzeczy, których tam nie ma, John? – zapytała po chwili. – Zawsze powtarzałeś, że trafne okazuje się na ogół najprostsze wytłumaczenie.

– Najprostsze wytłumaczenie spowoduje, że w kręgu podejrzanych ponownie znajdzie się Samantha.

– No właśnie. – Clarke przystanąła przy oknie i spojrzała na ulicę. W nocy wydawała się taka spokojna, taka uporządkowana. – Nie odpowiedziałeś na moje wcześniejsze pytanie.

– Które?

– Dobrze wiesz które.

Słyszała, jak Rebus wypuszcza głośno powietrze z płuc.

– Ona jest moją córką, Shiv, i ma córkę. Nie może iść siedzieć, bez względu na to, czy jest winna, czy nie.

– Jezu, John.

– Wsadzałem już niewinnych ludzi za kratki.

Clarke przycisnęła czoło do szyby.

– Nie chcę tego słuchać.

– Więc nie pytaj. I bez tego masz dość na głowie, ze szczególnym uwzględnieniem Malcolma Foxa. Nie możesz pozwolić, żeby Cafferty wbił w niego szpony. Ten sukinsyn nigdy go nie wypuści.

– Co twoim zdaniem się dzieje?

– Cafferty zrobi wszystko, żeby mieć kogoś w Gartcosh. Im wyżej, tym lepiej.

– Malcolm nie zajmuje raczej wysokiego...

– Ale jest na fali wznoszącej i wygląda na to, że cieszy się względami pani komisarz. Kiedy Lyon obejmie najwyższe stanowisko...

– Będzie to oznaczało awans dla Malcolma?

– Nawet bez awansu nadal będzie dla Cafferty'ego ceną zdobyczą. Wiem, że to brzmi śmiesznie i sam nie wierzę, że to mówię, ale nasz niemrawy inspektor Fox może trafić w rejony, które są definitywnie zamknięte dla takich jak ty i ja.

– Będzie zarządzał wszystkimi śledztwami w Wydziale Poważnych Przestępstw?

– Antyterroryzm, pranie brudnych pieniędzy, wszelkiego rodzaju ściśle tajne sprawy, do których my nie mamy smykałki. I owszem, wiem, że to do ciebie powinni się zwrócić... boli mnie, że zaszczyt przypadnie Foxowi.

– Przecież oboje wiemy, dlaczego...

– Czy to ten moment, kiedy wskazujesz mi palcem? Nasze bliskie stosunki obniżają w jakiś sposób twoją wartość w oczach tych koniobijców w Gartcosh?

– Coś takiego nigdy nie przyszłoby mi na myśl – mruknęła Clarke.

– Ale pomyśl, jak nudne byłyby te twoje formacyjne lata, gdybym od czasu do czasu nie wpadał jak słoń do sklepu z porcelaną.

Clarke uśmiechnęła się mimo woli.

– I co teraz? – zapytał Rebus, przerywając milczenie.

– Ile dni możesz tam jeszcze spędzić?

– Wiesz tak samo jak ja, że czasami to nie jest krótka piłka.

– Podesłać ci trochę ubrań?

– Powinienem o tym pomyśleć, kiedy byłem w Inverness.

– Więc jak sobie radzisz, jeśli chodzi o garderobę?

– Mam w rezerwie ciuchy po zmarłym mężu właścicielki pubu.

– Właścicielki pubu? Jak zwykle lądujesz na czterech łapach.

– Może tak, a może nie.

– Co masz, do diabła, na myśli?

– Jest na mojej liście podejrzanych.

– Robisz sobie jaja?

– Ona i jej ojciec.

– Jej ojciec?

– Przekroczył dziewięćdziesiątkę, więc być może trzeba go będzie wykluczyć.

Clarke nie mogła się powstrzymać przed parsknięciem śmiechem.

– Ale trzymał w pubie stary rewolwer – ciągnął Rebus – który niedawno gdzieś się zawieruszył, więc podejrzany może być również barman, Cameron. Poza tym mamy fagasa Samantha z komuny... a być może jego partnerkę, panią Angharad Oates, była żoną lorda Strathy'ego, która mogła być zazdrosna o Samanthę.

– Jesteś niepoprawny.

– Co ty powiesz?! Więc dlaczego czuję się taki zmęczony? Przydałoby mi się trochę wytrwałości Malcolma.

Nie skomentowała tego.

– Masz zamiar go skontrolować, prawda? – spytał. – Zobaczyć, czy nadal siedzi w komisariacie?

– Leżę do góry brzuchem z dobrą książką – zapewniła go Clarke, wiedząc, że Rebus ma jak zwykle rację. – Za towarzyszkę mam Karin Slaughter z jej najnowszym kryminałem.

- Nie zapominaj o wiernej psinie.
- Trafi do schroniska, John. Nie żartuję.
- Spróbuj powiedzieć mu to w oczy.

Kiedy odwróciła się od okna, miała wrażenie, że Brillo słyszał każde słowo. Miał przechylony łeb i wilgotne oczy.

- Słyszę, jak słabnie w tobie determinacja – mruknął Rebus i zakończył rozmowę.

- **POMYŚLAŁAM, ŻE CIĘ TU ZNAJDĘ** – powiedziała Clarke, wchodząc do sali NZD.

- Niektórzy z nas nie muszą karmić i wyprowadzać psów – odparł Fox.
- Skoro mowa o karmieniu, kiedy ostatnio jadłeś?

Sięgnęła do torby i podała Foxowi rybę i frytki. Kiedy zaczął rozpakowywać pojemnik, włączyła czajnik.

- Z solą i sosem? – zapytał.

- Tylko z solą. Nie wiedziałam, jaki lubisz sos. Ale przyniosłam ci to. – Wyciągnęła z kieszeni torebki z keczupem i sosem HP i rzuciła je Foxowi.

- Zawsze myślisz o wszystkim – pochwalił ją.

Jego biurko było zavalone papierami, więc przeniósł pojemnik na obsesyjnie uporządkowane biurko Esson i tam usiadł. Czekaając, aż zagotuje się woda, Clarke spozjrzała na ekran jego komputera.

- Nagrania z monitoringu – mruknęła.

Pokiwał głową i wbił zęby w panierowany filec z łupacza.

- Chryste, jakie to dobre – jęknął.

- Dostrzegłeś jakieś interesujące rowery?

Fox pokręcił głową.

- Ale chyba coś odkryłem. Powiem ci, jak zjem.

Clarke zrobiła dwie herbaty, powąchała mleko przed waniem go do poplamionych kubków, po czym postawiła oba na biurku Esson i wzięła sobie jedną frytkę.

- Masz jakieś wiadomości od Johna? – zapytał.

- Przesyła wyrazy miłości.

– Już w to wierzę. Widziałem jego córkę w wiadomościach: oficjalnie przeszuchana, ale jeszcze nie oskarżona. To musi go boleć.

– Znasz Johna.

Fox zerknął na nią.

– Czy to nie on dał temu reporterowi cynk o lordzie Strathym?

– A kto inny?

– Cały on.

Clarke spojrzała na pojemnik.

– Zostawiasz prawie całą panierkę – zauważyła.

– Opcja prozdrowotna.

Wzięła kawałek ryby i włożyła do ust.

– To, że kamery nie nagrały Issy na rowerze, nie znaczy wcale, że jej tam nie było. Domyślam się, że w Craigentinny jest dużo ścieżek rowerowych i mało kamer – powiedziała. Fox pokiwał głową, dając do zrozumienia, że wziął to pod uwagę. – Ale jaki mógł być motyw?

– Motywem zajmiemy się później, Siobhan. W tym momencie potrzebny nam jest jakikolwiek realny podejrzały. Chcesz resztę frytek?

– Już się najadłeś?

Poklepał się po całym okazałym brzuchu.

– W takim razie ja będę jadła, a ty pokaż, co znalazłeś. – Wzięła tekturowy pojemnik, ruszyła za Foxem do jego biurka i usiadła obok siebie.

Cofnął nagranie.

– Chodzi o to – zaczął – że poprzednio skupiliśmy się na Seafield Road i trasie, którą Salman jechał z New Town. Ale jeżeli jego celem był parking przy polu golfowym, to byłoby rozsądnie przyjrzeć się ulicom w samym Craigentinny i w jego okolicy. Niestety, kamery nie rejestrują tam całego terenu, ale zauważyłem ten samochód. – Kliknął na obraz, zatrzymując go. Stojące po obu stronach ulicy szeregowce, niewyróżniające się auto z zapalonymi światłami, kierowca, który był tylko rozmazaną smugą. – Nie widać pasażera. Samochód jedzie z centrum miasta w kierunku pola golfowego.

– No dobrze.

Clarke wiedziała, że Fox ma w zanadru coś więcej. Zjadła kilka ostatnich frytek, a on odszukał kolejne nagranie.

– Tu mamy znowu Seafield Road tuż przed jedenastą wieczorem. Widzisz to zaparkowane auto? – zapytał, dotykając palcem ekranu.

Pojazd widać było z tyłu, z czerwonymi światłami.

– Twoim zdaniem to to samo auto?

– Ten sam kształt, podobny kolor.

– Gdzie dokładnie na Seafield Road jest ta kamera?

– Mniej więcej pięćdziesiąt metrów od parkingu, na którym zginął Salman. W stronę miasta. Na następnym nagraniu, które mamy, auta już nie ma.

– Może kierowca zatrzymał się, żeby odebrać telefon, a potem pojechał dalej – zasugerowała Clarke. – To nie jest zbyt wiele, Malcolm.

Wzruszył ramionami.

– Wiem o tym – przyznał. – Zastanawiam się po prostu, czy warto poprosić techników, żeby zajęli się tymi filmami i być może odczytali dla nas znaki rejestracyjne.

– Jaką masz teorię?

– Spotkanie miało się odbyć przy klubie golfowym, ale kierowca przyjeżdża tam wcześniej i odkrywa, że parking jest zamknięty. Skręca więc w Seafield Road i tam parkuje. Wie, jak wygląda aston, więc kiedy Salman pojawia się w polu widzenia, daje mu znak, być może mrugając światłami. Salman zatrzymuje się w najbliższym ustronnym miejscu, jakieś pięćdziesiąt metrów od zaparkowanego auta, a to do niego podjeżdża. – Fox zauważył, że Clarke bacznie mu się przygląda. – Co jest?

– Zaimponowałeś mi. Marnujesz się tam, w Gartcosh.

– Wykonujemy tam również normalną detektywistyczną robotę.

– Ale tylko czasami.

– Więc jutro rano mam to przekazać technikom? – spytał.

Clarke pokiwała głową.

– A tak w ogóle to jakiej marki jest ten samochód? Wygląda na dość pospolity.

– W grę wchodzi pięć, sześć marek – przyznał Fox i w tym samym momencie zadzwonił jego telefon. Wziął go z biurka, sprawdził nazwisko rozmówcy i dopiero wtedy odebrał. – Tak? – powiedział i przez dwie minuty słuchał. – Dobrze, za dwie minuty – rzucił na koniec.

– Cafferty? – domyśliła się Clarke, kiedy rozmowa dobiegła końca. – Czeka na dole?

– Muszę to załatwić sam – odparł Fox, wkładając kurtkę.

– Nie, nie musisz.

Posłał jej spojrzenie, które było niemal błagalne.

– Proszę cię, Siobhan... – Zmierzając do drzwi, sprawdził, czy za nim nie idzie.

Clarke podeszła do okna. Tak samo jak poprzednio: duży czarny samochód, na chodniku kierowca z podświetlającym twarz telefonem. Wyjęła swój, włączyła aparat i postarała się, jak najbardziej przybliżyć obraz. Zrobiła zdjęcie kierowcy i na nie zerknęła. Zbyt ziarniste, by można było zidentyfikować postać.

– Szkoda – mruknęła pod nosem.

Zawsze lepiej jest znać wrogów.

**FOX SIADŁ NA TYLNYM SIEDZENIU** obok Cafferty'ego, przy oddzielającym ich opuszczonym podłokietniku.

– Staram się być cierpliwy, Malcolm, ale to sprzeczne z moją naturą – wycedził Cafferty.

Fox otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz gangstera zainteresowało nagle coś innego. Fox podążył za jego wzrokiem i zobaczył przechodzącą przez jezdnię Clarke.

– Nie wie nic o nagraniach i o komisarz Lyon – zdążył poinformować Dużego Gera. – Załatwię to z nią.

Drzwi od strony pasażera otworzyły się i Clarke siadła na przednim fotelu. Kierowca ruszył w stronę swoich drzwi, ale Cafferty opuścił szybę.

– Wszystko w porządku, Benny – powiedział.  
– Benny ma jakieś nazwisko? – zapytała Clarke.  
– Pewnie tak. Miło, że do nas dołączyłaś, Siobhan.  
– Nie powinieneś brylować w swoim klubie?  
– Zdali mi raport, to wystarczy. Wiesz, że Malcolm wykonuje dla mnie drobne zlecenie?

– Owszem, wiem, że sprawdza Stewarta Scoulara.  
– I mam wrażenie, że nie dostaję tego, za co zapłaciłem... Nie żeby jakiegokolwiek pieniądze przeszły z ręki do ręki.  
– Przysłałam tu, żeby powiedzieć, że bardzo się przykłada.  
– Pomogłoby nam, gdybym dokładnie wiedział, co pana zdaniem mogę znaleźć – powiedział Fox, nie spuszczać z oczu Dużego Gera.

Zamiast odpowiedzieć, Cafferty dalej wpatrywał się w Clarke. Nachylił się nawet trochę w stronę przedniego fotela.

– Więc Malcolm ma przed tobą sekrety, Siobhan? Nie powiedział ci o nagraniach, na których widać, jak mąż Jenni Lyon zabawia się na boku. Swoją drogą, mam nadzieję, że już się ustatkował. Miał ponieść konsekwencje swoich czynów, ale tak się nie stało. Domyślam się, że Malcolm pogadał z Jenni, a Jenni pogadała z cudzołożnikiem.

– Mówimy o nagraniach zrobionych w twoim klubie? – spytała Clarke.

– Oraz gdzie indziej. – Cafferty, szczerząc zęby, zerknął na Foxa. – Nie wiedziałeś o tym, Malcolm? Wykładam teraz przed wami wszystkie karty. I chcę, żeby Siobhan wzięła w tym udział, bo odnoszę wrażenie, że jej nie ufasz.

– Chcesz, żeby wzięła w tym udział, bo próbujesz poróżnić mnie i Malcolma – sprostowała. – Ale to się nigdy nie stanie.

Tym razem Cafferty wyszczerzył zęby do niej.

– Cwana z niej sztuka, prawda, Malcolm?

– On nazywa się Fox – rzuciła Clarke. – Dla takich jak wy: detektyw inspektor Fox.

– Właśnie takie podejście może sprawić, że zatroskany obywatel zwróci się przeciwko stróżom prawa i prześle do internetu albo mediów



małą wybuchową paczuszkę z nagraniami.

– Skoro tak bardzo zależy ci na Scoularze, to dlaczego sam go nie ścigasz? – odparła Clarke.

– Właściwie – Fox wyprostował ramiona – może powinniśmy porozmawiać z panem Scoularem. Na pewno pochlebi mu, że tak się pan nim interesuje.

– I jeszcze jedno – powiedziała Clarke. – Te taśmy.. Na pewno powiedziałeś Malcolmowi, że ich ujawnienie będzie oznaczało koniec kariery komisarz Lyon. Ale przecież nie o to ci chodzi. O wiele lepiej byłoby dla ciebie zachować je i czekać, aż Lyon zostanie komendantką główną. Trudno sobie wyobrazić, jakie by to otwierało przed tobą możliwości. – Powoli pokręciła głową. – Nigdy nie miałaś zamiaru ich ujawnić, prawda? To tylko takie gadanie. Zawsze tylko gadasz.

– Chcesz się przekonać, czy to tylko gadanie? – Cafferty spojrzał na Focha. – Tak czy nie, detektywie? A może wolisz skontaktować się najpierw z szefową i dostać od niej wskazówki?

Fox otworzył usta, ale nie wydobyło się z nich ani jedno słowo. Clarke otworzyła drzwi i wystawiła nogi na zewnątrz. Duży Ger zacisnął dłoń na przedramieniu Focha.

– Dobrze się nad tym zastanów, inspektorze Fox. – Wskazał odwróconą do nich plecami Clarke. – To nie jest twoja przyszłość. Twoją przyszłością jest Gartcosh. Jennifer Lyon. I miejsce przy głównym stole.

Fox wyrwał ramię z jego uścisku i otworzył drzwi.

– Moja przyszłość, moja decyzja – oświadczył i wysiadł.

– Absolutnie. – Cafferty śmiał się cicho, kiedy Fox zatrzasnął drzwi samochodu.

Clarke, która dała tymczasem spokój i nie pytała dalej Benny'ego o nazwisko, zbliżała się do drzwi komisariatu. Fox dogonił ją.

– Lyon wie o wszystkim? – zapytała go półgłosem.

– Tak.

– To jest ta kamizelka kuloodporna, o której mówiłeś?

Pokiwał głową.

– W takim razie jest pewien, że już wygrał.

– Jak to wykoncypowałaś?

– Nawet jeśli nic mu nie dostarczysz, może twierdzić, że zrobiłeś to, o co prosił, a Lyon wiedziała o tym i to zaakceptowała.

– I co z tego?

– Więc oboje możecie temu oficjalnie zaprzeczyć... innymi słowy, okłamać wszystkich, którzy o to pytają.

– I?

Clarke zatrzymała się tuż przy drzwiach, obróciła się i stanęła twarzą w twarz.

– Malcolm, on nagrywa wszystko, co się dzieje w klubie. Dlaczego sądzisz, że nie robi tego gdzie indziej?

– Masz na myśli jego samochód?

– Wystarczy, że włączy w telefonie tryb notatki głosowej. Poza tym byłeś w jego penthousie. Można zakładać, że nagrał tam wszystko, co powiedziałeś.

Fox nie mógł się powstrzymać, by nie spojrzeć przez ramię na czarny samochód. Ruszał już z miejsca, ale Duży Ger otworzył szybę i przyglądał się przez nią dwójce detektywów.

– To znaczy, że już wygrał? – bardziej stwierdził, niż zapytał Fox. – Trochę mi niedobrze.

– Mam nadzieję, że nie z powodu ryby. – Clarke udawała, że chwyta się za brzuch.

– Jak możesz robić sobie z tego żarty?

Zastanawiała się przez chwilę i w końcu wzruszyła ramionami.

– To, że wydaje się nam, że wygrał, wcale nie znaczy, że tak jest. To jeszcze nie koniec, Malcolm. – Patrzyła, jak auto Cafferty'ego znika w mroku nocy. – To na pewno nie koniec.

**KIEDY BENNY PODJEŹDZAŁ DO** klubu Jenever, Cafferty zadzwonił do Cole'a Burnetta.

– Mówi twój wujek Morris, Cole. Co słysząc?

- Wszystko w porządku, wszystko w porządku. - Głos nastolatka był nosowy i trochę niewyraźny.

- Masz dla mnie parę adresów?

- Jasne.

- Więc spotkajmy się lepiej twarzą w twarz. Znasz mój klub przy Cowgate? Masz tam być za godzinę.

- W porządku.

- Rozchmurz się, synu. W przyszłości czeka cię dużo dobrych rzeczy. Musisz tylko zaufać wujkowi Morrisowi. - Cafferty zakończył rozmowę i położył telefon na sąsiednim siedzeniu.

- Naprawdę wierzysz pan, że da nam odpowiednie adresy? - zapytał Benny, patrząc na szefa w lusterku wstecznym.

- Jeśli tego nie zrobi, oddam go tobie.

Duży Ger odwrócił głowę i przyglądał się mijanym ulicom. Leith zmieniło się - eleganckie restauracje, rzemieślnicze piwo i pieczywo - ale to nadal było stare poczciwe Leith. Heroina wróciła do łask: niczym stary zespół rockowy, namówiony, by znów ruszyć w trasę. Kokainy nie zażywali już tylko bogacze. Wszędzie można było dostać crack, metadon i benzodiazepiny.

Można było zarobić.

Ale ci na górze zawsze chcieli zarobić więcej. Jeśli Cafferty nie ufortyfikuje swojego terytorium, mogą uznać, że można go zajebać. Wziął udział w spotkaniach w Glasgow i Aberdeen tylko po to, by upewnić się, że wszyscy wiedzą, na czym stoją. Ale nie w Dundee: ludzie, którzy dostarczali tam dragi z Manchesteru, nie chcieli tego. To wystarczyło, by zdał sobie sprawę, że wkrótce dobiorą mu się do tyłka. A kiedy zdecydują się to zrobić, najpierw załatwią ulicznych dilerów. Dlatego w ciągu kilku ostatnich miesięcy brał na pokład cieniasów takich jak Cole Burnett. Niech tamci myślą, że wyeliminowali jego najlepszych ludzi, jego całą armię. Uznają to za łatwą wygraną.

Wrzucają na luz i przestaną mieć się na baczności...

- Chce pan, żeby puścić muzykę czy cokolwiek, szefie? – zapytał Benny.

- Nic mi nie trzeba, Benjaminie, dzięki. Duży Ger Cafferty jest całkowicie usatysfakcjonowany.

# Dzień piąty

## Rozdział 26

**MEDIA I LUDZIE** ŻĄDNI sensacji wrócili do Naver.

Lawrie Blake wydawał się bardzo zadowolony z siebie, kiedy Rebus wpadł na niego na ulicy przed The Glen. Internet rozdmuchał przedstawioną przez niego historię, płodząc teorie spiskowe, odkurzając co bardziej pikantne anegdoty z przeszłości Ramsaya Meiklejohna i snując fantastyczne opowieści na temat anonimowej groźby wobec Samantha. Blake, z postawionym kołnierzem płaszcza i w tweedowej czapce na głowie, trzymał w ręce telefon, gotów nagrać opinie zwykłych ludzi i pstryknąć kilka zdjęć. Większość lokalsów pochowała się jednak w domach. Kilkoro rodziców ciągnących do szkoły pociechy musiało przebiec przez coś w rodzaju ścieżki zdrowia. Rebus szedł właśnie do sklepu po gazetę, ale Blake wyjął z kieszeni egzemplarz i mu podarował.

– Na pierwszej stronie! – skomentował Rebus.

– A także na trzeciej, czwartej i piątej. Miałem nawet telefon z agencji prasowej z Londynu z propozycją roboty. Co z pańskim saabem?

– Nie dostałem żadnej wiadomości. Ale wynajęte auto nieźle się sprawuje. – Rebus spojrzął na przejeżdżającą furgonetkę, która nie miała gdzie zaparkować. Z tyłu wiozła sprzęt telewizyjny. – Będzie pan z nimi rozmawiał? – zapytał.

– Jeśli grzecznie poproszą. Zastanawiam się, czy nie przejść do telewizji. – Telefon Blake’a pikał co kilka sekund, sygnalizując nadejście nowych wiadomości. – Pańska córka dostała kolejne anonimy?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Reporter zerknął na pub.

– Mieszka pan tutaj, a nie u niej? Mogę spytać dlaczego?

– Nie rozmawiamy o Samancie, pamięta pan?

Blake uśmiechnął się.

– Nigdy nie zaszkodzi spróbować. Wczoraj późnym wieczorem zadzwoniła do mnie z Edynburga Laura. Pytała, kto przekazał mi te informacje.

– Padło moje nazwisko?

– Chronię swoje źródła, panie Rebus.

– Jestem pewien, że i tak wie. Pływamy wszyscy w małym akwariium. – Rebus rozejrzał się. – Nie ma śladu po pana koledze, tym, z którym siedział pan wtedy w pubie?

– Pojechał chyba do zamku Strathy. Ja też się tam wkrótce wybieram.

– Obawiam się, że domownicy nie będą zbyt wylewni. I niech pan uważa na ogrodnika.

– Tak?

– Kryminalna przeszłość i krewki temperament – powiedział Rebus i otworzył wynajęty samochód.

– Wybiera się pan w jakieś miłe miejsce? – spytał reporter.

– Zamierza mnie pan szpiegować?

– Nie.

– To dobrze – mruknął Rebus, mierząc młodego człowieka surowym spojrzeniem.

Dojechał do szosy biegnącej wzdłuż wybrzeża i skręcił w kierunku Tongue. Mijając kafejkę dla turystów, zerknął na parking. Stały na nim dwa rowery i staroświecki kamper. Ron Travis na pewno był w środku i obsługiwał gości. Przy drodze do Obozu 1033 nadal stała kontenerowa stróżówka z powiewającą obok taśmą policyjną i tym samym co poprzednio znużonym mundurowym. Rebus zatrąbił i zwróciwszy na siebie jego uwagę, pokazał mu dwa palce. Zerkając w lusterko, zobaczył, że policjant wyjmuje notes z odblaskowej kurtki. Na pewno miał zamiar spisać dane samochodu.

– Powodzenia – mruknął Rebus, lekko się uśmiechając.

Trochę dalej skręcił w zryty koleinami trakt prowadzący do komuny i zaparkował w tym samym miejscu co poprzednio. Szczapy drewna na opał były teraz równo poukładane i przykryte plandeką. Obok nich stał

motocykl. Kiedy otworzyły się drzwi domu, pojawił się w nich Mick Sanderson. Podchodząc do Rebusa, spojrzał na wynajęty samochód.

– Po pańskiej naprawie udało mi się dojechać tylko do warsztatu w Inverness – wyjaśnił Rebus i wskazał motocykl. – Jego też będzie pan naprawiał?

– Sprawuje się całkiem dobrze.

– I należy do pana?

– Może go wziąć każdy, komu jest potrzebny. Jeździł pan kiedyś motocyklem? – Sanderson siadł na siodełku i zacisnął dłonie na kierownicy.

– A pan jeździł nim gdzieś ostatnio?

– Po tym, jak naprawilem panu saaba.

– A wcześniej?

– Nie pamiętam.

– Kto jeszcze nim jeździ? Jess? Może Angharad Oates?

– Dlaczego to pana interesuje? – odparł z lodowatym uśmiechem Sanderson.

Rebus wzruszył ramionami i wsunął dłonie do kieszeni.

– Widział pan może wczoraj albo dzisiaj Samantha? – zapytał.

– Kręci się tu.

– Wie pan, że dostała anonim z groźbami?

Twarz Sandersona trochę złagodniała i zsiadł z motocykla.

– Nie, nic o tym nie wiem – powiedział.

Rebus spojrzał na stodołę, z której dobiegała muzyka.

– Zajęcia z jogi – wyjaśnił Sanderson. – Napije się pan herbaty?

– Skoro pan proponuje...

Sanderson uważnie mu się przyjrzał.

– Nie jest pan do nas przyjaźnie nastawiony... i chyba to się nie zmieni... jest pan jednak ojcem naszej przyjaciółki i dlatego może pan się napić u nas herbaty. Ale żadnych pytań, jasne?

– W porządku, synu. Idę za tobą.



Podeszli do domu, Sanderson pchnął drzwi i puścił Rebusa przodem. Na opalanej drewnem kuchence stał czajnik; spod jego pokrywki wiły się strużki pary. Oates siedziała tak jak poprzednio przy kuchennym stole. Na kolanach trzymała dziecko i pomagała mu narysować kolorowymi kredkami zamek.

– Wasze dawne miejsce zamieszkania? – rzucił Rebus. – Musicie za nim tęsknić.

– Co on tu robi? – zapytała kobieta Sandersona.

– Napije się herbaty i zjeżdża.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. – Oates świdrowała wzrokiem Rebusa.

Ten wskazał dziecko.

– Kiedy tu poprzednio byłem, nie usłyszałem, jak ma na imię.

Oates najpierw nie chciała odpowiedzieć, ale zmieniła zdanie.

– Bram. Skrót od Abrahama.

– Tak jak Bram Stoker? Ten od wampirów i całej reszty?

– Jess lubi to imię.

– I zwykle stawia na swoim, tak? Jak średniowieczny pan i władca. Siedzi pani tu ciągle czy czasami gdzieś stąd wyjeżdża?

– Pana Rebusa bardzo interesuje nasze kawasaki – wyjaśnił Sanderson.

– To ciężka maszyna – powiedział Rebus. – Zastanawiałem się po prostu, czy jest pani w stanie ją okiełznać.

– Mamy dwudziesty pierwszy wiek, jeśli pan nie zauważył.

– Więc wyjeżdża pani stąd czasem na motorze?

– Wszyscy to robimy.

– Ci z was, którzy mają prawo jazdy.

– Przestrzegamy tutaj ściśle prawa, panie Rebus – powiedział Sanderson, podając mu kubek. – Mleko jest w dzbanku, cukier w cukiernicy.

Rebus postawił kubek na stole i dolał mleka. Drugi kubek Sanderson podał Oates, ale nie doczekał się od niej słowa podziękowania. Rebus

pociągnął łyk i spojrzał nad skrajem kubka na plastikowe pudełko z kredkami.

– Ma pani tam też takie fajne czarne grube flamastry? – zapytał.

Zerwała się na nogi, zarzucając sobie zaskoczonych Brama na ramię.

– Won! – wrzasnęła.

– Denerwuje pani małeństwo – zgañił ją Rebus.

– A pan denerwuje nas wszystkich! Niech pan się stąd wynosi!

Rebus odstawił kubek na stół.

– Mleko jest trochę nieświeże – stwierdził i ruszył do drzwi, ale w połowie drogi się odwrócił. – Widziała pani może ostatnio byłego męża? Ludzie zaczynają się martwić.

Oates popatrzyła na Sandersona.

– Jak Boga kocham, Mick, jeśli go stąd zaraz nie wykopiesz, sama to zrobię.

Rebus podniósł obie ręce w geście kapitulacji.

– Co za spokojne, życzliwe miejsce. Naprawdę żyjecie tu jak w bajce – powiedział, po czym zamknął za sobą drzwi i ruszył do samochodu.

Kilka minut później ponownie mijał obóz i miał zamiar znów zatrzeć, lecz nigdzie nie zobaczył mundurowego. Kilometr dalej zadzwonił telefon. Widząc, że to córka, Rebus zjechał na parking przy kafejce dla turystów i odebrał.

– To ja – powiedziała.

– Wiem. Jak się trzymasz?

– Prasa wypytuje o ten anonim, który dostałam. Chcieli go sfotografować, ale nie mogłam go nigdzie znaleźć. Dałam go chyba tobie, prawda?

– A ja przekazałam Creaseyowi. Dobra wiadomość jest taka, że rozgłos może powstrzymać autora anonimu przed podrzucaniem kolejnych.

– To ty zaalarmowałaś media, tak?

– Czas, żeby stanęły po naszej stronie, Samantho. To niezbyt wiele, ale od czegoś trzeba zacząć.

– Nie wiem, czy mam ci dziękować – mruknęła. Rebus usłyszał, jak wzdycha. – Nadal nocujesz w pubie? Możesz przespać się u nas na sofie.

– Dziękuję, ale lepiej śpi mi się w łóżku. Poza tym niewielki dystans może nam wyjść na dobre. Jak się trzyma Carrie?

– Jest zdruzgotana. Ma otrzymać pomoc psychologiczną, choć może to oznaczać podróże aż do Thurso. Nie mogą mi jeszcze oddać ciała, więc nie ma sensu niczego planować. – Samancie zaczynał łamać się głos. – Jeśli mnie aresztują, będziesz musiał zająć się pogrzebem.

– To się nie zdarzy, wierz mi.

– Trudno jest teraz komukolwiek wierzyć. – Samantha wypuściła powietrze z płuc i chyba wzięła się w garść.

Widząc, że w drzwiach kafejki staje Ron Travis, Rebus opuścił szybę i mu pomachał. Rozpoznawszy go, Travis przyłożył do ust zwiniętą dłoń, jakby wychylał drinka. Rebus pokręcił głową i skupił się na rozmowie z córką; poprosił, by powtórzyła to, co przed chwilą powiedziała.

– Dziś rano Creasey przywiózł wszystko w torbie: nie ubrania, bo są chyba dowodem rzeczowym, ale rzeczy z kieszeni Keitha. Pieniądze i karty kredytowe. Nadal nie odnaleźli jego telefonu, ale do kluczy do domu był dołączony pendrive. Zapomniałam, że go miał.

– Co na nim jest? – zapytał cicho Rebus.

– Nie sprawdzałam. Ale chyba nic ważnego. Inaczej Creasey by go zatrzymał.

– To prawda. – Rebus zobaczył, że Travis znika we wnętrzu kafejki. – Czy za dziesięć minut będziesz jeszcze w domu?

– Umówiłam się z Julie na kawę. Podjedzie po mnie, żebym nie musiała znosić tego, co może mnie czekać w wiosce.

– Już do ciebie jadę – odparł Rebus, obracając jedną ręką kierownicę.

## Rozdział 27

KIEDY PODJECHAŁ POD DOM, Samantha i Julie siedziały już w samochodzie tej drugiej.

Julie pomachała mu i uśmiechnęła się, a Samantha wysiadła, krótko uściskała i wcisnęła w dłoń mały plastikowy przedmiot.

– Przepraszam za wczoraj – powiedziała.

– Ja też.

Patrzył, jak nie ociągając się zbytnio, wsiada z powrotem do samochodu. Miał nadzieję, że to z powodu zimnego wiatru i igiełek deszczu, które zawirowały nagle w powietrzu. Wsiadł do wynajętego auta i pojechał za córką i jej przyjaciółką do Naver. Ekipa telewizyjna właśnie się spakowała i kiedy w końcu odjechali, Rebus zajął ich miejsce. Wynajęty samochód był mniejszy od saaba i łatwiej się nim manewrowało. Kiedy Rebus wszedł do The Glen, May Collins podawała właśnie kawę i herbatę stałym gościom.

– Obejrzę cię dzisiaj w wiadomościach? – zapytał ją.

– Bezczelni dranie chcieli mnie sfilmować, ale posłałam ich do diabła.

Kiedy wróciła z pustą tacą, Rebus czekał na nią przy końcu baru. W rękę trzymał pendrive.

– Mogę znów skorzystać z twojego komputera?

– Jeśli obiecasz, że nie sprzedasz mi wirusa.

Obiecał i wszedł do zagraconego kantorka. Na dużym biurku leżała sterta papierów. Na jednej ze ścian wisiało oprawione w ramkę zdjęcie młodszej May Collins obejmującej ojca przed pubem. Zerknął na karteczkę z hasłem przyklejoną do dolnej krawędzi monitora. Twardy dysk był pod biurkiem, więc Rebus musiał się mocno pochylić, żeby wsadzić pendrive w gniazdo USB. Kiedy mu się to udało, rozsiadł się na obrotowym fotelu. W drzwiach kantorka pojawiła się twarz Collins.

– Chcesz się czegoś napić?

– Nie, dziękuję.

– Nie jesteś głodny?

– Jeszcze nie. – Rebus wpatrywał się w ekran, nie potrafiąc ukryć zżerającej go ciekawości. – Cokolwiek tu znajdę, ty pierwsza się o tym dowiesz.

– W takim razie zostawiam cię samego. – Wracając do baru, nuciła coś pod nosem.

Kilkadziesiąt plików. Większość stanowiły fotografie. Przejrzał wszystkie. Obóz, wykopaliska, kółko historyczne. Kilka zdjęć Joego Collinsa, Helen Carter, Stefana Novacka i starszego mężczyzny, którym był, jak domyślał się Rebus, Frank Hess, dziadek Jimmy'ego. Siedzieli w fotelach w różnych salonach. Keith rozmawiał z nimi w ich domach.

Na pendrivie były poza tym cztery pliki audio. Rebus zdołał maksymalnie podkręcić głośność, ale i tak musiał się nachylić do małego głośniczka pod monitorem. Pierwszy był Novack. Nagranie trwało niespełna trzydzieści minut. Słuchając głosu Keitha, Rebus miał mieszane uczucia. Ponownie żałował, że nie poznał go lepiej za życia, nie zadał sobie trudu, by to zrobić. W tych rzadkich przypadkach, kiedy dzwonił do domu i telefon odbierał Keith, mówił tylko, żeby poprosił do telefonu Samantha. Żadnych „Jak się masz?”, „Co u ciebie?”, „Co słyhać w pracy?”.

Keith prowadził wywiad całkiem umiejętnie. Zaczął od luźnej pogawędki, żeby oswoić Novacka z mikrofonem. Pytania, kiedy zaczął je zadawać, były coraz bardziej dociekliwe, aż w końcu skupiły się na domniemanym otruciu i zamordowaniu sierżanta Daviesa. Novack miał jednak w tej sprawie mało do powiedzenia. Niczego raczej nie ukrywał; po prostu niewiele wiedział.

„Pamiętaj, proszę, że zwolnili mnie już wtedy z obozu”.

„Ale miałeś kontakt z ludźmi, których tam poznałeś. Korespondowaliście ze sobą. Domyślałam się, że pisali ci, co się dzieje i o czym się mówi. A potem, kiedy tu wróciłeś i zaczęłeś nowe życie...”

„Gdybym miał jakąś wiedzę, na pewno bym ci powiedział, Keith, możesz mi wierzyć”.

Tak samo wyglądało to w przypadku rewolweru leżącego za barem w The Glen. Novack nie miał powodu wątpić w opowieść Joego Collinsa o tym, jak go znalazł.

„Wydaje mi się, że wiesz o tej sprawie więcej niż ja”, powiedział w pewnym momencie Keithowi.

Pytania stawały się stopniowo coraz mniej wnikliwe i w końcu wrócili do luźnej pogawędki.

Następna była Helen Carter. Keithowi udało się utrzymać jej uwagę przez dwadzieścia minut; później przysnęła. Wiedział chyba, że powinien się pospieszyć, bo pytania były konkretne i nie poprzedzało ich gadanie o niczym; musiał przy tym mówić bardzo głośno ze względu na jej problemy ze słuchem. Interesowała go jej praca w obozowym lazarecie, a także relacje (oraz późniejsze małżeństwo) z internowanym o imieniu Friedrich. Szybko jednak skupił się na jej siostrze Chrissy i sierżancie Garcie Daviesie.

„To wstrząsnęło nią do głębi – powiedziała skrzeczącym głosem Helen Carter. – Całe lata dochodziła do siebie. Poeci piszą o miłosnym szale... ale żeby zabić człowieka? Nie ma w tym nic romantycznego, mówię panu”.

„Czy Chrissy widywała się z zabójcą Daviesa za jego plecami?”

„Z Hoffmanem? Prawie go nie знаła. Może raz czy dwa przelotnie się do niego uśmiechnęła. Z uprzejmości, rozumie pan. Mówiło się, że do niej skrycie wzdychał, ale nigdy nie miał odwagi, żeby coś z tym zrobić”.

„Poza tym, że zabił sierżanta Daviesa”.

„To straszne, co się stało. Żandarmeria wojskowa przeczesała cały obóz, ale dopiero po paru dniach znaleźli rewolwer Garetha schowany pod materacem Hoffmana. Hoffman miał własną celę, nie dzielił jej z innymi. Był starszym obozu, stąd ten przywilej. Ale nie był zbyt lubiany i kiedy stanął przed plutonem egzekucyjnym, raczej po nim nie płakano”.

„A ten rewolwer w The Glen? Czy nie z niego właśnie został zastrzelony sierżant Davies?”

„Ciągłe pan o to pyta. Mogę tylko powiedzieć, że ta broń pojawiła się jakiś czas po zamknięciu obozu. Joe twierdzi, że znalazł ją na brzegu morza”.

„Dlaczego umieścili ją w tak widocznym miejscu?”

„To rzeczywiście dziwne, prawda? Stygnie panu herbata, Keith, a ja jestem już zmęczona. Wiem, że ma pan dobre chęci, ale co się stało, już się nie odstanie”.

Następny plik zawierał rozmowę z Joem Collinsem. Joe zgasił Keitha, zanim ten zdążył cokolwiek powiedzieć.

„Chodzi ci o to morderstwo, prawda? Zabójstwo i otrucie... tylko to cię interesuje, a nie sam obóz”.

„Raczej bym się z tym nie zgodził”.

„Taka jest prawda i dobrze o tym wiesz. Narzędzie zbrodni odnaleziono w celi Hoffmana”.

„Mimo to, jak wynika ze wszystkich relacji, do samego końca twierdził, że jest niewinny”.

„Co w niczym mu nie pomogło i nie opóźniło egzekucji”.

„Rozstrzelali go na terenie obozu, tak?”

„O świcie. Kazano nam zostać w barakach, za zamkniętymi drzwiami. Ale nikt z nas już nie spał, raczej nie spędziłmy spokojnej nocy. Hoffman krzyczał, kiedy go wyprowadzali”.

„Krzyczał?”

„Pewnie błagał o łaskę. Potem rozległa się salwa i zapanowała straszna cisza. Pochowano go gdzieś poza obozem. Nie sądzę, żeby w ogóle oznaczono to miejsce. Nie odkopiecie jego kości w trakcie tych waszych wykopalisk”.

„Nie dlatego je prowadzimy”.

„Te pieniądze, które chcecie wydać na obóz... Nie sądzisz, że można by je wydać na naszą gminę w inny sposób?”

Zamiast odpowiedzieć, Keith zadał Collinsowi kolejne pytanie:

„Ten rewolwer, który, jak twierdzisz, znalazłeś...”

„Rewolwer, który znalazłem! Ta twoja obsesja nie wyjdzie ci na dobre, Keith. Uważasz, że miałem coś wspólnego z tą zbrodnią? Rewolwer sierżanta Daviesa został zabrany przez władze jako dowód rzeczowy. Nikt nie wie, co się z nim później stało”.

„Być może ktoś cisnął go do morza?”

„A nawet jeśli, jakie to ma znaczenie?”

„Z relacji wynika, że nie było żadnych świadków. Sierżant Davies został napadnięty gdzieś między wioską i obozem. Ktoś wyrwał mu broń i strzelił w głowę”.

„Tak?”

„Nie rozumiem, dlaczego Hoffman nie pozbył się rewolweru”.

„Może miał zamiar użyć go ponownie”.

„No i niezbyt sprytnie go schował. Mógł ukryć broń gdziekolwiek, ale zabrał ją do własnej celi”.

„To właśnie nie daje ci spokoju?”

„Poza tym raczej nie zalecał się do Chrissy Carter. Prawie się nie znali”.

„Bez względu na to, co gadają, mogę tylko powiedzieć, że ktoś wyrzucił ten rewolwer... prawdopodobnie pod koniec wojny... i pochłonęły go czas i morze. Ale i czas, i morze zwracają nam niekiedy różne rzeczy, czy tego chcemy, czy nie”.

„Umieściłeś go za barem, bo...?”

„Nie jako trofeum, jeśli o to pytasz. Czy to ja zastrzeliłem Garetha Daviesa? Odpowiadam z całą mocą, na jaką mnie stać, że tego nie zrobiłem. – Collins na chwilę przerwał. – Nie rozumiem, dlaczego marnujesz wieczory i weekendy na tę swoją obsesję, kiedy w domu czekają na ciebie Samantha i Carrie”.

„Są bardzo cierpliwe”.

„Tak sądzisz? Mam nadzieję, że się nie mylisz”.

„Co masz na myśli?”

„Nic, nic. Jestem już stary i tak sobie bajdurzę”.

Kiedy nagranie się skończyło, Rebus wstał i rozprostował kości. Zajrzał do baru, ale widząc Lawriego Blake'a, który rozmawiał z innymi reporterami, wycofał się do kuchni. Na stole leżała wiadomość *Zupa jest w garnku*, więc podgrzał rosół i siadł, by go zjeść, bo poczuł się nagle głodny jak wilk. Ukroił sobie do tego kromkę chleba i nalał szklanek wody z kranu.



- Typowy posiłek więźnia – stwierdziła May Collins, wchodząc do kuchni, kiedy już kończył.

- Z jakiegoś powodu nie miałem ochoty wchodzić do baru.

Collins pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Już ich nie ma. Nie sądzę, żeby się od nas wiele dowiedzieli. A ty coś odkryłeś?

- Odsłuchałem właśnie rozmowę Keitha z twoim ojcem.

- Słyszałam z korytarza. Bardzo cię to chyba wciągnęło.

- Zastanawiam się, co czuł Keith, kiedy dowiedział się o Samancie i Hawkinsie... Musiał się zastanawiać, ile osób wiedziało albo podejrzewało i nikt nic mu nie powiedział.

Stojąca za nim May Collins ścisnęła lekko jego ramię.

- Samantha się odezwała?

- Jest z przyjaciółką, Julie.

- Przesłuchuje ją teraz policja... albo przesłuchiwała. Podjechali po nią do domu Julie. Tak słyszałam.

Rebus wyciągnął telefon. Brak zasięgu.

- Spróbuj przy przyczepie – poradziła mu Collins.

Otworzył tylne drzwi i wyszedł na zewnątrz. Deszcz przestał padać, niebo było jasnobłękitne. Nieduża, najwyżej dwuosobowa przyczepa kempingowa upstrzona była porostami, a jej jedyne okienko zarosło brudem. Kiedy wybrał numer, Creasey odebrał prawie natychmiast.

- Nie aresztowaliśmy jej – powiedział. - Chcemy tylko lepiej zrozumieć, co łączyło jej partnera z lordem Strathym. Wiemy, że spierali się o wykup obozu i że sytuacja się zaogniła, kiedy Keith wtargnął na przyjęcie na zamku.

- I?

- I pytamy Samanthę, co wie na ten temat.

- I?

- Na pewno w swoim czasie o wszystkim ci opowie.

- Znów ciągniecie ją aż do Inverness?

- Bądź spokojny. Jest o wiele bliżej domu.

– Udało wam się otworzyć ten komisariat w Tongue?

– Wolalbym, żebyś zostawił nas w spokoju i pozwolił robić to, co do nas należy.

– Dlaczego nie mówiłeś nic o pendrivie?

– Mam ci po raz setny przypomnieć, że nie ty prowadzisz to śledztwo? Jesteś ojcem naszej głównej podejrzanej. Nie zamierzamy dzielić się wynikami z nikim, jeśli nie ma po temu ważnego powodu. – Creasey umilkł, by wziąć głęboki oddech. – Odsłuchałeś te pliki?

– Większość.

– Więc chyba się zgodzisz, że nie ma tam nic, czym mielibyśmy się ekscytować. Chyba że jesteście entuzjastami mówionej historii.

– Zabójca zabrał jego laptop, notatki i smartfona. To musi o czymś świadczyć. No i jest jeszcze ten rewolwer.

– No?

– Powiedzmy, że to Keith go zabrał. Może myślał, że najnowsza technologia pozwoli odnaleźć na nim jakieś ślady, które posłużą jako dowód rzeczowy.

– Więc?

– Więc gdzie jest ten rewolwer? Czy był w torbie?

– Mężczyzna, który zabił sierżanta Daviesa, stanął przed plutonem egzekucyjnym.

– Ktoś na pewno przed nim stanął.

Po drugiej stronie linii zapadło na chwilę milczenie.

– O czym ty właściwie mówisz? – zapytał Creasey. – O sprawnym młodym mężczyźnie, którego obezwładnił i zamordował dziewięćdziesięcioletni starzec? A może uważasz, że zrobił to duch? W mediach społecznościowych jest sporo osób, które tak sądzą. W tym tygodniu musieliśmy je ciągle przeganiać z miejsca zbrodni.

Rebus oparł dłoń o przyczepę. Na ziemi wokół niego leżały niedopałki papierosów. Przykucnął, by podnieść jeden z nich. Ustnik był ze zwiniętej tektury. To były skrety. Wyglądało na to, że cydr nie był jedyną słabością Camerona.

– Jak długo ją będziecie trzymać? – zapytał Rebus.

– Właściwie już skończyliśmy. Dlatego mam czas, żeby z tobą gadać. Podwiezie ją przyjaciółka. A swoją drogą, po co był ten przeciek do prasy? O Strathym i anonimowej wiadomości? Niech ci się nie wydaje, że nie wiem, kto za tym stoi. Więc bardzo ci za to dziękuję, John. Pamiętaj, że współpraca to jest droga dwukierunkowa.

– Ja z wami współpracuję, jak każdy porządny obywatel. Tamtej nocy, kiedy zginął Keith, Ron Travis słyszał jadący drogą motocykl.

– Wspomniał o tym.

– W komunie Hawkinsa mają motocykl. Dostępny dla każdego, kto o to poprosi. Może zapytaj, czy ktoś z niego nie korzystał tamtej nocy. I pamiętasz to przyjęcie na zamku Strathy, z którego wywalono Keitha? Sądzę, że brał w tym udział nasz przyjaciel Colin Belkin. Więc może powinniście przestać nękać niewinną kobietę i zająć się tamtymi tropami...

Rebus urwał, zdając sobie sprawę, że mówi sam do siebie. Sprawdził połączenie. Nadal miał zasięg. Creasey zakończył po prostu rozmowę.

– Gnojek – mruknął Rebus pod nosem, po czym zerknął jeszcze raz na pozostawione przez Camerona niedopałki i sprawdził drzwi przyczepy. Nie były zamknięte. Pochylił się, by nie uderzyć głową o futrynę, i wszedł do środka. Wnętrze było zagracone i duszne, w zlewie piętrzyły się kubki i szklanki. Niezbyt często używana dwupalnikowa kuchenka, płatki śniadaniowe, karton mleka stojący w misce z zimną wodą. Łóżko złożone, żeby zrobić miejsce na stolik. Amerykańskie komiksy na podłodze. Mała toaleta wyglądała, jakby służyła również jako prysznic, zalatywało stamtąd nieświeżą wodą.

– Mogę w czymś pomóc?

Cameron stał przed drzwiami przyczepy, trzymając w rękach tytoń i bibułki. Wychodząc na zewnątrz, Rebus starał się nadrabiać miną.

– Zastanawiałem się, czy nie trzymasz tam przypadkiem rewolweru – mruknął.

– Do czego byłby mi potrzebny?

– Może jest jakiś rynek kolekcjonerski...

– Miałbym okraść May? – Barman koncentrował się na zwijaniu papierosa. – Myśli pan, że zrobiłbym coś takiego po tym, ile okazała mi serca? – Liżąc skraj bibułki, spojrzał w końcu prosto w oczy Rebusa.

– No dobrze, więc powiedzmy, że jesteś szlachetnym rycerzem i zabrałeś go, żeby kogoś chronić.

Cameron wyciągnął z tylnej kieszeni dzinsów zapalniczkę, zapalił papierosa, głęboko się zaciągnął i z upodobaniem wypuścił kłąb dymu w stronę Rebusa.

– Może pan szukać, ile pan chce. Nie znajdzie pan tu starego zardzewiałego rewolweru.

– Znałeś trochę Keitha. Czy to on mógł go zabrać?

– Kiedy tu zaglądał, w pubie zawsze było sporo ludzi.

Rebus pokiwał powoli głową.

– Łatwiej byłoby go zwinąć, gdyby klientów było mniej i nikt nie stałby za barem. A może zdarzyło się to, kiedy pub był zamknięty?

Cameron zmrużył oczy przed dymem.

– To z pewnością zawęziłoby krąg podejrzanych.

– Byłeś kiedyś na bakier z prawem, synu?

– Bo mam tatuaże i kilka kolczyków? – Cameron wskazał ręką niedopałki. – Pali zioło, więc musi być tym złym. – Wykrzywił usta w kwaśnym uśmiechu. – Sam zawsze powtarzała, że jest pan kimś w rodzaju dinozaura. Zaczynam rozumieć, co miała na myśli. – Zaciągnął się po raz ostatni cienkim skrętem i rzucił go na ziemię. – Wyszedłem, żeby powiedzieć, że Joyce McKechnie zostawiła dla pana torbę. Położyłem ją na kuchennym stole.

– Dzięki.

Dwaj mężczyźni jeszcze raz spojrzeli sobie prosto w oczy i skinęli głowami. Rebus patrzył, jak Cameron wchodzi do środka, odczekał chwilę i ruszył za nim.

Kuchnia była pusta, ale tam, gdzie przedtem stał talerz z zupą, teraz był kubek herbaty. Upił jej trochę, po czym otworzył plastikową torbę.

W środku były czasopisma. Pani McKechnie pozaginała odpowiednie rogi. Przyjęcia na zamku Strathy; imprezy, na których lord Strathy był gościem. Na jednym ze zdjęć widać było, jak przecina wstęgę na otwarciu szkolnego boiska. Na innym otwierał stanowisko do obserwacji ptaków w samym sercu Flow Country. Dla niewprawnego oka Rebusa całe Flow Country wyglądało jak kompletne pustkowienie: płaskie, bez drzew i bezbarwne. Ale Strathy wydawał się zadowolony z siebie, a w każdym razie odpowiednio nakarmiony i napojony. Jeśli imprezy towarzyskie mogły stanowić jakąś wskazówkę, zdecydowanie lubił wino. Uniesiony kieliszek czerwonego widać było prawie na każdej fotografii. Poza tym otwarte usta, jakby lord miał zaraz wznieść okrzyk, rumiane policzki, całkiem spory brzuch, przerzedzające się włosy i łajdacka iskra w oku.

Porównując daty publikacji, Rebus domyślił się, na którą imprezę mógł wtargnąć Keith. Nazwiska sfotografowanych gości mało mu mówiły, ale rozpoznał lady Isabellę Meiklejohn oraz Salmana bin Mahmouda. Był tam również Stewart Scoular, ostatni z prawej na jednym zdjęciu oraz za czymś ramieniem na innym. Siobhan wspomniała, że bin Mahmoud miał włoskiego przyjaciela, i jedno z nazwisk do tego pasowało: Giovanni Morelli. Miał przystojną twarz i obejmował w pasie lady Isabellę. Choć zaraz... była tam jeszcze jedna osoba, którą Rebus rozpoznawał: Martin Chappell, który stał obok żony o imieniu Mona. Oboje trzymali kieliszki szampana i uśmiechali się do obiektywu. Rebus nigdy nie miał okazji osobiście spotkać Chappella, ale wiedział, kim jest.

Komendantem głównym szkockiej policji.

Na fotografii Mona Chappell stała z mężem i Stewartem Scoulairem, jakby byli trójką starych przyjaciół. Rebus wyjął telefon i sfotografował stronę czasopisma z różnych kątów. Następnie wyszedł na dwór, znalazł zasięg, wysłał zdjęcia Siobhan Clarke i przez kilka minut stał bez ruchu, żałując, że rzucił palenie. W nozdrzach czuł aromat zapalonego przez Camerona skręta, w gardle jego smak. Na wszelki wypadek dotknął tkwiącego w kieszeni inhalatora. W trakcie tej wyprawy na północ ani razu go jeszcze nie potrzebował. Zastanawiał się, czy nie wynika to z jakości tutejszego powietrza.

- A może stąd, że nie muszę włączyć na drugie piętro - mruknął, po czym wrócił do środka i z herbatą w ręce wślizgnął się ponownie do kantorka.

Wiedział, że ostatni wywiad Keith przeprowadził z Frankiem Hessem. Klikając na plik z jego zapisem, zastanawiał się, czy wszystko jest w porządku: był o ponad połowę krótszy od pozostałych. Wkrótce zorientował się dlaczego. Przez kilka pierwszych minut wszystko szło gładko. Keith pytał Hessa o jego powojenne lata, rodzinę i wykonywane zawody, w większości w przemyśle i budownictwie. Kiedy rozmowa zeszała na Obóz 1033, Hess wyraźnie się zdenerwował.

„Wyrzuciłem to wszystko z głowy - oświadczył z niemieckim akcentem, w którym słycać było jednak szkockie naleciałości. - Jeśli inni chcą to wspominać, to ich sprawa. Ja chciałbym o tym zapomnieć. Chyba mam do tego prawo?”

„Ależ oczywiście - odparł Keith. - Ale na pewno ma pan również bardziej pozytywne wspomnienia z tamtego okresu. Prawie codziennie wolno wam było opuszczać obóz. Słyszałem, że pracowaliście na kilku farmach i reperowaliście mury z łupków, które nadal możemy oglądać. Integrowaliście się z miejscową społecznością”.

„I co z tego? Pytam cię, Keith: co z tego? To było dawno temu i wszyscy, których znałem, już nie żyją. Po co miałbym do tego wracać?”

„Helen żyje. Stefan i Joe żyją”.

„Ale wkrótce umrą. Wszystkich nas zjedzą robaki. Świat zmierza ku chaosowi. Nie zauważyłeś tego? Słyszałem, jak porównują to z latami trzydziestymi. Wszyscy są zgorzkniali i wskazują palcem człowieka, którego winią za swoje nieszczęścia. Mieliśmy podły czas wtedy i mamy podły czas teraz. Proszę, nie wypytuj mnie więcej”.

„Staram się tylko...”

„Nie, Keith, nie... Dosyć tego. Mówiłem ci wiele razy, że to nie dla mnie. Wyłącz to. Już skończyliśmy”.

„Zostało tak niewiele osób, które pamiętają. Więc pozwól, że zadam ci ostatnie pytanie. O rewolwer, który...”

„Powiedziałem: dosyć!”

„Na litość boską, Keith – odezwał się ktoś trzeci. Rebus rozpoznał po głosie Jimmy’ego Hessa. – Chcesz, żeby dostał ataku serca?”

„Po prostu rozmawiamy, Jimmy”.

„Być może, ale już skończyliście. Wszystko w porządku, dziadku?”

„Źle się czuję”.

„Mówiłem ci, że tego nie chciałem – zwrócił się Jimmy Hess do Keitha. – Spakuj sprzęt. Spotkamy się później w barze”.

„Nie chciałem wyprowadzić cię z równowagi, Frank”, odezwał się przeproszającym tonem Keith.

„Gdybyś nie chciał, w ogóle byś tu nie przychodził”, odparł stary.

„Popatrz, już to wyłączam”, powiedział Keith i w tym momencie nagranie się skończyło.

Rebus wiedział już, dlaczego Frank Hess nie dotarł do pubu tamtego wieczoru. Może nie czuł się najlepiej, ale nie o to chodziło. Jak brzmiał ten cytat o przeszłości, która jest innym krajem? W przeszłości Rebusa też były rzeczy, o których wolałby nie pamiętać, zbyt wiele szkieletów na jedną szafę.

– Jak ci idzie? – zapytała z progu May Collins.

– Jak długo tu stoisz?

– Od niedawna. – Wskazała pusty kubek. – Chcesz dolewki?

Rebus pokręcił głową.

– Frank Hess nie jest zbyt rozmowny, prawda?

– Frank jest zręczliwym starym kutasem. Z wszelkich relacji wynika, że był również zręczliwym młodym kutasem. Jego jedyna córka zginęła w wypadku samochodowym jakieś dziesięć lat temu. Jej mąż był razem z nią i też zginął. Byli na przyjęciu, pili, nie przywiązywali do tego znaczenia, a drogi tutaj są raczej nieuczęszczane. Rozbili się na drzewie. – Collins westchnęła. – Nie wpłynęło to pozytywnie na poglądy Franka na świat.

– Więc zostali tylko on i Jimmy?

Collins pokiwała głową.

– Jimmy ma dwie siostry; mieszkają na południu. Każda z nich mogłaby wziąć Franka do siebie, ale się zaparł. Czasami tu przyjeżdżają, pozwalają mu odetchnąć.

– Jak to w rodzinie – mruknął Rebus, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Według mnie za długo ostatnio żyjemy i na tym polega problem. Jaki miał tytuł ten film science fiction, w którym wolno było dożyć tylko określonego wieku?

– Ten z Michaeliem Yorkiem? Zapomniałem tytułu, ale pamiętam, że likwidowali ich po skończeniu czterdziestki.

– To nie najlepsza wiadomość dla nas obojga – skomentowała z uśmiechem May. – Masz jakieś wieści od Sam?

– Skończyli już z nią rozmawiać. Mieli kilka pytań na temat Keitha i lorda Strathy’ego.

– Chodziło o sprzedaż ziemi? – zapytała. Rebus pokiwał głową. – Joyce powiedziała mi o czasopismach. Uważasz, że zniknięcie Strathy’ego jest jakoś związane z zabójstwem Keitha?

– Bóg jeden wie, May. – Rebus przesunął dłonią po czole. – Może nie różnię się tak bardzo od tych łowców duchów, którzy jeździli do obozu.

Collins roześmiała się.

– Słyszałam o nich. Mieli ze sobą sprzęt i wszystko: różdżki podłączone do maszyn. Machali nimi i rejestrowali odczyty.

– Czyli robili w zasadzie to samo co ja. – Rebus wskazał głową komputer.

– Robisz coś więcej.

Wyczuł, że kobieta wyciąga rękę, by znów dotknąć jego ramienia. Gdy wstał, cofnęła ją. Przykucnął, żeby wyjąć pendrive z gniazdka, a kiedy się wyprostował, już jej nie było.



## Rozdział 28

**SIOBHAN CLARKE ODWIEDZAŁA** Gartcosh już wcześniej, lecz niezbyt często i dawno tam nie była. Kompleks znajdował się godzinę drogi z Edynburga i niecałe pół godziny z Glasgow. Otaczające go tereny nadal sprawiały smętne postindustrialne wrażenie. W pobliżu nie było żadnych domów, hoteli ani sklepów. Tkwili tam w całkowitej izolacji od świata, który mieli penetrować. Centrala Wydziału Kryminalnego przypominała nowoczesną politechnikę, ale taką, którą otacza wysokie ogrodzenie i do której można się dostać tylko przez wartownię. Sprawdzili legitymację Clarke, sfotografowali ją i dali tymczasową przepustkę.

– Proszę trzymać ją przez cały czas na widoku – usłyszała.

Po przejściu przez podwójne oszklone drzwi i służę zaczekała, aż Fox zrobi to samo. Do głównego wejścia trzeba było pokonać kilkadziesiąt metrów. Na tym krótkim odcinku z Foxem stało się coś dziwnego. Stąpał teraz pewniejszym krokiem, rozluźnił ramiona i wyraźnie się rozchmurzył. To było miejsce, w którym jego umiejętności miały sens i zostały uznane. Clarke zastanawiała się, czy odczuwałaby to samo, gdyby zamienili się rolami. Kiedy szli przez atrium, nie mógł się powstrzymać, by nie zabawić się w przewodnika; wskazywał, gdzie mieszczą się biura Wydziału Przystępstw Finansowych, a gdzie prokuratury. Potem, na pierwszym piętrze, przysła kolej na Wydział Antyterrorystyczny. Oni jednak zmierzali dalej, do mieszczącego się po drugiej stronie rozległego holu Wydziału Poważnych Przystępstw.

Tymczasowa przepustka Clarke nie umywała się do tej Focha; mógł nią otworzyć przynajmniej niektóre z otaczających ich zamkniętych drzwi. Za tymi, przez które wszedł razem z Clarke, biegł wąski korytarz z identycznymi szklanymi boksami po obu stronach. Jego koledzy siedzieli przeważnie przed komputerami, wpatrując się w ekrany i czasami

mówiąc coś półgłosem do mikrofonów w słuchawkach. Inni dzwonili gdzieś albo rozmawiali w większych grupach. Praca tutaj wydawała się równie ekscytująca jak w księgowości: mężczyźni byli w koszulach i krawatach, kobiety w skromnych bluzkach w stonowanych kolorach. Niektórzy machali do Foxa albo pozdrawiali go skinieniem głowy, mierząc zaciekawionym spojrzeniem Clarke. Wielokrotnie rozmawiała przez telefon z pracownikami Wydziału Poważnych Przestępstw i często wymieniała z nimi maile, ale nie rozpoznała żadnej twarzy.

Fox wszedł do jednego z boksów. Stały tam dwa biurka, z których tylko jedno było zajęte.

– Gdzie jest Robbie? – zapytał.

– Poszedł po kawę – odparła młoda kobieta w okularach. – Ja też mówię ci dzień dobry, Malcolm.

– Przepraszam, Sheena – pokajał się. – To jest detektyw inspektor Clarke.

– Siobhan – rzuciła z uśmiechem Clarke.

– Masz wiadomość na swoim biurku – poinformowała Foxa Sheena.

Fox odlepił karteczkę od ekranu komputera i przeczytał.

– To z referatu przestępstw gospodarczych – wyjaśnił, zwracając się do Clarke. – Z tego, co udało im się ustalić, Scoular jest czysty. Robi interesy z zagranicznymi bankami i korporacjami, ale w jego branży to normalne. – Zmiał karteczkę i wyrzucił ją do kosza.

– Miło było cię poznać, Sheena – powiedziała Clarke, wychodząc za Foxem na korytarz.

Przy wózku z kawą po drugiej stronie holu stała niewielka kolejka. W pobliżu było kilka foteli i Fox podszedł do jednego z nich.

– Cześć, Robbie.

Ogolony na łyso trzydziestolatek podniósł wzrok. Kiedy wstał, Clarke zobaczyła, że ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu i jest chudy jak szkielet.

– Jakiś czas cię tu nie było, prawda, Malcolm? – zapytał.

– Ale się nie leniłem... a ty? – Fox zdał sobie sprawę, że Robbie wpatruje się w Clarke, więc dokonał prezentacji.

- Któraś z was ma ochotę na kawę? – zapytał Robbie, ściskając dłoń Clarke.

- Chętnie bym się napiła – odparła, nim Fox zdążył zaprotestować.

Robbie wyrzucił do kosza pusty kubek i stanęli w kolejce.

- Gdzie mieszkasz, Siobhan? – zapytał.

- W Edynburgu. A ty?

- W Motherwell.

- Jeżdżę czasami do Motherwell na mecze – oznajmiła. – Jesteś fanem waszej drużyny?

- Owszem. A ty komu kibicujesz?

- Hibsom.

- Współczuję – mruknął Robbie.

Fox zaczął się niecierpliwić, widząc, jak wolno kolejka posuwa się do przodu.

- Malcolm nie ma czasu na takie bzdury jak piłka nożna – powiedział Robbie. – I prawdę mówiąc, na nic innego.

- To nieprawda – obruszył się Fox.

- Jaki widziałeś ostatnio film? Jaką przeczytałeś książkę?

- Zawsze taki jest – poskarżył się Fox. – Najbardziej lubi wkurzać ludzi.

Robbie wyszczerzył zęby w uśmiechu, nadal wpatrując się w Clarke.

- Wiesz, dlaczego uchodzi mi to na sucho?

- Bo ludzie wolą utrzymywać z tobą dobre stosunki?

- A dlaczego tak jest twoim zdaniem?

- Bo stale potrzebują od ciebie jakiejś przysługi – odparła Siobhan.

- Stale potrzebują ode mnie jakiejś przysługi – powtórzył Robbie i popatrzył na Foxa. – I to musi być zrobione jak najszybciej, zwłaszcza jeśli prosi o to Wydział Poważnych Przestępstw. Czy nie tak właśnie to wygląda, Malcolm?

Fox dotarł do czoła kolejki i nie pytając Clarke, zamówił dwa razy cappuccino.

- Co dla ciebie, Robbie? – rzucił.

- To samo.

Po zapłaceniu musieli zaczekać, aż barista zabierze się do pracy.

– Warto swoje odstać, wierz mi – zwrócił się Robbie do Clarke. – Więc wpadasz do nas czasem na mecz?

– Nie tak często, jak bym chciała.

Podał jej wizytówkę.

– Gdybyś miała ochotę napić się czegoś przed bitwą albo po bitwie, którą po raz kolejny stoczą nasze drużyny...

– Chłopak Siobhan jest nadinspektorem – ostrzegł Fox.

– Nigdy nie zaszkodzi spróbować.

– Nadinspektorem, który nie interesuje się raczej piłką nożną – wyjaśniła Clarke, chowając wizytówkę.

Zabrali kubki i usiedli w spokojnym miejscu.

– Nazywają to strefą relaksu – powiedział Fox, podnosząc pokrywkę, żeby kawa szybciej ostygła. – Pomysł był taki, żeby przedstawiciele różnych wydziałów spotykali się i wymieniali informacje.

– Podczas gdy w praktyce nikt nie puszcza pary z gęby, jeśli nie musi – dodał Robbie. – W obawie, że to nie jemu przypadnie cała zasługa.

– To nie do końca prawda – mruknął Fox do swojego kubka.

– Ale masz absolutną rację – podjęła Clarke, wpatrując się w Robbiego – domyślając się, że jesteście kolejnymi klientami, którzy potrzebują od ciebie przysługi. Malcolm twierdzi, że w Gartcosh nikt nie może się z tobą równać, jeśli chodzi o nagrania z monitoringu. – Miała nadzieję, że nie podlizuje mu się w zbyt oczywisty sposób, ale sprawiał wrażenie kogoś, kto raczej to lubi. – Mówię o czyszczeniu obrazu, przerabianiu smug na dające się zidentyfikować twarze i tak dalej.

Robbie wzruszył ramionami w geście fałszywej skromności.

– Lubię wyobrażać sobie, że jestem w tym całkiem dobry – przyznał w końcu.

– Dlatego przyjechałam tu aż z Edynburga, żeby się z tobą spotkać.

– Chodzi o tego saudyjskiego studenta? – domyślił się. Clarke pokiwała głową. – Jasne, że o niego – rzucił. – Poza tym w Edynburgu nie dzieje się nic ciekawego.

– Narkotyki, gangi, pobicia... tak, nic ciekawego.

– Ale pomagają wam teraz Malcolm. Powinien się z tym raz-dwa uporać.

– Pod warunkiem że nie będziesz nas tu trzymał przez cały dzień – odpalił Fox.

– Domyślam się, że to są nocne nagrania? W niezbyt jasnym oświetleniu? I dodatkowo przeszkadza blask przednich reflektorów samochodu?

– Tak to mniej więcej wygląda – przyznała Clarke. Przez cały czas wpatrywała się w Robbiego, mając nadzieję, że zobaczy w jej oczach zachętę, a nie desperację.

– Chodzi o pewne auto blisko miejsca zbrodni – wyjaśnił Fox. – Najpierw jedzie ulicą, potem jest zaparkowane. Uważamy, że to ten sam samochód.

– Nagrany przez miejskie kamery?

– To robi jakąś różnicę? – zapytała Clarke.

– Fotoradary są przystosowane do odczytywania tablic rejestracyjnych. Miejskie kamery niekoniecznie.

– Innymi słowy, nie są tak dokładne.

– Jeśli kierowca tego pojazdu przejeżdżał w nocy przez miasto, mógł uaktywnić gdzieś fotoradar. Kiedy ulice są puste, ludzie często wciskają bezmyślnie gaz do dechy. Inną możliwością są kamery na skrzyżowaniach: nic nie jedzie, więc przejeżdżamy na czerwonych światłach i kamera nas rejestruje. – Robbie spojrzął na dwoje detektywów. – Nie sprawdziliście tego, tak?

– Nie – przyznał Fox.

– W takim razie mogę to zrobić? – Robbie pociągnął łyk cappuccino.

– Bylibyśmy bardzo wdzięczni – zapewniła go Clarke.

– Możesz mi się odwdziżyć, dopilnowując, żeby w przyszłym sezonie moja drużyna zdobyła z twoją maksymalną liczbę punktów.

– Niełatwo się z tobą negocjuje – odpowiedziała z uśmiechem Clarke i podała mu dłoń, żeby dobić targu.

**ZESZLI PRAWIE NA PARTER**, kiedy Fox nagle się zatrzymał, widząc osobę, która wchodziła po schodach. Clarke też ją rozpoznała: to była zastępczyni komendanta głównego, Jennifer Lyon. Rozmawiając przez telefon, przeglądała jakieś kartki. Zadania nie ułatwiały jej teczka oraz torebka na ramieniu. Widząc Foxa, natychmiast skończyła rozmowę. Telefon wylądował w torebce razem z papierami.

– Malcolm – powiedziała i to jedno słowo zabrzmiało w jej ustach równocześnie jak stwierdzenie i pytanie.

– Być może będziemy mieć coś nowego w sprawie bin Mahmouda – poinformował ją. – Robbie musi po prostu przysiąc fałdów.

– Dopilnuję, żeby to zrobił – zapewniła go Lyon.

– To jest detektyw inspektor Siobhan Clarke. Pomaga mi dzisiaj.

– Po spojrzeniu, jakie ci posłała, widzę, że znacznie pomniejszasz jej rolę. – Lyon uśmiechnęła się do Clarke, ale nie miała wolnej ręki, żeby jej podać. – Muszę zamienić z tobą kilka słów – zwróciła się do Foxa. – Na osobności – dodała, spoglądając na Clarke. – Może napić się pani tymczasem kawy albo czegośkolwiek...

Clarke patrzyła, jak ona i Fox wchodzi z powrotem na górę. Fox dał jej znak, żeby zaczekała w atrium. Zamiast pić kolejną kawę, weszła do toalety, siadła na sedesie i wyjęła telefon. Rebus przesłał jej wcześniej fotografie stron jakiegoś czasopisma. Przyjrzała im się szybko i wybrała jego numer.

– Komendant główny – powiedziała.

– Wiem.

– Widziałam już wcześniej kilka zdjęć z tego przyjęcia, ale tego akurat nie.

– Myślisz, że przyjaźni się ze Stewartem Scoularem?

– Pierwsze słyszę.

– To przyjęcie, na które wpadł Keith, nie nawiązał z nikim bliższej znajomości i zrobił awanturę o Obóz Tysiąc Trzydziesty Trzeci.

– Zwolnij trochę. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Keith chciał, żeby Meiklejohnowie sprzedali część swojej ziemi gminie. Dzięki temu można by zrobić z Obozu Tysiąc Trzydziestego Trzeciego atrakcję turystyczną. Jego lordowska mość go olewał, więc Keith pojawił się tam niezaproszony. Pamiętasz tego ogrodnika?

- Colina Belkina?

- Sądzę, że to on wywalił stamtąd Keitha. A właśnie... w komunie nieopodal obozu spotkałem Angharad Oates. Opiekuje się dzieckiem Jessa Hawkinsa. Stoi u nich kawasaki, które ktoś usłyszał być może tamtej nocy, kiedy zabito Keitha.

- To dużo tropów, John. Rozumiem, że dostrzegasz już jakiś wzór?

- Być może. W tym samym przyjęciu brali udział dobrze ci znani panowie bin Mahmoud i Morelli, a także lady Isabella.

- Nie sądzisz chyba, że Keith miał z nimi jakieś kontakty?

- Szkoda, że nie mogę ich o to sam zapytać. To znaczy tych, którzy nie padli ofiarą zabójstwa.

- Nie widzę tu żadnego związku...

- Dwa zabójstwa, Siobhan.

- Popelnione setki kilometrów jedno od drugiego, John.

- Mogłabyś jednak zadać im to pytanie?

- Jestem trochę zajęta.

- Co ty powiesz! Sądząc po dziwnym pogłosie, zgaduję, że siedzisz w kiblu.

- Coś musi być nie tak z twoim telefonem.

- Skoro tak twierdzisz. Ale pogadasz z Meiklejohn i Morellim?

- Widuję się z nimi tak często, że może zaproponuję po prostu, że razem zamieszkamy.

- Sądzisz, że są w to zamieszani?

- Mamy pewne nagranie z monitoringu, które sprawdzamy.

- Powinnaś z nim pójść do Robbiego Stenhouse'a.

Clarke nie odezwała się.

- Już się z nim widziałas? - zapytał Rebus.

- Skąd, u diabła, wiesz o Robbiem Stenhouseie?

– Ten facet to legenda. Zauważyłaś na tych zdjęciach jakieś inne buźki, które mogłyby mnie zainteresować?

– Niekoniecznie. Znasz już Stewarta Scoulara.

– Podoba mi się, że potrafi się znaleźć na co drugiej fotografii. Jeśli za tym ośrodkiem golfowym stoi jego konsorcjum, a przyjęcie na zamku miało służyć ściągnięciu potencjalnych inwestorów, to na pewno nie spodobały mu się rzeczy, które Keith tam wykrzykiwał. Pamiętasz, co zdarzyło się przy ośrodku Trumpa w Aberdeen?

– Oglądałam film dokumentalny.

– Ludzie pokroju Scoulara muszą czuć, że kontrolują sytuację. Keith zdecydowanie mu w tym nie pomógł.

– Ale w kilkudziesięciu artykułach w prasie nie ma ani słowa o Keicie i jego kółku historycznym. Trudno uznać, że zaistniał w mediach.

– Chcesz powiedzieć, że nie stanowił zagrożenia?

– Twierdę, że można go było bezpiecznie zignorować.

– Może do kogoś nie dotarła ta prawda, Siobhan. – Rebus wypuścił głośno powietrze z płuc.

– Chcesz mi jeszcze o czymś powiedzieć? – zapytała. – Co u Samantha?

– Nadal nie postawili jej zarzutów. Poza tym wydaje mi się, że stosunki między nami nieco się ociepliły.

– To dobrze.

– Jesteś teraz w Gartcosh?

– Czekam na Malcolma. Chciała z nim zamienić kilka słów Jennifer Lyon.

– Na jaki temat?

– Nie jestem pewna.

– Czy to znaczy, że odcinasz mnie od informacji?

– Tylko trochę.

– Jak się miewa mój pies?

– Czuje się zaniedbywany.

– Wszyscy znamy to uczucie, prawda? Jesteście choć trochę bliźsi rozwiązania sprawy?



– Będę to lepiej wiedziała, kiedy Robbie użyje swojej magii.

– W takim razie powodzenia. Porozmawiamy później.

Clarke rozłączyła się i otworzyła esemesa od Grahama Sutherlanda. Pytał, jak im idzie.

*Niedługo wracamy*, odpisała.

Kiedy wyszła z toalety, nadal nie było śladu po Foxie. I żadnego wolnego krzesła w atrium. Mijający ją funkcjonariusz w białej koszuli i epoletach zapytał, czy potrzebuje pomocy.

– Po prostu na kogoś czekam – odparła z cierpkim uśmiechem. Jeszcze dwie minuty, a pójdzie do samochodu. Po kolejnych pięciu odjedzie: niech Fox szuka sobie podwózki do Edynburga. Wiedziała jednak, że tego nie zrobi.

Musiała podzielić się z nim wiadomością o komendancie głównym.

**JENNIFER LYON ZOSTAWIŁA** Foxa w sekretariacie, w którym pisała coś na komputerze jej asystentka. Po jakimś czasie Lyon otworzyła drzwi i machnęła na niego. Zanim wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi, siedziała już za biurkiem.

– Masz coś do przekazania? – zapytała, nie bawiąc się w ceregiele.

– Robimy postępy w sprawie bin Mahmouda.

Zbyła to machnięciem ręki.

– A w sprawie pana Scoulara?

Fox zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Jeśli są jakieś haki... mam na myśli poważne haki... dobrze je ukrył. Referat przestępstw gospodarczych nic na niego nie znalazł. Mogę udowodnić Cafferty'emu, że wykonaliśmy robotę, łącznie z obserwacją podejrzanego. Ale na tym koniec, chyba że zdecydujemy się na opcję nuklearną: podsłuch telefonu i śledzenie połączeń internetowych.

– Kto zajmował się obserwacją?

– Tylko ja, w wolnym czasie.

– To tłumaczy, dlaczego jesteś taki wycieńczony. Ale doceniam to.

– To naprawdę żaden kłopot.

- I nikt z zespołu nie domyślił się, co kombinujesz?

Fox przełknął ślinę.

- Z tego, co wiem, nikt.

- Nawet inspektor Clarke?

- Nie. - Zauważył, że Jennifer Lyon wpatruje się w niego z prawie nadludzkim spokojem.

- Ty i ja, Malcolm - wycodziła, składając razem dłonie - musimy porozmawiać o Morrisie Geraldzie Caffertym.

## Rozdział 29

NA TWARZACH CZŁONKÓW ZESPOŁU, którzy czekali na nich w Leith, malowała się cała gama odczuć, od oczekiwania i nadziei po sceptycyzm. Clarke zareagowała na to wzruszeniem ramion, a Fox oznajmił, że nagranie z monitoringu „będzie miało najwyższy priorytet”.

– Co oznacza, że odezwą się po kilku tygodniach, a nie kilku miesiącach – skwitował Ronnie Ogilvie.

– Nie bądź taki negatywnie nastawiony, chłopcze – mruknął George Gamble, tłumiąc poobiednie beknięcie. – To zawsze była moja specjalność.

Odpowiedziało mu kilka znużonych uśmiechów. Clarke przeszła między rzędami biurk, na których – z wyjątkiem tego należącego do Christine Esson – piętrzyły się stosy papierów, i minawszy kolejne sterty akt, tym razem leżące na podłodze, dotarła do ściany z tablicą korkową. To, jak mało karteczek przypięli do niej ostatnio, było deprymujące. Miała wrażenie, jakby w pomieszczeniu brakowało tlenu. Groziło im, że wkrótce zaczną pozorować jakiegokolwiek działania. Wyraz twarzy Grahama Sutherlanda, kiedy wyłonił się ze swojej nory, sugerował, że zaraz powie, by cofnęli się do początku i sprawdzili jeszcze raz to, co sprawdzili już wcześniej.

– Gartcosh? – zapytał.

– W trakcie.

– Porytym koleinami czy prostym i gładkim?

Żart był słaby, ale o czymś świadczył. Clarke skrzywiła lekko wargi. Sutherland stanął przy niej.

– Byłoby miło, gdyby kogoś zaczęły nagle dręczyć wyrzuty sumienia – powiedział. – Sprawcę albo świadka lub współnika. Zawsze jest ktoś, kto coś wie. W dawnych czasach chodzilibyśmy po mieście i słuchali plotek.

– Moglibyśmy wyznaczyć nagrodę.

– Przyszło mi to do głowy.

– Kolejna konferencja prasowa? Żeby wzbudzić na nowo zainteresowanie mediów?

– Wszystkie zajęły się teraz nieuchwytnym lordem Strathym.

– Według jednego ze źródeł widziano go razem z lordem Lucanem w kasynie w Monte Carlo – zaczął ją zaskakiwać z komputera Tess Leighton.

– Jeśli chcecie, mogę się zająć tym tropem – zgłosiła się Christine Esson, podnosząc rękę niczym uczennica w klasie.

Clarke zapytała półgłosem Sutherlanda, czy góra bardzo go ciśnie.

– Nie bardziej niż zwykle – mruknął. – Choć Saudyjczycy zmienili lekko ton. Toczą się jakieś negocjacje handlowe i wykorzystują w nich jako argument naszą widoczną niekompetencję. Z persona non grata Salman zmienił się w krótkim czasie w otoczonego czcią męczennika.

– Liczy się tylko potrzeba chwili.

– A my staliśmy się chłopcem do bicia. – Sutherland wbił wzrok w ścianę. – Żadna z tych rzeczy nie powinna nas jednak rozpraszać i odciągać od tego, co mamy do zrobienia. Nie sądzisz, że pominęliśmy coś na samym początku? Może trzeba jeszcze raz przyjrzeć się wynikom sekcji zwłok, raportowi z miejsca zbrodni...

– Może również technikom śledczym? – przerwała mu Clarke. – Wtedy moglibyśmy znów wezwać wszystkich na przesłuchanie i skłonić londyńską policję, żeby po raz dziesiąty przejrzała to, co udało im się ustalić.

– Dotarłem już do tego punktu, tak? – spytał z niewyraźną miną Sutherland.

– Trochę wcześniej, niż przewidywałam.

Uśmiechnęły się do siebie.

– Ludzie! – zawołała nagle Christine Esson. – Musicie to zobaczyć!

Wszyscy ruszyli do jej biurka. Clarke zwolniła, słysząc, że dostała esemesa. Był od Laury Smith.

To ci niespodzianka!

- No, no - mruknął George Gamble, sapiąc ciężko po wysiłku, jakiego wymagało od niego przejście całej sali.

- To chyba dom Issy Meiklejohn - odezwał się Fox, wpatrując się w ekran komputera Esson, na którym leciały wiadomości. - Możesz pogłośnić?

Esson zrobiła to, kiedy Clarke stanęła przy jej biurku. Kilka kamer i mikrofonów skierowanych było na Issy Meiklejohn, która ścisła ojca za ramię w geście wsparcia i oczywistej ulgi.

„Nigdy nie przyszło mi do głowy, że zrobi się z tego taka afera”, powiedział jeszcze bardziej rumiany niż zwykle Ramsay Meiklejohn, omiatając wzrokiem kamery i reporterów.

- Kto to wszystko zapoczątkował? - pieklił się Sutherland. - Dlaczego dowiadujemy się o tym ostatni?

- Ćśś! - syknęła Christine Esson. - Z całym szacunkiem, panie nadinspektorze - dodała, zdejmując sobie sprawę, do kogo się zwraca.

„Po prostu kilka dni bardzo potrzebnego wypoczynku - tłumaczył Meiklejohn. - Odespanie krótkich nocy, zajęcia na świeżym powietrzu...”

„W jakimś miłym miejscu, lordzie Strathy?!”, zawołał jeden z reporterów z tyłu grupy.

„Na pewno nie takim, które potrzebuje darmowej reklamy - wtrąciła Issy Meiklejohn. - Cieszę się, że mój ojciec jest cały i zdrowy, choć ani przez chwilę nie miałam złych przeczuc. Moim zdaniem cała ta afera była próbą odciążenia uwagi od niekompetencji policji, która nie potrafi odnaleźć zabójcy mojego przyjaciela, Salmana bin Mahmouda. Powinni się państwo raczej zająć ich rażącą nieudolnością”.

Lord kiwał przez cały czas głową, wysuwając do przodu dolną wargę na znak, że całkowicie zgadza się z córką.

Sutherland stuknął palcem w ekran. Program nadawany był na żywo przez lokalną telewizję internetową.

- Mówisz, że wiesz, gdzie to jest? - zapytał Foga.

- Ja i Siobhan byliśmy tam kilka dni temu.

- W takim razie dlaczego, na litość boską, jeszcze tu stoicie?  
Dopadnijcie go!

- A jeśli nie będzie chciał współpracować?

- To jest śledztwo w sprawie zabójstwa i mamy do jego lordowskiej  
mości kilka pytań. Jeśli będzie się stawiał, aresztujcie go.

Clarke wciąż patrzyła na ekran, koncentrując uwagę na córce  
Meiklejohna.

- Możemy upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu – powiedziała.

- Bardzo dobrze – odparł Sutherland. – Już was tu nie ma.

**MIELI NADZIEJĘ, ŻE MIMO** robót drogowych i tymczasowych objazdów nie  
będą długo jechać z komisariatu na St Stephen Street.

- Czy był jakiś moment w historii, kiedy Edynburg nie był placem  
budowy? – poskarżył się Fox, zgrzytając zębami. Jechali dla odmiany jego  
samochodem. Clarke opuściła szybę kilka centymetrów, żeby zaczerpnąć  
świeżego powietrza.

- Naprawdę nie powiesz mi, czego chciała Lyon? – zapytała.

- Nie.

- Ale to ma coś wspólnego z Caffertym i jego nagraniami?

- Jak śpiewali Pet Shop Boys, mam zasznurowane usta.

- To śpiewali Fun Boy Three.

Fox uniósł brwi.

- Naprawdę?

- Jeśli tak ze mną pogrywasz, nie podzielę się z tobą najnowszą  
wiadomością.

- A cóż to za wiadomość?

- John przysłał mi kilka zdjęć z imprezy na zamku Strathy.

- Widziałem je.

- Masz kilka w swoim komputerze, ale ja mam inne. Na jednym widać  
naszego ukochanego komendanta głównego i jego żonę w bardzo bliskiej  
komitywie ze Stewartem Scoularem.

Fox wbił w nią wzrok.

- Patrz na jezdnię, Malcolm.
- Kiedy to dostałaś?
- Kiedy ty konferowałeś z zastępczynią komendanta.
- I nie powiedziałaś mi od razu, bo...?
- Musiałam to przemyśleć. Chcesz usłyszeć, jaką mam teorię?
- Mów.
- Przypuśćmy, że komendant główny jest jednym z inwestorów Scoulara.
- Powiedziałbym, że to przekracza jego możliwości finansowe.
- Chyba zdołałby wykrobać kilka tysięcy, a Scoular na pewno chciałby go mieć na pokładzie.
- Inni inwestorzy poczuliby się bezpieczniej – zgodził się Fox.
- Moim zdaniem Cafferty jakoś się o tym dowiedział.
- Jak?
- Może znajomość z kimś takim jak Martin Chappell jest czymś, o czym Scoular chętnie napomyka w prawie każdej rozmowie – odparła Clarke i Fox pokiwał głową. – Więc jeśli znaleźlibyśmy jakieś haki na Scoulara...
- ...przyspieszyłyby to odejście na emeryturę Chappella – dokończył za nią. – Żeby oszczędzić szkockiej policji problemów.
- I na tronie zasiadłaby Jennifer Lyon.
- To ma sens – przyznał Fox.
- To znaczy, że pójdziesz z tym do niej?
- Muszę się zastanowić.
- Jeśli z tym pójdziesz, chcę ci towarzyszyć.
- Przyjąłem do wiadomości. Nie uznałaś za stosowne podzielić się tym z Grahamem?
- Nie i niech tak pozostanie, dopóki nie dostrzeżemy, że łączy się to w jakiś sposób z zabójstwem Salmana – powiedziała Clarke i sekundę później zabręczała jej komórka. Numer był nieznanym, mimo to odebrała.
- Inspektor Clarke? – usłyszała. – Mówi detektyw sierżant Creasey. Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa Keitha Granta.

– Tak?

– Słyszała pani o sprawie?

– Jestem przyjaciółką Johna Rebusa. To on dał panu mój numer?

– Owszem, właśnie przysłał mi go esemesem. Powiedział, że warto się z panią skontaktować. Choć nie mówił, że się przyjaźnicie.

– W czym mogę panu pomóc?

– Będę się streszczał: sygnał na A dziewięć pojawia się i znika. Słyszała pani o odnalezieniu się lorda Strathy'ego?

– Owszem.

Fox posłał Clarke pytające spojrzenie, ale go zignorowała.

– Chciałbym z nim porozmawiać, zanim wyjedzie z Edynburga – powiedział Creasey. – Mogłaby mi to pani w jakiś sposób ułatwić?

– Ma pan przed sobą długą drogę, detektywie. My też chcemy mu zadać kilka pytań.

– Możecie go czymś zająć do mojego przyjazdu? To zajmie mi najwyżej dwie godziny.

– Dwie godziny? Domyślam się, że fotoradary będą miały używanie. Strathy pozostanie w komisariacie w Leith tak długo, jak długo uda nam się go zatrzymać.

– Będę bardzo wdzięczny.

Clarke miała kolejną oczekującą rozmowę. Rozłączyła się i stuknęła ikonkę.

– Mam wrażenie, że prowadzisz samochód – usłyszała głos Rebusa.

– Malcolm prowadzi. Jedziemy po jego lordowską mość.

– Zapytajcie go o przyjęcie, na które wtargnął Keith. Musimy wiedzieć, co się tam naprawdę wydarzyło.

– Właśnie jedzie do nas detektyw Creasey. To on zada te pytania.

– Ale wy będziecie mieli okazję zadać je pierwsi.

– Wiem o tej sprawie tyle, ile się od ciebie dowiedziałam. Powiedz mi coś więcej o Creaseyu.

– Sprawny, choć niezbyt błyskotliwy. Podąża tropem, który, jak sądzi, zaprowadzi go do Samantha.



– Ale nie jest kompletnym idiotą?

– Nie.

– I chce mu się puścić dwieście pięćdziesiąt kilometrów, żeby przesłuchać trzeciorzędnego gracza?

– Strathy nie jest trzeciorzędnym graczem, Siobhan. Na ile zdążyłem się zorientować, zbija kapitał na swoim tytule i na tym, że jest właścicielem zamku. Ma tereny, które chce zagospodarować, i są organizacje, które przeciwko temu protestują. Być może widział w Keicie i Jessie Hawkinsie ludzi, którzy stoją mu na drodze. Dużo wygra, jeśli uda się powiązać Hawkinsa z zabójstwem Keitha.

– Masz na myśli, że chce go w to wrobić?

– Pamiętaj o tym, kiedy będziesz zadawała pytania. To, że ktoś wygląda jak poczciwy belfer z kreskówki, wcale nie znaczy, że nie jest szczwanym lisem. – Rebus przerwał i po chwili spytał: – Masz jakieś teorie na temat zaangażowania naszego komendanta?

– Według oficjalnej linii partii nie jest zaangażowany.

– Zamiotą to pod dywan?

– Zaczekaj chwilę – powiedziała i spojrzała na Foxa. – Będzie szybciej, jeśli tu skręcisz – poradziła.

Fox zrobił, jak mu kazała, i zaraz potem zobaczył stojącą w połowie ulicy śmieciarkę blokującą przejazd. Jęknął cicho, wcisnął hamulec i zaczął się cofać.

– Pogadam z tobą później, John – rzuciła Clarke do telefonu. – Na razie muszę się pokajać za słabe pilotowanie...

Na St Stephen Street ekipy telewizyjne pakowały sprzęt. Fox pojechał dalej, żeby znaleźć miejsce do parkowania, a Clarke wcisnęła dzwonek mieszkania Issy Meiklejohn.

– Czego? – zatrzeszczał głos w domofonie.

– Detektyw inspektor Clarke.

– Nie zajęło wam to dużo czasu.

Clarke usłyszała brzęczyk sygnalizujący otwarcie drzwi i weszła na piętro Meiklejohn. Drzwi do mieszkania były już otwarte, córka lorda

trzymała przy nich wartość.

– Muszę z nim porozmawiać – oświadczyła Clarke.

– Jest zmęczony.

– A tak w ogóle to świetne zagranie z tą konferencją prasową w progu domu. Same przyjazne media, osobiście zaproszone? – Clarke zerknęła do środka nad ramieniem wyższej dziewczyny.

– Niech pani wróci później – zażądała Issy Meiklejohn.

Clarke pokręciła głową.

– Mój szef chce widzieć lorda Strathy’ego w komisariacie. Pani ojciec nie ma wyboru, musi tam ze mną pojechać. Na zewnątrz czeka nieoznakowany wygodny samochód. Załatwimy to cicho, bez awantur.

– To jakiś absurd.

Clarke wzruszyła ramionami w przeproszającym geście.

– Tak czy owak, to jedyne wyjście – mruknęła.

– Niech pani tu minutę zaczeka – powiedziała po krótkim namyśle dziewczyna i zatrzasnęła drzwi, zostawiając Clarke na klatce schodowej. Ta nacisnęła delikatnie klamkę, ale drzwi były zamknięte.

Otworzyły się po dwóch, nie po jednej minucie. Lord Strathy miał na sobie oliwkowozielony tweedowy garnitur i niezapiętą pod szyją białą koszulę. Nie ogolił się i na obwisłych policzkach widać było srebrzystą szczecinę. Robił wrażenie oszołomionego i czuć było od niego whisky. Córka włożyła szkarłatny płaszcz do kolan; pod nim miała czarny golf i obcisłe spodnie, których nogawki wsunęła do wysokich botków. Sprawdziła, czy ma klucze i telefon, po czym wyprowadziła ojca na korytarz i zamknęła za sobą drzwi.

*Wychodzimy*, napisała Clarke Foxowi.

– Adwokatka ojca chce wiedzieć, w którym komisariacie ma się z nami spotkać – powiedziała Issy Meiklejohn. – Nazywa się Patricia Coleridge i jest bardzo, bardzo dobra.

– Znam ją, specjalizuje się w prawie karnym – odparła Clarke, po czym zwróciła się do lorda Strathy’ego: – Ciekawe, że to jedyna prawniczka, jaką pan zna.

- Ojciec Patsy uczył się w tej samej szkole co tato - oznajmiła Issy Meiklejohn. - Nasze rodziny znają się od niepamiętnych czasów.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - mruknęła Clarke, kiedy szli na dół po schodach.

**PIEKŁACĄ SIĘ ISSY MEIKLEJOHN** zostawiono na korytarzu, a jej ojciec trafił do pokoju przesłuchań B komisariatu w Leith. Sutherland już wcześniej wyznaczył Clarke i Foxa do prowadzenia przesłuchania i odbył rozmowę z Patricią Coleridge. Poinformował ją, że nie zostały postawione żadne zarzuty i jej klienta nie uprzedzono o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań. Zastrzegł przy tym, że jeśli lord nie będzie chciał współpracować, ta sytuacja może się szybko zmienić.

Clarke wiedziała, że Coleridge ma umysł ostry jak brzytwa. Prawniczka otworzyła oprawiony w skórę duży notatnik i odkręciła obsadkę drogiego wiecznego pióra. Miała słomkowego koloru włosy, wystające kości policzkowe i szare oczy przeszywające rozmówcę. Obok notatnika leżało nietknięte etui na okulary. Rozmowa nie była nagrywana, wszystko miało się odbyć w miłej, nieoficjalnej atmosferze.

Strathy rozejrzał się z widocznym zakłopotaniem po małym pomieszczeniu.

- Nie musisz odpowiadać na żadne pytanie - powiedziała Coleridge, kiedy cmoknąwszy ją w policzek, siadł obok niej na krześle. - Wystarczy proste „bez komentarza”.

Fox przyniósł część papierów ze śledztwa i studiował oś czasu.

- Wątpię, żebym się wam do czegoś przydał - oświadczył lord Strathy, rozkładając bezradnie dłonie.

- Gdzie pan przebywał w ciągu ostatnich kilku dni? - zapytała Clarke, przechodząc od razu do rzeczy.

- Bez komentarza.

- W czasie, gdy pan zniknął, doszło do dwóch zabójstw. Jednego tutaj, drugiego na północy. To dziwny zbieg okoliczności, że akurat wtedy zapadł się pan pod ziemię.

– Zapewniam panią, że nie ma tu żadnego związku.

– Wiedział pan, że będziemy chcieli pana przesłuchać. Bał się pan, że coś się panu wymysknie?

Coleridge westchnęła teatralnie, bawiąc się piórem.

– Ma nam pani do zaoferowania wyłącznie szyte grubymi nićmi spekulacje, pani inspektor? – powiedziała.

Clarke zignorowała ją, utrzymując kontakt wzrokowy z Ramsayem Meiklejohnem.

– Kiedy widział się pan ostatnio z Salmanem bin Mahmoudem? – zapytała.

Lord wydał policzki.

– Kilka tygodni temu.

– A dokładniej?

– Pięć albo sześć.

– Tutaj czy na północy?

– W Londynie. Spotkaliśmy się w grupie kilku osób w jego domu.

– W celu biznesowym czy rozrywkowym?

– Chyba w jednym i drugim... W dzisiejszych czasach nie ma czegoś takiego jak darmowy lunch, prawda? – mruknął Strathy, uśmiechając się do prawniczki, lecz ta pozostała śmiertelnie poważna.

– Wystarczy „bez komentarza”, pamiętaj – przypomniała.

– Nie zrobiłem nic złego, Patsy – zapewnił ją.

– Mimo to nie jest pan w stanie powiedzieć, gdzie pan przebywał przez kilka ostatnich dni – stwierdził Fox.

Meiklejohn ponownie spojrzał na dwoje detektywów.

– Oczywiście, że jestem w stanie to powiedzieć. Nie zamierzam tego po prostu robić.

– Ale nie ukrywał się pan?

– Nie.

– I nie było tak, że uciekł pan ze strachu? – zapytała Clarke. – Nie mam na myśli tego, że bał się pan przesłuchania, lecz raczej czegoś lub kogoś innego.

– W żadnym wypadku – zaprzeczył, lecz i ona, i Fox zauważyli, że mówiąc to, poruszył się lekko na krześle.

Prawniczka próbowała odwrócić ich uwagę, zadając własne pytanie.

– Byłoby dobrze, gdybyśmy wiedzieli, dlaczego waszym zdaniem lord Strathy może w ogóle pomóc w tej sprawie. Salman bin Mahmoud był zwykłym partnerem biznesowym, niczym więcej.

– Relacje biznesowe mogą się łatwo popsuć, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi duże sumy. Ośrodek golfowy niedaleko Naver miał kosztować kilkadziesiąt milionów. Co najmniej kilka z nich miało wyładować w pańskiej kieszeni, lordzie Strathy. Salman bin Mahmoud był jednym z pańskich inwestorów.

– W bardzo ograniczonym wymiarze.

– Był panu winien pieniądze?

– Wprost przeciwnie. Miał zamiar zainwestować więcej, niż deklarował na początku. Jego śmierć nie tylko nas zszokowała, ale też uderzyła.

– Ma pan na myśli, że uderzyła po kieszeni? – zapytała Clarke i Strathy pokiwał głową. – A co pan może powiedzieć o wykupie pola golfowego Craigentiny? Też był pan w to zaangażowany?

– Nie w sensie finansowym. Stewart Scoular oczywiście o tym wspominał.

– Jak dobrze zna pan Stewarta Scoulara?

– Robimy czasem interesy.

– Ale zaprasza go pan na przyjęcia? Na przykład te, które wydaje pan na zamku Strathy? – Clarke dała znak Foxowi, a ten wyciągnął z teczki zdjęcia z czasopisma i rozłożył je na stole.

Słoneczny, wietrzny dzień, uśmiechnięte twarze przed dużym białym namiotem, wzniesione kieliszki z szampanem.

– To jest Salman bin Mahmoud – powiedziała, wskazując jedną z postaci. – A to Stewart Scoular.

– I wasz komendant główny – odparował Meiklejohn. – Który jest moim znajomym.

– To znaczy inwestorem?

– Dokąd to wszystko zmierza? – przerwała im Coleridge, zerkając na swój cienki złoty zegarek.

– Wtedy właśnie wydarzył się tamten incydent, prawda? – zapytała Clarke. – Na imprezę wtargnął niejaki Keith Grant.

– To było tego samego dnia? – Meiklejohn nie wydawał się tego taki pewien.

– Ten sam Keith Grant, którego zamordowano w jednym z baraków na terenie Obozu Tysiąc Trzydziestego Trzeciego, na pańskiej ziemi, zaledwie kilka dni po śmierci Salmana bin Mahmouda.

– Wszystko to jest niewątpliwie bardzo ciekawe – wtrąciła Coleridge – ale mój klient poświęcił wam już chyba dość swojego czasu. – Zamknęła zamaszyście notatnik i zaczęła zakręcać obsadkę pióra, którego ani razu nie użyła.

– Dwa projekty – ciągnęła Clarke. – Dwaj uczestniczący w nich mężczyźni ponoszą śmierć i nagle pan, lordzie Strathy, zapada się pod ziemię.

– Wychodzimy – rzuciła Patricia Coleridge, wstając od stołu i trącając klienta.

– Jedzie tutaj z Inverness detektyw, który chce zadać lordowi kolejne pytania – oznajmiła Clarke.

– Wychodzimy stąd teraz, chyba że ma pani zamiar aresztować mojego klienta.

– Jeśli ma pan jakieś obawy, możemy pana ochronić – powiedział Fox, nachylając się nad stołem, by zwrócić na siebie uwagę Meiklejohna. – Chodzi o Stewarta Scoulara? To jego pan się boi?

– Bez komentarza – wyjąkał przesłuchiwany, podnosząc się powoli z krzesła.

– Pańska córka prowadzi z nim interesy, prawda? – zapytała ostrzejszym tonem Clarke. – Co ciekawe, nie wspomniała, że odwiedzał pan dom ofiary w Londynie.

– Nie ma powodu, żeby o tym wiedziała. – Meiklejohn zaczął kaszleć, a potem wstał, zachwiał się i zacisnął dłonie na oparciu krzesła. Kiedy

próbował zrobić krok przed siebie, ugięły się pod nim nogi, twarz jeszcze bardziej poczerwieniała i pojawił się na niej grymas bólu.

Coleridge pchnęła drzwi.

– Issy! – zawołała, lecz dziewczyna już przy niej była i widząc, w jakim stanie jest ojciec, otworzyła szeroko usta z przerażenia. Clarke wzywała przez telefon ratowników.

– W budynku jest defibrylator – przypomniał jej Fox.

Podtrzymywany przez dwie młode kobiety lord Strathy pochylał się i przyciskał dłoń do klatki piersiowej.

– Trzeba wezwać karetkę! – krzyknęła Issy.

– Nic mi nie będzie – zapewnił, klepiąc ją wolną ręką po dłoni. – Muszę tylko zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Jedziesz do szpitala – oświadczyła Issy nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Jak mogłaś im na to pozwolić, Patsy? – zwróciła się do Coleridge. – Jak mogłaś?

Patricia Coleridge posłała Clarke i Foxowi spojrzenie, które nie pozostawiało wątpliwości, że znajdzie sposób, by obarczyć ich odpowiedzialnością za wszystko, co się stało.

W progu pokoju stanął Graham Sutherland. Za jego plecami tłoczyli się inni śledczy i personel administracyjny. Kiedy popatrzył na Clarke, zdołała tylko unieść jedną brew. Powiedział kiedyś, że wygląda wtedy czarująco, wątpiła jednak, by to w tej chwili docenił.

## Rozdział 30

OTRZYMAWSZY ESEMESA OD CREASEYA, Clarke zeszła na dół, żeby się z nim przywitać. Zaparkował gdzieś przy Leith Links i szedł Queen Charlotte Street w jej stronę.

– Inspektor Clarke? – domyślił się i pomachał jej ręką.

– Jak się jechało?

– Mniej więcej tak, jak pani przewidziała. – Miał zamiar minąć ją i wejść do komisariatu, ale zatrzymał się, widząc wyraz jej twarzy. – Wypuściliście go?

– Zabrali go do szpitala. Bóle w klatce piersiowej.

– Symulował?

– Nie sądzę.

– Cholera. – Creasey wzniósł oczy do nieba. – Powiedział coś użytecznego?

– Niekoniecznie.

– Ale nagraliście przesłuchanie?

– Niestety, nie.

Opuścił wzrok, żeby na nią spojrzeć.

– Jak to?

– To miała być nieoficjalna rozmowa.

– Jak daleko stąd jest szpital?

– Nie wpuszczą pana do niego.

– Muszę spróbować.

– Nie chce pan się najpierw napić kawy czy czegoś innego?

Detektyw sierżant pokręcił głową.

– W takim razie pojedziemy moim samochodem – zaproponowała. – Potrzebuje pan pewnie jakiejś odmiany...



– Z całą pewnością potrzebuję przełomu. Miałem nadzieję, że zapewni go lord Strathy.

Prowadząc Creaseya do vauxhalla astry, Clarke przekazała esemesem najnowsze wieści Foxowi. Przez kilka pierwszych minut jechali w milczeniu. Creasey opierał głowę o zagłówek.

– A dziewięć nadal taka koszmarna? – mruknęła. – Tak czy owak, miło jest nie mieć przez chwilę na głowie Johna.

Detektyw sierżant parsknął cicho.

– Jak to się mówi? Niezły z niego agent?

– Słyszałam na jego temat prawie wszystko. Ale jest dobrym detektywem: ani na moment nie odpuszcza. – Clarke przez chwilę milczała. – Uważa pan, że to Samantha jest sprawczynią?

– Ona albo jej kochanek. Tak wygląda standardowy scenariusz.

– Więc to są pana główni podejrzani?

– Uważają tak wszyscy poza Johnem Reusem. Wypichcił już z dziesięć teorii spiskowych. – Creasey obrócił się w fotelu, żeby na nią spojrzeć. – W większości wyssanych z palca.

– A mimo to przyjechał pan tutaj, detektywie?

– Co pani ma na myśli?

– Jedna z teorii Johna skłoniła pana do przyjazdu do Edynburga. On uważa, że brakuje panu wyobraźni, ale to, że pan tu jest, dowodzi, że się myli.

– Pracowała z nim pani bardzo długo?

– Takie odnoszę wrażenie.

– Emerytura chyba mu nie służy. Wiem, że stawką jest dobre imię i wolność jego córki, więc jest zdesperowany, ale czuję również, że świetnie się bawi, choć sam na pewno nie określiłby tego w ten sposób.

Clarke przypomniała sobie stos akt w nowym mieszkaniu Rebusa. Wiedziała, że ma zamiar przeglądać nierozwiązane stare sprawy. „To coś, co będzie mnie grzało na stare lata”, przypomniała sobie jego słowa.

– Uważa chyba, że zawiódł Samanthę – powiedziała. – Nie raz, ale wiele razy.

– I teraz ma szansę to jej wynagrodzić? – Creasey analizował to, gapiąc się na witryny sklepów. – Powinienem chyba zapytać, jak toczy się pani sprawa?

– Podobnie jak u pana: potrzebujemy przełomu.

– To dwie odrębne sprawy?

Clarke pokiwała głową.

– W których występują ci sami gracze – dodała. – Pańska ofiara miała na pieńku z lordem Strathym. Lord Strathy prowadził interesy z rodziną bin Mahmoudów. Moja ofiara przyjaźniła się z córką lorda Strathy'ego. I jak dotąd pan i ja nie mamy przekonujących motywów.

– Mówiłem pani, że ja mam motyw.

– Zazdrość? Trójkąt? Chyba sam pan w to nie wierzy.

– W dniu, kiedy zginął jej partner, odwiedziła byłego kochanka. Keith odkrył to i ostro się ścięli.

– Po czym zostawili córkę samą i pojechali do obozu internowania? To ma dla pana jakiś sens?

Creasey nie odpowiedział. Oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy.

– Już niedaleko – zapewniła go Clarke. – Zainteresowała nas lady Isabella. Według mnie ma smykałkę do interesów, choć się z tym nie afiszuje. Z moich krótkich kontaktów z jej ojcem wynika, że żaden z niego biznesmen.

– Myśli pani, że jest figurantem? A tak naprawdę za sznurki pociąga córka?

– Lady Isabella jest w bliskich stosunkach ze Stewartem Scoularem... to deweloper, którego najwyraźniej lubią inwestorzy.

– Gościł także na zamku Strathy.

Clarke spojrzała na Creaseya.

– Owszem, gościł – mruknęła.

– Potrafię jak każdy korzystać z wyszukiwarki zdjęciowej Google'a.

Starła się jednocześnie patrzeć na drogę i przeczytać esemesa, który właśnie przyszedł.

– Mam go pani przeczytać? – zapytał Creasey.

– To tylko kolega z NZD. Pyta, jak długo mnie jeszcze nie będzie.

– Już za panią tęsknią?

Clarke pokręciła głową.

– Są po prostu wkurzeni, że zeszałam z linii strzału.

– Winia panią za nagłe pogorszenie się stanu zdrowia Strathy’ego?

– Skoro mnie tam nie ma, prawie na pewno.

– Ale nie była pani z nim sama w pokoju przesłuchań?

– Był tam ze mną inny detektyw, inspektor Fox.

– Ten sam, pod którego podszył się Rebus?

– Tak.

– Więc ten Fox stanie za panią murem?

Na twarzy Clarke, która włączyła właśnie kierunkowskaz, żeby podjechać pod Szpital Królewski, pojawił się krzywy uśmiech.

**KIEDY W POCZEKALNI ODDZIAŁU** ratunkowego kazano im zaczekać, Clarke przyniosła dwa kubki gorącej czekolady.

– Nie znalazłam niczego bardziej odżywczego – wytłumaczyła się.

Creasey pociągnął na próbę łyk i się skrzywił.

– Chryste, jakie to słodkie.

Clarke usiadła na twardym plastikowym krześle.

– I jak się panu podoba nasza stolica? – zapytała.

Uśmiechnął się słabo i nic nie powiedział. Po kilku minutach zerwał się z miejsca i zaczął przemierzać poczekalnię. Żaden z pacjentów nie zwracał na niego uwagi; byli zbyt pochłonięci własnymi problemami. Nie sprawiał wrażenia chorego, więc uważano, że jest prawdopodobnie zatroskanym przyjacielem albo członkiem rodziny. Clarke wiele razy odwiedzała to miejsce, znała nawet imiona niektórych ubranych na zielono ratowników. Wieczór nie był szczególnie ciężki, na pozór panował spokój. Wiedziała jednak, że gdzieś na korytarzach leżący na wózkach pacjenci czekają, aż zwolni się łóżko, i w tym momencie nikt o nich nie pamięta, bo zdarzył się jakiś poważniejszy wypadek. Creasey wyjął z kieszeni telefon i chodząc tam i z powrotem, sprawdzał coś na ekranie.

W końcu, przeczytawszy wszystko, co miał do przeczytania, usiadł z powrotem na krześle, podważył pokrywkę kubka i spojrzał na stygnący na powierzchni czekolady kożuch.

– Spóźni się pan do domu – mruknęła Clarke. – W tej robocie jedno jest pewne: demuluje wszystko inne. Mieszka pan w Inverness?

– W Culloden.

– Żonaty?

– Jeszcze nie. A pani? – spytał i patrzył, jak Clarke kręci głową. – Mój chłopak mówi, że może w przyszłym roku.

– Czym się zajmuje?

– Jest lekarzem rodzinnym.

– Trudno pogodzić dwa nienormowane czasy pracy – mruknęła, na co reakcją był przelotny uśmiech. – Ostatnio spotykam się z gliniarzem, ale nie wiem, czy to wypali.

– Na ogół to się udaje, prawda?

– Chyba tak... – Clarke przerwała, widząc Issy Meiklejohn, która wyszła z oddziału ratunkowego i zmierzała w ich stronę.

Oboje wstali z krzeseł.

– Detektyw sierżant Creasey – przedstawił się, ale gniew dziewczyny był skierowany wyłącznie na Clarke.

– Co pani tu, do diabła, robi?

– To nie był mój pomysł – wyjaśniła Clarke. – Jak się czuje pani ojciec?

– Przechodzi w tym momencie badania.

– Miałem nadzieję, że z nim porozmawiam – powiedział Creasey i to zwróciło na niego uwagę Issy.

– Dlaczego?

– Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa Keitha Granta.

– Jaki to ma, do cholery, związek z moim ojcem?

– Rozmawiamy ze wszystkimi, którzy znali ofiarę.

– W takim razie tracicie tylko czas.

– Pan Grant bardzo chciał odkupić od pani ojca teren, na którym znajdował się Obóz Tysiąc Trzydziesty Trzeci.

– Mój ojciec nie pozostawił cienia wątpliwości, że ten teren nie jest na sprzedaż. Proponowana suma była zresztą śmiesznie niska. Koniec kropka.

– Mimo to...

Meiklejohn dała krok do przodu i jej czoło znalazło się tylko kilka centymetrów od czoła Creaseya.

– Koniec. Kropka – warknęła i popatrzyła na Clarke. – Nasza prawniczka pisze skargę na pani zachowanie – wycedziła.

– Rozumiem. I naprawdę mam nadzieję, że pani ojciec wróci do zdrowia.

Napięcie na twarzy dziewczyny nieco zelżało i rozluźniła zaciśnięte szczęki.

– Dziękuję. W tym momencie nie ma bezpośrednich powodów do obaw.

Przez chwilę patrzyła na Clarke, a potem odwróciła się na pięcie i odeszła. Na wysokości recepcji przystanęła jednak, jakby się nad czymś zastanawiała, po czym wróciła do dwojga detektywów.

– Jeśli można, chciałabym zamienić z panią słówko na osobności – powiedziała do Clarke i wykluczywszy jako miejsce rozmowy poczekalnię i teren przed szpitalem, skierowała się do damskiej toalety.

Clarke zerknęła na Creaseya, wzruszyła ramionami i podążyła za nią.

Wewnątrz były dwie wąskie kabiny i umywalka. Meiklejohn sprawdziła, czy kabiny są puste, i oparła się plecami o drzwi, blokując wejście.

– Mogę pani zaufać? – zapytała.

– To zależy.

– Żadna z tych spraw nie ma nic wspólnego z moim ojcem. Więc jeśli coś pani ujawnię, nie musi pani dzielić się z nikim tą informacją.

– Chodzi o powód, dla którego zapadł się pod ziemię?

– Jest przerażony. Uważa, że jakiegokolwiek powiązania z toczącym się śledztwem nie tylko narażą na szwank jego dobre imię, ale też zagrażają

jego przyszłym interesom. Nie ukrywał się przed wami ani przed nikim, kogo mógłby się obawiać.

– Zamieniam się w słuch...

Szukając wsparcia, Meiklejohn wzniosła oczy do nieba... a w każdym razie do poplamionego sufitu.

– To nie wyjdzie poza te cztery ściany? – zapytała.

– Chyba że uznam, że ma znaczenie dla sprawy.

– Chodzi mi tylko o to, żebyście przestali nękać mojego ojca.

– Z całym szacunkiem, ale nie uważam, żeby...

– Ma po prostu romans, rozumie pani? – wybuchła dziewczyna. – Spotyka się z kobietą w Londynie. Mężatką. Jej mąż o niczym nie wie. Wszystko jest utrzymywane w wielkiej tajemnicy.

– A mimo to zwierzył się pani?

– Zawsze się zwierza. – Ton Meiklejohn sugerował, że raczej jej to ciąży. – Mąż tej kobiety wyjechał niedawno na kilka dni za granicę. To była pierwsza okazja, żeby mogli pobyć ze sobą dłużej, i skwapliwie z niej skorzystali. Wynajęty apartament, dowożone jedzenie, dobrze zaopatrzony barek. Dopiero pod koniec uznał, że powinien włączyć wiadomości, i zobaczył, że o nim trąbią. Przyjechał prosto do mnie.

– Bo potrafi pani sobie radzić z kłopotami. – To było raczej stwierdzenie faktu niż pytanie. – Czy mężatka potwierdzi tę historię?

Meiklejohn skrzyżowała ręce na piersiach.

– Nie podam pani jej nazwiska.

– Trudno będzie przyjąć to na wiarę bez potwierdzenia, Issy.

– Może poproszę ją, żeby się z panią skontaktowała? Niech mi pani da swój numer.

Clarke podała numer, a dziewczyna wstukała go do swojego telefonu.

– Zaufałam pani, pani inspektor. Proszę mnie nie zawieść – powiedziała i odwróciła się, żeby otworzyć drzwi.

– Skoro już rozmawiamy... – zaczęła Clarke.

– Tak?

– Keith Grant.

– Słucham.

– Wtedy, kiedy wtargnął na wydawane przez pani ojca przyjęcie...

– To było bardzo krępujące.

– Zwracał się do potencjalnych inwestorów? – zapytała Clarke i Meiklejohn pokiwała głową. – To był jedyny raz, kiedy go pani spotkała?

– Trudno to nazwać spotkaniem. Maszerował po prostu po trawniku w naszą stronę, wykrzykując coś na temat tego cholernego obozu.

– Aż wyrzucił go stamtąd Colin Belkin?

Dziewczyna bacznie przyjrzała się Clarke.

– Jest pani cholernie dobrze poinformowana.

– Lubię być poinformowana.

– Ojciec powiedział mi potem, co to za facet. Wiedziałam oczywiście o tym obozie i szalonych planach, jakie mieli wobec niego niektórzy. – Meiklejohn wzruszyła ramionami.

– Jess Hawkins bardziej daje się we znaki pani ojcu?

– To gra na przeczekanie. W przyszłym roku będziemy mieli nową wycenę ziemi. Podniesiemy czynsz i ta cygańska horda będzie się musiała wynieść.

– Razem z pani były macochą.

– Nie będzie to wielką stratą ani dla mnie, ani dla ojca.

– Nie wygląda na to, żeby brakowało mu damskiego towarzystwa.

– Ta uwaga jest poniżej pani poziomu, pani Clarke.

– Detektyw inspektor Clarke.

– Mogę już iść?

– Proszę mi jeszcze odpowiedzieć na jedno pytanie. Lord Strathy powiedział nam, że odwiedził pana Mahmouda zaledwie kilka tygodni przed jego śmiercią.

– Tak?

– Więc dlaczego pani skłamała?

Dziewczyna się zjeżyła.

– Nie skłamałam.

– Ani ojciec, ani Salman pani o tym nie poinformowali?

– Najwyraźniej.

– Knuli coś między sobą bez pani wiedzy?

Przez moment wydawało się, że Meiklejohn coś na to odpowie, lecz uśmiechnęła się tylko chłodno i wyszła z toalety. Clarke stała przed lustrem, patrząc na swoje odbicie, ale tak naprawdę wcale go nie widziała. Chwilę później zadzwonił John Rebus.

– Mam niewiele do przekazania – powiedziała. – Strathy pojawił się z adwokatką, niewiele co powiedział, a potem poczuł się gorzej i wyładował w szpitalu.

– Zwyczajny dzień w biurze, tak? Czy Creasey zdążył na czas?

– Nie. Jest tu ze mną w Szpitalu Królewskim.

– Strathy podał wam jakiś przekonujący powód swojego zniknięcia?

– Mógł mieć taki powód... niemający nic wspólnego z żadnym z zabójstw. Będę musiała to sprawdzić.

– Co konkretnie?

– Mówię ci tylko to, co musisz wiedzieć, John.

– Właśnie dlatego pytam.

– Może później, co? Creasey wydaje się całkiem dobry w tym, co robi – dodała po chwili.

– Próbujesz zmienić temat.

– Naprawdę nie mogę teraz o tym mówić.

– Czy Creasey będzie miał szansę pogadać ze Strathym?

– Dziś wieczorem chyba nie. Strathy przechodzi badania, a jego córka trzyma przy nim wartę.

Clarke przyszła nagle do głowy pewna myśl i wyszła z toalety. W recepcji nie było śladu po Creaseyu. Dostrzegłszy szansę, skorzystał z niej.

– Muszę kończyć – rzuciła i rozłączyła się.

Zza ścianki działowej za recepcją dobiegały podniesione głosy. Kiedy tam podeszła, Creaseya wyprowadzali właśnie z oddziału dwaj sanitariusze. Pochód zamykała rozsierdzona Meiklejohn.



- To będzie przedmiotem kolejnej skargi! - zawołała do Clarke i zniknęła za przepierzeniem.

Creasey podniósł ręce w geście kapitulacji, więc sanitariusze tylko na niego groźnie popatrzyli i podążyli za dziewczyną. Detektyw udał, że poprawia marynarkę i krawat.

- To nie było zbyt sprytne - skomentowała Clarke.

- Założę się, że pani zrobiłaby to samo.

Nie mogła się z nim nie zgodzić.

- I co?

- Miał na twarzy maskę tlenową. Wątpię, czy cokolwiek bym z niego wyciągnął, nawet gdyby chciał współpracować.

- Wie pan, że ona złoży tę skargę.

- Teraz, kiedy już się zaprzyjaźniłyście, może się pani za mną wstawi - mruknął, wskazując toaletę, i w tej samej chwili zadzwonił jego telefon. - Muszę odebrać - powiedział, ruszając do wyjścia.

- Nigdy nie jest nudno, prawda? - usłyszała czyjś głos.

Spojrzała w stronę, z której dochodził. Siedzący na krześle młody człowiek obejmował kontuzjowane ramię.

- Wie pan, co powiedziałby na to mój dawny kolega? - zapytała.

- Co?

- Że to jeden z najlepszych kawałków Roda Stewarta<sup>2</sup>.

Właśnie miała zamiar dołączyć do Creaseya na zewnątrz - nie było sensu tu sterczeć - kiedy wbiegł z powrotem do środka.

- Muszę wracać na północ. - Był wyraźnie rozkojarzony i miał rozbiegany wzrok.

- Co się stało?

- Nie mogę powiedzieć.

- Dziękuję za dowód zaufania.

W końcu spojrzał jej w oczy, choć trwało to bardzo krótko, po czym wyszedł z nią na zewnątrz i rozejrzał się, czy nikt nie podsłuchuje.

- Być może odnaleźliśmy właśnie narzędzie zbrodni - oznajmił.

- Rewolwer.

– Rebus pani powiedział? – Clarke pokiwała głową. – Na rękojeści są chyba ludzkie włosy i krew.

– Gdzie został odnaleziony?

– Przy drodze, na skraju pola. Muszę natychmiast wracać.

– Samochód stoi tam – powiedziała i ruszyła w stronę astry.

Kiedy prowadziła, Creasey telefonował. Rewolwer mieli zabrać do analizy. Poszukiwania wokół miejsca, gdzie go znalezione, miały zostać wznowione i zintensyfikowane w nadziei, że zabójca porzucił tam coś jeszcze: zakrwawione ubranie albo rzeczy, które zabrał z torby. Media pewnie szybko się o wszystkim dowiedzą, więc być może trzeba będzie zwołać konferencję prasową, na której złoży oświadczenie któryś z szefów Creaseya.

– Na razie jednak spróbujemy zachować to w tajemnicy – zwrócił się detektyw sierżant do rozmówcy. – I gratuluję sukcesu. Przekaż to całemu zespołowi. Ale nie osiadajcie na laurach. Jeśli już, to musimy się jeszcze bardziej przyłożyć.

– Jak duży jest ten zespół? – zapytała Clarke, kiedy skończył.

– Brakuje nam ludzi – przyznał.

– Dojeżdżacie z Inverness?

– Założyliśmy bazę w Tongue. Funkcjonariusze z Thurso, Wick, Ullapool, Dingwall... tak naprawdę ze wszystkich posterunków. Tu, na południu, jest wam łatwo, macie do dyspozycji wszystko, czego potrzebujecie.

– Pławimy się w luksusach – skomentowała Clarke. – Co oznacza, że mogę panu postawić kanapkę przed wyjazdem.

Creasey pokręcił głową.

– Zatankuję gdzieś po drodze i wtedy coś zjem. – Dostrzegła w jego oczach błysk, który pojawia się u wszystkich godnych tego miana detektywów, gdy wyczuwają, że w trudnej sprawie dochodzi do przełomu. – To pani stary przyjaciel John zwrócił uwagę na ten rewolwer – przyznał. – Zauważył, że ktoś zabrał go z półki w pubie The Glen.

– Ustalcie, kto to był, i będziecie mieli zabójcę – powiedziała, ale pokręcił głową.

– Rewolwer zabrał najprawdopodobniej sam Keith Grant. To wiąże się z obsesją, jaką miał na punkcie obozu. Być może nawet miał ten rewolwer w swojej torbie.

– Więc jak to się stało, że sprawca go użył?

– Może Keith wyjął go z torby, żeby nastraszyć zabójcę, a ten mu go wyrwał? Albo zabójca wiedział, że broń tam jest?

– Zardzewiały wojenny rewolwer?

Creasey nie był już taki podekscytowany.

– Jest dużo rzeczy, które musimy jeszcze ustalić – mruknął.

– Ale i tak jutro rano będzie pan świeży i uśmiechnięty.

– Dam radę – rzucił.

Clarke ani przez chwilę w to nie wątpiła.

Na Leith Links podali sobie szybko ręce i odjechał. Kiedy jego samochód zniknął jej z oczu, Clarke wyjęła telefon i zadzwoniła do Rebusa.

„Połączenie nie może zostać zrealizowane”.

Spróbowała jeszcze raz z tym samym wynikiem, więc napisała esemesa.

*Odnaleźli rewolwer. Creasey wraca.*

Fox musiał ją zobaczyć przez okno, bo zszedł na dół i stał przy wejściu do komisariatu.

– Mam nadzieję, że czegoś się dowiedziałas – powiedział.

– Mogę ci zaufać? – zapytała, patrząc mu długo w oczy.

– Wiesz, że możesz.

– Naprawdę?

Ale czy miała jakiś dług wdzięczności wobec Issy Meiklejohn? I czy w ogóle mogła jej ufać?

– No dobra – rzuciła. – Ale najpierw coś zjedzmy. Konam z głodu.

---

\* Nawiązanie do piosenki Roda Stewarta *Never a Dull Moment* („Nigdy nie jest nudno”).

## Rozdział 31

REBUS ZMIERZAŁ W STRONĘ OBOZU 1033. Esemes Siobhan jeszcze do niego nie dotarł, Creasey nie odbierał telefonu. Za obozem i żółtą kontenerową stróżówką był posterunek policji w Tongue. Spodziewał się znaleźć odpowiedzi w jednym lub drugim miejscu, ale już w połowie drogi zobaczył światła – nie na drodze, lecz za niskim murkiem z kamieni. Kilku funkcjonariuszy w odbłaskowych kamizelkach chodziło w pobliżu drogi, oświetlając ziemię latarkami, mimo że na dworze było jeszcze całkiem jasno. Kiedy Rebus zwolnił, pokazali, żeby jechał dalej. Zahamował jednak i zaczął się cofać. Jeden z policjantów ruszył szybko w jego stronę i stanął za samochodem, blokując drogę. Rebus musiał się zatrzymać.

– Proszę jechać przed siebie – rozkazał mężczyzna, podchodząc do bocznych drzwi.

Rebus opuścił szybę już wcześniej i teraz, ignorując polecenie gliniarza, rozpiął pas i wysiadł.

– Chciałem wam tylko pogratulować – powiedział. Policjant był zdecydowany nie dopuścić go do swoich kolegów. – Oczywiście z powodu odnalezienia rewolweru. Dobra robota, powiem detektywowi Creaseyowi. Nie ma go tutaj, prawda?

– Proszę wsiąść z powrotem do pojazdu.

– Z Edynburga ma kawał drogi, nie? Tam i z powrotem tego samego dnia. Ale chce sprawdzić, czy nie znaleźliście czegoś więcej... może telefonu albo laptopa...

Funkcjonariusz w ogóle go nie słuchał. Rozłożył ręce, tworząc coś w rodzaju jednoosobowej bariery. Nad jego ramieniem Rebus widział mały biały namiot. W środku paliła się lampa.

– Technicy jeszcze tu są? – zagadnął. – Jak na nich to późna pora.

– Proszę pana...

– Rewolwer zabrali już wcześniej do badań. Rozumiem, że to był priorytet. Pojawilo się coś więcej?

– Będę musiał pana aresztować. I dopilnuję, żeby zamknęli pana w odległym o kilkaset kilometrów miłym komisariacie, panie Rebus.

Rebus nawiązał wreszcie z facetem kontakt wzrokowy. To był policjant z Obozu 1033, ten, któremu pokazał dwa palce.

– Jestem wścibski z natury – wyjaśnił.

– To wcale nie znaczy, że nie może pan spędzić nocy w celi. Nie będzie tam tak wygodnie jak w The Glen, więc może siądzie pan jednak za kierownicą i wróci do pubu.

– Przekáže pan Creaseyowi, że o niego pytałem?

– Może pan być tego pewien.

Pokonany Rebus wsiadł do samochodu, ale zanim ruszył z miejsca, napisał esemesa do Creaseya: *Zobaczmy się w pubie?* Wiadomość nie od razu udało się wysłać: słaby zasięg. Zawróciwszy na trzy na mijance, ruszył powoli do Naver. Kiedy mijał funkcjonariusza, ten pokazał mu dwa palce.

– Miło z twojej strony – mruknął Rebus, odwzajemniając ten gest przez otwartą szybę.

**SIEDZIAŁ PRZY NAROŻNYM STOLIKU** przez ponad godzinę, przeglądając kolejne gazety, a nawet czasopismo wędkarskie sprzed miesiąca. Po odnalezieniu się lorda Strathy'ego zainteresowanie mediów wygasło. May Collins nie pozwoliła włączyć telewizora, a pieczę nad odtwarzaczem powierzyła Rebusowi. Właśnie dlatego w pubie leciała składanka Siobhan Clarke.

– Wiesz, jak ożywić atmosferę – docięła mu, dolewając coca-coli.

Nie powiedział jej o rewolwerze. Zespół Creaseya będzie chciał, żeby ona albo jej ojciec go zidentyfikowali, i zacznie się zabawa. Ale to mogło zaczekać do jutra – Collins była skonana; harówka ostatnich dni dała jej się we znaki. Nawet Cameron wyraźnie oklapł. Rebus zerknął na

zamontowaną w rogu sufitu kamerę. Collins przyznała wcześniej, że jest jedynie na pokaz i nigdy jej nie włącza.

– Nie mów tego tylko ludziom z ubezpieczalni – uprzedziła.

Kiedy zadzwonił telefon, Rebus od razu odebrał. Głos odbijał się echem, jakby Creasey dzwonił ze stacji kosmicznej. Rebus wyszedł na zewnątrz i stanął na opustoszałym chodniku.

– To był szczęśliwy traf czy solidna policyjna robota? – zapytał.

– Domyślam się, że Siobhan Clarke puściła farbę zaraz po tym, jak obiecała, że mogę jej ufać.

– Na zaufanie trzeba zasłużyć. Dlatego mnie ufa bez zastrzeżeń. Opowiedz wszystko po kolei.

– To dość proste. Broni nie było na miejscu przestępstwa, więc wydawało się logiczne, że zabójca zabrał ją ze sobą. Leżała najprawdopodobniej w samochodzie ofiary, którym zabójca wracał do Naver. Nagle zdał sobie sprawę, że wiezie ze sobą narzędzie zbrodni, więc opuścił szybę i je wyrzucił.

– I zostawił szybę opuszczoną... To wyjaśnia, dlaczego fotel pasażera był mokry.

– Może chciał przewietrzyć głowę – powiedział Creasey. – Tamtej nocy zaczęło padać dopiero po drugiej. Samochód stał już wtedy chyba w zatoczce.

– Zabójca musiał mieć pewność, że nie zostawił na rewolwerze odcisków palców.

– Owszem, jeśli rozumował racjonalnie.

– Ale na siedzeniu nie ma śladów krwi...

– Może rewolwer leżał na notesie albo komputerze. A wracając do twojego pierwszego pytania: żeby sprawdzić swoją hipotezę, kazałem moim ludziom przeszukać całą trasę, od obozu do miejsca, w którym porzucono volvo, łącznie z rowami i polami po obu stronach.

– A zatem solidna policyjna robota – zdecydował Rebus. – Domyślam się, że ci, których tam wysłałeś, bardzo cię za to pokochali.

– Teraz na pewno już mnie kochają, w przeciwieństwie do mojego doradcy bankowego.

– Trzeba postawić wszystkim browar? Ucieszysz się, kiedy powiem, że niektórzy nadal ciężko tam harują. O której godzinie możesz być z powrotem?

– Jadę teraz do Inverness.

– Będziesz miał szczęście, jeśli o tej porze znajdziesz kogoś w laboratorium.

– Nadgodziny zostały zatwierdzone i mamy paru techników. – Creasey zamilkł i po chwili dodał: – Muszę to po prostu zobaczyć na własne oczy, John.

– Jest szansa, żebyś przesłał mi fotkę?

– Żebyś pokazywał ją każdemu ze swojej listy podejrzanych? Nie sądzę.

– Myślisz, że uda się zdjąć odciski? Bóg wie, ilu bywalców pubu dotykało rewolweru przez te wszystkie lata.

– Na to wszystko przyjdzie czas później. Zadzwoń do ciebie jutro. A na razie bądź grzeczny.

– Rozmawiałeś o mnie z Siobhan?

– Trochę.

– Więc chyba wiesz, że grzeczne zachowanie nie jest moją mocną stroną. Miłej zabawy w laboratorium, synu.

– Słuchaj, John...

Rebus miał wrażenie, że usłyszy kolejne ostrzeżenie, więc zakończył rozmowę.

**COLE BURNETT LEŻAŁ NA ŁÓŻKU** ze słuchawkami w uszach, słuchając łomotu muzyki, który miał zagłuszyć jego myśli. Tej nocy jednak nie zagłuszał. Rodzice wyszli, Bóg jeden wie dokąd. Do pubu, na imprezę, żeby bzykać się z innymi. Ostatnio prawie w ogóle się do nich nie odzywał. Siedział w swoim pokoju, paląc zioło i łykając prochy. Któreś z nich zaglądało czasem z wiadomością, że jedzenie jest na stole. Nigdy nie był głodny: je

później. W środku nocy mógł sprawdzić, co jest w lodówce, albo zrobić sobie grzanekę z dżemem, jeśli nie zapomnieli kupić pieczywa.

Tej nocy miał wielkie opakowanie chipsów i słoik masła orzechowego. Zanurzył palec w maśle orzechowym i go wysysał. Czysta rozkosz. Do popitki czteropak napojów energetycznych, pół litra wódki oraz litr lemoniady. Sam jeden w mieszkaniu, żaluzje otwarte, okno uchylone. Plakaty na ścianach cofały go do czasów dzieciństwa – superbohaterów Marvela i postaci z komiksów. Plus jeden z telewizyjnych *Żywych trupów* i jeden z *Narcos*. Uwielbiał *Narcos*. To, co spotkało go z ręki Cafferty'ego i jego przydupasa, mogłoby się zakończyć zupełnie inaczej, gdyby miał broń i mógł ją wyciągnąć zza pasa. Wiedział, jak ją zdobyć. Znał ludzi, którzy znali ludzi. Ale cena była wysoka i choć inni fantazjowali, jaką mogła im dać przewagę, nigdy nie czuł, że jest mu niezbędnie potrzebna.

To się jednak zmieniło. Słyszał, że jeśli wypożyczy się gnata i go nie użyje, można odzyskać dużą część kaucji. Jeśli się z niego wystrzeli, trzeba będzie coś dopłacić, ale niezbyt wiele. Wszystko zależy od identyfikowalności, tak mu powiedziano. Po naboju można dojść do broni, z której został wystrzelony.

„Więc moja rada jest taka, Cole: jeśli strzelisz, wydłub kulę z miejsca, w którym utkwiała. Nie zostawiaj jej na miejscu przestępstwa”.

Odtwarzał tę rozmowę w pamięci, wpatrując się ze splecionymi za głowę palcami w sufit. Pomyślał o ciotce Lesa i domu, w którym mieszkała od dziewięciu lat i w którym mieli urządzić laboratorium. Kiedy wpadną tam gliny, to ona pójdzie siedzieć. Cafferty umyje od wszystkiego ręce. Mieszkał w swoim penthousie w eleganckiej dzielnicy miasta. Miał swój klub, swoją limuzynę i swoich wykidajłów. Miał dużo rzeczy, które chciał mieć Cole. A mimo to kim był? Czym był? Kolejnym frajerem, któremu się poszczęściło. Nie miał żadnej niewidzialnej peleryny albo broni w stylu Marvela. Jediną tarczą, jaką posiadał, była reputacja: gadki szmatki, jakie opowiadają sobie w pubach stare przyki.

Cole podniósł się, zsunął stopy z łóżka i postawił je na dywanie. Wyłączył muzykę. Podeszedł do okna i otworzył je na oścież. Chciał



wystawić głowę na zewnątrz i zawyc do księżycy, który wychynał właśnie na nocne niebo.

Cofnął się jednak i usiadł z powrotem na łóżku. Zerknął na komórkę i przygryzł dolną wargę. W końcu podjął decyzję i wybrał numer.

- Co jest, kurwa? – odezwał się głos z drugiej strony.
- Mogę dostarczyć hajs – powiedział Cole. – Jak prędko będę to miał?
- Zależy ci na konkretnej marce i modelu?
- Zależy mi, żeby działał.
- W takim razie będzie jutro. Szczegóły później.

Rozmowa się zakończyła. Cole wziął do ręki otwartą puszkę napoju energetycznego, pociągnął łyk i zaczął wysyłać wiadomości do kumpli. Nadeszła pora, żeby poprosić ich o przysługę.

# Dzień szósty

## Rozdział 32

**REBUS, MAY COLLINS** I Cameron kończyli właśnie śniadanie w kuchni, kiedy od zamkniętych frontowych drzwi dobiegł jakiś hałas. Collins poszła zobaczyć, co się dzieje; Rebus dobrze wiedział, co ją czeka. I rzeczywiście: po chwili wróciła lekko podenerwowana, starając się tego nie okazywać.

– Potrzebują naszych odcisków palców, Cameron – oznajmiła. – Policja czeka w pubie.

– Co się dzieje? – zapytał chłopak.

– Znaleźli rewolwer. Uważają, że może być stąd. – Zdjęła z wieszaka płaszcz. – Muszę z nimi pojechać. Potrzebne im są także odciski mojego ojca.

Cameron wcisnął do ust ostatni kawałek chleba i wstał z krzesła. Rebus zrobił to samo i ruszył za Collins do pubu. Zestaw do pobierania odcisków rozłożono na jednym ze stolików. Robin Creasey przyglądał się fotografiom Johna Lennona.

– Przespałeś się trochę? – zapytał Rebus.

– Niewiele. – Creasey popatrzył na Collins. – Obawiam się, że będzie pani musiała pojechać z ojcem do Inverness. Tam znajduje się broń i chcemy, żebyście ją zidentyfikowali.

– Nasze odciski nie będą wystarczającym dowodem? – zapytała May.

– Może wystarczyłoby pokazać jej zdjęcie rewolweru? – zasugerował Rebus.

– Nie sądzę – odparł Creasey, mimo to wyjął telefon i trzymając ekran przed kobietą, otworzył galerię i przesunął palcem fotki.

Rebus zmienił pozycję, by obejrzeć je zza jej ramienia. Zardzewiała rewolwer z kawałkiem białej tkaniny, która zakrywała rękojeść. Wiedział dlaczego: pod spodem były włosy i krew, coś, czego nie powinien zobaczyć cywil. Przewijając z powrotem fotografie, Creasey nie spuszczał wzroku

z Collins; obserwował jej reakcję. Dotknęła palcami policzka, jakby to mogło jej pomóc się skoncentrować.

– Wygląda podobnie – przyznała w końcu.

– Uważamy, że są na nim ślady, które będą pasowały do gwoździ w ścianie. – Creasey wskazał zdjęcie, na którym fotograf starał się uzyskać maksymalne zbliżenie, a jego asystent przystawiał do muszki i szczerbinki drewnianą linijkę, żeby dać pojęcie o wymiarach.

– Łatwiej byłoby przywieźć rewolwer tutaj – mruknął Rebus. – Jazda do Inverness to będzie męka dla schorowanego starca.

– Nic złego nam się nie stanie, John – zapewniła go bez większego przekonania May Collins. – Dasz sobie sam radę? – zwróciła się do Camerona.

Młody barman siedział przy stoliku, przy którym pobierano od niego odciski palców.

– Ale potem je skasujecie, tak? – chciał koniecznie wiedzieć. – Nie będziecie ich trzymali w jakiejś bazie danych Wielkiego Brata?

– Bez obaw – mruknął Creasey, lecz to raczej nie uspokoiło Camerona.

Kiedy przy stoliku usiadła Collins, Rebus wziął Creaseya na stronę.

– I jaką masz teraz teorię? – zapytał półgłosem.

Detektyw sierżant wzruszył lekko ramionami.

– Staram się, jak zawsze, mieć otwarty umysł.

– Rewolwer zabrano stąd z jakiegoś powodu. Może z tego samego powodu użyto go wobec Keitha.

– A może po prostu był akurat pod ręką. Jak już mówiłem, niczego nie wykluczam. – Creasey poruszył kilka razy ramionami i pokręcił szyją.

– Kilometry dają się we znaki – skomentował Rebus. – Kiedy technicy skończą z rewolwerem?

– Jeszcze dzisiaj dostanę raport. Krew i włosy zostaną oddane do analizy. Sprawdzą, czy nie ma na nim jakichś włókien albo odcisków. Rewolwer pochodzi z lat czterdziestych. Nie został wycofany z użytku, ale jest kompletnie zardzewiały. Spust i cylinder są zablokowane. W lufie pełno szlamu i ani jednego naboju w bębnie.

– Widać numer seryjny?

– Jest ledwo widoczny. Jeden z techników zna na szczęście faceta, który uważa się za eksperta. Jeśli można namierzyć tę broń, namierzymy ją. – Creasey zajrzał do notesu. – To webley kalibru trzydzieści osiem, model czwarty. Masowo produkowany podczas wojny.

– Czy na pewno leżał długo na dnie morza, zważywszy, w jakim jest stanie?

Creasey zmierzył Rebusa baczny spojrzeniem.

– Powątpiewasz w opowieść pana Collinsa? – zapytał.

– Podobnie jak ty niczego nie wykluczam.

– Przy tych rozmiarach uszkodzeń jego wersja wydaje się całkiem prawdopodobna. Jeśli będzie trzeba, możemy chyba przeprowadzić datowanie radiowęglowe piasku w cylindrze.

Usłyszeli szuranie nóg krzesła i odwrócili się. May Collins patrzyła wyczekująco na Creaseya.

– Jeśli jest pan gotów, to ja też – odezwała się rzeczowym do bólu tonem. – Dużo nie zarobisz – zwróciła się do Rebusa – ale jeśli chcesz, możesz dziś postać za barem.

– Dam sobie radę – zaprotestował Cameron.

– Jeśli będzie trzeba, pomogę – zapewnił ją Rebus.

Collins, nie patrząc mu w oczy, pokiwała głową, po czym zapięła kurtkę i sprawdziła, czy ma telefon.

– Nie rozrabiajcie, kiedy mamy nie będzie w domu – powiedziała i zaczęła, aż Creasey otworzył przed nią drzwi. Kiedy się za nimi zamknęły, Cameron je zaryglował.

– Do otwarcia zostało jeszcze trochę czasu – wyjaśnił. – Przydałby mi się drink po tym wszystkim. – Stał za barem i dotknął palcami trzech cienkich gwoździ. Nagle skrzywił się i zaklął; naciągnął rękaw bluzy na dłoń i wytarł nim gwoździe i lustrzaną szybę za nimi.

– To się nazywa manipulowanie dowodami rzeczowymi – zbeształ go Rebus.

- Ja to nazywam ochroną niewinnych - odpalił Cameron. - Czy nie powinniśmy zaparzyć więcej herbaty?

- Jeśli ci to nie przeszkadza, chciałbym posiedzieć trochę przy komputerze, sprawdzić kilka rzeczy.

- Jakich rzeczy?

- Na początek dotyczących miejscowej historii.

- Może pan zawsze zapytać ludzi z kółka historycznego Keitha.

- Być może będę musiał, ale tymczasem...

Cameron, nawet jeśli tego nie zrozumiał, pokiwał głową.

- Idę postawić wodę na herbatę - powiedział, zмирzając w stronę kuchni.

**NACISNĄWSZY DZWONEK, REBUS** czuł, że po drugiej stronie drzwi Samantha zerka przez wizjer i waha się. W końcu usłyszał odgłos zwalnianego łańcucha i obracanego w zamku klucza.

- Ostrożności nigdy nie za wiele, prawda? - rzucił, kiedy drzwi otworzyły się na oścież. - Nie tak jak kiedyś.

Dała mu znak, by wszedł, po czym założyła łańcuch.

- Wczoraj jakiś reporter wlaźł po prostu do środka - powiedziała.

- Który?

Wzruszyła ramionami, wycofując się do kuchni. Panował w niej większy niż zwykle bałagan. Twarz miała jeszcze bledszą niż poprzedniego dnia, policzki zapadnięte, włosy nieumyte.

- Co z Carrie? - zapytał, patrząc, jak córka osuwa się na jedno z krzeseł przy kuchennym stole.

- Zadaje mnóstwo pytań, na które nie mogę albo nie chcę odpowiedzieć. Ciągłe ogląda zdjęcia na swoim iPadzie... z wakacji, urodzin, Bożego Narodzenia... - Samantha wstała i włączyła czajnik. - Tak właśnie powinniśmy się zachowywać, prawda? Zrobić herbatę i udawać przez chwilę, że wszystko jest w normie?

- Mógłbym ci zadać jedno pytanie?

Spojrzała mu w oczy.

– Czy ty kiedykolwiek przestaniesz?

– To jedyna rzecz, w której jestem chyba dobry.

Samantha skupiała całą uwagę na wyjęciu dwóch saszetek z pudełka i wrzuceniu ich do stojących przy czajniku kubków. Przez chwilę zastanawiała się nad następnym krokiem. W końcu otworzyła lodówkę i sprawdziła datę przydatności na kartonie z mlekiem.

– Nie wiem nawet, jaki dziś dzień – mruknęła pod nosem. – No dobrze, pytaj.

– Znaleźli narzędzie zbrodni. To rewolwer, który leżał kiedyś za barem w The Glen.

– Ktoś go nim uderzył? Dlaczego po prostu nie zastrzelili? – Przez chwilę się zastanawiała. – Chyba go pamiętam. Ojciec May znalazł go na plaży.

Rebus pokiwał głową.

– Przypuszczam, że nigdy go tu nie widziałaś? Może w torbie Keitha?

Podając mu herbatę, z której zapomniała wyjąć saszetkę, pokręciła głową.

– I nigdy nie mówił, że zabrał go z pubu?

– Nie. – Samantha siadła z powrotem za stołem, zapominając o swojej herbacie, która nadal stała przy czajniku. Spojrzała ojcu prosto w oczy. – Pamiętasz tego faceta, który porwał mnie, kiedy byłam dzieckiem? Zrobił to, żeby dobrać się do ciebie. A potem mama zabrała mnie do Londynu. Nie mogłyśmy dłużej mieszkać w Edynburgu. Czy mnie i Carrie czeka to samo? Nowe życie w innym miejscu? Cokolwiek się zdarzy, będę musiała znaleźć pracę.

– Mam pieniądze. Lepiej, żebyś dostała je teraz, niż kiedy umrę.

– Jezu, tato. – Samantha schowała twarz w dłoniach. – Nie wystarczy, że zmagam się z jedną jebaną śmiercią?

– Przepraszam.

Po chwili znów na niego spojrzała.

– Dlaczego zabójca użył tego rewolweru?

– Może żeby dać coś do zrozumienia – odparł Rebus.

– Co masz na myśli?

– Obóz, rewolwer, brakujące rzeczy Keitha...

– Więc to ma jednak coś wspólnego z tym obozem? Nie ze mną i Jessem?

– Creaseya i jego zespół trzeba będzie jeszcze do tego przekonać – ostrzegł ją Rebus.

Samantha przypomniała sobie o herbacie i wstała, żeby ją przynieść.

– Słyszałam, że Strathy się odnalazł – powiedziała. – Pamiętam, jaki Keith był podekscytowany tamtego dnia, kiedy pojechał do zamku. W drodze do pracy widział furgonetki cateringu i firmy rozstawiającej namioty. Wiedział, co robi; chciał maksymalnie zawstydzić jego lordowską mość. Później był jak małe dziecko: podskakiwał z radości, podczas gdy tak naprawdę dorobił się rozbitej wargi.

– Sprawka ogrodnika?

– Mówiłam, żeby to zgłosił, ale tylko mnie wyśmiał. – Sprawdziła godzinę na telefonie. – Widzę się z Julie – wyjaśniła i głośno odetchnęła. – To oznacza, że znowu będę musiała stawić czoło tej szarańczy. Chcę po prostu stać się z powrotem sobą... Czy to, co mówię, ma jakiś sens?

Rebus pokiwał głową.

– Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli tu zostanę? Nie w domu, ale w garażu?

– Będziesz musiał go otworzyć. Klucz jest na stoliku w holu. Kiedy skończysz, wsuń go przez otwór na listy.

– Zamkniesz dom na klucz?

Samantha pokiwała ze smutkiem głową.

– Wszystko się zmieniło – rzuciła.



## Rozdział 33

PO KILKU GODZINACH SIEDZENIA w garażu Rebus poczuł, że musi się przewietrzyć. Wyszedł na tyły domu. Zobaczył tam trawnik, budkę na narzędzia, huštawkę i rozkładaną suszarkę na pranie. Chłostany bez ustanku wiatrem, już po minucie miał dosyć i wsiadł do wynajętego samochodu. Telefon pokazywał jedną kreskę zasięgu, więc zadzwonił do Creaseya.

– Jesteś gorszy od tych cholernych pismaków – warknął detektyw. – I nie mam ci nic nowego do powiedzenia.

– Nie dlatego dzwonię.

– W takim razie daję ci dwie minuty.

– Domyślam się, kto pisał te anonimy.

– Samantha dostała kolejny?

– Mam na myśli ten informujący Keitha o jej romansie z Hawkinsem.

– No dobrze, słucham.

– Angharad Oates.

– Przypuszczam, że to dość prawdopodobne. Nie wiem tylko, jakie to może mieć znaczenie...

– Zapomniałeś o motocyklu? Wszyscy mogą nim jeździć. Ron Travis słyszał go tej nocy, kiedy zginął Keith.

– Więc twoim zdaniem to, że Oates napisała dwa anonimy, wskazuje, że zabiła Keitha, co mogło doprowadzić do tego, że jej kochanek Jess Hawkins i twoja córka ponownie się do siebie zbliżą?

– Wiedziała, kogo policja uzna za najbardziej podejrzanego. I że skłoni to Samanthę do wyjazdu.

– John...

– No dobrze, a co powiesz na to: kiedy Keith wtargnął na przyjęcie na zamku Strathy, wyrzucił go stamtąd Colin Belkin, rozbijając mu przy okazji wargę.

– I co z tego?

– To są tropy, które powinieneś zbadać.

– Trop, którego potrzebuję, mam tu, w laboratorium.

– Odciski palców na rewolwerze?

– Wkrótce się tego dowiesz – rzucił Creasey i rozłączył się.

Rebus miał ochotę walnąć w coś pięścią. Zamiast tego przekręcił kluczyk w stacyjce.

**CMENTARZ LEŻAŁ PÓŁTORA KILOMETRA** w głąb łądu od Tongue, przy drodze do Altnaharry. Otaczał go niski kamienny murek z wysoką metalową bramą, przez którą wjeżdżały karawany. Rebus domyślał się, że konduktory pogrzebowe z pobliskich wiosek podążały kiedyś za konnym wozem wiozącym trumnę. Choć może niekoniecznie za wozem; trumnę mogli nieść na ramionach przyjaciele i członkowie rodziny. Tylko kilka grobów wyglądało na nowe; większość była zapuszczona, z pozacieranymi inskrypcjami. Ale trawę niedawno skoszono i przy kilku nagrobkach leżały świeże kwiaty. W takim miejscu niełatwo jest się ukryć, więc od razu zobaczył Helen Carter. Zatopiona w myślach albo wspomnieniach, opierała się o balkonik. Rebus podszedł do niej i odchrząknął, bo nie chciał jej zaskoczyć.

– Słyszałam pański samochód – powiedziała.

– A ja myślałem, że jest pani głucha jak pień.

– Mam założony aparat – wyjaśniła, wskazując ucho.

Stanąwszy obok niej, odczytał nazwisko na nagrobku.

– Rocznicą jego śmierci – mruknęła.

– Wiem, sprawdziłem w internecie. Myślałem, że będzie leżał na wojskowym cmentarzu.

– Wydawało nam się, że chciałby leżeć tutaj – odparła cicho Carter. – Tak w każdym razie uznała Chrissy.

Rebus przyjrzał się scenerii. Można było odnieść wrażenie, że są jedynymi żywymi istotami w promieniu wielu kilometrów: żadnych pasących się zwierząt, żadnego śpiewu ptaków. Po chwili spojrzął ponownie na grób sierżanta Garetha Daviesa.

– Zginął w wieku dwudziestu dziewięciu lat – przeczytał. – Ile lat miała Chrissy?

– Dziewiętnaście. Była dwa lata młodsza ode mnie.

– Słyszałem, że zmarła przed kilku laty.

– Miała dobre życie tam, na południu. I długie.

– Kontaktowała się z nią pani po jej wyjeździe?

– Rzadko nas odwiedzała. Za dużo wspomnień.

– To straszne, co się stało.

– I takie beznadziejnie głupie.

– Zabójca sierżanta Daviesa musiał do niej żywić silne uczucia – powiedział Rebus. – Bo o to chodziło, prawda? To była zbrodnia z namiętności?

– Tak mówili na procesie.

– Nie wydaje się pani przekonana.

Helen Carter odetchnęła głęboko.

– Chrissy nie była zbyt urodziwa... sama by panu to powiedziała. Ale lubiła, kiedy interesowali się nią mężczyźni, i wiedziała, jak wzbudzić ich zainteresowanie.

– Była flirtującą?

– To wykraczało poza flirt. – Rebus przysięgłby, że widzi w oku staruszki błysk. – I to był kolejny powód, dla którego wyjechała na południe. Rodzice nie zamierzali tego dłużej tolerować. Byli religijni, podobnie chyba jak ja. Wiedzieli, że ja nie narobię sobie kłopotów.

– Ale nie mieli takiej pewności w stosunku do Chrissy?

– Nie mieli.

– Chodziła pani wtedy ze swoim przyszłym mężem?

Przez chwilę się zastanawiała. Schowała za uszy kosmyki włosów, które rozwiewał wiatr.

– Może usiądziemy w moim samochodzie? – zaproponował.

– Niedługo zabierze mnie stąd znajomy.

– Nie jest to przypadkiem Stefan Novack?

Carter uśmiechnęła się.

– Prawdziwy z pana detektyw.

– Kiedy wychodziliście wtedy z baru, robiliście wrażenie zaprzyjaźnionych.

– Chyba ma pan rację. – Lekko zadrżała. – Ten wiatr przeszywa mnie do szpiku kości.

Rebus podał jej dłoń, lecz odtrąciła ją; zacisnęła mocniej palce na balkoniku i podreptała w stronę bramy.

– Przychodzi tu pani w imieniu Chrissy? – zapytał.

– Pewnie tak.

– Nie odpowiedziała pani, kiedy pytałem o pani chłopaka...

– O Freda – odparła. – A właściwie o Friedricha. Przez jakiś czas się przyjaźniliśmy, w końcu zostaliśmy kochankami.

– Pani rodzice to zaakceptowali?

– Niekoniecznie. Zawsze wyczuwało się, że „sypiam z wrogiem”.

– Z czasem go polubili?

– Z czasem go zaakceptowali. – Carter wbiła paciorkowate oczy w Rebusa. – Dlaczego pan o to wszystko wypytuje?

– Słuchałem wywiadu, który nagrał z panią Keith. Powiedziała mi pani, że tak naprawdę Chrissy wcale nie znała Hoffmana. Nie należał do jej adoratorów?

– Spotkali się kilka razy. – Staruszka wzruszyła ramionami. – Dowody rzeczowe wskazywały, że to on był zabójcą Garetha.

– Czy mógł być jakiś inny powód, dla którego zginął sierżant Davies?

– Nic nie przychodzi mi na myśl.

– Żaden z jej innych adoratorów nie mógł mu zazdrościć?

– Chyba wszyscy mu zazdrościli.

– Brytyjscy strażnicy czy internowani?

– Jedni i drudzy. Jak już powiedziałam, Chrissy cieszyła się specyficzną opinią i bardzo starała się na nią zasłużyć.

– Z tego, co pani mówi, było z niej niezłe ziółko. Nie sędzę, żeby była pani o nią zazdrosna?

Podeszli do samochodu i Rebus otworzył przed nią drzwi.

– Może i byłam... troszeczkę.

– Ale miała pani potem Friedricha...

Trzymał przed nią nadal otwarte drzwi, lecz Helen Carter najwyraźniej nie miała ochoty wsiąść.

– Tak, jako przyjaciela – przyznała. – Choć szczerze mówiąc, interesowałam się również Franzem. Trochę to z mojej strony nieładnie, ale myślę, że chciałam sprowokować Friedricha, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Franzem? Czyli Frankiem Hessem?

Helen Carter pokiwała głową.

– Kolejnym adoratorem Chrissy? – dopytywał dalej.

– Oczywiście. Do czasu, kiedy pojawił się Gareth i zmiękły jej kolana.

– Joe Collins też należał do tej grupy?

Zmarszczyła brwi.

– Nie przypominam sobie. Josef był zawsze trochę szorstki, jakby nabzdyczony. Zastanawialiśmy się... – Nagle urwała.

– Nad czym? – ponaglił ją Rebus.

– Czy gdyby dali mu broń, wszystkich nas by nie wystrzelał? Często zadawaliśmy sobie to pytanie: ja, Chrissy i inne dziewczyny. Wszyscy wydawali się tacy mili i uprzejmi, ale zanim dostali się do niewoli, z upodobaniem zabijali naszych chłopaków. Wielu jeńców Obozu Tysiąc Trzydziestego Trzeciego nadal było lojalnymi nazistami. Paru sądzili później w Norymberdze.

– Wsiądziemy? – Rebus wskazał wewnątrz samochodu, ale Helen Carter pokręciła głową. – Jak by pani zareagowała, gdybym powiedział, że rewolweru Joego Collinsa użyto do zamordowania Keitha Granta? – spytał trochę ciszej.

Jej wyraz twarzy w ogóle się nie zmienił.

– To prawda? – zapytała.

– Tak.

– W takim razie nie wiem, co powiedzieć.

– Keith przywracał do życia przeszłość. Odkrywał niewygodne rzeczy, które pewni ludzie chcieliby na zawsze pogrzebać.

– Nie myśli pan chyba serio, że ktoś z nas...? Jesteśmy jedną nogą w grobie!

– Może napastników było więcej. – Widział, że kobieta jest coraz bardziej wzburzona. – Chociaż to wszystko może też być próbą skierowania śledztwa na fałszywe tory. – Usłyszał podjeżdżający samochód i odwrócił się. – Wygląda na to, że przyjechał po panią przyjaciela. Jak to dobrze, że pan Novack nadal prowadzi.

– Niech pan spróbuje go powstrzymać – odparła ze słabym uśmiechem Carter.

Land rover zatrzymał się tuż przy nich. Novack pomachał ręką przez szybę.

– Balkonik idzie do bagażnika – powiedziała starsza pani.

Rebus otworzył przed nią drzwi od strony pasażera i kiedy wsiadała do środka, załadował balkonik do bagażnika. Następnie podszedł do szyby po stronie kierowcy.

– Co pana tu sprowadza? – zapytał Novack, opuszczając ją.

– Składam hołd zmarłym.

Spojrzenie Novacka wskazywało, że raczej w to nie wierzy.

– Słyszał pan o rewolwerze? – mruknął.

– Nie wiedziałem, że wieści już się rozeszły.

– Zapewniam pana, że tak. Podobnie jak informacja, że Joe i May zostali aresztowani.

– Identyfikują tylko rewolwer, nic więcej – wyjaśnił Rebus, po czym obszedł samochód i zamknął drzwi za Carter.

Novack opuścił szybę od strony pasażera.

- Ale to była broń Joego! - zawołał. - Użyto jej do zamordowania człowieka!

Rebus nachylił się do okna.

- Więc pana stary druh Joe jest zabójcą? - zapytał.

- Oczywiście, że nie! - warknął Stefan.

- W takim razie może jego córka? - Rebus pokręcił głową. - Lepiej nie rozpuszczać plotek. Nigdy nie wiadomo, do czego to doprowadzi.

Szyba zaczęła się podnosić. Novack trzymał palec na przycisku, piorunując Rebusa wzrokiem. Jego pasażerka miała opuszczoną głowę.

Jesteś roztrzęsiony, pomyślał Rebus. Oboje jesteście roztrzęsieni.

Zamiast odprowadzić wzrokiem land rovera, wrócił na cmentarz i przystanął ponownie przy grobie Garetha Daviesa.

- Nie przyniosła niczego, żeby uczcić rocznicę? - zapytał na głos. Żadnych kwiatów, żadnego znicza, żadnej karteczki.

Wyłącznie siebie.

## Rozdział 34

TELEFON SIOBHAN CLARKE zadzwonił dokładnie w południe. Nie rozpoznała numeru.

– Halo? – rzuciła.

– Dzwonię, bo Issy Meiklejohn w zasadzie tego zażądała. Nie mam zamiaru podawać pani mojego nazwiska, więc proszę mnie nie pytać.

Tembr głosu kobiety był wysoki i piskliwy, typowy dla angielskiej klasy wyższej.

– Co pani rozumie przez „zażądała”?

– W postawie tej młodej damy jest coś jadowitego, nie powiedziałaaby pani?

– Zawsze robiła na mnie czarujące wrażenie.

– To miał być żart? Ale wie pani, po co dzwonię?

– Żeby dać alibi lordowi Strathy’emu. Alibi, które mam przyjąć na wiarę... nie widząc, jak pani wygląda, i nie wiedząc, jak się pani nazywa. Przyzna pani, że nie jest to normalna procedura w śledztwie w sprawie zabójstwa. Mimo to słucham panią.

Słuchali jej też inni członkowie NZD. Clarke zignorowała ich, wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi. Fox był w dziale administracyjnym i z kimś rozmawiał. Zeszła na dół po schodach, żeby znaleźć się poniżej linii jego wzroku.

– Był ze mną przez pięć dni. Wątpię, żebym w tym czasie straciła go z oczu dłużej niż na pół godziny.

– To było w Londynie?

– Tak.

Clarke policzyła w myślach. Pięć dni, które dobiegły końca wczoraj rano. Seksualna przygoda lorda Strathy’ego zaczęła się zaledwie dzień po



śmierci Keitha Granta i trzy dni po zabójstwie Salmana bin Mahmouda.

– Czy oglądała pani w tym czasie wiadomości albo czytała gazety?

– Raczej nie.

– Został zabity jeden z partnerów biznesowych lorda Strathy’ego. Był przyjacielem jego córki. Strathy w ogóle o tym nie wspomniał?

– Nie.

– Może przeprosił panią i poszedł gdzieś zadzwonić?

– Obiecaliśmy sobie: żadnych telefonów.

– To niezbyt rozsądne. Gdyby mąż chciał się z panią skontaktować...

– Powiedziałam pani, co mogłam. Ramsay był ze mną. Spędzaliśmy miło czas.

– Był zrelaksowany, niczym się nie martwił?

– Ten sam stary Ramsay.

– Do przestępstwa, które jest przedmiotem naszego śledztwa, doszło w Szkocji, a nasz system prawny wymaga potwierdzenia zeznania przez osobę trzecią.

– W takim razie szkoda, że nie urządziliśmy *ménage à trois*, prawda? – Po drugiej stronie zabrzmiał gardłowy śmiech i połączenie zostało przerwane.

Clarke wbiła wzrok w ekran telefonu.

– Mam cię – mruknęła pod nosem.

Wróciła do sali NZD, podeszła do biurka Christine Esson i zapisała numer telefonu na jej pokrytym esami-floresami bloku.

– Analityk mógłby to badać przez cały dzień – powiedziała, podziwiając zawijasy, błyskawice i zygzaki, które detektyw posterunkowa kreśliła podczas każdej rozmowy telefonicznej.

– Co mam z tym zrobić? – zapytała Esson, dotykając długopisem ciągu cyfr.

– Znaleźć nazwisko, adres i wszystko, co się da. Zrobiłabym to sama, gdybym choć w części posiadała twoje umiejętności.

– Tak kończy się motywacyjny wykład Siobhan Clarke. Dziękuję wszystkim za uwagę...

Clarke, uśmiechając się, wróciła do swojego biurka. Fox siadł właśnie na krześle i stłumił ziewnięcie.

– Nadal się nie wysypiasz? – mruknęła, widząc jego podkrążone oczy.

– Sen jest przereklamowany.

– Zadzwoń do mnie właśnie kochanka Strathy’ego. Christine dowie się, jak wygląda i jak się nazywa.

– Skorzystała z własnego telefonu?

– Taką mam nadzieję. Czego chcieli od ciebie w administracyjnym?

– Zużywam za dużo papieru – odparł. Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. – Serio – zapewnił. – Drukując i kopiując wszystkie te materiały.

– Myślałam, że mamy odpowiedni budżet... Ile ryz zużywasz?

– Dość dużo.

Spojrzała na stertę papierów po jego stronie biurka. Kolejne leżały na podłodze.

– Wszystko w dwóch kopiach – oznajmił.

– Jedna na użytek domowy, druga tutaj – domyśliła się. – Żeby mieć je pod ręką, nawet jeśli nie jesteś w komisariacie? – Cmoknęła. – Nie, Siobhan, spudłowałaś. Jeden zestaw dla ciebie, drugi dla zastępczyni komendanta albo Cafferty’ego. Instykt podpowiada mi, że raczej dla niego.

– Żeby mieć go po naszej stronie – szepnął Fox.

– Ale to dotyczy tylko informacji na temat Stewarta Scoulara? A nie całego śledztwa w sprawie bin Mahmouda? Powiedz, że Cafferty nie ma wglądu w to, co robimy?

– Jestem ostrożny.

– Jak bardzo?

– Na ile to tylko możliwe. Oczywiście wymieniamy się czasem w niewielkim stopniu informacjami.

– To wspaniała wiadomość, Malcolm. Oznacza, że jeśli kiedykolwiek zgarniemy za cokolwiek Cafferty’ego, będzie mógł się przechwalać, że wsunął cię jak poszetkę do kieszeni marynarki. Zdawało mi się, że już to

omówiliśmy, odchodząc od jego wielkiej gangsterskiej limuzyny. Co ty ukrywasz? – zapytała, widząc jego spojrzenie.

Fox pokręcił głową.

– Nie mów mi, że jesteś samotnym wilkiem i uznałeś, że poradzisz sobie z tym wszystkim bez niczyjej pomocy.

Przestał kręcić głową i pokazał, że ma zasznurowane usta.

– Możemy porozmawiać jak dorośli? – nie dawała za wygraną Clarke.

– Jeszcze nie.

Miała zamiar cisnąć go dalej, lecz podeszła do nich Christine Esson.

– Szybko się uwinęłaś – skomentowała Clarke.

– Ja nie w tej sprawie. Ale to chyba ciekawe. Dostałam właśnie wiadomość na temat tej chińskiej studentki, którą napadnięto na Argyle Place. Wygląda na to, że odzyskała telefon razem z przeprosinami.

– Z przeprosinami? – zdziwiła się Clarke.

– Po angielsku i po chińsku, w dialekcie mandaryńskim. Znajoma studentki, która pomaga jej w angielskim, właśnie się ze mną skontaktowała. Mówi, że chiński był toporny, przeprosiny przetłumaczone chyba internetowo.

– Jak dokładnie brzmią?

– Przysłała mi ich zdjęcie. – Esson podała Clarke telefon.

Fox przysunął się bliżej, żeby też je zobaczyć.

*BARDZO PRZEPRASZAM ZA TO, CO ZROBIŁEM. PRZYRZEKAM, ŻE TO SIĘ NIGDY NIE POWTÓRZY.* Niżej prawdopodobnie ta sama wiadomość chińskimi hieroglifami. Wszystko napisane tym samym czarnym długopisem i sądząc po wyglądzie, tą samą ręką. Chińska wersja była koślawą, pokreślona i kilka razy poprawiana. Angielska napisana wersalikami, lecz mimo to też pokrączna.

Clarke obróciła telefon w stronę Esson.

– Nie powiedziałaabyś, że autorowi trzęsła się ręka?

– Parkinson? – zasugerowała Esson.

– A tak naprawdę?

– Pisał to w stresie albo dużych emocjach – uznał Fox.

Esson zabrała telefon.

– Komórka i przeprosiny były w torbie z Tesco, którą wsunięto w otwór na listy w drzwiach napadniętej.

– Skąd złodziej wiedział, gdzie dziewczyna mieszka?

Detektyw posterunkowa wzruszyła ramionami.

– Może informacja była w komórce? Mogła mieć jakiś tracker, apkę do dostarczania zakupów albo coś podobnego. Ludzie są coraz bardziej nieostrożni, jeśli idzie o dane osobiste.

– Złodziej, którego ruszyło sumienie? – Clarke udała, że się dziwi.

– Chyba nie sądzisz, że to coś takiego?

– Moim zdaniem najważniejsze jest, że możemy przestać się nią interesować. Bardzo wątpię, by istniał tu jakiś związek z atakami na Salmana i Gio.

– Chcesz powiedzieć o tym szefowi czy ja mam to zrobić? – zapytała Esson.

– Idź z tym sama. Nie zrobiliśmy nic, by zasłużyć na ten zaszczyt.

## Rozdział 35

CLARKE I FOX WRÓCILI właśnie z późnego lunchu – zupa z bułką w kafejce na Constitution Street. Clarke spostrzegła kątem oka, że Christine Esson ma im coś do powiedzenia. I rzeczywiście, kiedy tylko usiedli przy wspólnym biurku, wstała i ruszyła w ich stronę.

– Idzie ulubiona uczennica nadinspektora Sutherlanda – skomentowała uszczypliwie Clarke.

– Zaraz będzie i twoją – odpaliła Esson, podając jej zapisaną kartkę. – Nazywa się Violetta Pakenham. Mieszka w Kensington i ma tam sklep. Zameężna, dwoje dorosłych dzieci.

– Chyba znam to nazwisko – rzucił Fox i pochylił się nad komputerem. Po jakimś czasie znalazł to, czego szukał. – To prawdopodobnie żona George’a Pakenhama. Jednego z inwestorów Stewarta Scoulara.

– Rozumiem teraz, dlaczego lord Strathy tak się krył z tym romansem – powiedziała Clarke. – Podpadając Pakenhamowi, podpadłby również mocno Scoularowi.

– I wszystkim innym udziałowcom konsorcjum – dodał Fox. – Wszystko to są zamki z piasku, a tym piaskiem jest publiczne zaufanie. Jeśli któryś z ważnych graczy śpi z żoną innego...

– To daje nam pewną przewagę, gdybyśmy chcieli ją wykorzystać – zauważyła Esson. – To znaczy, jeśli uważamy, że w sprawie bin Mahmouda jest coś, co Strathy przed nami ukrywa.

– Więc albo to ujawni, albo dojdzie do przecieku? – domyśliła się Clarke i spojrzała na Foxa. – Czy uważamy, że lord coś ukrywa?

– Nie jestem pewien i na pewno nie chcę, żeby znów przez nas zasłabł. – Stukał przez chwilę w klawiaturę, po czym pokazał Clarke i Esson ekran laptopa. Fotografia, którą znalazł, przedstawiała parę na

czerwonym dywanie. Mężczyzna był po siedemdziesiątce, kobieta o wiele młodsza.

– Co najmniej dwadzieścia lat różnicy – skwitowała Esson.

– A co z Issy? – zapytał Fox, zwracając się do Clarke. – To ona kazała pani Pakenham skontaktować się z nami. Wie, że jej ojciec igra z ogniem.

– Uważasz, że zwierzyła się któremuś ze swoich znajomych?

– Powiedziałbym, że jest dość skryta.

– W przeciwnym razie Scoular już by o tym wiedział.

Fox pokiwał głową.

– Jak wspomniała Christine, to daje nam przewagę – powiedział. – Sprowadźmy tu Issy i postarajmy się, żeby wyśpiewała nam wszystko, co wie albo podejrzewa.

– Okej – odparła Clarke po krótkim namyśle. – Zróbmy to.

**GODZINĘ PÓZNIJ DWAJ MUNDUROWI**, których posłano na St Stephen Street po lady Isabellę Meiklejohn, wprowadzili ją po schodach do tego samego pokoju przesłuchań, przed którym czekała dzień wcześniej, kiedy przesłuchiowano jej ojca. Przez chwilę zbierała się w sobie, ignorując siedzących naprzeciwko Clarke i Focha.

– Okazuje się, że ufając pani, popełniłam błąd, pani inspektor – odezwała się w końcu, poprawiając zakiet. – Nie jestem idiotką, dobrze wiem, dlaczego się tu znalazłam. – Spoglądając na Clarke, spiorunowała ją wzrokiem.

– Jak się czuje lord Strathy? – zapytał z niemal autentyczną troską Fox.

– Jego zdrowiu nic już nie zagraża. Ale zasugerowano mu pewne zmiany w stylu życia.

– Zasugerowali to jego lekarze czy pani? – zapytała Clarke.

Dziewczyna ponownie posłała jej ostre spojrzenie.

– Czy mam zadzwonić do Patsy i poprosić, żeby do nas dołączyła? – wycedziła.

– To zależy, ile jeszcze osób ma się dowiedzieć, że pani ojciec sypia z żoną kogoś, z kim robi interesy.

Meiklejohn uśmiechnęła się gorzko.

– Ostrzegałam ją, żeby zadzwoniła z telefonu, którego nie da się namierzyć. Głupia dziwka nie miała nawet na tyle rozsądku.

– George Pakenham jest od dłuższego czasu związany biznesowo ze Stewartem Scoularem – powiedział Fox. – Wydają się dość zaprzyjaźnieni – dodał, przeglądając materiały, które ściągnął, w tym kilkanaście zdjęć zrobionych na oficjalnych kolacjach.

– I?

– Chyba nie chciałyby pani, żeby to się zmieniło.

– Co oznacza, że mam z wami współpracować? – Meiklejohn rozłożyła ręce. – A kiedy z wami dotąd nie współpracowałam?

– Pole golfowe Craigentiny – rzuciła Clarke, pochylając się lekko w jej stronę. – Późny wieczór, spotkanie na parkingu... Jaki miało cel?

– Czyje spotkanie?

– Pani przyjaciela Salmana. Czy to miało coś wspólnego z planowanym przejściem? Z czymś, co Salman miał zobaczyć na własne oczy?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Konsorcjum kierował Stewart Scoular. Niech pani nie mówi, że nigdy o tym z panią nie rozmawiał. Pani ojciec też brał w tym udział i naszym zdaniem działa pani często w jego imieniu.

– Co oznacza, że wie pani więcej, niż pani utrzymuje – dodał Fox. – Może pani powiedzieć, czyj to samochód? – Pokazał dziewczynie fotografię.

– Na pewno nie mój.

– W takim razie czyj?

Meiklejohn zmrużyła oczy, przypatrując się zdjęciu.

– Mówi pan serio? Przecież to tylko szara plama.

– Plama, której możemy wkrótce przypisać numery rejestracyjne. Jaki samochód ma Stewart Scoular?

– Nie ma żadnego. – Meiklejohn spostrzegła, że jej nie wierzą, więc wyjaśniła: – Mieszka w mieście, ma do dyspozycji taksówki i przyzwyciężył transport publiczny.

– Więc nie ma własnego samochodu – podsumowała Clarke. – Co robi, gdy zapraszają go na przykład do zamku Strathy?

– Wynajmuje coś odpowiedniego. Mercedesa albo audi.

– Pan bin Mahmoud nie podwoził go swoim astonem?

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Był trochę za ciasny.

– Poza tym drogi na północy nie nadają się raczej dla takiego auta – powiedziała Clarke. – Oddając je, musiały się gęsto tłumaczyć

– Oddając je? – Meiklejohn wydawała się autentycznie zdezorientowana.

– Aston był wzięty w leasing... Nie wiedziała pani? Podobnie jak DB pięć w Londynie. Dom w Edynburgu należy do rodzinnej fundacji bin Mahmoudów, ale londyński penthouse jest wynajęty. No i nie znaleźliśmy fortuny na którymkolwiek z jego kont.

– Oraz kart kredytowych zagrożonych przekroczeniem limitu – dodał Fox.

Clarke przyjrzała się bacznie Issy Meiklejohn.

– To dla pani zaskoczenie? – spytała.

– Sal był zamożny.

– Może kiedyś, ale sytuacja jego ojca wiele zmieniła. Sporo pieniędzy mogło zostać zablokowanych.

– To nie może być prawda. – Dziewczyna pokręciła głową.

Clarke pochyliła się do niej.

– Dlaczego?

– Miał się przecież dopisać do The Flow.

– The Flow? – powtórzył za nią Fox.

– Taką nazwę nadał temu projektowi Stewart... właściwie to był pomysł mojego ojca. Firma ma zostać zarejestrowana w tym albo przyszłym tygodniu.

– The Flow to projekt tego klubu golfowego w okolicach Naver? – zapytała Clarke, bacznie obserwując Issy.

Ta pokiwała głową.



– Nie była to łatwa sprzedaż, zważywszy na klimat inwestycyjny, brexit i tak dalej. Stewart miał jakieś propozycje z Ameryki i Hongkongu, ale...

– Ile miał zamiar zainwestować Salman?

– Dziesięć albo coś koło tego.

– Dziesięć milionów? – Fox spojrzał na Clarke: skąd, u licha, miałby wziąć tyle pieniędzy?

– Ojciec był w siódmym niebie, kiedy mu o tym powiedziałam – przyznała Meiklejohn.

– Lord Strathy spodziewał się dużych zysków z tego projektu? – zapytała Clarke.

– Jego fundacja z całą pewnością.

– To fundacja prowadzi całą działalność?

Dziewczyna ponownie pokiwała głową.

– Więc po śmierci Salmana...

Meiklejohn wypuściła z ust powietrze.

– Jak mówi Stewart, podwajamy nasze wysiłki.

– Co w przypadku pani ojca oznacza kilkudniowy wyjazd z cudzą żoną?

– Dla mojego ojca seks zawsze był najważniejszy.

– Więc po tym, jak zabito ważnego inwestora, pani ojciec nie zwołuje zebrania albo telekonferencji? Nie zmienia życiowych planów, żeby pocieszyć córkę, która straciła właśnie w szokujących okolicznościach przyjaciela?

– Poznała pani chyba mojego ojca? A może tylko mi się zdawało?

– A zabójstwo Keitha Granta? Kiedy się o nim dowiedział?

– Pewnie w tym samym momencie, kiedy odkrył, że wszyscy go szukają.

– I co pani o tym powiedział?

– Ani słowa.

Fox poruszył się, sygnalizując, że chce się włączyć w rozmowę.

– Ale wasz projekt nie umarł wraz ze śmiercią pana bin Mahmouda? – zapytał.

Dziewczyna przez chwilę się zastanawiała.

– Rozumiem, co pan sugeruje: że ktoś próbował storpedować The Flow?

– Jeśli tak, to w dosyć drastyczny sposób – mruknęła Clarke.

– A może to wieczorne spotkanie było z kimś, kto zdaniem Salmana dysponował odpowiednimi finansami – zasugerował Fox. – Może chodziło o pożyczkę?

– Powtarzam wam, że Salman miał pieniądze.

– Dokumenty mówią co innego... chyba że wie pani, gdzie zachomikował środki?

Meiklejohn pokręciła głową.

– Stewart Scoular mógł wiedzieć gdzie? – spytała Clarke.

– Nie widzę powodu, dla którego Sal miałby mu się zwierzać.

– Więc może pan Morelli?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Ale dajcie mi do myślenia – mruknęła. – Do świrów pokroju Keitha Granta i Jessa Hawkinsa dołącza spora konkurencja. – Skrzyżowała z determinacją ręce na piersiach i spojrzała na Clarke. – Jestem pewna, że myli się pani w kwestii finansów Sala. Dziesięć milionów było na bank. Obiecał mi to i nie wchodziło w grę, żeby nie dotrzymał słowa.

– Ale go nie dotrzymał – powiedziała cicho Clarke. I pomyślała: ktoś musiał o to zadbać.

**ZABRALI BRILLA NA SPACER NA Leith Links.** Clarke rzuciła psu piłkę, a Fox zadzwonił do Gartcosh, żeby dowiedzieć się, czy Robbie Stenhouse poczynił jakieś postępy. Kiedy Clarke wróciła, pokręcił głową.

Udała, że kopie piłkę.

– Siobhan chce, żebym ci przypomniał o meczu – powiedział Fox do telefonu. – Stawia bilety i drinki, jeśli się pospieszysz. – Słuchał jeszcze kilka sekund, kiwając głową. – Wiem, że sobie poradzisz, Robbie. Dlatego jesteś dla nas wszystkich bogiem. – Fox zakończył rozmowę i pociągnął nosem. – Szczerze mówiąc – zwrócił się do Clarke – facet jest kurewsko

skrupulatny... a w Edynburgu nie ma ani jednej kamery, której nie mógłby sprawdzić. Tymczasem odkrył jeden ważny szczegół...

Clarke znowu rzuciła psu piłkę.

– Nie każ mi długo czekać – ponagliła Foga.

– Nalepka na tylnej szybie. Jego zdaniem jest na niej napis AVIS.

– Wynajęty samochód?

– W takim razie szukamy kogoś, kto albo jest tutaj na gościnnych występach, albo nie ma własnego samochodu.

– Lub go ma, ale nie chce z niego korzystać – dodała Clarke. – Issy wydaje się taka pewna, że Salman miał potrzebne fundusze. Czy jest coś, czego nie wiemy?

– Sama jego reputacja mogła wystarczyć do udzielenia kredytu.

– W takim wypadku mielibyśmy wpis na hipotekę przynajmniej jednego z domów, nie sądzisz?

– Cafferty udzielał chyba kiedyś lichwiarskich pożyczek?

– Chodziło o niskie kwoty, Malcolm. Moim zdaniem nawet Cafferty miałyby problem z pożyczaniem dziesięciu milionów.

– Ja też miałbym z tym problem.

Wyjęła telefon i sprawdziła wiadomości. Trafiła na krótką notatkę o narzędziu zbrodni, które odkryto w związku z zabójstwem Keitha Granta, oraz o właścicielce pubu i jej ojcu, którzy pomagają policji w śledztwie.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, John – mruknęła pod nosem.

– Możemy pogadać z Avisem – zasugerował Fox. – Pokazać im zdjęcia, zapytać, czy rozpoznają swój samochód. Będziemy z grubsza wiedzieli, kiedy został wypożyczony i kiedy zwrócony.

– Robbie wspomniał coś o numerach rejestracyjnych?

– Uważa, że do jutra w południe uda mu się je odczytać.

– Więc do tego czasu mu odpuśćmy. – Clarke kopnęła piłkę po trawie, a Brillo z wywieszonym językiem rzucił się w pogoń.

– Myślałaś, żeby przyprowadzać Brilla do komisariatu? – zapytał Fox. – Zespół nie miałby pewnie nic przeciwko temu.

- Gamble ma chyba alergię na psią sierść.
- Ma również alergię na ciężką pracę, ale nikt z nas się go nie czepia.

Clarke się uśmiechnęła.

- Wciąż myślę o tych pieniądzach, Malcolm. Gdyby Salman je przekazał, The Flow byłby bliski realizacji. Kto skorzystał na tym, że do tego nie doszło? Nie Issy i jej ojciec, i nie Stewart Scoular.

- Ludzie na północy, którzy tego nie chcieli – odparł Fox. – Problem w tym, że nic z tego nie będzie w domenie publicznej. To powód, dla którego tak się rozwinęło szpiegostwo handlowe.

- Wiesz to od swojego informatora?

- Mam go zapytać, czy wie coś, czego nie wiemy, o The Flow? O możliwą konkurencję?

Clarke pokiwała głową, a Fox wyciągnął telefon i wybrał numer.

Brillo siedział u stóp Clarke, czekając na kolejną piłkę. Ona wyjęła jednak swój telefon i ponownie przeczytała wiadomość o odnalezionej broni. Dołączono do niej fotografię Obozu 1033; powiększyła ją. Keitha Granta opisywano jako aktywistę, który zbierał fundusze na wykupienie terenu obozu i zrobienie z niego „miejscowej atrakcji turystycznej”.

- Te sprawy nie mogą być ze sobą związane – mruknęła pod nosem, po raz kolejny mocno kopiąc piłkę.

Ale zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

## Rozdział 36

**REBUS ZASTĄPIŁ ZA BAREM** Camerona, by ten mógł zrobić sobie przerwę. Do obsłużenia byli ci sami co zwykle bywalcy, znający wszystkie opowieści o rewolwerze, May Collins i jej ojcu. Wcześniej próbował podnieść na duchu Camerona, ale świadomość, że pobrano mu odciski palców, nie dawała chłopakowi spokoju. Był niepocieszony. Kiedy trzeba było podłączyć nową beczkę z piwem, Rebus zajrzał do kuchni i zobaczył, że Cameron przemierza podwórko, kopiąc jointa i zerkając na telefon. Uznał, że nie będzie mu przeszkadzał, i poinformował klienta, że musi zamówić coś innego.

– Ale ja zawsze piję lager.

– Mówią, że różnorodność nadaje życiu smak – kusił go Rebus.

– Więc niech będzie lager z puszki.

– Wiedziałem, że ma pan w sobie duszę buntownika – powiedział Rebus, sięgając do lodówki.

Cameron wymienił beczkę w piwnicy, dopiero kiedy wróciła May Collins. Śledzona wzrokiem przez wszystkich, przeszła od drzwi do kontuaru, zniknęła w korytarzyku, żeby powiesić kurtkę, i zaraz pojawiła się z powrotem.

– Chryste – jęknęła, widząc spojrzenia, jakimi mierzyli ją goście. – Gdyby to był western, pianista przestałby bębnić w klawisze.

Sprovokowało to kilka uśmiechów, a potem ludzie wrócili do rozmów i gazet.

– Co to jest, do diabła? – zapytała Rebusa, wskazując zainstalowany w rogu sufitu głośnik.

– Leonard Cohen – odparł.

Przewróciła oczami, po czym stanęła przed dozownikami i nalała sobie whisky. Rebus wyczuwał, że wpatruje się w miejsce, gdzie kiedyś leżał

rewolwer. W końcu odwróciła się, dołała do szklanki trochę wody i upiła łyk.

– Rozumiem, że poszło dobrze – powiedział Rebus.

– Maglowali ojca przez ponad godzinę. W jego wieku! A potem dobrali się do mnie. Jak dawno temu zniknął rewolwer, kto moim zdaniem mógł go zabrać...

– Ale to ten sam?

– Są na nim nasze odciski palców. Ojca i moje. Twoje też – zwróciła się do wychodzącego z piwnicy Camerona. – Creasey jedzie tutaj, żeby z tobą pogadać.

– Joe dobrze się czuje? – zapytał Rebus.

– Jest kompletnie rozbity. Spał przez całą drogę do domu.

– Nie chcesz z nim posiedzieć?

– Zaproponowałam mu to, ale odmówił. – Opadły jej lekko ramiona. – Jak minął dzień?

– Dość spokojnie. Pojechałem na cmentarz i spotkałem tam Helen i Stefana.

– Jest jakaś szansa, że przez chwilę uda nam się żyć tu i teraz?

– Powinnaś odpocząć. Przykro mi to mówić, ale bar funkcjonuje całkiem dobrze i bez ciebie.

May Coillins pokręciła głową.

– Nie chcę, żeby ktoś opowiadał, że się chowam. Wystarczająco dołujące jest to, że stałam się nagle podejrzaną o zabójstwo.

– Nadal uważam, że to Keith zwędził wasz rewolwer. Zabójca zabrał go z jego teczki.

– Mógł przynajmniej wytrzeć moje odciski, kiedy zrobił to, co zrobił. – May wzdrygnęła się. – Przepraszam, to nie było zbyt taktowne.

– Zrób sobie półgodzinną albo godzinną przerwę. – Rebus spojrzał na Camerona, a ten poparł go, kiwając energicznie głową.

– Może macie rację... – zaczęła i urwała, bo drzwi baru otworzyły się i do środka weszła dwójka policjantów: Creasey oraz młodsza od niego kobieta, której Rebus wcześniej nie widział.

– Musimy odbyć krótką pogawędkę – poinformował detektyw sierżant Cameron. – Jeśli to możliwe, w jakimś ustronnym miejscu.

– W kuchni? – zapytał chłopak, spoglądając na szefową.

Ta pokiwała głową.

– Zajmie się panem detektyw posterunkowa Larkin – oznajmił Creasey.

Policjantka przeszła za bar i ruszyła za Cameronem korytarzem.

Creasey spojrział na Rebusa.

– A ja mam do pomówienia z tym panem.

– Wygląda na to, że moja przerwa dobiegła końca – mruknęła May Collins. – Chcecie być obsługiwani przez osobę podejrzaną o zabójstwo? – zwróciła się do sali. – Jeśli nie, dopijajcie, co tam macie, i spływajcie...

Kiedy Rebus wyszedł za Creaseyem z pubu, ten siedział już za kierownicą mondeo. Rebus usiadł na miejscu pasażera i zatrzasnął drzwi.

– Mówiłem ci: żadna z niej podejrzana – powiedział.

– Odciski palców na rękojeści rewolweru są w większości częściowe, ale wystarczająco wyraźne.

– Odciski palców May, jej ojca i Camerona?

– Oraz Keitha... choć to akurat powinno zostać między nami.

– Więc to on zwinął rewolwer?

– Chyba naprawdę myślał, że zabito z niego tego żołnierza.

Rebus pokiwał głową.

– A odpowiadając na twoje pytanie – ciągnął detektyw sierżant – wątpię, żeby pani Collins albo jej ojciec osobiście załatwili Keitha. Co wcale nie oznacza, że nie byli w jakiś sposób zamieszani w to zabójstwo.

– A Cameron? Mógł mieć motyw?

Creasey uśmiechnął się ze znużeniem.

– Każdy, tylko nie twoja córka, tak? Dlatego właśnie chciałem się z tobą spotkać. Muszę z nią porozmawiać i pomyślałem, że byłoby dobrze, gdybyś przy tym był.

– Powiedz, że jej odcisków nie ma na rewolwerze.

Detektyw sierżant pokręcił głową.

– Nie, ale jeden z częściowych jest o wiele mniejszy od innych. Prawie na pewno należy do dziecka.

– Carrie?

– Pomyślałem, że zamiast pobierać od niej odciski, lepiej będzie pogadać.

Rebus zapiał pasy, a Creasey uruchomił silnik i ruszył. Rebus zadzwonił do córki. Była u Julie, razem z Carrie. Dowiedział się, jak tam dojechać, i przekazał to Creaseyowi.

– Czego on jeszcze chce? – zapytała Samantha. – Powiedziałam mu wszystko, co wiem.

– Będziemy tam za parę minut. Wszystko wyjaśnię.

Parterowy dom z poddaszem sprawiał wrażenie nowego i stał na wzniesieniu, z którego roztaczał się widok na wioskę. Na podjeździe stały już dwa auta, więc Creasey zaparkował na trawiastym poboczu.

Julie Harris otworzyła drzwi i wpuściła ich do środka.

– Nastawiłam wodę – powiedziała.

Samantha siedziała w salonie. Carrie bawiła się z Jenny w jej pokoju. Kiedy Creasey zaczął wyjaśniać powód wizyty, Rebus ruszył do kuchni, żeby pomóc z herbatą.

– Jak ona się czuje? – zapytał Julie.

– Sam czy Carrie?

– Chyba obie.

– Mają jeździć raz w tygodniu do psychologa.

Kuchnia była schludna i zwyczajna; na drzwiach lodówki wisiały fotografie i listy rzeczy do zrobienia.

– To pani partner? – zapytał Rebus. Na jednym ze zdjęć rodzina pozowała przy ludzkich rozmiarów Goofym oraz Kaczorze Donaldzie.

– W paryskim Disneylandzie, dwa lata temu. Wyrzuciłabym to zdjęcie, ale Jenny mi nie pozwala. – Julie zerknęła na Rebusa. – Dwa miesiące później odszedł. Muszę jednak przyznać, że łoży na utrzymanie. Co dwa tygodnie spotyka się z córką.

– Nadal mieszka w okolicy?



- Przeniósł się do Aberdeen. Nowa praca, nowe życie. Niektórzy uważają, że to w porządku.

- Dorastała pani tutaj? - zapytał.

Julie pokiwała głową.

- Właściwie nie spotkałem wielu osób, które są stąd.

- Życie toczy się gdzie indziej.

- To samo życie, przed którym pewni ludzie uciekają tutaj?

Przyjaciółka córki podała mu dwa kubki.

- I jak oni to znoszą? - zapytała.

- Tak jak im na to pozwalają - odpowiedział, wychodząc z kuchni.

Carrie została w końcu wezwana do salonu, a Julie Harris została w pokoju z córką.

Wyraźnie spięta Carrie wdrapała się matce na kolana. Wcześniej uzgodniono, że to Samantha będzie zadawała pytania. Kiedy tylko dziewczynka uznała, że milczenie nic jej nie da, szybko o wszystkim opowiedziała.

- Nikt nie będzie miał żadnych kłopotów - zapewniła ją matka. - To po prostu fragment układanki, który trzeba ułożyć. W torbie tatusia był stary zarzewiały pistolet, prawda? Pokazał ci go?

Carrie przygryzła wargę i pokręciła głową.

- Sama go znalazłam - powiedziała niemal szeptem.

- I wyjąłś go z torby?

- Był bardzo ciężki.

- Założę się, że tak. Tatus cię widział?

Dziewczynka ponownie pokręciła głową.

- Więc odłożyłaś go z powrotem i zostawiłaś tam, gdzie go znalazłaś?

Teraz kiwnęła głową.

- I w ogóle nie powiedziałaś o tym tatusiowi?

Carrie spojrzała na jedyną obcą osobę w pokoju.

- Tatus poszedł do nieba - poinformowała Creaseya. - I prędko tu nie wróci.

Samantha starała się za wszelką cenę opanować.

– Gdzie to było, Carrie? – zapytał cicho Rebus. – To znaczy gdzie był ten stary zardzewiały pistolet?

– W garażu.

– Torba leżała na biurku taty?

Dziewczynka kiwnęła głową.

– Była otwarta?

– Chciałam tylko zajrzeć do środka. Nie chciałam niczego zabierać.

– Co tam jeszcze było? Może jakieś zeszyty albo komputer?

– Zeszyty i komputer leżały na biurku.

– Więc tato pracował? Widziałaś może, co napisał?

Carrie pokręciła głową.

– To wystarczy? – zapytała Samantha, patrząc na Creaseya.

– Chyba tak – odparł. – Dziękuję za pomoc, Carrie.

– Nie ma za co – rzuciła dziewczynka, po czym ześlizgnęła się z kolan matki i wybiegła z pokoju.

Samantha zacisnęła mocno powieki.

– Więc ten rewolwer leżał w pubie – powiedziała, jakby chciała sobie to wszystko ułożyć w głowie – a Keith zabrał go w ramach swoich badań nad obozem. A potem ktoś walnął go nim w głowę. Nadal nie rozumiem dlaczego.

– Pracujemy nad tym – zapewnił ją z przekonaniem Creasey.

– W ogóle nie wiedziałam, że go ma, przysięgam. Gdyby Carrie mi powiedziała, kazałabym mu się go pozbyć. – Samantha otworzyła oczy i spojrzała na drzwi salonu. – Tak właśnie bym zrobiła.

– Nie można winić o to Carrie – powiedział Rebus, ale córka w ogóle go nie słuchała.

– Pani ojciec ma rację – zapewnił ją detektyw sierżant. – Nie powinna pani...

Samantha uciszyła go gniewnym spojrzeniem.

– Może wy dwaj po prostu stąd wyjdziecie – mruknęła, po czym zerwała się z krzesła i wyszła z pokoju.

Rebus i Creasey siedzieli przez chwilę w milczeniu. W końcu detektyw z Inverness powoli wstał.

– Wypijasz kiedykolwiek herbatę, którą cię częstują? – zapytał Rebus, wskazując pełny kubek.

– Tak naprawdę nie lubię herbaty – przyznał Creasey. – Ale ludzie lubią chyba ją zaparzać.

## Rozdział 37

**TELEFON ZADZWONIŁ, KIEDY** Siobhan Clarke oglądała *Pod numerem 9*, wylegując się na sofie z przytulonym do niej Brilllem.

– Tak, słucham?

– Mówi Robbie. Robbie Stenhouse.

– Nie pamiętam, żebym dawała ci numer mojego telefonu.

– Mam swoje sposoby... i uznałem, że lepiej z tym nie czekać.

Clarke usiadła prosto i opuściła stopy na podłogę. Brillo obudził się nagle, więc poklepała go krzepiącym gestem po grzbiecie.

– Masz coś dla mnie?

– To rzeczywiście wynajęte auto. Odczytałem numery i okazało się, że jest z punktu Avisy na edynburskim lotnisku. Daj mi adres mailowy, to prześlę ci wszystko, co mam.

Clarke zrobiła to, zdając sobie sprawę, że klepie Brilla po grzbiecie trochę mocniej, niż mogło mu się podobać.

– Czy oferta spotkania na meczu Hibsów z Motherwell jest nadal aktualna? – zapytał Stenhouse.

– Stawiam paszteciki w połowie meczu. Sprawdzę kalendarz rozgrywek, kiedy zakończymy to śledztwo.

– Moim zdaniem jest już prawie zakończone. To volkswagen passat w odcieniu tungsten silver. – Stenhouse podał jej numer rejestracyjny.

Zapisała na pierwszej stronie „Evening News”.

– Jeszcze raz dziękuję, Robbie – powiedziała i zakończyła rozmowę. Przez chwilę gryzła w zadumie końcówkę długopisu, a potem zadzwoniła do Malcolma Foxa. – To samochód z wypożyczalni na lotnisku – oznajmiła. – Robbie przesyła mi mailem szczegóły.

– Mówiłem ci, że jest dobry.

- Dość dobry, by zdobyć mój numer telefonu. To ciebie o niego poprosił?

- Mniej więcej godzinę po tym, jak wyjechaliśmy z Gartcosh. Choć nie podziękuję mi raczej, że ujawniam jego sekrety.

- To żadne sekrety. O jego zdolnościach wiedział nawet pewien emerytowany inspektor. Jesteś gdzieś na mieście?

- Odbieram jedzenie na wynos – odparł Fox, tłumacząc hałasy w tle, które mogła usłyszeć. – Czy wypożyczalnia na lotnisku oznacza, że to ktoś, kto właśnie przyleciał do miasta? Nie mów, że to ktoś z Londynu, o kim nie uznają za stosowne wspomnieć tamtejsza policja.

- Pamiętaj, co powiedziała Issy Meiklejohn: Stewart Scoular wynajmuje czasami samochody.

- Nie ma własnego, więc gdyby potrzebował auta...

- Dowiemy się więcej rano. Spotykamy się w Leith czy w punkcie Avisy?

- W punkcie Avisy o dziewiątej?

- Pasuje – rzuciła Clarke. – Więc co dzisiaj jesz?

- Hinduskie żarcie. Pewnie już na mnie czeka. Zawiadomiła Sutherlanda?

- Jest w Glasgow.

- Będziesz go na bieżąco informować czy sprawisz mu wspaniałą niespodziankę?

- Poczekajmy, czego dowiemy się w Avisie. Jeśli okaże się, że to zwykły turysta, który zabłądził, szukając hotelu...

- Umiesz przekłuć balon chłopięcych oczekiwań, Siobhan.

- Smacznego curry. – Zakończyła rozmowę i cisnęła komórkę tam, gdzie jeszcze przed chwilą leżał Brillo; zeskoczył z sofy i patrzył na nią z przyganą. – No dobra, przepraszam – powiedziała.

Curry? Niekoniecznie, ale nie pogardziłaby rybą. Kiedy wstała, pies zaczął radośnie merdać ogonem.

- Rozumiem – powiedziała. – Ryba i kielbaska w panierce. A jutro może nawet jazda na lotnisko, jeśli będziesz miał fart.

Gdy przeszła do przedpokoju, Brillo skoczył ku drzwiom, za którymi był zewnętrzny świat.

– Jeśli chodzi o wypożyczalnię na lotnisku, jedno jest pewne – zwróciła się do psa, zdejmując z wieszaka płaszcz i smycz. – Nie brakuje tam kamer monitoringu. Co oznacza, że ktokolwiek to jest, już się nie wywinie.

– Po co gadałem jej o hinduskiej kuchni? – mruknął pod nosem Fox, masując burczący brzuch. Minęło wiele godzin, odkąd wrzucił coś na ząb. Musiał także opróżnić pęcherz, ale na Cowgate był zdecydowanie zbyt wielki ruch. W schowku w tablicy rozdzielczej miał zestaw do sikania, który nazywał się chyba He-Wee, ale każdy z mijających jego auto balangowiczów mógł zerknąć do środka i złapać go na gorącym uczynku. Wcisnął się więc głębiej w fotel, mając nadzieję, że Scoular nie zabawi już długo w klubie Jenever. Nie zauważył tego wieczoru Issy ani Giovanniego – choć mogli się oczywiście pojawić, zanim zaczął obserwację.

Wziął do ręki leżący na fotelu pasażera notes. Scoular zamówił prywatną limuzynę do swojego domu w Stockbridge i po drodze nigdzie się nie zatrzymywał. Siedział już w klubie dziewięćdziesiąt pięć minut i w tym czasie ulica diametralnie się zmieniła. Przechodnie byli teraz młodszy i bardziej hałaśliwi. Wszędzie dokoła były muzyczne i nocne kluby i zaczynały się koncerty. Foxa minęła grupa świętujących wieczór kawalerski facetów; wystukali rytm na dachu jego auta, a potem wyszczerzyli zęby w uśmiechu. Chwilę po tym przed Jenever pojawiły się przepasane różowymi szarfami uczestniczki wieczoru panieńskiego. Na T-shirtach miały nadrukowaną z przodu buźkę panny młodej, a z tyłu napis *Pijacka Drużyna Sue*. Bramkarze pozwolili im wejść, za co odwdzięczyły się, cmokając ich w policzki i szczypiąc w pośladki. Potem dwie dziewczyny wyszły z powrotem na zewnątrz, żeby zapalić i pogadać z bramkarzami, którzy wyraźnie byli tym zachwyceni.

Fox miał włączone radio: Jazz FM. Sygnał nie był najlepszy, bo Cowgate przypominała kanion: wąska ulica z wysokimi budynkami po obu stronach. Choć lepsze to niż nic. Poza tym miał o czym myśleć. Wypożyczalnia samochodów na lotnisku. Umówili się na dziewiątą rano,

ale jego zdaniem Avis otwierał się o wiele wcześniej. Mógł tam przyjechać przed Siobhan i przekazać jej, co ustalili. Na pewno mu za to nie podziękuję – wprost przeciwnie – ale on chyba i tak to zrobi.

Skąpo odziane dziewczyny z wieczoru panieńskiego weszły z powrotem do środka; przepłoszył je wieczorny chłód. Bramkarz zaferował jednej z nich swoją kurtkę, za co nagrodą – co udało się dostrzec Foxowi – był kolejny całus, tym razem w usta. Kiedy dziewczyny zniknęły, bramkarze odtańczyli triumfalny taniec.

Drobne przyjemności, pomyślał Fox. Korzystasz z nich, póki możesz.

Drzwi klubu nagle znów się otworzyły i pojawił się w nich Stewart Scoular z kobietą uwieszoną jego ramienia. Była w wysokich szpilkach, obcisłej czarnej sukience i narzuconym na ramiona kremowym żakiecie. Fox spodziewał się, że ją rozpozna, ale to nie była Issy Meiklejohn. Zastanawiał się, czy nie zrobić jej zdjęcia telefonem, ale kobieta znajdowała się zbyt daleko i nie chciał włączać flesza. Poza tym jeśli potrzebował nazwiska, Cafferty mógł mu je pewnie podać. Jeden z bramkarzy wezwał już taksówkę. Scoular wsunął mu w dłoń banknot. Foxowi przypomniało to pewnego gliniarza z Glasgow, który dawał napiwki wszystkim, od kelnerów kafeterii po barmanów. A także żebrakom i ulicznym sprzedawcom magazynu „The Big Issue”.

„Miło jest być miłym – wyjaśniał. – A czasami ktoś może ci się odwdzięczyć. – Miał na myśli jakąś plotkę albo ważną informację. – Po prostu liczę na wzajemność”, dodawał z chichotem.

Fox pracował z nim tylko przez kilka miesięcy i nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska. Ostatni raz widział go na pogrzebie kolegi. Starczyło czasu na uścisk dłoni i krótkie „dzień dobry”.

Teraz patrzył, jak bramkarz, który dostał napiwek, zamyka tylne drzwi taksówki. Fox ruszył za nią, zanotowawszy dokładną godzinę wyjścia Scoulara z klubu. Bez względu na to, czy się czegoś dowie, mogli, gdyby okazało się to konieczne, pokazać Cafferty’emu, że nie szczydzą starami. Oczywiście zakładając, że plan zastępczyni komendanta głównego nie wypali. Nigdy nie zaszkodzi mieć plan B.

Już po kilku minutach zorientował się, że jadą do domu Scoulara. Pamiętał, jak podczas ich pierwszego spotkania Scoular przechwalał się, że nie zawsze mieszka sam. Z tego, co widział Fox, na tylnym siedzeniu nic się nie działo: twarze pasażerów nie zbliżały się do siebie. Dojechał za taksówką do Stockbridge i zatrzymał się w pewnej odległości od miejsca, gdzie wysiedli. Kiedy Scoular i kobieta weszli do budynku, ruszył za taksówką i kilkaset metrów dalej dał kierowcy znak światłami, żeby się zatrzymał. Gdy ten zrobił to, Fox zaparkował za nim, wysiadł, podszedł do okna taksówkarza i wylegitymował się.

– Myślałem, że złapałem gumę – powiedział mężczyzna za kierownicą.

– Nic z tych rzeczy. Chciałem zapytać o parę, która przed chwilą wysiadła.

– Tak?

– Rozmawiali o czymś ciekawym?

– Nie słuchałem. – Po spojrzeniu Foxa taksówkarz zorientował się, że musi powiedzieć coś więcej. – Tak naprawdę niewiele się odzywali. Gapili się w swoje telefony. On raz dokąś zadzwonił, chyba za granicę.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Zapytał, która jest tam godzina. Potwierdzali godzinę telekonferencji, żeby im wszystkim pasowało. – Taksówkarz wzruszył ramionami. – I to tyle. Ale nie wyglądał na zbyt zadowolonego z siebie.

– Nie?

– Gdybym ja siedział obok takiej laski, na pewno bym się nie boczył.

– Czy w rozmowie padło jej imię? Sądzi pan, że dopiero się poznali?

– Nie mam pojęcia.

– Coś jeszcze?

Mężczyzna ponownie wzruszył ramionami. Fox podziękował mu.

– Wstawi się pan za mną, kiedy znów wlepią mi mandat? – zapytał taksówkarz.

Fox uśmiechnął się krzywo.

– Bezpiecznej jazdy – mruknął i wrócił do swojego samochodu.



Wyglądało na to, że Scoular nie mógł się zrelaksować nawet na randce. Telefon za granicę: być może na Bliski Wschód albo do Stanów. Lukę finansową, która powstała po śmierci bin Mahmouda, trzeba było czymś wypełnić: Stewart Scoular musiał zakasać rękawy. Nie mógł stać za zabójstwem, które było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował. Choć to wcale nie oznaczało, że nie było pewnych powiązań. Nie oznaczało, że Scoular czegoś nie ukrywał.

Fox zapisał to w małym notesie. Uznał, że czas wracać do domu. Po drodze zamówi coś w hinduskiej knajpie.

Jutro musiał wcześniej wstać.

# Dzień siódmy

## Rozdział 38

PODCHODZĄC DO STANOWISKA AVISA, Fox zobaczył znajomą postać, która wyciągała w jego stronę tekturowy kubek z kawą.

Siobhan Clarke.

– Dzień dobry – powiedziała.

– Przyjechałaś wcześniej – zauważył Fox.

– Ty też. – Udała, że zerka na zegarek. – Miałam przecucie, że tak zrobisz.

Fox zerknął w stronę stanowiska Avisa. Właśnie był tam obsługiwany jakiś biznesmen; obok stała jego walizka na kółkach.

– Już u nich...? – zaczął Fox.

– To nie byłoby po koleżeńsku, nie sądzisz? Po koleżeńsku jest kupić kawę i zaczekać.

– No dobrze, już się pośmiałaś. – Fox wypił łyk z kubka, po czym podważył pokrywkę. Z tego, co widział, to było cappuccino.

Clarke otworzyła zawieszoną na ramieniu torbę i wyciągnęła z niej plik kilkunastu kartek spiętych spinaczem.

– To wszystko, co przysłał mi Robbie. Powiększony i wyczyszczony obraz tablicy rejestracyjnej. Dane z wydziału komunikacji. Kilka zdjęć pojazdu przemieszczającego się przez miasto tamtej nocy.

– Chyba naprawdę cię polubił – skomentował Fox, przeglądając kartki.

Biznesmen potoczył walizkę w kierunku wyjścia.

– Podejdziemy? – zapytała Clarke, ruszając w stronę biurka.

Fox podążył za nią.

Trzeba było zadzwonić do kierownika. Pracownica podała telefon Clarke, a ta wyjaśniła, o co chodzi. Następnie kierownik porozmawiał z pracownicą i kobieta zaczęła stukać w klawiaturę. Fox powiedział, że

chce porozmawiać z kimś z ochrony, i kiedy ten ktoś się zjawił, poprosił go o zapis z kamer monitoringu z dnia, kiedy samochód został wynajęty.

– Na początek z hali głównej, ze stanowiska Avisu i z zatoczek parkingowych.

– To trudne zadanie.

– W śledztwie o zabójstwo są wyłącznie trudne zadania – odparł Fox. – Będziemy wdzięczni, jeśli zajmie się pan tym od razu.

Mężczyzna wydał policzki, ale zabrał wizytówkę Focha i ruszył, by wykonać polecenie.

– System działa dzisiaj trochę wolno – poinformowała ich pracownica.

– Nie szkodzi – rzuciła Clarke. Choć nie było to prawdą. Trzymała kubek z kawą tak, jakby w każdej chwili mogła zmiąć go w ręce.

– Na pewno potrzebujesz zastrzyku kofeiny? – zapytał Fox.

Przestała bębnić palcami lewej dłoni po blacie biurka. Za dwójką detektywów ustawiono już w kolejce kilku klientów.

– Może ich obsłużyć? – zapytała pracownica.

– Mogą poczekać – usłyszała od Clarke.

– Okej, jedziemy – powiedziała pół minuty później. Gdzieś pod biurkiem zawarczała drukarka. Pracownica przykucnęła, żeby wyciągnąć wydrukowane kartki. – Poświadczenie wydania pojazdu będzie w naszej szafie razem z potwierdzeniem obciążenia karty kredytowej. A tymczasem... – Podała im wydruk.

Clarke szukała wzrokiem nazwiska wynajmującego. Fox ubiegł ją, wskazując je palcem.

– Giovanni Morelli – przeczytał i bezgłośnie powtórzył, jakby próbował nadać sens temu, co widzi.

Clarke patrzyła na formularz, ciekawa innych danych.

Volkswagen passat z dwoma tysiącami kilometrów na liczniku został wynajęty w dniu, kiedy przyjaciel Morellego, Salman bin Mahmoud, padł ofiarą zabójstwa. Po przejechaniu niecałych pięćdziesięciu kilometrów zwrócono go następnego dnia rano.

- Piętnaście kilometrów do miasta i tyle samo z powrotem - powiedziała Clarke.

- I niecałe osiem z New Town na miejsce zbrodni. - Fox pokiwał głową. - Gdzie jest teraz ten samochód? - zapytał kobietę.

Ta postukała palcami w klawiaturę.

- Na parkingu.

- Czy ktoś wynajmował go po panu Morellim?

Pracownica wypożyczalni spojrzała nad ramieniem Foxa na klientów. Było ich coraz więcej i zaczęli się niecierpliwić.

- Proszę nie zwracać na nich uwagi - powiedziała Clarke i odwróciła się w stronę kolejki. - Jesteśmy z policji. Dziękujemy państwu za cierpliwość.

Kobieta znowu postukała w klawiaturę.

- Volkswagen ma dziś zostać wydany klientowi.

- To wykluczone - rzuciła Clarke i popatrzyła na Foxa. - Muszą tu dojechać technicy.

- Czy auto umyło i wysprzątało? - zapytał.

Kobieta pokiwała głową.

- Krew nie zniknie po pobieżnym odkurzeniu i przetarciu plastików - zapewniła go Clarke. Trzymała już w ręce telefon i wybierała numer.

Fox popatrzył ponownie na kobietę za biurkiem.

- Poproszę o kluczyki i wskazówki, gdzie możemy znaleźć auto. - Zdał sobie sprawę, że trudno mu się skupić, i wiedział, że Siobhan też ma z tym kłopot. Musieli postępować zgodnie z procedurami, ale myślał wyłącznie o Giovannim Morellim.

- Haj? - powiedziała Clarke do telefonu. - Potrzebna mi ekipa na lotnisku. Parking Avis. Wynajęty u nich samochód mógł zostać użyty przy zabójstwie bin Mahmouda. Ja i inspektor Fox już tu jesteśmy. - Słuchając Haja, patrzyła, jak pracownica wypożyczalni podaje Foxowi kluczyki i małą karteczkę. - Owszem - zwróciła się do szefa ekipy kryminalistycznej - możemy zabezpieczyć najbliższe otoczenie. Ale postarajcie się dojechać jak najszybciej.

- Może pani teraz obsłużyć klientów – poinformował Fox kobietę za biurkiem. – Będziemy jednak potrzebowali całej dokumentacji, o której pani wspomniała, więc kiedy będzie pani miała wolną chwilę... – Zobaczył, że Clarke zostawiła kawę na biurku i maszeruje już w stronę wyjścia. Postawił obok swój kubek i ruszył za nią.

- **DLACZEGO?** – **ZAPYTAŁA**, kiedy przecinali jezdnię, nie biegnąc, ale też nie idąc normalnym krokiem.

Fox zapiął marynarkę, żeby krawat nie smagał go po uszach.

- Nie rozumiem tego, Malcolm. Naprawdę nie rozumiem.

- Nie wybiegajmy zanadto do przodu – ostrzegł ją Fox. – To może świadczyć tylko o tym, że był tam tej nocy.

- Widziałeś fotografie... w passacie nie było żadnego pasażera. Więc jeśli Salman nie podwiózł zabójcy astonek...

- Mógł być jakiś trzeci samochód, którego nie namierzeliśmy.

- Albo Issy na rowerze, tak? – Clarke pokręciła głową. – Wszystko do siebie pasuje, tyle że nie ma sensu.

- Powinniśmy o to zapytać Morellego.

Spojrzała na Foka.

- Uważasz, że może nam zwiąć? Bogaci rodzice, ustosunkowani przyjaciele...

- Zobaczmy, czy uda się coś znaleźć w samochodzie.

Podchodzili już do parkingu Avisy.

- Które miejsce parkingowe? – zapytała Clarke.

- Czterdzieste drugie, jak w *Autostopem przez galaktykę*.

Clarke spiorunowała go wzrokiem.

- Chciałem tylko rozładować atmosferę – mruknął.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Siedzący w budce mężczyzna został już najwyraźniej powiadomiony przez kobietę z terminalu. Zaprowadził ich na miejsce parkingowe o numerze czterdzieści dwa i zostawił przy volkswagenie.

- Kusi mnie, żeby zajrzeć do środka – powiedział Fox, podnosząc kluczyk.

- Lepiej nie – ostrzegła go Clarke. Obeszła samochód, przyciskając twarz do każdej szyby. Na pewno był na myjni, a wewnątrz sprawiało wrażenie wysprzątane. Kiedy zaczął jej telefon, spojrzała na ekran.

- Technicy? – zapytał Fox.

- Sutherland – odparła. – Chce wiedzieć, gdzie jestem.

Wybrała numer i przystawiła telefon do ucha. Fox żałował, że zostawił kawę. Temperatura na dworze nie przekraczała dziesięciu stopni i nie mieli gdzie się schronić. Siobhan Clarke najwyraźniej się tym nie przejmowała. Zaróżowiły jej się policzki i zabłysły oczy. Kiedy spojrzała na Focha, zobaczył, że jest pewna swego. A to oznaczało, że już wkrótce będzie się zbierał i zasiądzie znów za biurkiem w Gartcosh.

Wiedział, że nie powinien się z tego powodu smucić, ale wcale mu się to nie uśmiechało.

## Rozdział 39

JOSEPH COLLINS NIE SPIESZYŁ SIĘ z otwarciem drzwi; balkonik mu tego nie ułatwiał. Rebus przywitał go z alejki, z której podziwiał otaczający dom ogródek.

– To nie może być wyłącznie pańskie dzieło? – zapytał.

– Ostatnio w większości May. Czego pan, do diabła, chce?

– Zastanawiałem się, jak pan się czuje. Wczorajszy dzień nie był dla pana łatwy. May nadal nie doszła do siebie. Wszystkie te plotki i wycelowane w nią spojrzenia, kiedy jest odwrócona plecami...

Collins wyprężył ramiona.

– Oboje jesteśmy silni.

Rebus dał krok w stronę drzwi.

– Mógłbym wejść do środka?

– A po co? – Collins przyglądał mu się przez okulary, które dobrze byloby wyczyścić ze smug i brudu. Siedząc w barze, wydawał się zgarbiony i drżący, ale jego oczy widziały wojnę i rozlew krwi. W sędziwym Joem Collinsie Rebus dostrzegł cień młodego Josefa Kollna.

– Bo pański rewolwer został użyty do zamordowania niewinnego człowieka, a to oznacza, że powinien pan wyjawić prawdę – odpowiedział. – Ze względu na May i siebie.

– Idź pan do diabła.

– Byłem gliniarzem przez ponad trzydzieści lat, panie Collins. Miałem do czynienia z diabłami. To, co zobaczyłem w Obozie Tysiąc Trzydziestym Trzecim, nie było takie straszne jak inne rzeczy, ale nadal nie daje mi spokoju. Keith nie zasłużył na to, co go spotkało. Zasłużył na pańską pomoc.



– Najprawdopodobniej zrobiła to pańska córka. – Starszy pan był coraz bardziej poirytowany.

– Naprawdę pan tak myśli?

– Nie wiem, co myślę.

– Bardziej interesuje mnie, co pan wie. Bo ten rewolwer był stale na widoku nie bez ważnego powodu. Prowokował pan kogoś, dawał pan komuś do zrozumienia, że pan wie.

– Co takiego wiem?

– Kto naprawdę zabił sierżanta Daviesa. A kiedy Keith zaczął odgrzebywać tę historię, nie wiadomo było, co się zdarzy. Wierzył, że to ten sam rewolwer. Może myślał, że uda się go przebadac na obecność DNA. Dlatego zwinął go z baru. Zawsze mówił pan ludziom, że znalazł pan tę broń na brzegu morza, wyrzuconą przez fale. Ale nie sądzę, żeby starał się pan dementować inne plotki. Właściwie kiedy zaczęły krążyć, całkiem się to panu spodobało, bo wskazywały na to, co się naprawdę wydarzyło.

Rebus dał kolejny krok w stronę starego człowieka. Za jego plecami widział wąski korytarzyk. Wiszące na ścianie rodzinne fotografie, typowa rupieciarnia długiego życia.

– Stefan Novack, Helen Carter, Frank Hess... – ciągnął Rebus. – Keith nagrał rozmowy z nimi wszystkimi. Stefan nadal prowadzi samochód, ale nie było go w obozie, kiedy zabito sierżanta Daviesa... chyba że ma pan inną wiedzę. Siostra Helen miała wielu adoratorów, część z nich została jej kochankami. Czy Helen była zazdrosna? Czy czuła coś do sierżanta Daviesa? Poza tym był Frank, który adorował ją, ale najwyraźniej bez wzajemności. – Rebus na chwilę przerwał. – No i był jeszcze pan. Znał pan i Franka, i Helen. Co oznacza, że znał pan także jej siostrę. Zacząłem się zastanawiać, czy eksponując tę broń, nie chciał pan powiedzieć ludziom, że pan to zrobił. Podrzucić narzędzie zbrodni do celi Hoffmana musiał ktoś, kto miał dostęp do obozu. Helen tam pracowała, pan i Frank Hess byliście tam internowani.

– Co daje jeszcze kilkuset innych potencjalnych podejrzanych. – Collins nagle opadł z sił i bardziej się pochylił. Nakrapiane plamami wątrobowymi powykręcane dłonie drżały, ściskając poręcz balkonika. –

Niech pan mi powie, panie Rebus, który z nas miałby siłę zabić Keitha? Mówi pan, że to on wziął rewolwer z pubu. Musielibyśmy mu go chyba zabrać? Wyrwać z ręki? Wyobraża pan to sobie? Naprawdę?

Rebus odczekał chwilę, zanim dał kolejny krok do przodu. Jego twarz znalazła się tylko kilkanaście centymetrów od twarzy Collinsa.

– Czas to skończyć, Herr Kolln. Ze względu na dobro naszych córek.

Oczy starca zaszyły lekko mgłą. Uniósł jedną dłoń z balkonika i przetaił nią usta. A potem zaczął powoli cofać się w głąb przedpokoju, ciągnąc za sobą balkonik.

– Ma pan rację – powiedział. – Nigdy mu nie powiedziałem, że to ten sam rewolwer. Ale, widzi pan, on nigdy nie stracił niezdrowego pociągu do kobiet. To był mój sposób, żeby go ostrzec. Miał się trzymać z dala od mojej żony, a właściwie od obu moich żon.

– Kto miał się trzymać z dala?

– Niech pan pogada z Frankiem, panie Rebus. – Drzwi zaczęły się powoli zamykać.

– Z tego, co o nim wiem, to może być dość jednostronna rozmowa.

– Mimo wszystko niech pan spróbuje.

Drzwi się zatrzasnęły i Rebus został sam na pozamiatanej alejce, pośrodku utrzymanego w nienagannym stanie ogródka.

– Dobrze, zrobię to – rzucił cicho, drapiąc się po głowie.

**DOM, W KTÓRYM FRANK HESS** mieszkał z wnukiem, Jimmym, stał na płaskowyżu ciągnącym się od głównej drogi w stronę wybrzeża. Słońce wyszło zza chmur, robiło się coraz cieplej. Rebusowi wydawało się, że słyszy szum łamiących się fal. Zdał sobie sprawę, że ani razu nie był na plaży. Może pójdzie tam na spacer. Wcisnął dzwonek trzy razy, zanim usłyszał dobiegający ze środka wrzask.

– Czego tam?!

Nachylił się do otworu na listy i podważył klapkę.

– Panie Hess? To ja, John Rebus, ojciec Samantha.

– Spadaj pan!

– Nie mogę tego zrobić, panie Hess. Musimy porozmawiać. – Rebus przystawił oko do szpary i szybko się cofnął, gdy wysunęła się przez nią laska. – Chodzi o rewolwer. O to, dlaczego Keith zabrał go z pubu. Wciąż pana o niego pytał. To pana chyba zirytowało. Jak widzę, wciąż jest pan zirytowany.

– Zostaw pan nas w spokoju!

– Jimmy jest z panem? Mogę z nim pogadać?

Rebus zaryzykował i przystawił znów oko do szpary. Widząc tors mężczyzny oraz zagracony przedpokój za jego plecami, puścił klapkę i nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte, dał więc krok do środka. Laska trafiła go w ramię, lecz nadal wpatrywał się w ciężką motocyklową kurtkę, którą zobaczył wcześniej przez szparę. Gdy zdejmował ją z wieszaka, oberwał laską w plecy. Starzec rzeźił i charczał. Rebus przykucnął i podniósł z podłogi kask, w którym leżały skórzane rękawice. Odwracając się do Franka Hessa, sparował ostatnie uderzenie łokciem.

– Jimmy ma motocykl – powiedział.

– Nie – odparł Hess, szykując się do zadania kolejnego ciosu.

Rebus puścił kurtkę, złapał końcówkę laski i mocno ją przytrzymał. Hessowi nie udało się jej wyrwać.

– Więc lubi się tylko przebierać w strój motocyklisty?

– To dobry chłopak. Opiekuje się mną.

Rebus pokiwał głową.

– Bezwarunkowa miłość. Zrobi wszystko, żeby zadowolić dziadka. Domyślił się pan, dlaczego Keith zabrał z pubu rewolwer. Wiedział pan, dlaczego Joe trzymał go w widocznym miejscu za barem. Ta pana obsesja na punkcie kobiet. Ubodło pana, że Chrissy nie miała dla pana czasu, choć chętnie spędzała go z kimś innym. – Rebus przerwał i patrzył, jak pierś Hessa unosi się i opada, jakby brakowało mu oddechu. – W obozie nikt nie lubił Hoffmana – podjął. – Nikomu nie przeszkadzało, że stanął przed plutonem egzekucyjnym. Łatwo było podrzucić mu broń i dać cynk władzom.

Przerwał i przyglądał się mężczyźnie. Hess był średniego wzrostu, na starość mocno stracił na wadze. Miał zapadnięte policzki, poźółkłe zęby i fałdy skóry na szyi.

– Przez całe życie trawiła pana furia, prawda, Herr Hess? – spytał Rebus. – W pana wieku niewiele pan może z nią zdziałać. Co innego Jimmy...

Starcowi zabłyśły nagle oczy i wyraźnie odmłodził. Rebus zobaczył przed sobą młodego poborowego, fanatyka zadurzonego bez wzajemności w miejscowej flirciarze.

– Mój wnuk nie zrobił nic złego – warknął Hess, po czym rozejrzał się po przedpokoju, jakby czegoś szukał, i poczłapał w głąb domu.

Rebus też się rozejrzał. Nie zobaczył motocykla. Przy bocznej ścianie domu biegła wąska alejka, ale tam też go nie było. Wyjął telefon: brak zasięgu. Kiedy chował go do kieszeni, Hess wyłonił się z półmroku, zaciskając w ręce nóż do mięsa.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz, Frank? – Rebus uniósł ręce.

– Mógłbym cię zabić. Sam powiedziałaś: trawi mnie furia.

– Chcesz powiedzieć: w przeciwieństwie do Jimmy'ego? – Rebus pokiwał głową, jakby to rozumiał, po czym złapał Hessa za nadgarstek i wykręcił mu rękę; nóż upadł na podłogę. Dał krok do przodu i jego usta znalazły się tuż przy uchu starca. – Ale ty nie jeździsz motocyklem – powiedział cicho, po czym odwrócił się i wyszedł z domu.

Sprawdził jeszcze raz alejkę. Dwa stare rowery, jeden, sądząc po wyglądzie, jeszcze z dzieciństwa. Dalej był mały ogródek. Kolejne rupiecie: stare samochodowe opony i dekle na koła, przegniłe drewniane drzwi i sklecona z wyrzuconych okiennych ram zimowa osłona dla roślin, pod którą rosły chyba same chwasty. W rogu stała niewielka szopa, kupiona nie tak dawno, sądząc po jej stanie. Rebus otworzył jej drzwi i zajrzał do środka. Obrastająca pajęczyną kosiarka, skrzynki z narzędziami, zawieszane na kołkach motyki, grabie i szpadle. Zamknął drzwi, wrócił do samochodu i ruszył z powrotem do Naver. Po drodze sprawdzał zasięg. Kiedy zobaczył pojedynczą kreskę, zatrzymał się i zadzwonił do Creaseya.

– Musisz załatwić nakaz przeszukania domu Franka Hessa. I przesłuchać jego wnuka – powiedział i na chwilę urwał. – Właściwie i wnuka, i dziadka.

– Dlaczego miałbym to zrobić, John? – Głos Creaseya zanikał. Pojedyncza kreska pojawiała się i znikwała.

– Wyjaśnię ci to, kiedy się spotkamy. Po prostu się tym zajmij. – Rebus zakończył rozmowę i podjechał pod The Glen. Kiedy wszedł do pubu, Cameron kończył myć mopem podłogę.

– Uważaj, żebyś się nie poślizgnął – ostrzegł go.

– Nigdy nie powinna mi się noga, synu, co nie znaczy, że nie upadam czasem twardo na tyłek. Mam do ciebie pytanie: czy Jimmy Hess ma motocykl?

– Nie.

– Na pewno?

– Na sto procent.

– Ma cały ekwipunek.

Cameron pokiwał głową.

– Bo czasami pożycza motor od Calluma.

– A kim, do diabła, jest Callum?

– Prowadzi z ojcem farmę Torries. Ma fioła na punkcie motocykli, choć najczęściej można go zobaczyć na ATV. – Cameron spostrzegł puste spojrzenie Rebusa. – Nazywacie je pewnie quadami. Przydają się do jeżdżenia po polach.

– Jak znajdę tę farmę?

Cameron zaczął w skomplikowany sposób wyjaśniać, lecz Rebus szybko mu przerwał.

– Łatwiej będzie, jeśli tam ze mną pojedziesz.

– Ale przecież otwieramy...

– Rób, co ci mówi.

Odwrócili się i zobaczyli za sobą May Collins. Stała w drzwiach za barem, wycierając ręce ściereczką i patrząc na Rebusa.

– Ojciec mówi, że złożyłeś mu wizytę – powiedziała. – Wygląda na to, że coś zwietrzyłeś, więc na co jeszcze czekasz? – Machnęła ręką, pokazując, że nic tu po nim.

– Wezmę tylko kurtkę – mruknął Cameron.

W ciągu krótkiej chwili, kiedy go nie było, Collins i Rebus patrzyli na siebie, w ogóle się nie odzywając. Ale kiedy chłopak przecisnął się obok niej, wsuwając ręce w rękawy dżinsowej kurtki, na ustach Collins pojawił się lekki uśmiech.

– Powodzenia – rzuciła za nimi, kiedy wychodzili z pubu.

Jazda na farmę trwała dwadzieścia minut, najpierw na wschód, a potem krętą drogą w głąb łądu. Gospodarstwo leżało przy zrytym koleinami trakcie, ale Rebus wciskał gaz do dechy. Samochód był w końcu wynajęty. Usłyszawszy warkot silnika, z jednego z pomieszczeń gospodarczych wyszedł młody mężczyzna w niebieskim kombinezonie.

– To Callum – powiedział Cameron.

Rebus zatrzymał się przy zabłoconym quadzie i wysiadł. Cameron i Callum uścisnęli sobie dłonie na powitanie.

– Jestem John Rebus, ojciec Samantha.

– Przykro mi z powodu pańskiej straty – odparł młody człowiek. Krzepki i ogorzały, miał potarganą fryzurę i bezpośredni sposób bycia. – Co pana tu sprowadza?

– Przyjaźni się pan z Jimmym Hessem?

– Od szkolnych czasów.

– Pożycza od pana czasem motor?

Callum rzucił Rebusowi zaintrygowane spojrzenie.

– Owszem.

– Kiedy zrobił to ostatnim razem?

– Musiałbym się zastanowić.

– Ale to było niedawno? Mniej więcej przed tygodniem?

– Coś koło tego.

– Powiedział, do czego mu potrzebny motor?

- Jimmy lubi się po prostu czasem przejechać, wypuścić z siebie trochę pary. Trudno mu wytrzymać z dziadkiem.

- Ja bym nie wytrzymał - potwierdził Cameron.

- I nie musisz - zwrócił się do niego Rebus. - Frank Hess prawie nie zagląda do pubu.

- Nie zagląda nigdy - uściślił Cameron. - Mówi, że nie gustuje w alkoholu, ale kiedy odwiedzi pan jego dom...

- To co?

- Pełno tam butelek po whisky, a Jimmy nie jest na pewno fanem single malt.

Rebus ponownie skupił uwagę na farmerze.

- Więc na jak długo Jimmy pożyczył motocykl?

- Na jeden dzień.

- Na jeden dzień i jedną noc?

- Jazda motorem w nocy to coś niesamowitego. Nie trzeba mieć wyznaczonego celu, nie tutaj. Chodzi o to, żeby jechać.

- Czy po namyśle mógłby mi pan podać dokładną datę? - nie dawał za wygraną Rebus.

- Pewnie tak.

- A kiedy Jimmy przyprowadził z powrotem motor, jak wyglądał?

Callum spojrział najpierw na Rebusa, potem na Camerona.

- Chwilę, mówimy przecież o moim kumplu.

- I będzie pan mówił o nim o wiele więcej, nie ze mną, ale z policjantami prowadzącymi śledztwo w sprawie zabójstwa.

Callum pokręcił z niedowierzaniem głową, a Cameron zrobił ośupiałą minę. W kieszeni Rebusa zawibrował telefon.

- Macie tu zasięg? - zapytał, wyjmując go.

- Maszt jest tam. - Callum wskazał odległe wzgórze.

Rebus przystawił telefon do ucha i odwrócił się plecami do młodych mężczyzn.

- Tak, detektywie Creasey, czym mogę panu służyć?

– Wiesz, że nakazu przeszukania nie wydaje się ot tak sobie? Muszę przekonać szefa, żeby przekonał sędziego. A to oznacza, że ty musisz przekonać mnie.

– Najlepiej zrobić to twarzą w twarz. Gdzie teraz jesteś?

– Mijam Lairg, kieruję się na północ.

– Rzecz w tym, że kiedy dziadek Jimmy'ego Hessa porozmawia z wnukiem, będziemy mieli problem. Pozbędą się wszystkiego, co może posłużyć jako dowody rzeczowe. A ty masz przed sobą jeszcze długą drogę.

– John... – zaczął Creasey, ale Rebus podjął już decyzję.

**ODWIÓZŁ CAMERONA DO PUBU**, po czym wrócił do domu Franka Hessa i nacisnął klamkę. Tym razem drzwi były zamknięte. Wcisnął kilka razy dzwonek, ale bez odpowiedzi. Zajrzał do środka przez otwór na listy. Nie było śladu po kasku i kurtce. Klnąc pod nosem, przeszedł alejką na tyły domu. Kuchenne drzwi również były zamknięte, ale przez brudną szybę zobaczył leżący na blacie nóż do mięsa. Szuflada, z której go wyjęto, była wysunięta. Na kuchence patelnia, w zlewie garnki i talerze. Dwa kubki na rozkładanym stole. Żadnego znaku życia.

Cofnął się o krok i spojrzął na okna na piętrze. Zasłony w obu były szczelnie zasunięte. Otworzył szopę i zaczął w niej szperać, a potem uznał, że będzie mu łatwiej, jeśli wyciągnie na zewnątrz kosiarkę. Zrobił to i zabrał się do pracy: ciskał za siebie narzędzia, by mieć więcej miejsca. Pudełka ze śrubami, w większości zardzewiałymi gwoździami różnych rozmiarów, haczykami, kablami oraz trójbolcowymi starymi wtyczkami. Plastikowe doniczki, zwoje sznurka, puszki po oleju...

Zauważył, że roboczy stół ma szufladę. Była zaklinowana, więc ją zostawił. Po sprawdzeniu ostatniego pudełka uprzytomnił sobie, że cały jego wysiłek poszedł na marne. Spocił się i koszula kleiła mu się do pleców. Na wszelki wypadek upewnił się, że ma w kieszeni inhalator. A potem przyjrzał się szufladzie i uznał, że spróbuje ją jednak otworzyć. Tym razem użył dużego śrubokrętu – wsunął go w szparę. Drewno zaczęło



się kruszyć, ale szuflada się uchyliła. Spróbował ponownie i znów się przesunęła. Złapał oburącz jej boki i...

– Wtargnął pan na teren prywatny – usłyszał za sobą głos i odwrócił się. W drzwiach szopy stał Jimmy Hess. – I dopuścił się pan uszkodzenia mienia.

– Policja jest już w drodze – odparł Rebus, łapiąc z trudem oddech. – I będą chcieli pogadać z tobą, nie ze mną. – Wsunął rękę w szparę i wyciągnął z niej laptop. Wyczuł, że trochę głębiej są notatniki Keitha. – Lepiej idź przygotować dziadka.

Jimmy Hess pokręcił głową. Na jego dużej okrągłej twarzy nie było widać żadnych emocji. Zniknął gdzieś jowialny młody człowiek, który siedział przy stole w The Glen, zniknął troskliwy i opiekuńczy wnuk, który przerwał wywiad dziadka z Keithem Grantem.

– Nie sądzę – powiedział i rzucił się na Rebusa. Złapał go za szyję i popchnął do tyłu.

Rebus walnął plecami o ścianę szopy. Czuł, że nie ma czym oddychać, że oczy wychodzą mu z orbit i jednocześnie łzawią, przez co niewiele widział. Zacisnął palce na nadgarstkach młodszego mężczyzny, lecz nie był w stanie oderwać jego rąk od swojej szyi. Szukał małego palca – chciał go wygiąć i złamać – ale opuszczały go siły. Ugięły się pod nim kolana i osunął się na podłogę, objając się o ostre przedmioty. Zmieniając taktykę, sięgnął do twarzy Jimmy'ego Hessa i obmacywał ją, szukając wrażliwych oczu. Hess kręcił jednak głową na wszystkie strony, skutecznie mu to uniemożliwiając. Rebus słyszał w uszach ryk morza; świat stał się krwistoczerwony jak o zachodzie słońca. Młody Hess szczyrzył zęby z wysiłku. Rebus żałował, że nie może walczyć z nim jak równy z równym... że nie może bardziej pomóc Sammy...

Sam...

Samancie...

Ręce osunęły się, powieki zatrzępotały i opadły.

Za wzburzonym morzem czekała głęboka ciemność.

## Rozdział 40

ŚLEDZCY W LEITH BYLI W wyśmienitym nastroju. Tylko George Gamble siedział ze skrzyżowanymi na piersi rękami, uprzedzając każdego, kto go słuchał, by „nie dzielił skóry na niedźwiedziu”. Jego krzesło głośno skrzypiało, gdy odchyłał się na oparcie.

Większość zespołu zgromadziła się przy tablicy korkowej na ścianie. Graham Sutherland rozważał, jaki powinien być ich następny krok.

– Porozmawiam z prokuraturą – ogłosił. – To chyba pierwsza rzecz, jaką zrobię.

– Pierwszą rzeczą powinno chyba być ściągnięcie tu Morellego i przesłuchanie go pod odpowiedzialnością karną – odezwał się posterunkowy Phil Yeats, serwujący właśnie kawę i herbatę, co stało się rutyną, która całkiem mu pasowała. „Pensja detektywa za robotę kelnera”, skomentował raz w pubie Ronnie Ogilvie po wyjściu Yeatsa.

– Musimy pamiętać, że może uciec, jeśli nie zatrzymamy mu paszportu – zauważył Malcolm Fox.

– Wszystko w swoim czasie – mruknął Sutherland. Stał przy tablicy korkowej, mając przed sobą zespół. – Samochód jest w warsztacie w Howdenhall. Jeśli są w nim jakieś ślady, na pewno je znajdą. Obiecali mi raport pod koniec dnia.

– Staramy się o nakaz przeszukania domu Morellego? – zapytała Esson.

– Kiedy tylko rozmówię się z prokuraturą. Mamy jakieś teorie co do motywu?

– Niekoniecznie – odparła Clarke. – Ale widzimy działanie z premedytacją. Moim zdaniem uznał, że mniej ryzykowne będzie wynajęcie auta poza miastem. Z zapisu kamer na lotnisku wynika, że starał się nie rzucać w oczy. Malcolm i ja mieliśmy z nim do czynienia wcześniej i zawsze dbał o to, jak wygląda. – Technicy dostali wydruki

z monitoringu i je studiowali. Zobaczyli bluzę z kapturem, dzinsy i adidasy.

– Po co wziął plecak? – zapytał Ronnie Ogilvie.

– Ile osób przylatuje do Edynburga bez bagażu? – zadała pytanie Clarke. – Nie chciał zwracać na siebie uwagi. Ale kaptur przypomina o czymś innym: miał go podobno na głowie, kiedy, jak twierdzi, został napadnięty.

– Jak twierdzi?

– Przypomnijcie sobie, co wtedy powiedziałam: jeśli uznamy Morellego za ofiarę...

– ...nie będziemy go traktować jako podejrzanego – dokończył Ogilvie i pokiwał głową.

– Wszystko to wygląda pięknie – przerwał im Sutherland – ale jest oparte na poszlakach.

– Mimo to jest bardzo obiecujące – zaznaczył Fox. – Samochód na miejscu zbrodni; wynajmujący znany ofierze; umówione wcześniej spotkanie. I nie zapominajmy, że ostatnią osobą, do której dzwonił Salman, był jego dobry kumpel Giovanni.

– Na co nie zwróciliśmy uwagi, bo wiedzieliśmy, kim jest Morelli i co rzekomo spotkało – dodała Christine Esson. – Podczas gdy tak naprawdę mógł upozorować napad, waląc głową w ścianę.

Sutherland pokiwał w zadumie głową.

– Pogadam z prokuraturą i postaram się wszystko przyspieszyć. Tymczasem jednak niczego nie ujawniamy i niech choć jeden raz nie będzie przecieków. – Na chwilę przerwał. – Rozumiesz, George?

Gamble zastygł z połową herbatnika w ustach.

– Nie patrz na mnie, szefie – wyjąkał.

– Upewniam się tylko, że mnie słuchasz. I chciałbym postawić sprawę jasno. To dzięki Siobhan i Malcolmowi osiągnęliśmy to, co osiągnęliśmy.

Sutherland zaczął klaskać i dołączyli do niego inni. Aplauz jak zwykle łączył w sobie autentyczne poczucie ulgi i triumfu z zazdrością, że zasługa przypada komuś innemu.

- Dziękuję, moi drodzy - powiedział Fox i również zaczął klaskać.

- Nie pozwól, żeby woda sodowa uderzyła ci do tej twojej wielkiej łysiejącej głowy - skomentował George Gamble.

Kiedy wrócili do biurek, a Sutherland zamknął się w gabinecie, żeby zadzwonić, Clarke zauważyła, że Fox przesuwając niepewnie dłonią po włosach.

- Podpuszczał cię - rzuciła półgłosem.

- Jasne - odparł.

Wiedziała jednak, że kiedy Fox pójdzie do toalety, będzie obracał głowę przed lustrem, żeby dobrze jej się przyjrzeć.

## Rozdział 41

OCKNAŁ SIĘ NAGLE I zamachnął ręką, ale to Robin Creasey pochylił się nad nim.

– Niech to diabli, John, myślałem, że już po tobie.

Dłoń Rebusa powędrowała do tchawicy. Wiedział, że jest uszkodzona. Kiedy próbował przełknąć ślinę, poczuł przeszywający ból.

– Był tu komputer Keitha – wychrypiał, wskazując szufladę. – Tamtej nocy, kiedy zginął Keith, Jimmy pożyczył motocykl. To jego słyszał Ron Travis.

Creasey włączył latarkę w telefonie i skierował światło w głąb szuflady.

– Coś tam jest głębiej – powiedział.

– Notesy Keitha.

– Postawię kogoś na straży. I wezwę do ciebie karetkę.

Rebus pokręcił głową i natychmiast zrobiło mu się niedobrze. Nie protestował, gdy Creasey pomagał mu wstać. Kiedy wyjął inhalator i próbował go wsadzić między szczękające zęby, świat nagle zawirowało. Nie wiedział, czy mu to w czymkolwiek pomoże, ale i tak wcisnął kilka razy przycisk. Wychodząc na drżących nogach z szopy, zobaczył stojącego w kuchennych drzwiach Franka Hessa. Starzec wbijał w niego wzrok.

– Dokąd go zabieracie? – zapytał chrapliwym szeptem Rebus.

– Nie przejmuj się tym, John – odparł Creasey. – W tym momencie skupmy się na tobie.

Rebus złapał go za klapy marynarki.

– Nie skupiajmy się na mnie – wycharczał.

– Jimmy to dobry chłopak – odezwał się Hess, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

Rebusowi wydawało się, że widzi w jego oczach łzy. Popatrzył na niego i wskazał palcem Creaseya.

– Im więcej im powiesz, tym lepiej. Lepiej dla twojego wnuka, oczywiście. Musisz w końcu zrobić to, co trzeba, Frank. Odkupić całe zło, które wyrządziłeś.

Hess spiorunował go wzrokiem.

– Ty i ja nie jesteśmy już młodzi – rzucił. – Keith był niecierpliwym młodym mężczyzną z głową pełną pomysłów. Wydawało mu się, że może coś zmienić. – Wyciągnął palec w stronę Rebusa. – Jak długo byłeś policjantem? I co, udało ci się zmienić świat? Zmienić cokolwiek?

– Powiem ci, czego nie zrobiłem. Nie zabiłem człowieka dlatego, że czegoś mu zazdrościłem. A ty zabiłeś właściwie dwa razy, bo patrzyłeś, jak wrabiają Hoffmana i go rozstrzeliwują. A potem, nie chcąc, żeby to zostało ujawnione, wysłałeś wnuka, żeby dokonał kolejnego zabójstwa. Domyślałem się, że nie miałeś z tego powodu wyrzutów sumienia.

– To nie było zaplanowane! Nie było!

Rebus popatrzył na Creaseya.

– Każ zapieczętować tę szopę, zdjęć odciski palców z notesów i sprawdzić, czy nie znajdą czegoś w domu. Teraz będzie ci chyba łatwiej załatwić nakaz przeszukania?

– Będę również potrzebował twoich zeznań. I nadal uważam, że powinieneś pojechać do szpitala.

– Obiecuję, że pojedę, kiedy tylko dorwiesz Jimmy'ego Hessa – odparł Rebus i ruszył powoli alejką.

– Nie próbuj go tylko łapać na własną rękę, John! – zawołał za nim Creasey.

Rebus tylko wzruszył ramionami.

## Rozdział 42

### POKÓJ PRZESŁUCHAŃ B, KOMISARIAT POLICJI W LEITH.

Istniał również pokój przesłuchań A, ale od kilku miesięcy był wyłączony z użytkowania z powodu przeciekającego sufitu, którego naprawa okazała się zbyt kosztowna. Siobhan Clarke sprawdziła, czy kamera w pokoju B jest sprawna. Graham Sutherland siedział obok niej. Malcolm Fox upierał się co prawda, że przy przesłuchaniu powinien być obecny ktoś z Gartcosh, ale nadinspektor odpowiedział na to jednym słowem: „Dlaczego?”.

Clarke wyobrażała sobie Foxa żołądkującego się gdzieś w budynku, być może nawet rozmawiającego przez telefon z Jennifer Lyon, żeby okazać niezadowolenie. Wydany został nakaz przeszukania domu Morellego i udali się tam Esson i Ogilvie wraz z szóstką dobrze wyszkolonych mundurowych i ekipą techników. Morellego poproszono o klucze, kiedy tylko dotarł do komisariatu. Jego adwokatka siedziała teraz obok niego, przeglądając papiery. Clarke nie była wcale zaskoczona, gdy w recepcji pojawiła się Patricia Coleridge. Była ubrana dokładnie tak jak podczas poprzedniej wizyty. Clarke domyślała się, że w szafie ma całą kolekcję biznesowych strojów. Poza tym ten sam drogi notatnik, to samo pasujące do niego wieczne pióro i ten sam iPad w skórzanym futerale, służącym również jako podpórka.

Siedzący obok niej Morelli wydawał się odrobinę bardziej zdenerwowany niż wcześniej. Odsunął nieco krzesło od stołu, żeby móc założyć nogę na nogę. Nad mokasynami, które włożył na bose stopy, widać było kilka centymetrów gładkich opalonych łydek. Już wcześniej zapewnił o swojej niewinności i teraz wyglądał, jakby chciał być po prostu gdzie indziej.

– Możemy chyba zacząć – oznajmił Graham Sutherland, kiedy wszyscy podali nazwiska i stopnie służbowe do kamery.

Następnie odchylił się na oparcie krzesła i pałeczkę przejęła Clarke. Na początek rozłożyła przed Morellim szereg fotografii.

– To pan, prawda? Na edynburskim lotnisku jedenaście dni temu. Nie tak elegancki jak zwykle, ale rozpoznawalny. Wynajmuje pan samochód w punkcie Avis. To jest kopia dokumentu, który pan podpisał, a to potwierdzenie transakcji z pańskiej karty kredytowej.

– Bez komentarza.

– Naprawdę?

– W tym momencie mój klient nie musi mówić nic więcej, pani inspektor – zainterweniowała Coleridge.

– Myślałam po prostu, że łatwiej mu będzie przyznać, że wynajął samochód na jeden dzień, co wynika jednoznacznie z dowodów. Ten samochód... – Clarke pokazała zdjęcia passata stojącego na parkingu Avis i przemierzającego o zmierzchu edynburskie ulice. – Zgadzam się, że jakość nie jest najlepsza. Ale naszemu ekspertowi udało się uzyskać wyraźny obraz tablicy rejestracyjnej.

Prawniczka przyjrzała się fotografiom. Morelli wbijał wzrok w ścianę.

– Twierdzi pani, że wszystkie zdjęcia przedstawiają ten sam samochód? – powiedziała. – Przyznaję, że na jednym z nich numery rejestracyjne są całkiem wyraźne, ale na innych... – Zmierzyła Clarke ostrym spojrzeniem. – Ile srebrnych passatów mamy pani zdaniem w Zjednoczonym Królestwie?

– Srebrnych passatów z nalepką Avis na tylnej szybie? – Clarke udała, że się zastanawia. – Mniej, niż pani myśli. – Pokazała im kolejne fotografie. Robbie Stenhouse z pewnością zasłużył na paszteciki i drinka w przerwie meczu. – Tu widzimy ten sam samochód przejeżdżający o dwudziestej drugiej trzydziści obok pola golfowego Craigentiny. Grał pan tam w golfa ze swoim przyjacielem Salmanem, prawda, panie Morelli? A także ze Stewartem Scoulairem. – Clarke na chwilę przerwała, dając Włochowi szansę na jakiś komentarz, lecz ten z niej nie skorzystał. – Uważamy, że chciał pan zaparkować na położonym na uboczu parkingu,



ale okazało się, że jest zamknięty. A tu mamy ten sam samochód stojący o dwudziestej drugiej pięćdziesiąt na Seafield Road, jakby kierowca na kogoś czekał. Niedługo później Salman bin Mahmoud wjechał na parking przy magazynie i zatrzymał się tuż za tym samochodem. Wkrótce potem został napadnięty i zabity.

– Co pani sugeruje? – zapytała Coleridge.

Clarke skupiła jednak uwagę na Morellim, który starał się, jak mógł, unikać jej wzroku.

– Co on panu zrobił złego, panie Morelli? Issy będzie zdruzgotana, gdy się dowie.

Morelli zdjął nogę z nogi i lekko przechylił głowę. Na tym etapie był to dla Clarke wystarczający sygnał. Wstała z krzesła i obesza biurko, by znaleźć się na linii jego wzroku. Odwróciwszy głowę, Włoch przekonał się, że Graham Sutherland wpatruje się w niego równie przenikliwym spojrzeniem.

– Samochód został zbadany na okoliczność śladów DNA, panie Morelli – podjęła Clarke. – Nie pańskich, lecz Salmana. Zakładamy, że pozbył się pan ubrania, które miał pan na sobie, ale kiedy dźga się kogoś nożem tak, jak dźgnął pan przyjaciela, zdarza się, że...

– Nie widzę żadnych dowodów wskazujących, że mój klient popełnił przestępstwo – zaprotestowała Coleridge. – Chyba zdaje pan sobie sprawę, nadinspektorze, że celem policyjnego śledztwa nie może być...

– Tym, co chcemy tu usłyszeć, pani mecenas – przerwał jej Sutherland – jest wiarygodne wyjaśnienie pani klienta, dlaczego pojechał na lotnisko, wynajął samochód i po przejechaniu niespełna pięćdziesięciu kilometrów zwrócił go następnego dnia. Kiedy to ustalimy, być może zajmiemy się wyjaśnianiem powodów, dla których pojawił się w Craigentiny... w okolicy, którą chyba niezbyt dobrze znał... pół godziny przed przyjazdem tam Salmana bin Mahmouda. To ciekawy zbieg okoliczności, prawda? Podobnie jak to, że ostatnią rozmowę telefoniczną tego dnia pan bin Mahmoud odbył z panem Morellim. Rozmawiali przez niecałe pięć minut, między dziewiętnastą piętnaście i dziewiętnastą dwadzieścia. Chciałbym się dowiedzieć, o czym rozmawiali i co ustalili.

Nie odpowiadając na te pytania, pani klient tylko się pogrąża. Powinna mu to pani uświadomić, w jego interesie.

Sutherland odchylił się na oparcie krzesła, dając do zrozumienia, że skończył. Zapadło milczenie. Clarke usiadła. Coleridge, która odkręciła wcześniej obsadkę wiecznego pióra, zakręciła ją i spojrzała na Morellego. Ten, wyczuwając, że czegoś się od niego wymaga, wciągnął głośno powietrze w płuca.

– Bez komentarza – rzucił.

**MIMO PROTESTÓW PRAWNICZKI** skorzystali z przysługującego im prawa i zatrzymali Włocha na dwadzieścia cztery godziny. Trafił do celi i dostał słabą herbatę z cukrem w cienkiej plastikowej filiżance. Zastępczyni prokuratora spotkała się z zespołem, a potem poszła pogadać w cztery oczy z Sutherlandem.

– Nie znaleźli nic w samochodzie – powiedziała Tess Leighton. – Spróbują jeszcze raz, ale bez większych oczekiwań – dodała, zanim przerwała połączenie.

Clarke zerknęła na ekran telefonu. Poprosiła wcześniej Christine Esson o regularne raporty z domu Morellego. Na razie dostała tylko jedną wiadomość: *Fajna chata!* Posłała jej w charakterze ponaglenia znak zapytania i podeszła do Foxa, który zanurzał właśnie w kubku saszetkę z ziołową herbatą.

– Phil poszedł po mleko, więc tymczasem... – zaczął się tłumaczyć.

– Proponujesz mi drugą miętową herbatę? – Clarke pokręciła głową. – Miałam nadzieję, że znajdą coś w samochodzie.

– Ja też. Tak czy owak, Morelli ma nadal wiele rzeczy do wyjaśnienia.

– Może też trzymać gębę na kłódkę i wyjść stąd już jutro.

– Jakież wieści od Christine?

– Tyle tylko, że Gio ma fajną chatę.

– Przychodzi do niego sprzątaczką. Musimy ją zapytać, czy nie dał jej jakichś ubrań do wyrzucenia. Może w kuchni brakuje noża od kompletu...

Clarke pokiwała głową.

- Christine wszystko to wie, Malcolm.
  - Chyba jest coś, co możemy zrobić.
  - Udać się do celi i urządzić mu krótkie podtapianie?
  - Wystarczyłoby pewnie kilka klapsów.
  - W czasach Johna - zgodziła się Clarke. - Coleridge chce, żeby jej klienta objęto obserwacją pod kątem samobójstwa.
  - Dlaczego?
  - Mają chyba nadzieję, że będzie lepiej traktowany.
  - Obejrzałem nagranie.
  - I co?
  - Byłaś dobra.
  - Niczego nie pominęłam.
  - Kiedy wspomniałaś o Issy...
  - Więc i ty to zauważyłaś.
  - Dotknęłaś czułego nerwu. Nie zaszkodziłoby dotknąć go ponownie.
- Clarke pokiwała głową i popatrzyła na prokuratorkę, która wyszła z gabinetu Sutherlanda i ruszyła w stronę schodów.
- Nie wydaje się optymistycznie nastawiona - skomentował Fox.
  - Oni nigdy nie wydają się optymistycznie nastawieni, chyba że mają przyznanie się do winy i dziesięciu naocznych świadków.
- Fox uśmiechnął się nad krawędzią kubka. Wypił łyk herbaty i przez chwilę się nią delektował.
- Całkiem niezła - rzucił.
  - Phil nie spieszy się zbytnio z tym mlekiem. - Clarke sprawdziła godzinę na telefonie.
  - Kiedy go zapytasz, powie, że w pierwszym sklepie się skończyło. Mogę się założyć.
  - Podczas gdy tak naprawdę lubi się przejść? - mruknęła.
- Fox wskazał jej wzrokiem drzwi. Phil Yeats wchodził właśnie z reklamówką do pokoju.
- W najbliższym sklepie nie mieli mleka - wyjaśnił.

– Masz tu gdzieś kryształową kulę? – zapytała Foga, a Yeats uniósł brwi, nie wiedząc, o co chodzi.

– No to rób tę herbatę! – ryknął zza biurka George Gamble.

– Nie mają litości, prawda? – powiedziała Clarke, kiedy Yeats sprawdzał, czy powinien dolać wody do czajnika.

– Co mówiła prokuratorka? – zapytał.

– Że odgrywasz kluczową rolę w naszym zapracowanym zespole.

– Odwal się, Siobhan. Może następnym razem ty będziesz chłopcem na posyłki.

– Tylko się z tobą droczę, Phil. Tak szczerze mówiąc, co byśmy bez ciebie zrobili? Przyniesiesz mi kubek na biurko?

Zostawiwszy młodego detektywa posterunkowego, ruszyła z Foxem do ich wspólnego biurka. Ćwierknięcie zasygnalizowało, że dostała esemesa. Siadając za biurkiem, pokazała ekran komórki Foxowi. Christine Esson napisała tylko jedno słowo:

Bingo!

## Rozdział 43

PLAMKI NA BRĄZOWYCH SKÓRZANYCH mokasynach Giovanniego Morellego były mikroskopijne. Jeden z techników uparł się, że obejrzy z osobna każdą parę obuwia w jego garderobie. Zauważywszy plamki pod szkłem powiększającym, poprosił o próbę z luminolem.

– Wykazała krew – oznajmiła Esson, która stała w tym samym miejscu co Sutherland wcześniej.

Nadinspektor był teraz jednym z widzów – stał na rozstawionych szeroko nogach, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Jego zaciśnięta szczęka mówiła Clarke, że podobnie jak innych wypełnia go nerwowa energia, tylko nie chce tego okazywać.

– Buty trafiły do laboratorium – dodała Esson. – Jeśli to krew ofiary, wyniki powinniśmy mieć już wkrótce.

– Na tyłach domu nie było toreb z zakrwawionym ubraniem? – zapytała Tess Leighton.

Esson pokręciła głową.

– Namierzyliśmy w końcu sprzątaczkę... to ona oprowadziła Ronniego po całym domu. Nie pamięta, żeby wyrzucała jakieś nietypowe odpady. Morelli niewiele gotuje, więc kosz na śmieci na ogół stoi pusty. Nawiasem mówiąc, jest firmy Brabantia... bardzo ładny, ze stali nierdzewnej. Dom wygląda tak, jakby w każdej chwili można było w nim zrobić zdjęcia do magazynu wnętrzarskiego. Jedyne, co powiedziała nam sprzątaczką, to tyle, że wydaje jej się, że w szufladzie brakuje jednego z noży.

– Wydaje jej się?

– Nie jest do końca pewna.

– Na niewiele się nam to przyda – mruknęła Leighton.

Fox popatrzył na Sutherlanda.

- Trzeba będzie znów pogadać z panią prokurator – powiedział.
  - Pozwól, że ja o tym zdecyduję, Malcolm.
  - Trzeba wyciągnąć sukinsyna z celi i zadać mu kilka odpowiednich pytań – wtrącił Gamble.
  - W przeciwieństwie do jakich pytań, George? – zjeżyła się Clarke.
  - Mówię tylko, że powinno się go postraszyć. Przydałoby się kilku krzepkich, niebawiających się w ceregiele szkockich gliniarzy. – Gamble spoglądał na Foxa.
  - Wydaje mu się, że występuje w serialu *Życie na Marsie* – skomentowała Tess Leighton, przewracając oczami.
  - Z drugim przesłuchaniem możemy poczekać do czasu otrzymania raportu z laboratorium – stwierdził Sutherland.
  - A jeśli nie dostaniemy go do chwili, kiedy trzeba będzie wypuścić Morellego? – nie dawał za wygraną Gamble.
  - Zatrzymamy jego paszport. Nie panikuj, George, na pewno nam nie ucieknie.
  - Znam ludzi, którzy dali nogę bez paszportu, szefie.
  - Moim zdaniem George ma rację – odezwała się ze spokojem w głosie Clarke. – Nie sądzę, żebyśmy musieli czekać na raport.
  - Uważasz, że zrobi się nagle rozmowny, siedząc obok tej swojej wymuskaney adwokatkki, która mówi mu, że wystarczy powtarzać „Bez komentarza”?
  - Tak właśnie uważam.
  - Chowasz coś w rękawie, Siobhan?
  - Mówi mi to kobieca intuicja.
- Sutherland posłał jej spojrzenie sugerujące, że nie do końca w to wierzy, mimo to się zgodził.

ZANIM SPROWADZONO Z CELI Giovanniego Morellego i Sutherland potwierdził, że Patricia Coleridge jest już w drodze, Clarke wyszła na korytarz, żeby dyskretnie zadzwonić, a następnie zeszła po ozdobnych schodach do biurka sierżanta dyżurnego.

- Gdyby ktoś o mnie pytał, niech pan go wyśle od razu na górę - poprosiła. - Będę w pokoju przesłuchań B.

Sierżant pokiwał głową. Wracając na górę, Clarke zobaczyła czekającego na podeście Foxa.

- Coś knujesz - rzucił.

- Skądże znowu.

- Widzę, że knujesz. Myślałem, że jestem twoim partnerem.

- Takim, który zjawia się pół godziny wcześniej w punkcie wynajmu samochodów, żeby przypisać sobie większą zasługę?

Skrzywił się z udawanym oburzeniem.

- Trzeba chyba wyprowadzić Brilla?

- Bardzo sprytnie, Malcolm. Jeśli chcesz mnie wyręczyć...

- Nie chcę.

- Tak też sądziłam. - Clarke nachyliła się tak, że jej usta znalazły się centymetr od jego ucha.

- Patrz i ucz się, mięśniaku.

Wracając na salę, Fox udawał, że się dąsa.

- I OTO ZNÓW TU JESTEŚMY - oznajmiła bez entuzjazmu Patricia Coleridge.

Przed włączeniem sprzętu nagrywającego Clarke po raz kolejny go sprawdziła. Sutherland siedział na tym samym miejscu co poprzednio, naprzeciwko prawniczki i jej klienta.

- Cella jest obrzydliwa - poskarżył się Morelli adwokatce. - Toaleta nie do opisanego. Kanapka, którą mi dali... niejadalna!

- Wytrzymaj jeszcze trochę, Gio - pocieszyła go Coleridge. Notes, laptop i pióro leżały już na stole; ręce złożyła niczym w modlitwie i omiatała spojrzeniem to nadinspektora, to inspektora. - Rozumiem, że macie nam do zakomunikowania coś nowego.

- Podczas przeszukania domu pana Morellego odkryliśmy parę butów zaplamionych krwią - oznajmiła Clarke. - Krew jest w tym momencie badana.

- Więc równie dobrze może należeć do mojego klienta?

– Obie wiemy, że tak nie jest. – Clarke wpatrywała się przez cały czas w Morellego. – Pozbył się pan całej garderoby, którą miał pan na sobie, lecz było panu żal rozstać się z tymi pięknymi mokasynami. Wynajmując auto, włożył pan rzeczy z sieciówki... dzięki temu nie rzucał się pan w oczy... ale spotykając się z Salmanem, musiał pan się prezentować elegancko.

– Nie musisz nic mówić – przypomniała klientowi prawniczka.

– Pełna współpraca może mu się teraz opłacać. Kiedy dostaniemy wyniki badania krwi, jego pomoc nie będzie już potrzebna.

– Bez komentarza – mruknął Morelli.

Clarke czuła, że Sutherland zaczyna się niepokoić. Zdawał sobie sprawę, jak słabe mają argumenty, i zastanawiał się pewnie, dlaczego tak bardzo zależało jej na ponownym przesłuchaniu. Żałowała, że nie może uśmierzyć jego obaw, ale w tym momencie było to raczej niemożliwe.

– Możemy porozmawiać o nożu, który zniknął z szuflady w pańskiej kuchni? – zapytała.

– Noże często są wyrzucane – wycedziła Coleridge.

– Bez komentarza – powtórzył Morelli.

Sutherland poruszył się lekko na krześle. Clarke rzuciła mu szybkie spojrzenie mówiące „Zrelaksuj się”.

– A jeśli testy wykażą, że na pańskich butach jest krew Salmana bin Mahmouda, panie Morelli? Na sali sądowej też będzie pan powtarzał „Bez komentarza”?

– To jest oburzające. – Prawniczka cisnęła na stół pióro i wbiła wzrok w Sutherlanda. – Ściągnął nas pan tutaj, nie mając żadnych dowodów, wyłącznie po to, żeby snuć kolejne szalone domysły i teorie? Tak pan prowadzi poważne śledztwo, nadinspektorze?

Sutherland wyglądał, jakby zastanawiał się, co na to odpowiedzieć, ale Clarke skupiła uwagę na drzwiach do pokoju przesłuchań. Słyszała za nimi podniesione głosy. Coleridge też je w końcu usłyszała.

– Co tu się, do diabła, dzieje? – zapytała i w tej samej chwili drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich Issy Meiklejohn, a za nią Malcolm Fox,



który próbował złapać ją za ramię.

– Co ty, kurwa, zrobiłeś? – wrzasnęła dziewczyna na Morellego. – Ty pojebany kurewski morderco!

Morelli zerwał się na nogi tak gwałtownie, że jego krzesło się przewróciło. Podniósł obie ręce, jakby bronił się przed zjawą. Meiklejohn, z wyszczerzonymi zębami i fioletową z wściekłości twarzą, wrzeszczała na niego, pryskając na wszystkie strony śliną.

– Zabierzcie ją stąd! – zawołał Graham Sutherland, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

– Jak ona się tu dostała? – chciała wiedzieć Coleridge. – Trzeba o tym zawiadomić prokuratorkę. To niedopuszczalne. W tej sytuacji nie może być mowy o postawieniu jakichkolwiek zarzutów!

– Zrobiłem to dla ciebie, Issy! – wypalił Morelli. – Zrobiłem to dla ciebie!

– Zamordowałeś naszego przyjaciela!

– Okłamywał cię, żeby się z tobą przespać! Nie było nigdy żadnych pieniędzy na The Flow!

– Nadinspektorze! – zawyła Coleridge. – Muszę jak najmocniej zaprotestować!

– Zabierzcie ją stąd – powtórzył Sutherland.

Fox objął Meiklejohn rękami w pasie i starał się ją odciągnąć.

– Ty sukinsynu! – jęknęła i zaczęła histerycznie szlochać.

– Issy... – Morelli dał krok w jej stronę.

– Nie – wycedziła. – Nie! – Wyzwolili się z objęć Foxa i zniknęła z pola widzenia.

– Zdaje pan sobie chyba sprawę, że na procesie nic z tego nie zostanie dopuszczone jako dowód, nadinspektorze? – Coleridge próbowała się opanować i odzyskać kontrolę nad sytuacją.

Fox, który zamykał drzwi z zewnątrz, rzucił Clarke wymowne spojrzenie. W odpowiedzi puściła do niego oko.

– Skoro przerywamy przesłuchanie – powiedziała, kiedy Morelli podniósł z podłogi krzesło i usiadł na nim, kryjąc twarz w dłoniach –

może powinnam wyłączyć kamerę.

– Lepiej, jeśli zrobimy sobie przerwę – zgodził się Sutherland.

– A jeszcze lepiej będzie, jeśli wyjaśnicie, jak osoba z zewnątrz dostała się bez przeszkód na teren komisariatu i do pokoju przesłuchań – wycedziła przez zaciśnięte zęby prawniczka. – Prawie jakby wiedziała, gdzie nas znaleźć.

Clarke z niewinną miną wcisnęła przycisk zatrzymujący nagrywanie.

– Nie, proszę to wyłączyć z powrotem – odezwał się Morelli. – Chcę wszystko wyjaśnić.

– To bardzo nieroztropna decyzja, Gio – ostrzegła go Coleridge.

– Chcę wyjaśnić – powtórzył z większą determinacją w głosie.

Clarke włączyła sprzęt.

## Rozdział 44

- MIAŁ NA RĘKACH MOTOCYKLOWE RĘKAWICE – wychrypiął Rebus. Siedział przy tym samym narożnym stoliku w The Glen, przy którym poznał Jimmy’ego Hessa.

Creasey zajął miejsce naprzeciwko, obok May Collins, która przyrządziła Rebusowi napój składający się z gorącej wody, whisky, miodu oraz wyciśniętego soku cytrynowego. Do tego dwie tabletki ibuprofenu, które próbował połknąć.

- Stąd brak odcisków palców – wyjaśnił Rebus. – Odwiózł tutaj volvo, bo być może sądził, że zyska dzięki temu na czasie, i wrócił pieszo do obozu po motor. Późnym wieczorem na drodze nie było nikogo, żadnych świadków.

- John powtarzał panu, że to ma coś wspólnego z obozem – przypomniała Creaseyowi Collins.

- Na pewno pani o tym nic nie wiedziała? – odparował. – Pani ojciec przez wszystkie te lata drażnił się z Frankiem Hessem. Ani razu o tym nie napomknął?

- Ani razu – odparła, mierząc detektywa ostrym spojrzeniem. – Wiedziałam tylko, że zawsze pałali do siebie niechęcią.

- Dlaczego pani ojciec nigdy tego nie ujawnił?

May Collins wzruszyła ramionami.

- Może lubił dręczyć Franka, a może nie za bardzo się tym wszystkim przejmował. Przeżył wojnę, więc czym była dla niego kolejna śmierć niewinnego człowieka?

Zawibrował telefon Creaseya. Ten zerknął z nieprzeniknioną miną na ekran.

- Ktoś go widział? – zapytał Rebus.

– Nie zdoła daleko dotrzeć.

Rebus przypomniał sobie opowieści o ucieczkach z Obozu 1033. Uciekinierzy zawsze kierowali się w głąb lądu i szybko dawali za wygraną. Wyobraził sobie Jimmy'ego Hessa biegnącego z laptopem pod pachą, co jakiś czas odpoczywającego, a potem znów puszczającego się biegiem, coraz bardziej spragnionego, głodnego i zmarzniętego. W końcu zda sobie sprawę z daremności tego, co robi, ale czy zdoła odnaleźć drogę z powrotem? Torfowiska, bez żadnych znaków orientacyjnych, z każdej strony wyglądały tak samo. Oczywiście Jimmy Hess mógł zmienić plan i podążać wzdłuż wybrzeża na wschód albo zachód. Ale drogi patrolowały tam radiowozy, miał do dyspozycji niewiele kryjówek i łatwo było je wszystkie sprawdzić.

– Co z farmą Calluma? – zapytał Rebus.

– Są tam dwaj funkcjonariusze, na wszelki wypadek.

– A Frank?

– Jest pod kluczem w Tongue – odparł Creasey. – Później przewieziemy go do Inverness.

– To ty go przyskrzyniłeś... Nie powinieneś tam być?

– Kiedy tylko upewnię się, że nic ci nie jest.

– Powtarzam ci: czuję się świetnie. – Rebus przełknął ślinę i skrzywił się z bólu.

– Chryste, John – mruknął Creasey.

May Collins wyciągnęła rękę i ścisnęła dłoń Rebusa.

– Pozwól przynajmniej, żeby obejrzał cię jakiś lekarz – powiedziała.

Rebus miał właśnie zamiar zaprotestować, kiedy drzwi pubu się otworzyły i do środka wpadła Samantha. Zobaczyła ich i usiadła przy ojcu; uścisnęła go tak mocno, jak tylko pozwalała jej ograniczona przestrzeń.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

– Być może będę musiał opuścić dzisiejszą próbę chóru.

– Byłeś u lekarza?

– Nie chce o tym słyszeć – mruknęła May Collins. – Podać ci coś, Sam? Samantha pokręciła głową.

- Co u Carrie? - wychrypiał Rebus.

- Czuje się dobrze, w przeciwieństwie do ciebie. - Samantha spojrzała na Creaseya. - Tata ma przewlekłą obturacyjną chorobę płuc. Nawet normalnie trudno mu oddychać.

- Zastanawiałem się, czy nie zakuć go w kajdanki i nie zawieźć do szpitala radiowozem - przyznał detektyw. - Nie bardzo wiem, co mógłbym innego zrobić.

- Jesteś upartym starym capem - rzuciła Samantha, odwróciwszy się do ojca.

- Nawet beczę jak cap. - Rebus pogładził szyję kciukiem i palcem wskazującym.

- Więc to był Jimmy, tak? - zapytała córka. - Zabił Keitha i próbował cię zadusić?

- Jimmy - przyznał.

- Z powodu czegoś, co przydarzyło się przed ponad siedemdziesięciu laty? - zdziwiła się, marszcząc brwi.

- Niektórzy ludzie mają długą pamięć.

- Wszystko zaczęło się od tego cholernego rewolweru - mruknęła May Collins, wskazując bar. - Żałuję, że nie wyrzuciłam go w cholerę, kiedy miałam sposobność. Tak strasznie mi przykro, Sam - dodała, biorąc ją za nadgarstek.

- To wszystko przez ten obóz - stwierdziła cicho Samantha. - Zalaż Keithowi za skórę. Nie mógł sobie odpuścić. - Spojrzała na Creaseya i Collins. - Czy mogę pobyć przez chwilę sama z tatą?

Pokiwali głowami i podeszli do baru. Samantha ujęła dłonie ojca.

- Możemy chyba teraz zaplanować pogrzeb - powiedziała. - Przydałaby mi się twoja pomoc. I pomoc przy przeprowadzce na południe... Jeśli nie będzie ci przeszkadzało, że zamieszkamy bliżej ciebie.

- Chyba wytrzymam. Ale kiedy opadnie kurz, powinnaś to jeszcze przemyśleć. Mam na myśli szkołę Carrie i całą resztę. Przepraszam, jeśli w którymś momencie w ciebie zwątpiłem.

- Masz podejrzliwy umysł. Taka praca.

– Ale to wcale nie znaczy, że nie możemy ze sobą dobrze żyć, prawda?

Samantha uśmiechnęła się i znów go objęła. Nad jej ramieniem Rebus zobaczył, że Creasey zerka na telefon, sprawdza przychodzącą wiadomość i daje znak May Collins, że musi wyjść. Idąc do drzwi, spojrzął na Rebusa i wymówił bezgłośnie dwa słowa, wiedząc dobrze, że ten je zrozumie.

– Na farmie.

## Rozdział 45

- **WIĘC KIEDY WRACA?** – powiedział Fox do telefonu, idąc ulicą.

- Jutro albo pojutrze. Saab jest naprawiony, więc będzie o jeden pogrzeb mniej. Ale tak czy owak, za jakiś czas znów wybierze się na północ.

- John musi zawsze dorwać swojego sprawcę, prawda?

- Nawet jeśli sam ledwie uchodzi z życiem. Cholerny bandzior o mało nie zadusił go na śmierć. A właśnie... gdzie jesteś?

- Wyszedłem na spacer, żeby rozjaśniło mi się w głowie.

- Nie jesteś przypadkiem w pobliżu penthouse'u swojego nowego znajomego?

- Zawsze taka podejrzliwa. – Fox przez chwilę milczał. – A ty gdzie jesteś? – spytał w końcu.

- W nowym mieszkaniu Johna. Miałam mu tylko podrzucić podpisany przez Lee Childa egzemplarz książki... coś w rodzaju prezentu na parapetówkę. Ale potem zaczęłam rozpakowywać rzeczy.

- Na pewno ci nie podziękuje.

- Jeśli zostawię to jemu, potrwa to kilka miesięcy. Ale i tak dzisiaj nie skończę. Idę na kolację z Grahamem, żeby świętować rozwiązanie sprawy.

- Co to za muzyka?

- Jedna z płyt Johna: R. Dean Taylor.

- Nigdy o nim nie słyszałem. Czy nie za wcześnie na świętowanie? Czeka nas jeszcze długa droga.

- Ale mamy przyznanie się do winy, Malcolm.

- To była niezła sztuczka. Ale wystarczy, że Issy poinformuje swoją dobrą znajomą Patsy Coleridge, że zadzwoniłaś do niej i wszystko powiedziałaś, a potem poprosiłaś, żeby złożyła ci osobistą wizytę...

– Zeznanie to zeznanie. Nikt nie wywierał na niego presji.

– Od dawna się w niej kochał? Mam na myśli Morellego i Issy.

– Odkąd poznali się jako nastolatki. Nigdy nie przerodziło się to w coś poważniejszego, domyślam się, że ona sobie tego nie życzyła. Ale kiedy Morelli dowiedział się, że Issy ma zamiar studiować w Edynburgu, zapisał się na ten sam kurs... co, gdybyś mnie pytał, wydaje się trochę upiorne.

– Troszeczkę.

– Tymczasem Salmanowi stale brakowało forsy... pożyczal ją nawet od Morellego. A mimo to opowiadał mu o grubych milionach, które obiecał Issy, żeby uratować wymarzony projekt jej tatusia.

– Grubych milionach, których oczywiście nie miał?

– I tak miał wrócić wkrótce do domu, żeby albo dostać się pod but reżimu, albo ratować rodzinny biznes. Chodziło mu wyłącznie o to, żeby przed wyjazdem przelecieć Issy. Więc Morelli zwabił go do Craigentinny, obiecując, że ma kogoś, kto może pomóc w transakcji. Doszło do kłótni i Morelli wyciągnął nóż...

– Który zabrał ze sobą, bo...?

– Bo jest Włochem i uznał, że Salman będzie potrzebował odrobiny perswazji, żeby powiedzieć Issy prawdę i się od niej odczepić.

– Dlaczego Morelli sam nie powiedział jej prawdy?

– Bo jest chyba trochę podobny do swojego ojca: zero współczucia, zero empatii.

– I często traci nad sobą panowanie. – Schodząc ze ścieżki rowerowej, Fox uświadomił sobie, że kiwa głową.

– Tak czy inaczej, nie do końca kupuję tę historię. Wybrał Craigentinny, bo miejsce bliżej domu byłoby zbyt ryzykowne. Z tego samego powodu zgłosił wcześniej fałszywy napad. To nie była kłótnia, która wymknęła się spod kontroli, ale zaplanowane z premedytacją zabójstwo. Podobne do innych, przy których pracowałam. Więc owszem, mam chyba ochotę poświętować. A ty co? Spacerujesz?

– Nie piję i nie palę, więc co innego mi zostaje, parafrazując piosenkę Culture Club.



– To piosenka Adam and the Ants – poprawiła go. – Cóż, postaraj się być ostrożny, Malcolm. Miasto może cię ugryźć w tyłek, kiedy się tego najmniej spodziewasz. Powinam już kończyć. Muszę jeszcze wrócić do domu i się przebrać. Zobaczymy się jutro?

Fox nie odpowiedział.

– No tak, wracasz do Gartcosh?

– Jest jakiś powód, żebym tego nie robił?

– Więc mówimy sobie „do widzenia”?

– Mówisz, jakby było ci prawie żal, że odchodzę. Wiele się zmieniło, odkąd mnie po raz pierwszy zobaczyłaś.

– Miłej podróży, detektywie inspektorze Fox. Odwiedź nas czasami.

– Trzymaj się, Siobhan. – Fox zakończył rozmowę i schował komórkę do kieszeni. Zbliżał się do Quatermile od strony Lauriston Place, gdzie zaparkował na pojedynczej żółtej linii. Był późny wieczór i wiedział, że nie dostanie mandatu (ten spod restauracji na George Street leży w schowku w desce rozdzielczej). W Quatermile panował spokój: tylko kilku gości w mijanym barze, do połowy pusta malezyjska restauracja. Do knajp wchodzili i z nich wychodzili dowożący jedzenie kurierzy, studenci targali do domów torby z hipermarketu Sainsbury's.

Fox podszedł do szklanego klocka, który Cafferty nazywał swoim domem, i wcisnął guzik domofonu. Został wpuszczony prawie natychmiast, ale zanim ściągnął windę, stał przez chwilę w lobby, zbierając myśli. Zadzwonił wcześniej, by upewnić się, czy Duży Ger może go przyjąć. Kiedy ten zapytał o powód wizyty, Fox odpowiedział jednym słowem: „Scoular”.

– Mam nadzieję, że przynosisz dobre wiadomości, Malcolm.

Cóż, to zależy z czyjego punktu widzenia.

Cafferty, bosy i ubrany w niezapiętą pod szyją białą koszulę i spodnie od dresu, czekał na niego w drzwiach penthouse'u. Poczłapawszy do przestronnego salonu, wziął do ręki kieliszek z czerwonym winem.

– Dasz się skusić, Malcolm?

– Nie ma takiej możliwości.

Duży Ger usiadł w swoim ulubionym fotelu, niezbyt zaskoczony tym, że Fox nadal stoi.

– Co do Scoulara... – zaczął inspektor.

– Tak?

– Sprawdziliśmy go z każdej strony i nic na niego nie ma.

– Czyżby? – Dobry humor zniknął bez śladu z twarzy Cafferty'ego.

– Choć nie ma to chyba większego znaczenia, prawda? To, co dla ciebie ważne, to nakłonienie mnie, a jeszcze bardziej mojej szefowej, żebyśmy dla ciebie pracowali. Bo jeśli ci się to uda i będziesz miał to na taśmie, uznasz, że trzymasz nas w garści. Taka jest prawda.

Cafferty otworzył usta, żeby odpowiedzieć, lecz Fox jeszcze nie skończył.

– Ale nie cała. Cała prawda jest taka, że wściekle zazdrościsz temu facetowi.

– Czyżby?

Fox zaczął liczyć na palcach.

– Jest od ciebie młodszy i przystojniejszy. Spotyka się z możliwymi tego świata, a nie z szumowinami, z którymi ty musisz się codziennie zadawać. Patrzysz na niego i jego przyjaciół w swoim klubie i wiesz, że dzieli was przepaść, której nie pokonasz, choćbyś nie wiem ile razy próbował. Nazwij to uprzedzeniami klasowymi albo po prostu snobizmem: patrzą na ciebie z góry, choć wiesz, że powinni się kłaniać. A tymczasem Scoular opyla małe porcje koki kumplom, kontaktuje ze sobą ludzi, jest naprawdę ważnym graczem. I owszem, z pewnością z rąk do rąk przechodzą lewe pieniądze, ale jest nie do ruszenia. Dlatego cię wkurza i dlatego chciałeś, żebyśmy go sprawdzili. I powiem ci, że będziesz musiał obejść się smakiem. Bo on nadal będzie Stewartem Scoularem, liczącym się deweloperem i ulubieńcem kolumn plotkarskich, a ty nadal będziesz sobą. – Fox na chwilę przerwał. – Chyba napiję się wody.

Podchodząc do zlewu i biorąc czystą szklankę z suszarki, usłyszał, jak Cafferty bije mu powoli brawo.

– Skończyłeś już swoją mowę? – zapytał gangster, kiedy przestał już klaskać. – Czujesz się lepiej, wyrzuciwszy to z siebie? Jeśli tak, wypij wodę i zabieraj stąd swój tłusty tyłek. Muszę wykonać kilka telefonów i rozesłać w kilka miejsc parę pikantnych filmików.

Fox, nie spiesząc się, wychylił szklanekę, wstawił ją do zlewu i zerknął na zegarek.

– Nie musisz być gdzie indziej, Malcolm? – warknął Duży Ger.

Fox pokręcił głową.

– Jest coś, co powinieneś zobaczyć. – Włączył swój telefon i postukał palcem po ekranie. – Puszczają to na żywo na stronie „Scotsmana”. To wywiad na wyłączność, ale jutro będzie we wszystkich mediach. Potrafisz coś zobaczyć na takim małym ekranie?

Cafferty wstał powoli z fotela. Fox dał maksymalną głośność i odsunął od siebie telefon. Dennis Jones razem z żoną, Jennifer Lyon, siedzieli na sofie. Wywiad dopiero się zaczął, ale dochodzili do sedna. Jones i Lyon trzymali się za ręce, tak jak zostało uzgodnione. Pytania też były wcześniej uzgodnione, rozmowę prowadziła Laura Smith. Choć niezbyt znana z łagodności, została uprzedzona, co oznacza wywiad na wyłączność.

„Pragnę więc publicznie i głęboko przeprosić przede wszystkim żonę – powiedział Jones – ale również wszystkie inne osoby, które uczestniczyły w tym żalonym epizodzie... potknięciu, za które tylko ja ponoszę winę. Mogę mieć tylko nadzieję, że Jenni będzie w stanie mi wybaczyć. Postaram się zrobić wszystko, żeby choć w pewnym stopniu odzyskać jej zaufanie. Z całą pewnością nigdy nie przestałem jej kochać i nigdy nie przestanę. Oczywiście składam ze skutkiem natychmiastowym rezygnację z mojego stanowiska na uczelni i będę szukał profesjonalnej pomocy”.

Fox patrzył, jak Cafferty obserwuje scenę.

– Zastępczyni komendanta głównego uważa, że zdoła przetrwać tę burzę – powiedział, kiedy Laura zadała jedno z przygotowanych wcześniej pytań. – Zgromadziła zespół specjalistów od PR-u i prawników, więc możesz robić z tymi taśmami, co ci się żywnie podoba. Historia została już ujawniona, a moja szefowa ją kontroluje. Zdołałeś dokonać tylko jednego: stałeś się celem. Każdy wydział szkockiej policji i każda współpracująca

z nią agencja będą odtąd miały twoje nazwisko na czele listy poszukiwanych. – Fox spojrział przez okno na leżący niżej park Meadows. – Podziwiał ten widok, póki jeszcze możesz – powiedział, po czym wyłączył telefon, schował go do kieszeni i wyszedł w milczeniu z mieszkania.

Czekając na windę, spodziewał się, że Cafferty wybiegnie za nim i da upust złości. Ale winda przyjechała, Fox wsiadł do niej, obrócił się twarzą do drzwi i wcisnął parter. W połowie drogi wypuścił z ust długo wstrzymywany oddech. Uznał, że da Jennifer Lyon jeszcze godzinę i dopiero wtedy poinformuje ją, że wszystko poszło zgodnie z planem. Jej planem, który przedstawiła mu tamtego dnia w Gartcosh. Trochę czasu zajęło jej przekonanie męża, ale jedyną inną opcją, jaką mu zaoferowała, był rozwód.

– Szkoda tylko tego czasu, który spędziłem na obserwacji – mruknął pod nosem Fox. Choć przecież zastępczyni komendanta głównego miała teraz wobec niego dług wdzięczności, a on nie pozwolił jej o nim zapomnieć.

Drzwi windy otworzyły się i wysiadł na zewnątrz. Od świeżego powietrza i zewnętrznego świata dzieliły go jeszcze jedne drzwi. Przez szybę zobaczył stojącą po drugiej stronie zakapturzoną postać.

Kurier dowożący jedzenie? Nie, nie miał plecaka. Lokator? Możliwe. Ale Foxowi przyszło do głowy coś innego. To mógł być jeden ze zbirów Cafferty'ego. Najprawdopodobniej diler niskiego szczebla. Otworzył drzwi. Na ospowatej twarzy pod kapturem odbiło się wahanie.

– Wchodzisz czy nie? – zapytał Fox.

Minęła jeszcze chwila, zanim chłopak podjął decyzję.

– Tak, dzięki – mruknął w końcu i z rękami w kieszeniach minął Foxa, który wciąż trzymał otwarte drzwi.

– Zakładam, że znasz drogę – rzucił Fox. – P jak penthouse.

– Owszem, znam drogę. Dzięki. Bardzo mi pan pomógł.

– Ale nie spodziewaj się, że będzie w dobrym humorze – dodał Fox, wychodząc z budynku. Na dworze było jeszcze jasno. O tej porze roku

trudno było sobie wyobrazić mroczne noce, które miały się wkrótce zacząć.

# Podziękowania

TEŃ KSIĄŻKĘ ZACZAŁEM PISAĆ na długo przed wybuchem covidu w 2020 roku, ale była redagowana podczas lockdownu. Jestem bardzo wdzięczny mojej żonie Mirandzie za to, że pomogła mi przebrnąć przez ten czas i była moją pierwszą czytelniczką oraz najuważniejszą recenzentką. Chciałbym również podziękować pracownikom Forward Vision w Edynburgu za oddanie, z jakim troszczyli się nie tylko o mojego syna Kita, ale też o wszystkich innych młodych ludzi pozostających pod ich opieką.

Ci, którzy znają okolice Tongue, wiedzą, że pozwoliłem sobie na pewne zmyślenia. Nie istnieje wioska Naver, a także Obóz 1033, ale inne wymienione tu obozy są prawdziwe, podobnie jak niektóre ze zrelacjonowanych wydarzeń.

Jestem wdzięczny Edinburgh Central Library za wskazanie kilku wartościowych źródeł, przede wszystkim *Camp 165* autorstwa Valerie Campbell oraz *British Concentration Camps: A Brief History from 1900-1975* Simona Webba. W trakcie jednej z wizyt na północnym wybrzeżu trafiłem również na *Tongue and Farr* Jima A. Johnstona, co pomogło mi lepiej poznać historię tego pięknego regionu Szkocji.

Za wszelkie błędy i nieścisłości odpowiedzialność ponoszę tylko ja.

Wypijmy za wszystkie pieśni i wszystkich, którzy je śpiewają, w czasach mroku i w czasach światła.

I.R.